

**AMIS KINGSLEY**

**LIGA WALKI ZE  
ŚMIERCIA**

(Przełożył: Przemysław Znaniecki)

**REBIS**

1993

# CZEŚĆ I

## Skraj węzła

Szutrową ścieżką szła dziewczyna w towarzystwie starszej kobiety. Po lewej stronie drogi, oddzielona pasem trawnika, wznosiła się fasada dużego, wysokiego budynku z szarego kamienia. Dotarłszy do jego narożnika, zwieńczonego spiczastą wieżyczką, ujrzały kwadratowy plac zieleni z umieszczoną pośrodku budowlą przypominającą wspartą na kamiennych filarach wieżę ciśnień. Popołudniowe słońce świeciło jaskrawo, lecz przestrzeń pod główną częścią wieży pogrążona była w głębokim cieniu.

Dziewczyna zatrzymała się.

- Co się dzieje? - zapytała.

- To tylko kocur - powiedziała jej towarzyszka. - Widocznie wypatrzył coś pod wieżą.

Mały czarny kot, skulony w kamiennym bezruchu, wpatrywał się w cień. Po chwili z półmroku wyłonił się ptak o spiczastych skrzydłach, zanurkował w kierunku kota, dwa razy krótko zaćwierkał i szerokim łukiem powrócił tam, skąd przed chwilą wyleciał. Dziewczyna nadal patrzyła.

- Och, wie pani, jak to jest - powiedziała starsza kobieta. - Ten ptaszek uwił sobie gniazdo i chce odpędzić od niego kota. Nastraszyć go.

Nie przebrzmiały jeszcze jej słowa, gdy trzech mężczyzn w mundurach wyszli zza rogu budynku stojącego na tyłach wieży i ruszyli ścieżką w stronę kobiet. Jednocześnie rozległ się dźwięk nisko lecącego wielkiego samolotu.

Ptak znów zatoczył koło w powietrzu.

- Dlaczego kot się nie rusza? - zapytała dziewczyna. - Chyba widzi ptaka?

- Ależ oczywiście! Koty wszystko widzą. Nie spuszcza z niego oka. Ale nie ruszy się, bo nie chce porzucić ofiary. A teraz popatrzymy jeszcze przez chwilkę i pójdziemy dalej, zgoda?

Trzej mężczyźni w mundurach zbliżyli się do rozmawiających kobiet. Jeden z nich, młody, wysoki, o jasnej cerze, zwolnił kroku i przystanął.

- Spójrzcie tylko - powiedział. - Widzieliście kiedyś coś podobnego?

- Co takiego? - zapytał starszy z jego towarzyszy.

- Ta wieża...

- Zwykła wieża ciśnień, tyle że usiłowali dostosować ją do stylu całej budowli. Rzeczywiście, wygląda nieco złowieszczo.

Dźwięk samolotu stał się bardziej intensywny. Kot pomknął ku rosnącemu przy ścieżce drzewu. Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na wysokiego młodego mężczyznę. W tym momencie wydało im się, że słońce zgasło na chwilę. Mężczyzna drgnął i wciągnął powietrze do płuc z odgłosem przypominającym nieomal krzyk.

- O Boże, poczułeś to?

- Aż za dobrze. Myślałem, że mam zawał serca albo coś podobnego.

- To było jak przejście cienia śmierci - zauważył trzeci mężczyzna.

- Ale w rzeczywistości było to tylko przejście cienia pasażerskiego samolotu. Patrzcie, zaraz przesunie się po tym zboczu. O, proszę.

- Bogu dzięki - powiedział wysoki młody mężczyzna. - Wiecie, tak musi czuć się mucha, kiedy spada na nią packa. Myślałem, że zemdleję.

Zerknął znów na dziewczynę, która już zdążyła odwrócić od niego wzrok. Natomiast starsza kobieta przeszła go nieprzyjaznym spojrzeniem

- Chodźmy, pani Casement - powiedziała z nagłą gwałtownością. - Nie mamy czasu. Wie pani, nie tylko panią muszę się zajmować.

Dwie grupki rozeszły się.

- Nigdy nie sądziłem, że nasz James interesuje się architekturą, a ty, Moti, wiedziałeś o tym? - zapytał najstarszy z trzech oficerów, chudy, z dystynkcjami majora, i koloratką pod kurtką munduru.

- Oto jego słynna przebiegłość, proszę księdza. W istocie podziwiał coś znacznie godniejszego uwagi młodego człowieka niż zimne kamienie, prawda, James?

- Cóż, tak. Cudowna dziewczyna, nie sądzicie? Miała niezwykle oczy. Ale jakby puste i przerażone.

- To pewnie sprawka cienia tego samolotu - powiedział duchowny. - Może przestraszyć, jeśli się nie wie, co to takiego. Nawet mnie ogarnął lęk, dopóki się nie opamiętałem. Kiedyś dość często widywałem takie zjawiska.

- Wydawało mi się, że ona już przedtem była przerażona. Ale trudno się dziwić, to cholerne miejsce...

Duchowny zmarszczył brwi.

- Cieszą się raczej niezłą reputacją. Na pewno bardzo się starają.

- Na przykład stawiając tu takie obiekty?

Ścieżka rozszerzyła się do kształtu okrągłego placyku. Na jego środku znajdowała się ozdobna sadzawka z odbarwionego, porośniętego mchem kamienia, a w jej środku, na postumencie, przykucnął kamienny stwór przypominający nieco lwa. Każdy z jego pazurów przechodził w cienką łodyżkę zakończoną kwiatem w kształcie spłaszczonego dzwonka, z którego dalej wychylało się coś w rodzaju języka z trzema czubkami. Cienki lwi ogon wyglądał jakby był odłamany przy samym tułowiu; kikut został gładko opiłowany. Z uśmiechniętego pyska wychodził zakręcony, wzniesiony ku górze potrójny język, którego każdy koniuszek był zwieńczony przedmiotem o trudnym do zidentyfikowania kształcie. Cała powierzchnia rzeźby była niegdyś pokryta emalią w drobne wzory, ale większość z nich zmyły już deszcze.

- Miłe powitanie dla kogoś, kto natknie się na niego przy pierwszej wizycie - powiedział młody człowiek o imieniu James. - Przyśnił mi się parę dni temu.

- Dobrze ci tak. - Duchowny ujął go za ramię i podprowadził ku kamiennym schodom wiodącym do budynku. - Moti, czy w twojej części świata można spotkać coś w tym rodzaju?

- Na szczęście nic mi o tym nie wiadomo. My też potrafimy być obrzydliwi, ale w mniej wyrafinowany sposób. Perwersję pozostawiamy naszym żółtym braciom. Prawdę mówiąc, widziałem chyba zdjęcie dżentelmena przypominającego nieco naszego kamiennego stwora, choć pozbawionego kwiecica. Stał w pewnym pałacu w Pekinie czy gdzieś w okolicy. Ciekawy zbieg okoliczności.

Weszli do wykładanego boazerią westybulu, całego obwieszzonego ogłoszeniami, z których jedne były przypięte do ścian, a inne do małych tablic na nóżkach. *Wystawa malarstwa prerafaelitów: cały miesiąc w sali wykładowej B* - obwieszczało jedno. *Wycieczka autobusowa do klasztoru Świętego Hieronima: zgłoszenia w biurze do piątku* - stwierdzało inne.

- Jak myślisz, co było na końcu jego ogona?

Duchowny spiorunował pytającego wzrokiem.

- James, na miłość boską, daj spokój. Co się z tobą dzisiaj dzieje? Mógłbym ci powiedzieć, co było na końcu ogona, i mam nawet dowody na poparcie mojej teorii, ale to nie licowałoby z moją sutanną. A zresztą, co to cię obchodzi?

- Och, czcigodna sutanna.

- Tak, czcigodna sutanna. Wiem, że jest gdzieniegdzie poprzecierana, ale to wszystko, co mam. A teraz wciągnąć podbródki, wyprostować plecy, wymachy ramion do przodu i do tyłu na wysokość pasa i pamiętajcie, że mamy poprawić mu nastrój. A propos, dajcie placek.

Małą paczkę przekazali sobie z ręki do ręki, idąc pochyłym, opadającym korytarzem, który dalej wznosił się i znikał z oczu.

- Aluzja do nieskończoności - rzekł oficer zwany Motim, kontemplując widok korytarza. - Wspaniały efekt terapeutyczny.

- O, proszę - powiedział po chwili duchowny. - Jest tu i wojsko. Czuję rękę kapitana Leonarda. Jak można się było spodziewać, trochę za późno się tym zajął.

Zbliżali się do osadzonych w grubej ścianie podwójnych drzwi, przy których młody podoficer poderwał się ze składanego krzesła. Przed nim, na małym stoliku, leżał duży otwarty zeszyt i kilka technicznych podręczników.

- Dzień dobry panom - powiedział, stając elegancko na baczność. - Panowie zapewne do kapitana Huntera?

- Tak, jeżeli władze wojskowe nie mają nic przeciwko temu. Co wy tu, do diabła, robicie? To znaczy, miło mi was spotkać, Fawkes, ale na co możecie się przydać w tym miejscu?

Podoficer wyszczerzył zęby.

- Względy bezpieczeństwa, majorze Ayscue.

- Tak myślałem. Pomysł kapitana Leonarda?

- Jego rozkaz, sir. Mam zapisywać pełne nazwiska wszystkich osób wchodzących i wychodzących stąd oraz godzinę ich pojawienia się i wyjścia. Zwłaszcza te godziny stanowią ważną informację. Kapitan Leonard zwrócił nam na to szczególną uwagę. Och, i może jeszcze zainteresuje pana, sir, że mam wpisywać do książki wszystkich odwiedzających bez względu na to, czy udają się do kapitana Huntera, czy nie. Widzi pan, nigdy nie wiadomo, czy nie prześliznie się jakiś Koreańczyk z magnetofonem.

- Kiedy przyszedłem tu w zeszłym tygodniu, nikogo nie było.

- Rzeczywiście, panie Churchill, ale to było w zeszłym tygodniu. A w tym tygodniu musimy przykładać się do pracy, bo kapitan Hunter może opuścić szpital już za parę dni, a dotarliśmy dopiero do drugiej strony w książce ewidencyjnej. A więc, tak - zaczął pisać. - Godzina piętnasta czterdzieści cztery... major... Ayscue... kapitan... Naidu...

- Czy możemy już iść, Fawkes? - spytał Ayscue.

- O, chyba tak, sir. Wprawdzie kapitan Leonard zabronił mi przepuszczać osoby nie zapisane jeszcze w książce, ale myślę, że w ciągu tych kilku sekund nazwisko pana Churchilla nie wypadnie mi z pamięci. Zresztą, zastaną panowie kapitana Huntera w bardzo dobrym nastroju. Zupełnie jak za dawnych czasów.

- Dziękuję, kapralu Fawkes - powiedział Naidu. - Mam nadzieję, że nie będę musiał dostarczać fotokopii mojego patentu oficerskiego z podpisem ministra obrony?

- Nie, sir. Kapitan Leonard nic o tym nie wspominał.

Trzej oficerowie weszli do długiego, przestronnego pomieszczenia rozjaśnionego jaskrawymi promieniami słońca wpadającymi przez okna. Lśniące ściany i umieszczone za szkłem liczne obrazy dodatkowo odbijały światło. Na środku pokoju znajdował się długi, prosty stół, na którym ustawiono dziesiątki kwiatów w wazonach i doniczkach. Z zamocowanych pod sufitem drucianych koszyków spływały ciężkie kaskady zieleni.

Człowiek siedzący na łóżku w końcu pokoju uniósł ramię, przyzywając gości ku sobie. Po obu jego stronach także stały łóżka, zajęte przez czytających, śpiących lub leżących z otwartymi oczami mężczyzn. Jeden z nich rozglądał się uważnie po pokoju, jakby widział go po raz pierwszy. W pobliżu, na krześle siedział inny człowiek, ubrany w białe spodnie oraz trykotową koszulkę, i równie uważnie wpatrywał się w swego towarzysza. Jeszcze inny, wyróżniający się szarą czaszką porośniętą nieregularnymi kępkami siwych włosów, wstał z podokiennej ławki i odszedł na bok, zerkając kątem oka na przybyszów.

Człowiek, który przysparzał wojsku tylu kłopotów, sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z sytuacji, w jakiej się znalazł. Leżał wygodnie pośród poduszek, otoczony różnymi luksusami: były tam magazyny ilustrowane, powieści w miękkich okładkach z wizerunkami dorodnych dziewcząt drżących ze strachu lub uśmiechniętych szyderczo, dzieło o grze w pokera, które w konfrontacji z innymi wydawnictwami sprawiało poważne wrażenie, kilka gazet, złożonych tak, że widać było nie rozwiązane do końca krzyżówki, blaszany dzbanek ze zmętniałą szarą ciecżą, paczki francuskich papierosów i otwarta bombonierka. Kapitan Hunter, szczupły, blady, dwudziestoosmioletni mężczyzna z cienkim czarnym wąsikiem, uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

- Cześć, chłopcy - powiedział i podsunął im papierosy, którymi poczęstowali się Ayscue i Churchill. - Niestety, nie mam zapalek. Nie pozwalają na to, bo jeszcze moglibyśmy spalić im tę budę. Zresztą, trudno im się dziwić. O, dziękuję, James. Masz dla mnie paczkę? Co w niej jest?

- Placek - powiedział Ayscue. - Ale nie jedz go teraz.

- Mój drogi Willie, nawet gdybym chciał, to bym nie mógł. Nie mam czym go pokroić, noży też nie wolno tu trzymać. Ale o szóstej przychodzi taki miły pielęgniarz i może pożyczę coś od niego.

- Tylko nie zabieraj się do krojenia w jego obecności.

- Co...? Czyżbyście ukryli w nim pilnik i drabinę sznurową?

- Niezupełnie. - W głosie Naidu zabrzmiała dezaprobata. - Inny środek ucieczki.

- Chyba nie...

- Owszem - powiedział Churchill. - Trzy butelki White Horse'a. Kapral Beavis upiekł to w kuchni kasyna. Niestety, więcej się nie zmieściło.

- Wystarczy, jak dla kogoś w mojej obecnej formie. Tysiąckrotne dzięki.

- A w jakiej formie jesteś, Max? - spytał Ayscue.

- Och, wspanialej. Doktor Best jest mną zachwycony. Twierdzi, że udało mu się wytłumaczyć mi, dlaczego popadłem w takie tarapaty, i że w związku z tym już nie będę miał więcej kłopotów. W przyszłą środę wypuszcza mnie na okres próbny.

Churchill zapytał nieśmiało:

- Czym on tłumaczy twoje problemy? O ile oczywiście masz ochotę o tym rozmawiać.

- Nie mam zielonego pojęcia, mój drogi. Cytuję tylko słowa doktora. Zresztą, rozmowa z nim polega głównie na słuchaniu jego monologu. Widocznie porobiło mu się to od ciągłego zadawania pytań. Ale pozwalam mu się wygadać.

- Trudno ci będzie zerwać z nałogiem - powiedział Naidu. - Ale możesz na nas liczyć, jeśli chodzi o moralne poparcie.

- Moti, co ty wygadujesz? Nikt nie mówi o zrywaniu z nałogiem. Każdy dureń to potrafi. Mam zamiar zabrać się do czegoś znacznie bardziej interesującego. Chcę przerzucić się z alkoholizmu na bardzo intensywne picie. A skoro o picciu mowa, to będę musiał uważać na tę whisky. Jeśli wypiję za dużo naraz, to zacznę udawać trzeźwego, co może wydać się podejrzane. Widzicie, od tych pigułek, które tu dają, po pewnym czasie człowiek nieustannie zachowuje się jak pijany. W ten sposób mogą poznać, kiedy poprawia się stan pacjenta.

- Nie zachowujesz się jak pijany - powiedział Churchill.

- Pochlebiam sobie, że zawsze miałem mocną głowę.

- Nie na wiele ci się zdała tamtego wieczoru, kiedy cię tu przywieźliśmy.

- Żaden, dżentelmen nie potrafi i nie powinien zachowywać się bez przerwy po dżentelmeńsku. Choć niektórzy nazbyt często zapominają o dobrych manierach. Widzicie tego siwego dziadka przy drzwiach? W zeszłą sobotę wypuścili go na próbę na tydzień. We wtorek rano, skoro świt przywieźli go z powrotem, zalanego w sztok. Przywiozła go zapłakana żona w asyście małego pododdziału policji. Słowo wam daję, nie widziałem nigdy większej rozróby. Takie przekleństwa słyszałem ostatnio na popijawie w kasynie podoficerskim. Dziś przy obiedzie facet wypadł z łóżka. Nieźle, co? Wyobraźcie sobie tylko, jak musiał ciągnąć tę wódkę, że nie wytrzeźwiał przez cztery i pół dnia. A miał tylko dwa i pół dnia na tankowanie. Wiecie, że nie daje mi to spokoju? Jest to bezczelne naruszenie jakiegoś bardzo ważnego prawa natury. Aha, gdybyście nie zdążyli upiec drugiego placka, powiedzmy, do poniedziałku, to czy

moglibyście przysłać mi chociaż jakąś książkę o alkoholu, z przepisami na koktajle i tak dalej? Pornografia może doskonale zaspokoić popyt na prawdziwy towar. Wszyscy tak uważają.

- Lepiej uważaj z pustymi butelkami - powiedział Ayscue.

- O, to drobiazg. Wyrzucę je przez okno w ubikacji. W krzakach pod nim usypany jest cały kurhan potłuczonych butelek. Odkryłem go przypadkiem, kiedy w czasie spaceru po terenach rekreacyjnych nie mając ochoty na szybki powrót tutaj, chciałem wysiusiać się na dworze. Odkryłem też coś innego. Na krótkim odcinku, około pięćdziesięciu metrów, natknąłem się na co najmniej trzy słodko gruchające parki, a wcale ich nie szukałem. Wprost przeciwnie. Dosłownie, próbowałem przekradać się na paluszkach. Mam wrażenie, że przez cały czas nikt nie robi tu nic innego. Zresztą, czego można się spodziewać w takim miejscu?

Churchill zgasił papierosa.

- Chyba nie wszyscy się tym trudnią?

- Mówiłem obrazowo. Nie, nie wszyscy. Katatonicy nie są tym zbytnio zainteresowani, a oddział geriatryczny stanowi wzór cnoty. Parę dni temu doktor Best zabrał mnie tam na wycieczkę. Nie świadczy to wcale o jego wyjątkowej perfidii. To był standardowy obchód stanowiący część kuracji. Miałem nadzieję, że skorzysta z okazji i wygłosi mały wykład o niebezpieczeństwach samogwałtu, ale tym razem wystarczyła wymowa faktów.

Hunter mówił dalej, gdyż żaden z jego gości nie odezwał się:

- Nasz stary kumpel Brian Leonard odwiedził mnie parę dni temu. Tak naprawdę przyszedł skontrolować Fawkesa, jak powiedział, ale skoro już tu był, to przeszedł te kilka kroków do mojego łóżka. Powiedział mi, że sytuacja nie bardzo mu się podoba. Pewnie sądzi, że powierzenie alkoholikowi odpowiedzialności za administrację jednostki szkoleniowej zajmującej się tajną bronią stanowi jakieś zagrożenie bezpieczeństwa. Zrobiłem, co mogłem, żeby odzyskał swą pewność siebie. Powiedziałem mu, że jeśli najgorszym zagrożeniem tego rodzaju ma być jakiś przypadkowy pijak, to może spać spokojnie. Przyznał mi rację i dodał jeszcze, że teraz już jest pewien, iż wiem tak niewiele, że nie stanowią zagrożenia.

Naidu przemógł poczucie niepewności, które towarzyszyło mu w ciągu kilku minionych chwil.

- W takim razie - powiedział oskarżycielskim tonem - w jaki sposób druh Leonard uzasadnia ten groteskowy rytuał przy drzwiach z nieszczęsnym kapralem Fawkesem w roli anioła-protokolanta?

Hunter zaśmiał się bezgłośnie.

- Rozmawialiśmy i o tym. To była prawdziwa męska rozmowa. Nigdy jeszcze nie słyszałem tak szczerych słów padających z jego ust. Powiedział, że w takich przypadkach



należy trzymać się przepisów. Nigdy nie wiadomo, kiedy jego szef z Whitehall zechce sprawdzić, co zrobiono, aby unieszkodliwić tego pijaka z administracji, to znaczy powstrzymać go od paplania. Z tego powodu obecność Fawkesa jest uzasadniona i robi dobre wrażenie. Spytałem go, czy w takim razie jeszcze lepiej nie prezentowałby się wartownik w bojowym kombinezonie antyradiacyjnym, ale on stwierdził, że żartuję, poklepał mnie po plecach, i przez chwilę zrywaliśmy boki ze śmiechu. Wiecie, pewnego dnia będę musiał zapoznać Briana z doktorem Bestem. Polubią się od razu.

- Czy Leonard mówił coś o tych swoich szpiegach? - spytał Naidu.

- Tylko tyle, że nabrał solidnego przekonania, iż w jednostce znajduje się co najmniej jeden szpieg. Szczerze mówiąc, powiedział, że ma na to teraz dowody nie do obalenia, choć nie mówił jakie. Nadal jednak nie ma pojęcia kto może być owym szpiegiem, wie tylko, że można już wykluczyć ludzi z grupy bezpieczeństwa najwyższego stopnia oraz mnie, pułkownika i ciebie, Willie. Odrzekłem, że dowody działalności szpiega powinny także rzucić sporo światła na jego tożsamość, chyba że są to jakieś bardzo dziwne dowody. Wtedy on zrobił się bardzo ironiczny oraz tajemniczy i powiedział, że owszem, to dziwne dowody.

- Rzeczywiście, szczerza męska rozmowa. - Naidu stał z rękoma założonymi na plecach, rozmyślając nad czymś. - Czy wymienił jakieś konkretne nazwiska podejrzanych?

- Raczej nie. Ze względu na obecność tych wszystkich Hindusów i Pakistańczyków w jednostce jego zadanie jest bardzo skomplikowane. Powtarzam tylko jego słowa, Moti. Ma świadomość, że muszą tu być, ale nie ufa zbyt skuteczności kontroli przeprowadzanej przez ich rządy. Jego szef z Whitehall będzie musiał porozmawiać z kimś o tym.

Po chwili namysłu Naidu zauważył:

- Zadziwia mnie jego gotowość do dyskusji na ten temat, nawet jeśli nie zdradza on zbyt wiele z tego, co wie. Ciekawe, dlaczego. Wydawałoby się, że aby złapać szpiega, przede wszystkim należy uśpić jego podejrzenia i nie ujawniać faktu, że wie się o jego istnieniu.

- Dokładnie o to go spytałem. Wygląda na to, że filozofia filaktologii, czyli łapania szpiegów, uległa znacznej ewolucji. Trzymanie buzi na kłódkę aż do chwili samego aresztowania wyszło już z mody. Teraz chodzimy i mówimy, że lada chwila dostaniemy ptaszka, i czekamy, aż któryś z podejrzanych spiętrą się i zaczną zdradzać dziwnym zachowaniem. Nowa metoda jest skuteczniejsza, chyba że mamy do czynienia z bardzo odważnymi szpiegami, a dane statystyczne wskazują, że tylko około dziewięciu procent szpiegów grzeszy tą cechą. Zresztą, dosyć już spraw bezpieczeństwa. To temat dla głupców i wariatów, jak można wnioskować z mojej rozmowy z Brianem Leonardem. Ale, jak wszystko inne, i ta sytuacja ma swoje dobre strony. Paru kumpli Fawkesa odwiedza go tutaj, kiedy nie

mają służby, a przy okazji wpadają też do mnie. Dziś rano pojawił się tu niejaki szeregowy sygnalista Pearce, który pracuje w centrali telefonicznej w obozie; przez ponad pół godziny rozmawialiśmy sobie o jazzie i muzyce rozrywkowej. Bardzo miły chłopak. Przypomina mi to jedyny naprawdę ciekawy wniosek doktora Besta dotyczący moich kłopotów. Jego zdaniem przejawiam stłumione skłonności homoseksualne.

Wszyscy czterej mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

\*

- Przejdźmy teraz do tych pani tłumionych skłonności lesbijskich - powiedział z uśmiechem doktor Best. - Jeśli pani pozwoli, chciałbym zająć się tą sprawą nieco dokładniej niż w zeszłym tygodniu. Czy zgadza się pani?

- Tak - odpowiedziała Catharine. - Jeśli pan chce.

- Pani Casement, nie chodzi o to, czego ja chcę, ale o to, czego pani chce. A pytam, czy zależy pani na tym, bo jak już ostrzegałem panią kilkakrotnie, za każdym razem, gdy zagłębiamy się w jakiś problem, znajdujemy w nim coś raczej nieprzyjemnego. Rozumie pani? Coś bardzo niemiłego, bo gdyby było inaczej, nie chowałoby się to przed nami tak głęboko.

- Proszę kontynuować terapię, doktorze. Parę szoków mniej czy więcej, cóż to zmienia?

Doktor Best zachichotał i z podziwem pokręcił głową.

- Pani Casement, jest pani niepoprawna. Kiedy po raz pierwszy była pani w stanie porozmawiać ze mną sensownie, tuż po gwiazdce, sformułowała pani dokładnie tę samą myśl, a ja powiedziałem pani wtedy to, co jak widzę, muszę teraz powtórzyć, że zwykle nieprzyjemne przeżycie, choćby nawet najbardziej przygnębiające, nie stanowi jeszcze szoku w naukowym, psychoanalitycznym znaczeniu. Opowiem teraz pani dwie typowe historie, obie związane z pacjentami, których leczyłem w ciągu minionego roku, i mam nadzieję, że pomoże to pani zrozumieć tę różnicę.

Lekarz przybrał jeszcze bardziej niedbałą pozę, choć wydawało się to niemożliwe, zważywszy na sposób, w jaki siedział dotychczas, i mówił dalej z nutką pewnej nostalgii w głosie:

- Dziesięcioletnia dziewczynka wraca przez park ze szkoły do domu. Jest zimowy wieczór, zapada zmrok, ale nie jest jeszcze ciemno, park ma zaledwie kilkaset metrów szerokości i o tej porze zazwyczaj są w nim jeszcze spacerowicze, choć niestety nie tego wieczora. Na dziewczynkę napada mężczyzna, który zaciąga ją w krzaki i bardzo brutalnie gwałci. Po jakimś czasie dziewczynka dociera do domu i oczywiście trafia do szpitala. Dziś normalnie ogląda ona telewizję i słucha płyt, jak przedtem. Nawet jej oceny w szkole nie

pogorszyły się. Oczywiście, wystąpiły pewne ginekologiczne powikłania, które mogą zakłócić funkcjonowanie jajników, ale nie stwierdzamy żadnych negatywnych skutków emocjonalnych czy umysłowych tego incydentu. Jak pani widzi, dla niej ta przygoda stanowiła nieprzyjemne przeżycie. W drugim przypadku mamy, niestety, do czynienia z zupełnie inną sytuacją. Oto młody, dwudziestopięcioletni człowiek... W tym miejscu muszę wygłosić pewną dość ważną dygresję. Powiedziałem „młody, dwudziestopięcioletni człowiek”, bo tak zazwyczaj określa się osobę w tym wieku. Ale z psychoanalitycznego punktu widzenia człowiek ten nie jest już młody. Pani Casement, to coś więcej niż techniczne szczegóły. Wiadomo doskonale, że osoby psychoanalitycznie młode posiadają znacznie większe zdolności tłumienia skutków zarówno nieprzyjemnych przeżyć, tak było w przypadku tej dziewczynki, jak i szoków niż osoby, powiedzmy, psychoanalitycznie niemłode. A pani należy do tej drugiej grupy. Zresztą ma pani trzydzieści dwa lata i trudno nazwać panią młodą w jakimkolwiek sensie. Wspominam o tej różnicy po to, aby lepiej mogła pani uświadomić sobie niebezpieczeństwa związane z zagłębianiem się w pewne sprawy. Ale powróćmy do naszej historii. Nasz młody człowiek, czy też nasz człowiek, pewnego wieczora był w kinie i oto mężczyzna siedzący w sąsiednim fotelu dotknął go w jednoznacznie zalotny sposób. Zapewne nie było to nic poważnego. Powiedzmy, że położył dłoń na jego kolanie czy udzie. Jakikolwiek kontakt genitalny, nawet poprzez ubranie, możemy wykluczyć. Ale nie całkowicie, gdyż ów młody człowiek przeszedł najpierw przez krótki okres nasilonego obłędu, a obecnie znajduje się w stanie głębokiej, być może nieodwracalnej retrakcji depresywnej. Widzi pani, doznał on szoku, bez wątpienia wywołanego uświadomieniem sobie, iż coś głęboko skrytego w jego umyśle zareagowało pozytywnie na owe zaloty. Nagle zdał sobie sprawę z własnych homoseksualnych skłonności i to trwale zakłóciło jego równowagę psychiczną. Tak oto, pani Casement, powracamy do punktu, z którego wyszliśmy przed pięcioma minutami.

Już od chwili, gdy Catharine zorientowała się, co stanie się z bohaterką pierwszej historii opowiedanej przez doktora Besta, próbowała go nie słuchać, ale musiała nadal patrzeć na niego, ponieważ za każdym razem, gdy pacjent odwracał wzrok, lekarz przestawał mówić, czekał, aż ten znów zacznie na niego patrzeć, po czym wracał do początku swego przedostatniego zdania. Patrząc na niego, trudniej było go nie słuchać. Dopiero kiedy powiedział, co stało się w parku, Catharine mogła pozbawić jego słowa znaczenia i słyszeć je jako serie cichych krzyków i jęków przedzielanych sapnięciami i mlaśnięciami.

Aby pozostać w tym trybie przestrzegania, musiała w podobny sposób pozbawić znaczenia rysy twarzy lekarza. Z początku wydawała jej się ona bardziej wyrazista od innych twarzy: lśniąca, różowa łysina z kępkami gęstych, kędzierzawych włosów nad uszami; duże,

błyszczące niebieskie oczy; nos, którego nozdrza wyglądały na zbyt małe; pasemko popękanych żyłek na każdym policzku; wargi, z których górna na pozór była nieruchoma; rząd dolnych zębów, wąskich i pociemniałych na brzegach. Jednak gdy bardziej się skoncentrowała, wszystko to zaczęło być tylko kształtami i kolorami, częściowo ruchomymi, częściowo nie, tak ważnymi lub tak nieważnymi jak biel, jasna zieleń, linie i załamania papierów na jego biurku; ciemna zieleń, owale i róż kwiatów; prostokąty, granat i purpura na ścianach; jak najpiękniejsze - wszechobecne pasma światła i cienia. Kiedy pół roku temu stwierdziła, że w swoim życiu nie ma niczego, co by jej się podobało, bardzo szybko nauczyła się oglądać świat w ten sposób.

Z początku bardzo jej to przypadło do gustu - albo wszystko, co widziała i słyszała, było jednakowo ważne, albo też otaczały ją jedynie rzeczy nieistotne. Ale ledwo opanowała tę metodę i nauczyła się ją stosować, pojawiły się kłopoty z określaniem wielkości przedmiotów i dzielących ją od nich odległości. W tym też mniej więcej czasie jej siostra i szwagier powierzyli ją opiece doktora Besta.

W tej chwili znów zaczęły się jej problemy. Twarz lekarza ma przecież normalne rozmiary i znajduje się w bezpiecznej odległości. Ale nagle rozděła się i jednocześnie cofnęła, a po chwili znalazła się, na pozór przynajmniej, wiele metrów dalej, jak góra na horyzoncie, jak chmura na niebie. Potem w jednym okamgnieniu skurczem trudnym do uchwycenia, choć spodziewanym, twarz zmniejszyła się i zawisła tuż przed nią, przybierając wielkość monety trzymanej na wyciągniętej dłoni, główki od szpilki znajdującej się tak blisko oczu, że mrugając powiekami mogłaby ją musnąć rzęsami.

Prawie wcale nie czując strachu, Catharine uświadomiła sobie, że patrzy na głowę doktora Besta wieńczącą jego ciało, które spoczywa za biurkiem w gabinecie, otoczone papierami, kwiatami, książkami, oświetlone promieniami słońca padającymi przez żaluzje na ściany, podłogę oraz meble. I po kilku zaledwie sekundach wszystko powróciło do normalnego stanu. Teraz Catharine poczuła, że i ona wraca do równowagi.

W tym właśnie momencie lekarz przestał mówić. Pacjentka nabrała takiej odwagi, iż uśmiechnęła się do niego i od niechcienia zapytała:

- Co się stało z tym mężczyzną? Czy złapano go?
- Z jakim mężczyzną?
- Z tym z parku. Z tym, który zgwałcił dziewczynkę.

Lekarz mlasnął językiem i wysunął dolną wargę.

- Nie wiem, nie obchodzi mnie to. Naprawdę, pani Casement, usilnie proszę, żeby nie identyfikowała się pani w ten sposób z innymi ofiarami. To dziecinne. Dziecinne nie tylko w semantycznym, ale i w psychoanalitycznym znaczeniu tego słowa.

- Chciałam tylko zapytać. Nie identyfikuję się z nikim. Nikt mnie nie zgwałcił.

- Nie, nie, nie, chodzi o to, że... Ale dajmy już temu spokój. Dostyc już czasu zmarnowaliśmy. A więc, czy przyznaje pani, że ostrzegałem, iż badanie pani skłonności lesbijskich może przyprawić panią o szok?

- Jeśli potrzebne panu pisemne oświadczenie, podpiszę je.

- To zbędne. Wystarczy pani ustna zgoda. Świetnie. Czy zdaje pani sobie sprawę, że jeśli nie będzie pani odpowiadać na moje pytania szczerze, uczciwie, wyczerpująco i w dobrej wierze, to nasza rozmowa w ogóle nie ma sensu?

- Tak, oczywiście.

- Dobrze. A więc, przypomnijmy sobie to, co powiedziała pani ostatnio... Nigdy nie uczestniczyła pani w poczynaniach z udziałem innej osoby tej samej płci mających otwarcie seksualny charakter, nigdy nawet nie objęła pani czule innej dziewczyny lub kobiety, nigdy nie próbowała pani seksualnie prowokować innych kobiet ani one pani, nigdy nie doświadczyła pani jakichkolwiek romantycznych uczuć wobec innej kobiety. Czy zgadza się pani z tym?

- Czy się zgadzam? Oczywiście, że się zgadzam. Przecież sama to powiedziałam, prawda?

- To tylko na wypadek, gdyby chciała pani dodać coś jeszcze na ten temat. Interesuje mnie zwłaszcza pani przyjaźń z tą... lady Hazell. Czy zechciałaby pani opowiedzieć mi o niej?

- Zwyczajna przyjaźń, doktorze. Wie pan, że to się zdarza. Lucy jest wdową, bardzo bogatą, poznałam ją przez mojego pierwszego męża. Kiedy opuściłam drugiego męża, Lucy powiedziała, że mogę przyjechać i zamieszkać u niej, dopóki nie dojdę do ładu ze sobą. Tylko że, jak pan wie, nie odzyskałam psychicznej równowagi. Ale chyba opowiadałam już panu o tym, kiedy byłam tu po raz pierwszy.

- Nieco innymi słowami. Proszę mówić dalej.

- Cóż, to już wszystko. Lucy jest dla mnie bardzo dobra, jej obecność poprawia mi nastrój i lubię ją.

- A co ona myśli o pani?

- Nie wiem. Chyba mnie żałuje. I pewnie mnie też lubi.

- Czy okazuje... fizyczną czułość, czy obejmuje panią, tuli i tak dalej? Czy na przykład tańczy z panią?

Catharine zaśmiała się serdecznie.

- Czy tańczy ze mną? Nie. Nigdy. Jeśli chce zatańczyć, to zawsze ma w pobliżu pod dostatkiem chętnych mężczyzn.

- Do takiego też wniosku doszedłem - powiedział lekarz, syknąwszy cicho. - Och, tak, przyszła do mnie, kiedy odwiedziła panią w zeszłym tygodniu. Dodajmy, że nie była to umówiona wizyta. Szczerze mówiąc, nawet nie zastukała. Na szczęście akurat nie byłem zajęty. Powiedziała, że nie stosuję wobec pani odpowiedniej terapii, i zachowywała się dość arogancko.

- Przepraszam, doktorze Best. Nie wiedziałam, że tak będzie.

Lekarz parsknął krótkim śmiechem, chcąc zapewne okazać, że najście lady Hazell nie zrobiło na nim większego wrażenia.

- Tak. Prowadzi ona coś w rodzaju domu otwartego dla młodych mężczyzn, prawda? Dla oficerów z obozu i tak dalej. Przyjęcia o każdej porze dnia i nocy.

- Owszem, wydaje przyjęcia.

- To raczej dziwne miejsce dla kobiety znajdującej się w stanie załamania nerwowego. Czy mieszkając u niej, uczestniczyła pani w tych przyjęciach?

- Czasami roznosiłam napoje.

Nagle doktor Best powiedział:

- Pod względem fizycznym to bardzo atrakcyjna osoba, nie sądzi pani?

- Tak, niewątpliwie. Ale gdyby chciał pan spytać, czy kiedykolwiek pragnęłam iść z nią do łóżka, to odpowiem, że nie.

- Mieszkając z nią, na pewno często widywała ją pani naga lub półnaga, w łazience, w sypialni i tak dalej. Czy przy takich okazjach czuła pani podniecenie seksualne?

- Nie.

- Czy doznawała pani stwardnienia sutków lub jakichkolwiek wrażeń erotycznych?

- O Boże, nie. Powiedziałam już panu, że nawet w kontaktach z mężczyznami niewiele czuję.

- O tym porozmawiamy później. Tymczasem, pani Casement, muszę stwierdzić, że uderza mnie wyjątkowa gwałtowność, z jaką pani zaprzecza. Przesadne reakcje na takie pytania zawsze wskazują na fakt, że pacjent ukrywa odwrotne uczucia. Tak więc, proszę się dobrze zastanowić. Twierdzi pani, że nigdy nie czuła żadnego pociągu seksualnego do lady Hazell ani do innych dziewcząt czy kobiet. Czy to prawda?

- Tak - powiedziała Catharine spokojnym tonem.

W tym momencie zachowanie doktora Besta straciło zupełnie pozory jowialności, która zresztą zaczęła się ulatniać już w chwili, gdy skończył opowiadać swe historyjki. Nasunął dolną wargę na górną i odciągnął ją z plaśnięciem.

- Widocznie pani tendencje ukryte są głębiej niż myślałem. Spróbujmy dotrzeć do nich z innej strony.

- Czy mogę o coś spytać?

Wciągnął powietrze przez nos i wzruszył ramionami.

- Jeśli pani chce.

- Oczywiście nie znam się na tym, ale skoro nigdy nie czułam pociągu do dziewcząt, czy nie może to po prostu oznaczać, że one mnie nie pociągają? Nie rozumiem, dlaczego...

W zachowaniu lekarza znów pojawiła się dobra wola.

- Jak sama pani mówi, nie zna się pani na tym. To normalne. Lecz w tej sprawie nie ma żadnych tajemnic. Proszę mi powiedzieć, co pani zdaniem stanowi przyczynę pani ciągłych... powiedzmy, niepowodzeń w kontaktach z mężczyznami?

- Cóż, częściowo chyba pech.

- Niestety, w tej dziedzinie nauki pojęcie „pech” nie jest stosowane. Co jeszcze?

- Powiedziałam już panu, że czasami trochę się ich boję. Proszę pamiętać, że pewien mężczyzna groził mi kiedyś nożem.

- Tak, ma pani rację, to ważny fakt, choć jego rzeczywiste znaczenie różni się nieco od tego, które pani mu przypisuje. Czy zgodzi się pani, że grożenie komuś ostrym narzędziem to przejaw agresji? Tak, a więc, jaka jest najbardziej prawdopodobna zewnętrzna przyczyna agresji, umiejscowiona nie wewnątrz agresywnego osobnika, ale poza nim?

- Coś, co mu się nie podoba?

- Niezupełnie. Coś, czemu on się nie podoba. Cudza agresja. Rozumie pani?

Catharine zastanowiła się.

- To znaczy, że on mi się nie podobał? Ale przez cały czas miałam wrażenie, że go lubię. Chciałam...

- W ten sposób myślała pani świadomie, pani Casement. Widzi pani, te rzeczy są ukryte bardzo głęboko. Proszę tylko zastanowić się nad swoimi doświadczeniami seksualnymi. W ciągu minionych miesięcy zapełniłem notatkami na ten temat około trzydziestu stron. A jaki można z nich wyciągnąć wniosek? - Lekarz podniósł leżącą przed nim tekturową teczkę i rzucił ją z powrotem na biurko, po czym powoli złożył dłonie i opuścił je na swe skrzyżowane nogi. - Dość oczywisty. Dwa nieudane małżeństwa, dziesiątki romansów, poczynając od niezwykle wczesnego...

- W większości nie można ich nazwać romansami, były zbyt przelotne. Kiedy zaczynała się znajomość, zawsze chciałam, żeby trwała długo, ale coś nie wychodziło i wkrótce wszystko się kończyło.

- Zaś powodem tego była pani ukryta... nieświadoma... agresywność... wobec... mężczyzn. Och, to często występujące zjawisko. Pani objawia podświadomą wrogość, mężczyzna podświadomie ją wyczuwa i zaczyna bezpośrednio na nią reagować, pani wycofuje się, a on na pani ucieczkę odpowiada jeszcze większą agresją, co zgodne jest ze schematem ucieczki, i tak dalej. W związku z czym pani ukryta wrogość dodatkowo wzrasta i oto po raz kolejny doznaje pani zawodu. Opisano to już bardzo dawno temu. Zapewne ma to związek z pani stosunkiem do ojca...

- Kochałam mojego ojca.

- Nie wątpię, nie wątpię. Nie należę do wielbicieli Freuda, a więc możemy pominąć ten aspekt problemu. Nie interesują mnie paramistyczne źródła choroby umysłowej. Jestem lekarzem, a nie teologiem. - Doktor Best przesunął językiem w prawo i w lewo po wewnętrznej stronie dolnej wargi. - W każdym razie, jeśli jeszcze pani nie przekonałam, chciałbym zwrócić pani uwagę na typ fizyczny, który pani reprezentuje. Na pani sylwetkę, pani Casement. Czy zechciałaby pani wstać na chwilę? Dziękuję. O, tak. O, tak, wszystko się zgadza. Wysoka... ramiona dość szerokie... piersi drobne... biodra raczej wąskie... nogi długie. Proszę się odwrócić. Właśnie. Może już pani usiąść. Typowe cechy półobojnacze. Należy pani do...

- Wiem, półmężczyzna, półkobieta, tak? Cóż, jeśli sądzi pan, że nie jestem prawdziwą kobietą, to się pan myli. Wszyscy moi mężczyźni, wszyscy mężczyźni, z którymi miałam do czynienia, uskarżali się zawsze na coś wręcz przeciwnego. Czego bym nie zrobiła, twierdzili, że zachowuję się w sposób typowo kobiecy. Cholerna kobieta. Opanuj się i przestań postępować jak cholerna kobieta. I nie mogli też niczego narzucić mojej sylwetce. Kiedy tylko nie byli na mnie wściekli, zawsze zachwycali się moją figurą, i to wszyscy. Moją twarzą również. Jeśli pana zdaniem mam męską twarz, to mogę tylko powiedzieć, że widuje pan bardzo dziwnych mężczyzn.

- Och, rzeczywiście, pani Casement, widywałem bardzo dziwnych mężczyzn. - Doktor Best był wprost wniebowzięty. - Bardzo dziwnych. Również takich, którzy nie zdawali sobie sprawy ze swojego stanu, dopóki nie zwróciłem im na to uwagi. Choćby wczoraj, rozmawiałem z pewnym młodym człowiekiem, którego leczymy z alkoholizmu, z pewnym oficerem z obozu. Wykształcony, bardzo inteligentny, można by powiedzieć światowy, obyty. A jednak, kiedy wspominałem o rzeczy oczywistej, że zapija się na śmierć po to, by ukryć przed samym sobą swe podświadome skłonności homoseksualne, to oświadczył mi, niewątpliwie szczerze, że nigdy nie przyszło mu to do głowy. Chodziło mu oczywiście o uczucia świadome. W jego przypadku mamy też do czynienia z typowo męskim wyglądem, zachowaniem i tak dalej, które on naiwnie brał za dowody swego zasadniczego heteroseksualizmu. Niezwłocznie



udowodniłem mu błędność takich poglądów. Tak, tak, tak, pani Casement - mówił lekarz nagle rozdrażniony, tłumiąc zapewne negatywną reakcję swej głębokiej podświadomości - świat pełen jest mężczyzn, którzy znajdują się w takiej samej sytuacji jak pani. Moim zdaniem, właśnie takich mężczyzn pani przyciąga. Nienawiść wobec samych siebie, jaką wyzwała w nich podświadomość, doprowadza ich do tak agresywnej reakcji na pani własną wrogość. Trudno się dziwić, że skutki są opłakane dla obu stron. Tacy mężczyźni powinni uznać swą homoseksualną psychę i nauczyć się żyć z nią, co zresztą powiedziałem naszemu młodemu przyjacielowi.

Doktor Best zakończył swą przemowę energicznym skinieniem głowy i wziął w dłonie wazon pełen wonnych laków, których zapach wciągnął w nozdrza z wyraźnym świstem.

- Czy zaleca pan, abym zaczęła sypiać z kobietami? - zapytała Catharine.

- Droga pani Casement, z mojego punktu widzenia nie mogę ani niczego zalecać, ani niczego odradzać. Próbuję tylko tłumaczyć. A moje perswazje mają na celu uświadomienie pani, że wszystkie jej kłopoty są wywołane przez podświadomą predylekcję do osób tej samej płci. Innymi słowy, jest pani lesbijką.

To ostatnie zdanie wypowiedział z taką emfazą, iż Catharine rozpaczliwie spróbowała zareagować na nie stosownym do sytuacji oburzeniem lub choćby zainteresowaniem. Ale może zbyt wiele uwagi przywiązywała do ciągłych ostrzeżeń lekarza, aby nie odpowiadać w sposób, który jej zdaniem przypadnie mu do gustu. W każdym razie zdobyła się teraz jedynie na pytanie, które zadała tonem wyrażającym zainteresowanie:

- Czy naprawdę tak pan uważa?

Zdecydowanym, acz spokojnym gestem lekarz odstawił wazon z kwiatami. Staranniej niż poprzednio przesunął językiem wewnątrz ust.

- Chyba nie zdaje pani sobie sprawy z powagi sytuacji. Jest pani pacjentką w domu wariatów, ponieważ oszalała pani. Nigdy nie darzyłem sympatią sentymentalnych eufemizmów w rodzaju „szpital psychiatryczny”, „zaburzenia umysłowe” i tak dalej, i nie mam zamiaru polubić ich ze względu na panią. Stan pani charakteryzuje między innymi obawa przed uświadomieniem sobie natury własnych kłopotów, co jest dość zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę skutki, jakie taka świadomość może wywołać. Ale znacznie mniej... zrozumiały jest pani upór. To jakaś indywidualna usterka osobowości. Z własnej, nieprzymuszonej woli nie chce pani zaakceptować prawdy, owego szoku, który stanowi dla pani jedyną drogę do tak zwanego przewartościowania psychicznego i do odsłonięcia prawdziwej natury pani zaburzeń. Rzecz jasna, żadne moje zabiegi nie mogą pani do tego zmusić. A więc, dobrze. Zobaczymy,

jak poradzi pani sobie w środowisku nie tak przytulnym, ciepłym i bezpiecznym. Zbyt długo już chronięm panią przed rzeczywistością.

Sięgnął po blok różowego papieru i zaczął pisać na nim, poruszając głową.

- Co chce pan ze mną zrobić?

Skończywszy pisać, lekarz powiedział:

- Wypuszczę panią na okres próbny, pani Casement. Na razie na dwadzieścia osiem dni. Opuści pani ten zakład w przyszłą środę. Będzie pani miała trochę czasu na poczynienie niezbędnych przygotowań.

Wreszcie udało mu się wytrącić ją z równowagi. Catharine mimowolnie przypomniała sobie, jak wygląda życie na zewnątrz: dworce kolejowe, alkohol, zakupy, śmiech, samochody, telefony, mężczyźni. Wtuliła dłonie między kolana.

- Gdzie będę mieszkać? Co mam tam robić?

- Pani pokój w domu lady Hazell czeka na panią, kiedy tylko zechce pani udać się tam. Lady Hazell sama mi o tym powiedziała, i to z wielką emfazą. Jak mi wiadomo, nie uskarża się pani na brak pieniędzy. A więc nie przewiduję żadnych trudności.

Doktor Best nacisnął przycisk dzwonka na biurku, uśmiechnął się z roztargnieniem i dodał:

- Powraca pani do punktu wyjścia. Wyniki tego małego eksperymentu powinny być interesujące. I dla mnie, i dla pani.

\*

- Dzisiaj, Maxie, wyjątkowo dostaniesz zastrzyk w ramię - powiedział pielęgniarz. - Ze względu na obecność panów.

- Chyba już sobie pójdziemy - powiedział Ayscue.

- To najważniejsze wydarzenie popołudnia - rzekł Hunter, rozpinając bluzę pizamy. - Gdybyście teraz poszli, świadczyliby to o waszej bezduszości. - Dwukrotnie przełknął szybko ślinę i oblizał wargi.

Nie uszło to uwagi Churchilla, który również zaczął zbierać się do wyjścia. Miał wrażenie, iż na bladej twarzy Huntera pojawiło się kilka jeszcze bledszych plam.

- Popatrzmy, może dzięki temu wypijemy wieczorem trochę mniej ginu. Co to takiego?

- Zastrzyczki multiwitaminowe - odpowiedział pielęgniarz, muskularny mężczyzna po trzydziestce z twarzą ozdobioną jednym z najmniejszych nosów, jakie kiedykolwiek zdarzyło się Churchillowi oglądać. - Po jakimś czasie nasi spragnieni przyjaciele tracą apetyt na marchewkę i wątróbkę. Dzięki temu nasz Maxie będzie nie tylko grzeczny, ale i zdrowy.

Pielęgniarz postawił w nogach łóżka okrągłą metalową tacę. Wziął z niej małą szklaną ampułkę z wąską szyjką, którą odłamał narzędziem przypominającym szczypce. Potem starannie napełnił strzykawkę ciemnobursztynową cieczą z ampułki i ujął w palce wacik nasycony płynem odkażającym.

- Czy dajecie mu coś jeszcze? - spytał Churchill, chcąc tylko przerwać milczenie towarzyszące czynnościom pielęgniarza.

- Oczywiście, żołnierzu. - Pielęgniarz zaczął pocierać wacikiem skórę po wewnętrznej stronie przedramienia Huntera. - Są małe niebieskie fasolki, po których Maxie grzecznie lula, i małe pomarańczowe kuleczki, które pocieszają go, kiedy jest mu smutno. Gotowe. A teraz poleż sobie spokojnie, zgoda? Maxie się zrelaksuje. Dobrze...

- Te zastrzyki witaminowe zostawiają niewiarygodny posmak w gardle - powiedział Hunter, patrząc w ścianę za swymi gośćmi. - Chyba już nigdy nie będę mógł zajadać kleiku z takim apetytem. Choć od kleiku posmak wcale nie znika. Myślę, że może... pomogłoby kilka dobrych, solidnych kanapek ze szmerglem. Ale nie można ich tu dostać.

- Grzeczny z siebie chłopiec, Maxie. - Pielęgniarz lekko poklepał Huntera po czubku głowy. - Teraz nie grozi ci już kurza ślepotą. Przecież chciałbyś widzieć po ciemku, co? Wiecie, chłopcy, nie powinniście przejmować się za bardzo kłopotami swego kumpla. Nasz Maxie lubi po prostu zaglądać do butelki. To jeszcze nic w porównaniu z upodobaniami niektórych innych naszych klientów.

Pielęgniarz wziął papierosa ze stolika Huntera, zapalił go zapalniczką dobytą z kieszeni długiego białego kitla, wypluł okruch tytoniu i mówił dalej, gładząc czoło palcami dłoni, w której trzymał papierosa.

- Na przykład tamten facet. Ten, którego pilnuje mój kolega. - Choć pielęgniarz wcale nie ściszył głosu, mężczyzna, który uważnie rozglądał się po pokoju, kontynuował swoje zajęcie, nie zdradzając niczym, że go słyszy. - Zatwardziały typek. Wprost zakochany w wódzi. A powiem wam, że kuracja odruchami warunkowymi to nie żarty. Rzecz polega na tym, że na początek podaje się klientowi jakiś środek na wymioty. Kiedyś używano do tego strychniny, ale z czasem zauważono, że ma ona, hm, niepożądane skutki uboczne. Wiecie, jak na przykład śmierć. - Pielęgniarz zachichotał i uklonił się nisko jak aktor wywołany po przedstawieniu przed kurtynę. - Ale z tym nie mamy już problemów. Zresztą, wiecie, jak to się robi: szpikujemy faceta chlorowodorkiem emetyny i tak dalej, i czekamy, aż częstoskurcze, poty i zawroty głowy rozmiękczą go trochę. Potem przepisy nakazują podsunąć mu szklaneczkę whisky czy co tam lubi, na jakies pół minuty przed tym, zanim zacznie rzygać od emetyny. To prawdziwa sztuka. Jeśli robimy to umiejętnie, po pewnym czasie facet wymiotuje od samej

whisky. Tak było z naszym koleśm, a tylko jedną czwartą przypadków udaje się doprowadzić do tego stanu. I wtedy wielki biały wódz wypuszcza go na okres próbny. Wódz zawsze robi wszystko we właściwym momencie. Po dwóch tygodniach nasz przyjaciel znów jest u nas. Ostre wycieńczenie i niedożywienie. Dlaczego? Otóż koleś złopał whisky, po czym rzygał tak, że aż kiszki wywracały mu się na lewą stronę, po czym znów złopał. I tak w kółko. Rozumiecie. Oto piękny przykład prawdziwej miłości do wody. Jak już powiedziałem, nasz Maxie to jeszcze przedszkolak. No, muszę już iść. - Pielęgniarsz podniósł swoją tacę i filozoficznie pokręcił głową. - Och, mamy tu bardzo oryginalnych typków - dodał, jakby zamierzał opowiedzieć coś jeszcze.

- Nie chcielibyśmy pana zatrzymywać - powiedział Naidu.

- Nie ma mowy, generale. I wy też lepiej nie siedźcie za długo. Zawróćcie Maxie'emu w głowie i nie będzie mógł zasnąć w nocy. Wolimy nie podawać mu za dużo sodoamytolu. No, to na razie, wojacy. Bagnet na broń, otworzyć luki bombowe, co? Ach, ten bojowy duch.

Pielęgniarsz wyszedł sprężystym krokiem.

- Jeśli chcesz, to w tej chwili udam się do dyrektora tej instytucji i osobiście złożę zażalenie - powiedział Naidu. - Powiedz tylko słowo, Max.

- Och, Moti, co się stało z twoim poczuciem humoru? To naprawdę bardzo miły chłopak. Na swój sposób. Łagodny jak dziecko. Jak dziecko, któremu inne dziecko chce zabrać jego kolejkę. Nie, nie jest nawet taki zły.

- Czy to jego nazywasz „miłym pielęgniarszem”? - spytał Churchill. - Bo jeśli tak, to...

- Nie, „miły pielęgniarsz” jest naprawdę, niezaprzeczalnie miły. Mówi, że musi się mną zaopiekować. Obiecał, że w niedzielę będzie siedział koło mnie w autobusie podczas wycieczki do klasztoru Świętego Hieronima.

- I co będziecie tam robić? - Ayscue wyszczerzył zęby.

- Chyba popatrzymy trochę, a potem wrócimy. Przynajmniej odetchniemy świeżym powietrzem.

Po minucie trzej goście pożegnali się z Hunterem i ruszyli przez korytarz. Churchill miał zamyśloną minę. Zmartwionym głosem powiedział:

- Dlaczego takie rzeczy muszą się zdarzać? Człowiek taki jak Max w tak strasznej sytuacji. To niesprawiedliwe.

- To dla jego dobra - odparł Naidu. - To konieczne, James. Ten łajdak pielęgniarsz nie podobał mi się tak samo jak tobie, ale zaręczam ci, że jeśli zrobi coś naprawdę paskudnego, władze dowiedzą się o tym i podejmą odpowiednie kroki. Wiesz przecież. Bądź rozsądny.

- Staram się. Próbuję znaleźć w tym jakiś sens. Nie chodzi mi nawet o pielęgniarza. Nie czuję do niego sympatii, ale nie mam nic przeciwko jego istnieniu. Natomiast mam bardzo wiele przeciwko okolicznościom, w których człowiek taki jak Max może wyrządzić samemu sobie wiele złego. Zresztą, to dotyczy wszystkich, nie tylko Maxa.

Wyszli na słońce. Naidu powiedział z powagą:

- Człowiek posiada wolną wolę. Dostępne mu są wszelkie rzeczy będące wytworem naszego świata. Każdy może zrobić z nich taki użytek, jakiego pragnie. Wszyscy musimy zdawać sobie z tego sprawę. Istnieje w naszym świecie alkohol, a jeśli ktoś go nadużywa, sam za to odpowiada. Zrozumcie mnie dobrze, nie chcę bynajmniej potępiać naszego przyjaciela.

Omijając wzrokiem kamienną figurę stwora przypominającego lwa, obok której właśnie przechodzili, Churchill spojrział na Naidu. Na jego drobnej, ładnej twarzy o harmonijnym kształcie i zdrowej, brązowej cerze malowało się zmartwienie, ale i zadowolenie. Churchill niemal co dnia znajdował nowe powody, aby mu zazdrościć.

- Rozumiem to, Moti - powiedział. - Ale czy alkohol nie mógłby mieć wyłącznie dobrych skutków albo przynajmniej nie powodować tak strasznych cierpień jak te, których ofiarą padli ci nieszczęśnicy w szpitalu? Wiesz, mógłby być tak mało szkodliwy jak obżarstwo. Pijacy cierpieliby tylko na otyłość. A więc dlaczego musi to być takie złe?

- James, mój drogi, dlaczego jest na świecie arszenik i jadowite węże, i cholera, i dymienica morowa, i mnóstwo innych podobnych rzeczy? Hej, przecież ksiądz jest ekspertem w takich sprawach. Proszę mnie wesprzeć.

- Obawiam się, że nie potrafię w niczym pomóc - powiedział Ayscue. - Już nieraz dyskutowałem o tym z Jamesem. Tylko go denerwuję.

Churchill zarumienił się.

- Nie denerwujesz mnie, Willie, po prostu niepokoi mnie to, że człowiek tak inteligentny jak ty broni z góry przegranej sprawy.

- Nie zaczynajmy od nowa.

- Dobrze. Przepraszam.

Gdy zbliżali się do wieży ciśnień, drzwi pobliskiego budynku otworzyły się i w progu stanęły dwie kobiety, które spotkali wcześniej. Dla Churchilla był to wstrząs, jakby samolot znów zasłonił słońce. Uświadomił sobie, że od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał dziewczynę, co kilka minut powracał do niej myślami. Teraz zobaczył, że ona patrzy na niego i sam nie odrywał wzroku od jej postaci, dopóki nie odeszła. Natychmiast zawstydził się własnej głupoty i braku refleksu - powinien był uważniej przyjrzeć się dziewczynie. Była szczupła i wysoka, chyba garbiła się lekko, a jej włosy nie posiadały zdecydowanego odcienia. Nie zauważył

więcej, bo patrzył w jej oczy, a po kilku sekundach nie pamiętał nawet, jaki miały kolor. Był jednak przekonany, że jeśli kiedyś jeszcze się spotkają, to na pewno ją rozpozna.

Bez słowa obeszlili narożnik budynku i dotarli do swego samochodu, jednego z tych przestarzałych jeepów, które przydzielono jednostce wskutek jakichś machinacji kapitana Leonarda. Na karoserii wypisano żółtymi literami: *6 Bat. Adm. Kw. Gł.* co stanowiło skrót oficjalnej nazwy jednostki. Ayscue usiadł za kierownicą i ruszyli.

- Mimo wszystko to bardzo przyjemne miejsce. - Naidu spojrzął na porośnięte rododendronami i azaliami trawiaste pagórki, pomiędzy którymi wiodła droga. - Przypomina tradycyjną, angielską wiejską rezydencję, nie sądzicie?

- Kiedyś był to zwykły dworek - powiedział Ayscue. - Czytałem ich informator. Otóż facet, który był tu dziedzicem w czasach wiktoriańskich, okazał się także pionierem badań chorób umysłowych. Założył tu coś w rodzaju kliniki, jednej z pierwszych na świecie. Potem któryś z jego potomków przekazał ją fundacji, pod nadzorem której pozostaje ona do dziś.

- Zauważyłem, że od tych czasów przybyło sporo nowych budynków, ale zachowano ten czarujący staroświecki styl.

Siedzący z tyłu Churchill nie zwracał uwagi na rozmowę kolegów. Próbował przekonać samego siebie, że nie mógł w żaden sposób nawiązać znajomości z dziewczyną. Nawet gdyby odważył się zostawić towarzyszy i pójść w ślad za nią, to prawdopodobnie nie dowiedziałby się niczego, nawet jej nazwiska. A i samo nazwisko nie na wiele by mu się przydało - tyle że lepiej by się czuł, gdyby je znał. Dlaczego nie pobiegł za nią, dlaczego nie udawał, że ją zna? Och, zresztą już się stało, a właściwie nic się nie stało.

Przy bramie odźwierny, potężny mężczyzna w niebieskim garniturze, zerknął na nich przez okienko stróżówki i niecierpliwym ruchem ręki nakazał jechać dalej.

- Lekceważąco traktuje się tu przepisy bezpieczeństwa - spostrzegł Naidu. - Skąd ten zuch może wiedzieć, że nie jesteśmy trzema niebezpiecznymi szaleńcami, którzy napadli na trzech nieostrożnych żołnierzy? Nasz dzielny kapitan Leonard nie patyczkowałby się z nim.

Churchill ocknął się z zadumy; pomyśli jeszcze o dziewczynie w bardziej odpowiednim czasie.

- Zdaje mi się, że poza maniakami, których nigdy nie wypuszcza się z oddziału, nikogo nie obowiązują żadne ograniczenia. Tak mi powiedział Max w zeszłym tygodniu. Najwięcej kłopotu mają z pilnowaniem, żeby goście, których stąd wyrzucili, nie zdołali wśliznąć się z powrotem.

Stali przed wjazdem na zatłoczoną szosę i czekali, aż pomiędzy pojazdami utworzy się luka. Na poboczu zatrzymał się motocyklista w wojskowym mundurze. Nowo przybyły

wyłączył silnik swojej maszyny i rozłożył podpórkę. Podeszedł do nich, zdejmując gogle z oczu; był to goniec z oznakami wojsk łączności na mundurze. Stał przed Ayscue'em, nieco szarmancko zasalutował i powiedział:

- Przepraszam, sir, ale widzę, że należy pan do jednostki, której szukam, do 6 Batalionu Administracyjnego Kwatery Głównej. Czy zechciałby pan wskazać mi drogę do niej? Już drugi raz jadę tą szosą.

- Właśnie tam zmierzamy, kapralu - powiedział Ayscue. - Możemy doręczyć waszą przesyłkę.

- Tylko jeśli przypadkiem jest wśród panów... - żołnierz spojrzał na wypisany na maszynie rozkaz - kapitan P. B. Leonard z 17 Pułku Dragonów. Widzi pan, muszę doręczyć przesyłkę do rąk własnych za potwierdzeniem odbioru. Ale dziękuję, sir. Gdyby zechciał pan tylko wytłumaczyć mi...

Churchill od niechcienia słuchał toczącej się rozmowy. Z tylnego siedzenia jeepa nie mógł dojrzeć głowy ani ramion gońca, a jego głos był raczej pospolity. Żołnierz był bardzo młody, nic więcej nie można było o nim powiedzieć.

- Zajedziecie tam szybciej niż my - mówił Ayscue. - A propos, myślałem, że teraz przestawiliście się wyłącznie na samochody.

- Zachowaliśmy kilka motorów do specjalnych wyjazdów, kiedy nie ma zbyt dużo do przewiezienia. Są poza tym zwrotniejsze. No, i w taki dzień to przyjemność prowadzić motocykl. To dziękuję jeszcze raz, sir. Prawdopodobnie miniemy się, kiedy będę wracać.

Po kilku sekundach ruszył w dalszą drogę. Churchillowi wydało się, że macha im odjeżdżając, ale nie był pewien. Zanim w strumieniu pojazdów pojawiła się przerwa wystarczająca, aby wcisnął się ich jeep, goniec już zniknął im z oczu.

Naidu zaczął rozmawiać z Ayscue'em o dyscyplinie, który to temat, jak stwierdził, podsunęło mu ich krótkie spotkanie z kapralem Fawkesem przed godziną. Czy ten niewątpliwie bardzo sympatyczny młody podoficer nie zachowywał się nieco... zbyt swobodnie? On, Naidu, nie powinien był utwierdzać go w tej postawie swym dyskretnym żarciem skierowanym przeciwko Służbie Bezpieczeństwa, a co więcej - przeciw innemu oficerowi. Czy też może przesadza ze swą pedanterią, będąc synem majora sipajów, którego poglądy w tej sprawie reprezentowały punkt widzenia charakterystyczny dla armii indyjskiej z czasów królowej Wiktorii?

Zgodnie z oczekiwaniami Churchilla, Ayscue powiedział mniej więcej coś takiego, że wszystko jest w porządku. Oczywiście, Ayscue zarabiał na życie twierdząc tak nawet wtedy, gdy można było odnieść przeciwne wrażenie, ale przecież w tej chwili jego przełożeni nie

mogli go słyszeć. Czy on nigdy się nie zapomina? Nie byłby człowiekiem, gdyby nie miał słabości. Cóż, pod innymi względami tak przyzwoity, można tylko żałować, iż jest księdzem.

Te dywagacje wkrótce sprzykrzyły się Churchillowi. Wiedział, że dopiero po zmierzchu i w samotności będzie mógł spokojnie pomyśleć o dziewczynie, jednakże krajobraz, który oglądał teraz z okien jeepa, jakoś mu się z nią skojarzył: łąki z jednej strony drogi zalane były światłem słońca, a samą drogę i jej drugą stronę krył cień, w którym można było dostrzec strumień z pluskiem płynący kamienistym korytem, jesiony i brzozy na jego brzegach oraz sterty zwiędłych liści wyglądające tak, jakby leżały tu od jesieni.

Churchill miałby ochotę przespacerować się tu z dziewczyną, ale nie to sobie wyobrażał. Wykorzystał natomiast metodę, którą znał już od dzieciństwa, lecz której nigdy nie analizował. Myśląc o dziewczynie, skupiał całą swą uwagę na otoczeniu, dostrzegając w nim znacznie więcej fizycznych elementów niż w normalnych okolicznościach, i czuł jednocześnie, że istnienie tego miejsca i dziewczyny to sygnał, niemalże gwarancja, że gdzieś możliwe jest prawdziwe, szczęśliwe życie. Churchill nie był ani pesymistą, ani pechowcem, ale od czasu, gdy przed pięcioma laty ukończył szkołę, kilkakrotnie wprawiły go w przejściową depresję rozmyślenia, czy kiedykolwiek nadejdzie dla niego odpowiednia chwila i znajdzie się miejsce, gdzie będzie mógł doznać całego ogromu radości, do którego - jak wiedział - zdolne jest jego serce. Wydawało mu się, że tylko rzeczy smutne lub przerażające - jak dzisiejsza wizyta u Maxa Huntera - jest w stanie przeżywać z prawdziwą intensywnością, która powinna cechować właśnie poczucie radości, a po zakończeniu kolejnego zwykłego dnia myślał sobie czasami w nocy, iż w ten sposób zakłóca działanie swego serca, ukrywa i tłumi jego możliwości.

Teraz stwierdził, że dobrze się stało, iż okoliczności nie pozwoliły mu pójść za dziewczyną. Jej status pensjonariuszki szpitala psychiatrycznego stanowiłby ogromną przeszkodę w nawiązaniu znajomości, ale nawet gdyby zdołał ją pokonać, to prawdopodobnie okazałoby się jedynie, że oto przeżywa kolejną wariację tego powtarzalnego, mechanicznego schematu, do którego ograniczały się typowe stosunki z kobietami: telefony, kolacje w restauracjach, przejażdżki samochodem, wycieczki nad morze i próby uwiedzenia, niekiedy zwieńczone sukcesem. W ciągu minionych kilku lat przeszedł przez wszystkie te etapy kilkanaście razy i nabrał sporej wprawy. Zazwyczaj osiągał swój cel, zawsze sprawiało mu to przyjemność, o ile tylko udało mu się coś zacząć, i prawie nigdy nie musiał pocieszać się myślą, że kobieta, którą trudno jest zdobyć przejawia w ten sposób swą wartość. Czasami jednak uderzała go wielka rozbieżność między rzeczywistą procedurą a jej wzniosłą teorią. Te dwie rzeczy zbyt były od siebie odległe. Tylko w marzeniach udawało mu się je pogodzić.

- Hej, co się tam dzieje? - powiedział Naidu. - Jakiś zator?



- Na to wygląda.

Pojazdy jadące przed nimi zahamowały. Ayscue także zwolnił i zatrzymał samochód. Upłynęła minuta.

- Może przespaceruję się do zakrętu i zobaczę, co się dzieje? - zaproponował Churchill. Chciał znaleźć się w słońcu i w samotności, choćby na chwilę.

- Chyba coś zaczyna się tam ruszać.

Gdy minęła następna minuta, podjechali do dwóch nieruchomych ciężarówek stojących bok w bok i tarasujących prawie całą szerokość drogi, do ambulansu i samochodu policyjnego zaparkowanych na poboczu, i do niewielkiej grupy ludzi, którą policjanci właśnie zmuszali do rozejścia się. Churchill zobaczył, że spod jednej z ciężarówek, tuż za przednim kołem, wystaje ludzka dłoń. Obok niej klęczeli dwaj sanitariusze i mężczyzna w cywilnym ubraniu. Dłoń zacisnęła się, a potem znów rozwarła.

- Zdaje się, że ksiądz może się tu przydać - powiedział Naidu.

Ayscue zjechał na pobocze, zatrzymał jeepa, wysiadł i przeszedł na drugą stronę drogi. Churchill rozglądał się. Zauważył motocykl leżący na boku na poboczu z drugiej strony drogi. Dostrzegł tylny błotnik pomalowany w poprzeczne niebieskie i białe pasy, oznaki wojsk łączności. Wysiadł i podszedł do pojazdu. Przechodząc usłyszał, jak konstabl mówi do inspektora policji:

- Dziesięcotonowy dźwig, sir. Taki wystarczy.

- Niech im pan powie, żeby się pośpieszyli. Każda minuta jest droga. - Inspektor odwrócił się i zobaczył Churchilla. - Czy to może jeden z pańskich chłopców, sir?

- Nie, ale jeśli pan chce, mogę zawiadomić władze wojskowe.

- Byłbym panu bardzo wdzięczny, sir.

- Nasza jednostka jest o milę stąd. - Churchill wytłumaczył, gdzie. - Kiedy już będzie pan miał jego dokumenty, proszę dostarczyć je adiutantowi. Uprzedzę wartownika przy bramie. Zawiadomimy, kogo trzeba. Teraz należy zająć się jego przesyłkami. Powinny być na bagażniku motocykla.

Dwaj mężczyźni podeszli do maszyny, która prawie wcale nie ucierpiała w wypadku, i Churchill otworzył torbę przypiętą do bagażnika. Był w niej tylko jeden pakiet przeznaczony dla Leonarda. Na dużej, pękatej kopercie widniała pieczętka: Ściśle tajne.

- Doręczę to - powiedział Churchill - ale lepiej zostawię panu pokwitowanie. - Napisał kilka słów w podsunętym notatniku. - Co się tu stało?

- Facet uderzył w jedną ciężarówkę i wpadł pod drugą. Wydaje się, że to jego wina, ale w tej chwili wolę jeszcze nie wypowiadać się.

Szli z powrotem ku ciężarówkom.

- Czy przeżyje?

Inspektor wzruszył ramionami.

- Dostał się pod koło, i chyba przez chwilę wlokło go po asfalcie, zanim kierowca zdołał zahamować. Bez dźwigu nie będziemy mogli go wyciągnąć. Jest przy nim lekarz.

Ayscue stał pośród grupy ludzi patrzących, jak mężczyzna w cywilnym ubraniu, którego Churchill zauważył już wcześniej, nachyla się ze strzykawką w dłoni. Droga była w tej chwili pusta, i spod ciężarówki rozległ się cichy jęk. Wyciągnięta dłoń zwiotczała.

- Idziesz, James? - spytał Ayscue.

Churchill odwrócił się do inspektora, nie odpowiadając na pytanie.

- Jeszcze jedno, jeśli powie mi pan, gdzie można pana znaleźć, przekażę tę informację do jego jednostki.

Inspektor wytłumaczył mu i podziękował. Ayscue czekał kilka metrów dalej. W milczeniu wrócili do jeepa.

- To ten goniec, z którym rozmawialiśmy przed szpitalem - powiedział Ayscue do Naidu.

- Och... Czy żyje?

- Jeszcze tak. Ale już niedługo.

- Biedak - powiedział Naidu. - To przecież jeszcze dzieciak.

Stojąc na poboczu, Churchill wyjął pakiet zaadresowany do Leonarda i przyjrzał mu się.

- Pomyślcie tylko, żeby umrzeć, doręczając coś takiego. Cokolwiek by to było.

Naidu przez chwilę patrzył na Ayscue, po czym powiedział:

- On nie umiera, doręczając to, James. Miał to doręczyć, lecz stało się coś, w wyniku czego zapewne umrze.

- Stało się coś. Dlaczego? Dlaczego musiało się to stać?

Naidu znów zawahał się.

- Jeśli koniecznie chcesz teraz o tym rozmawiać... Na to pytanie nie ma odpowiedzi. I nie ma też pytania. To nie musiało się stać. To po prostu się stało.

- No, jedźmy już - powiedział Ayscue.

- Tak, jedziemy - powiedział głośno Churchill. - Czemu nie? W końcu codziennie ktoś wpada pod ciężarówkę. Nie warto się tym przejmować. Facetowi pod ciężarówką może być trochę głupio, ale widocznie jechał za szybko, a ta mała przygoda nauczy go na przyszłość ostrożności. I pomyślcie tylko, co za wspaniała okazja do rozwoju duchowego dla dziewczyny

faceta, dla jego kolegów i dla kierowców tych ciężarówek, które go wykończyły. Cały hart ducha, poddanie się wyrokowi opatrności i tak dalej. Gdyby nie ta historia, ominęłyby ich te wszystkie dobrodziejstwa. Pan daje i na miłość Boską, Pan odbiera. Och, to nie tylko w porządku, to lepiej niż w porządku, co, Willie?

- James - Ayscue patrzył na Churchilla zza maski jeepa - proszę cię, nie mów takim oskarżycielskim tonem. Naprawdę nie sędzę, aby ktokolwiek mógł usprawiedliwić to zdarzenie. I przecież wiesz, że ja również nie próbuję go tłumaczyć. Czy nie widzisz, że i na Motim, i na mnie zrobiło to takie samo wrażenie, jak na tobie?

- Nie wiem, co myśli Moti - powiedział Churchill, rzucając na ziemię papierosa, którego usiłował zapalić - ale jeśli o ciebie chodzi, Willie, to nie sędzę, żebyś myślał tak jak ja. Inaczej nie stałbyś tutaj i nie szykował się do odjazdu, do kasyna na herbatę, bo w końcu jesteś księdzem, do diabła! Włazłbyś pod tę cholerną ciężarówkę i próbował pocieszyć tego biedaka, a nie...

Ayscue obszedł jeepa i popatrzył Churchillowi w oczy.

- W jaki sposób? - spytał. - W jaki sposób miałbym go pocieszyć?

- Nie pytaj mnie, to twoja działka, ja tylko...

- Przestań przywłaszczać sobie monopol na wrażliwość. Kiedy tylko się tam znalazłem, zobaczyłem, że lekarz przygotowuje się, żeby dać mu zastrzyk, od którego chłopak za kilka sekund straci przytomność. I lekarz dał mu zastrzyk. Potem nie mogłem już nic zrobić, bo chłopak prawdopodobnie już nie odzyska przytomności, a nawet jeśli się ocknie, to i tak nie zrozumie, co do niego mówię ani nawet, kim jestem.

- To nie jest takie pewne.

Naidu wysiadł z samochodu i ruszył wzdłuż drogi, oddalając się od miejsca wypadku.

- Właśnie - powiedział Ayscue do Churchilla - i dlatego przede wszystkim jestem tutaj, a nie tam. Co on sobie pomyśli, jeśli ocknie się i zobaczy mnie? Rusz głową, James. Jak ty byś się poczuł, gdybyś odzyskał przytomność w szpitalnym łóżku i ujrzał faceta w koloratce nachylającego się nad tobą i mówiącego, żebyś był dobrej myśli? Od razu wiedziałbyś, co cię czeka. Prawda?

Churchill skinął głową.

- Gdybym miał podstawy, aby przypuszczać, że ten chłopak wierzy w Boga, to pozostałbym przy nim. Ale w dzisiejszych czasach to raczej mało prawdopodobne. A nie mogłem go zapytać, James, po prostu nie mogłem ryzykować. Rozumiesz mnie?

Churchill znów skinął głową.

- Jedziemy.

- Przepraszam cię, Willie - powiedział Churchill, gdy ruszali.

- Nic się nie stało. Chyba obaj powinniśmy przeprosić Motiego. Zdaje się, że zszokowaliśmy go trochę.

- W jaki sposób?

- Zachowujemy się nagannie.

Dogonili Naidu i po kilku minutach skręcili w prawo w stronę obozu, przerywając jazdę tylko po to, aby przepuścić ciężki samobieżny dźwig zmierzający w przeciwnym kierunku.

\*

Kapitan Leonard włożył kurtkę od wyjściowego munduru i stanął bez ruchu, a Deering, jego ordynans, zapiął guziki. Robił to przez cienką szmatkę, aby nie zostawiać śladów na wypolerowanym mosiądzu.

Kurtka była w kolorze ultramaryny, o wyjątkowo ciemnym odcieniu. Barwa ta stanowiła pamiątkę chlubnego czynu 17 Pułku Dragonów jeszcze z czasów wojen napoleońskich: pewnego razu w Hiszpanii szwadron tego pułku dostał się na tyły nieprzyjaciela, przepłynąwszy w pław wraz z końmi zatoczkę Morza Śródziemnego. Od tej pory pułk nazywano popularnie Żeglarzami. Obecnie była to jednostka rozpoznawcza wyposażona w samochody zwiadowcze i lekkie czołgi, ale jej oficerowie nadal rekrutowali się z rodzin ziemiańskich. Właśnie dlatego szefowie Leonarda z Whitehall tutaj oficjalnie go przydzielili, tłumacząc mu w sposób nieco arogancki, że nikt nie będzie podejrzewał, iż oficer Żeglarzy naprawdę nie jest tym, za kogo się podaje. Szefowie Leonarda, dość nieobliczalni, zniweczyli część swych wysiłków, kładąc mu rozpowiadać co jakiś czas na prawo i lewo, na czym polega jego zadanie. Stosowali w ten sposób nowo odkrytą zasadę - o której Leonard niedawno opowiadał Hunterowi - głoszącą, iż system bezpieczeństwa najlepiej funkcjonuje wtedy, gdy wróg wie o jego działaniu i odpowiednio na niego reaguje. Wielu oficerów i żołnierzy w obozie wiedziało, że Leonard nie jest wcale żołnierzem, lecz agentem wojskowego kontrwywiadu, którego zadanie polega na niedopuszczeniu do przechwycenia przez osoby niepowołane wiadomości o tym, co rzeczywiście dzieje się w 6 Batalionie Administracyjnym Kwatery Głównej.

Choć Leonard nigdy nie odbywał szkolenia ani służby w Żeglarzach i tylko raz znalazł się w ich koszarach, gdzie zjadł obiad i pobieżnie zwiedził teren jednostki, był tak zafascynowany ich umundurowaniem, że prezentowałby się odpowiednio nawet podczas najbardziej oficjalnych uroczystości w pułkowym kasynie. Zwrócił uwagę Deeringa na pewne niedociągnięcia swego stroju - wystającą nitkę na skraju wyłogą kurtki, zaschniętą plamkę

pasty do polerowania w pobliżu dziurki do guzika - które ordynans spróbował w miarę swych możliwości usunąć. Następnie, z przejściem podchorążego mającego udać się na odprawę wart, Leonard ocenił swój wygląd w dwumetrowej wysokości, krawieckim lustrze, które woził ze sobą wszędzie tam, dokąd wysyłali go jego szefowie.

Mężczyzna ubrany w kurtkę munduru i obciste szkarłatne spodnie z lampasami w kolorze ultramaryny liczył sobie czterdzieści lat, miał czarne włosy, nieco przerzedzone nad czołem, ale gęste jeszcze na skroniach i potylicy, ziemistą cerę, a wokół ust ciemny podskórny zarost. W jego głosie brzmiała nieustająca nuta zniecierpliwienia, do czego po części przyczyniał się fakt, iż głoskę „r” zawsze wymawiał gardłowo. I teraz odezwał się niecierpliwie:

- Wyszczotkuj kurtkę.

Deering pospiesznie obszedł swego oficera i potarł jego mundur szczotką do ubrania, przez co usunął wprawdzie kilka spoczywających na nim włosów i kawałków nici, lecz jedynie zmienił pozycję pozostałych.

- Najlepiej robi się to taśmą klejącą.

- Powinieneś pomyśleć o tym wcześniej.

- Tak jest, sir.

Z pobłażliwym uśmiechem Leonard podszedł do palisandrowej gotowalni, której nie musiał przywozić z sobą. Sprzęty w rodzaju tego mebla oraz imponującej mahoniowej komody sięgającej niemal sufitowych belek przypominały, że kasyno było niegdyś zwykłym wiejskim domem. Budynek był tak duży, że wystarczył na urządzenie kwatery wszystkich oficerów jednostki powyżej stopnia majora oraz kilku innych, którym ze specjalnych powodów przyznano prawo do komfortu: adiutanta, Huntera, który był oficerem administracyjnym, i samego Leonarda, który zdobył pokój tutaj, twierdząc, że musi znajdować się w centrum życia obozowego. Gdyby nie jego upór, mógłby wylądować w oficynie, dzieląc pokój z paroma młodszymi oficerami, albo nawet w jednym z prostokątnych, pastelowych domków wzniesionych niedawno na pobliskiej łące, gdzie osiemnaście godzin na dobę ryczały tranzystory.

Teraz wziął do ręki czerwony skórzany futerał, szybko zdjął z nosa okulary w rogowej oprawie, zastąpił je parą binokli i głośno zatrzasnął futerał, przez cały czas nie spuszczać wzroku z Deeringa. W wyniku tej zamiany przestał przypominać ambitnego nauczyciela i nabrał wyglądu drobnego słowiańskiego biurokraty.

- No, Deering, co słychać?

Było to hasło do rozpoczęcia codziennego sprawozdania z obozowych plotek i pogłosek. Leonardowi wystarczyło spędzić parę dni w wojsku, aby przekonać się o użyteczności ordynansów w roli konfidentów, podsłuchiaczy i niewinnych świadków rozmów. Gdy szef kasyna polecił mu Deeringa, dostrzegł w nim zadatki na znakomitego wywiadowcę, a późniejsza z nim współpraca całkowicie potwierdziła to pierwsze wrażenie. Deering miał też w sobie coś, co wzbudzało osobistą sympatię Leonarda. Choć był niechlujny, niezdyscyplinowany, a chwilami niemal arogancki, żywił autentyczną, jakże rzadko spotykaną pogardę wobec polityków zajmujących się rzekomo bezpieczeństwem państwa, połączoną z szacunkiem dla tych nielicznych ludzi, którzy (jak Leonard) naprawdę służyli owej sprawie. Podziw Leonarda dla niego byłby bezgraniczny, gdyby tylko ordynans wyrażał się z lepszym akcentem.

Deering bez zwłoki przystąpił do ujawnienia mniej sympatycznej strony swego charakteru. Wyjął z kieszeni spodni połówkę papierosa i zapalił ją. Dwukrotnie się zaciągnął i powiedział:

- Książd znów grasuje.

- Jesteś pewien?

- Niech pan tylko posłucha. Około drugiej w nocy Coates siedzi w samochodzie na dziedzińcu i czeka, żeby odwieźć gościa pułkownika, a tu nagle widzi, że ktoś skrada się przez łąkę w stronę domków. Ten ktoś wchodzi do jednego z domków na końcu łąki. Coates nie jest pewien do którego, ale tam mieszka też Ayscue. To na pewno był on.

- Jak to „na pewno”? - zareagował ostro Leonard. W zeszłym tygodniu odbył z Ayscue'em rozmowę o działalności jednostki i był od tej pory przekonany, że nie może podejrzewać go o szpiegostwo, a nie lubił zaczynać od nowa spraw, które uważał za zamknięte.

- Kilku Hindusów też tam mieszka. To mógł być któryś z nich albo Churchill, albo w ogóle ktokolwiek.

- Ani Churchill, ani Hindusi nie mają psów. A Ayscue ma. Gdyby to nie był on, to ta jego cholerna alzacka suka zaczęłaby jazgotać jak zawsze, kiedy czuje obcego. Ale Coates nie słyszał ani jednego szczeknięcia, specjalnie go o to pytałem. Widzi pan, to jest dowód. Czytałem kiedyś jedno opowiadanie, w którym też był pies i nie szczekał.

Leonardowi zaimponowała logika Deeringa, ale nie okazał tego.

- Dobrze, przypuśćmy, że to był Ayscue, i co z tego? W końcu ma prawo wymknąć się z obozu na parę godzin.

- Po co? Na drinka? Pije w kasynie, kiedy tylko ma na to ochotę, a Evans mówi, że trzyma też butelkę w swoim domku. To wykluczone. Na baby? Wyobraża pan sobie naszego

czcigodnego duszpasterza w zalotach? Nie dotknąłby kobiety nawet przez rękawiczkę. Nie, on coś knuje. Dlaczego mieszka w jednym z tych cholernych piórników, skoro jako major ma prawo do pokoju w kasynie? Może po to, żeby lepiej dbać o swoją trzódkę?

- No, cóż... słyszałem, że dużo rozmawia z żołnierzami.

- Tak, i do tego jest strasznie wścibski. Wciąż ich wypytuje, czy nie boją się czegoś i czy są zadowoleni. Zadowoleni! Co to go obchodzi? I te koncerty kameralne, i muzyka z płyt, i tak dalej. To nienormalne. Księżom nie należy ufać. To politycy, którym nie udało się zrobić kariery.

Tym razem Leonard poczuł, że nie potrzebuje sympatii Deeringa.

- Czy to wszystko?

- Niezupełnie. Ta jego szafa, zawsze ją starannie zamyka. Evans mówi, że zrobił wszystko, co tylko mógł, żeby do niej zajrzeć, ale na próżno. Skąd pan wie, że on nie trzyma w niej krótkofalówki?

- Bzdury, to...

- Oczywiście, może mieć w niej tylko zdjęcia gołych bab albo coś takiego, ale do tego wystarczyłaby szuflada. Słowo daję, powinien pan rzucić okiem do tej szafy.

Znużony Leonard przyznał w duchu, że nie może tego zaniedbać. Niedawno obejrzał film szkoleniowy o metodach ukrywania przedmiotów, w którym zwrócono uwagę na podwójne blefy w rodzaju umieszczania pustych kasetek pancernych pomiędzy krokwiami na strychu lub pod sprężynami łóżka, za pomocą magnesów, i pozostawiania prawdziwych dokumentów na przykład na stole. Sam Leonard zastosował się do tej zasady, żądając ustawienia wartowników przed swym biurem na całą dobę i upychając swoje najbardziej tajne papiery do walizki, którą trzymał pod łóżkiem. Walizka miała jednak niezwykle skomplikowany zamek, a umieszczony w nim cieniutki drucik pękłby przy każdej próbie otwarcia go siłą, uruchamiając jednocześnie obwód alarmowy.

Dobrze przeszkolony szpieg mógł w ten sposób zakamuflować miejsce ukrycia swych narzędzi. Czy Evans, otrzymawszy odpowiednią łapówkę, zdecydowałby się dosypać środek nasenny do księżowskiej whisky, by w ten sposób zdobyć klucze Ayscue'a? Podręcznik uznałby takie poczynania za zbyt ryzykowne, lecz podsunąłby także bardziej praktyczne rozwiązania. Leonard będzie musiał do niego zajrzeć, ale nie teraz.

- Zejdę już do westybulu - powiedział.

- Dziwna historia z tym gościem, który zabił się na drodze. To był wypadek, prawda?

- Niewątpliwie. Byłem obecny przy śledztwie. Nie stwierdzono żadnych obrażeń spowodowanych czymkolwiek innym aniżeli tylko uderzeniem o ciężarówkę, motocykl albo o nawierzchnię drogi. Czemu pytasz?

- Ten pakiet musiał być bardzo ważny, skoro specjalnie go z nim posłali. Przecież następnego dnia o ósmej rano miał przyjechać normalny goniec.

- Zawierał kopie dokumentów, które mam już od prawie dwóch tygodni - skłamał Leonard jak zwykle bez zmrużenia powiek. - Nie wiesz jeszcze, jak działają goście z ministerstwa.

- Chłopcy mówią, że przyspieszono termin operacji „Apollo”. Nie wiem, skąd mogli się o tym dowiedzieć.

Leonard poczuł, jak pot spływa mu po karku. Specjalny pakiet zawierał tę właśnie informację oraz związane z nią dokładne zmiany planu.

- Szkoda że tak rzadko dowiaduję się o tym, o czym oni wiedzą - powiedział z taką samą swobodą jak przedtem. - Dziwne, że mój szef nic o tym nie wspomniał, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

- Powiedziałem im, że to bzdury. Ale pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć. Jak pan chce, to zapiszę panu ich nazwiska.

- Nie trzeba. Wszyscy cały czas plotkują. No, muszę już iść. Rękawiczki.

Deering podszedł do komody i wydobyl z niej parę białych bawełnianych rękawiczek, sprasowanych do grubości opłatka. Wręczył je kapitanowi, który jednak nie miał zamiaru ich zakładać. Było to uzasadnione, gdyż rękawiczki służyły mniej więcej do tego samego celu co rękawy huzarskiego dolmana i pomieściłyby co najwyżej dłoń ośmioletniego dziecka. Leonard trzymał je niedbale w ręku.

- Czapka.

Ordynans z podobnym namaszczeniem wyjął furazerkę w kolorze ultramaryny ze szkarłatną lamówką. Ta znalazła się na głowie Leonarda i całkiem niezłe na nią pasowała. Czapka i rękawiczki były mu niezbędne, aby odbyć trzydziestometrowy spacer korytarzem do westybulu kasyna.

- To wszystko, Deering, dziękuję.

- Dobranoc, sir. Do jutra.

Kiedy pozostał sam, starał się uspokoić. Przed chwilą poczuł, że ogarnia go panika, ale tylko przez moment. Deering znosił mu plotki w liczbie co najmniej kilkunastu na tydzień i nic dziwnego, że od czasu do czasu któraś przypadkiem była zgodna z prawdą. Miał pewność, że nikt oprócz niego nie widział zawartości pakietu.



Chcąc dodać sobie odwagi, odwrócił się i spojrzął na duży olejny obraz, który wraz z krawieckim lustrem wszędzie ze sobą woził. Oświetlony częściowo przez zachodzące słońce stanowił piękny i pokrzepiający widok. Tabliczka na górze ramy głosiła, iż ukazuje on mundury 17 Królewskiego Pułku Konnego Dragonów Księcia Staffordshire (Żeglarzy). Sam obraz przedstawiał pięciu mężczyzn na koniach w różnych okresach historii. Tabliczka na dole identyfikowała jeźdźców: Dragon - 1810; Porucznik - 1856; Trębacz: ubiór polowy - 1901; Kapral jazdy: ubiór służbowy - 1915; Major: ubiór galowy - 1929.

Wzrok Leonarda spoczął jak zwykle na tej ostatniej postaci. Był to szczupły, młody człowiek, bez zarostu, spoglądający - w odróżnieniu od pozostałych - wprost na widza ledwo dostrzegalnymi błękitnymi oczyma. Żołnierz będący prototypem utrwalonej na płótnie postaci, prawdopodobnie trafił na front pod koniec pierwszej wojny światowej, dowodził brygadą lub dywizją podczas drugiej wojny, a w chwili obecnej, jeśli wiódł żywot zgodny z tradycją, tkwił beczynnie w jakimś kąpielisku lub kurorcie na południowym wybrzeżu. Leonardowi wydawało się, że jego poprzednik, Żeglarz, zwraca się do niego ze słowami: „Ja wypełniałem rzetelnie moje obowiązki; nakazuję ci rzetelnie wypełniać twoje”.

Kiedy Leonard po raz pierwszy ujrzał obraz w izbie tradycji Żeglarzy podczas swej jedynej wizyty w ich pułku, zażądał uzupełnienia nim swojego wyposażenia na okres wojskowej czy też pseudowojskowej kariery. Spotkał się jednak z ogromnym oporem. Lecz uparł się, że rekwizyt ten będzie mu niezbędny, aby skutecznie udawać oficera służby czynnej, aż wreszcie zdołał uruchomić mechanizmy, dzięki którym otrzymał upragniony obraz, choć mało brakowało, a jego wysiłki poszłyby na marne. Gdyby dowódca Żeglarzy zachował się nieco taktowniej podczas rozmowy z odpowiednim ministrem i nie nazwał Leonarda obleśnym małym parweniusem, zapewne sprawa zostałaby rozstrzygnięta na jego niekorzyść.

Leonard byłby zdziwiony, gdyby się o tym dowiedział. Złożył pisemne zobowiązanie, iż natychmiast po zakończeniu swej misji zwróci obraz właścicielom, i sądził, że to całkowicie wystarczy. Teraz stanął na baczność, elegancko zasalutował błękitnookiemu majorowi i wyszedł.

\*

- Ach, jest nasz łowca szpiegów. Czego się pan napije, Brian? Odrobinę ginu z tonikiem?

- Poproszę o wytrawne sherry, sir.

- Oczywiście, powinienem był pamiętać, nigdy nie tyka pan nic mocniejszego, prawda? Całkiem rozsądnie zważywszy na pana stanowisko. Jeszcze by się pan upił i wygadał wszystkie tajemnice. A pan, Willie? Jeszcze raz to samo czy też pójdzie pan w ślady Briana?

- Nie tym razem - powiedział Ayscue. - Poproszę o jeszcze jedną whisky, jeśli można.

- Niech i tak będzie. Jeszcze ktoś? Śmiało, panowie.

Pułkownika White'a wybrano dowódcą jednostki z kilku powodów. Cieszył się opinią niezawodnego, prawomyślnego zawodowego żołnierza i w związku z tym stwierdzono, że nadaje się na stanowisko, na którym nie trzeba wykazywać się żadnymi nadzwyczajnymi zdolnościami. Uznano także, że będzie strzegł powierzonych mu tajemnic tak dobrze, jak tylko można przy wykorzystaniu czysto wojskowych środków, i że nie będzie wcale zainteresowany naturą owych tajemnic. Wojskowi psychologowie stwierdzili również, iż jako człowiek o wylewnej, towarzyskiej osobowości będzie spełniał funkcję rozjemcy w razie pojawienia się wśród oficerów jakichkolwiek napięć. W dodatku pewien funkcjonariusz ministerstwa, który walczył wraz z nim w Północnej Afryce, pomyślał sobie, że staremu Chalky'emu White'owi, którego niemiecka mina pozbawiła połowy lewej stopy, a przez to i jakichkolwiek szans na awans, przyda się stopień pełnego pułkownika i związana z tym podwyżka żołdu.

W tym momencie pułkownik udowodnił posiadanie psychologicznych predyspozycji do piastowania swego stanowiska. Nie uszło jego uwagi, że Leonard odizolowany jest od większości innych oficerów. Nie tracił więc żadnej okazji, aby zmniejszyć dystans między nimi, udowodnić wszystkim, że nawet funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa jest człowiekiem, a jego praca - pracą. White zajął się teraz pracą Leonarda.

- No, Brian - powiedział, kiedy kelner podał im napoje i zniknął - jak tam pana wielka misja?

- Och, niezbyt...

- Wyznam, że nie chciałbym zamienić się z panem, a pan, Willie?

- Ta praca przypomina chyba trochę moją, choć oczywiście jest bardziej wyczerpująca.

- Ani jednej spokojnej chwili. Przez całą dobę na służbie. I jeśli wróg coś zmaluje, cała odpowiedzialność spada na pana. Niech pan nam powie, Brian, czy poczynił pan jakieś postępy w sprawie zdemaskowania szpiega?

- Tak, tak sędzę. Oczywiście, stosuję metodę eliminacji. Już mniej więcej na początku śledztwa mogłem wykluczyć ludzi z grupy B1.

Leonard mówił o Grupie Bezpieczeństwa Pierwszego Stopnia, do której należało sześciu brytyjskich, czterech indyjskich i dwóch pakistańskich oficerów odbywających szkolenie w celu przeprowadzenia operacji „Apollo” oraz dwóch brytyjskich instruktorów. W

całej jednostce nikt poza nimi i samym Leonardem nie znał szczegółów operacji. Grupa Bezpieczeństwa Drugiego Stopnia, czyli B2, obejmowała jedynie zespół pomocniczy, czyli dwóch oficerów brytyjskich i jednego oficera indyjskiego, Naidu, których zadaniem było dostarczanie pewnych dodatkowych informacji. Grupa B3 składała się z pułkownika, adiutanta, lekarza, Huntera i Ayscue.

Pułkownik zaśmiał się, przykładając pięść do wąsów.

- To już całkiem nieźle, Brian. Ilu pozostaje? Sześć osób?

- Osiem, przynajmniej ośmiu oficerów. W ciągu minionych dziesięciu dni prowadziłem w miarę dokładną obserwację. Wyeliminowałem cztery osoby.

- Jakie mam prawo - zapytał pułkownik - dowiedzieć się, czy jestem jednym z czterech potencjalnie winnych czy też jednym z czterech niewinnych?

- O, sir. Jest pan czysty. Tak samo jak Hunter, doktor i kapitan Naidu.

- A więc ja nie jestem czysty - rzekł Ayscue.

- Willie, proszę nie przejmować się tym zbytnio - powiedział pułkownik. - Brian wypełnia po prostu swe obowiązki. Możemy mu w tym pomóc, zmuszając się do obojętności wobec spraw, których nie powinniśmy lekceważyć w innych okolicznościach. A pan nikogo nie oskarża, prawda, Brian?

Ayscue skinął głową.

- Och, to prawda. Ale nie interesuje mnie aż tak bardzo możliwość, że jutro rano mogę zostać aresztowany za przekazywanie tajemnic nieprzyjacielowi, choć to całkiem ciekawa sprawa. Na razie patrzę na to z punktu widzenia Briana i dziwię się, jak żyje bez kontaktów z innymi ludźmi. Niewielu wytrzymałoby takie ciągłe przebywanie wewnątrz własnego umysłu.

- Trochę to zbyt filozoficzne jak dla mnie - powiedział pułkownik.

- Nie, sir, ja rozumiem, o co chodzi, on ma rację. W takiej sytuacji grozi życie w świecie urojeń. Coraz trudniej ocenia się fakty. Kiedy zaczynałem pracę, dziwiłem się, dlaczego przysługują nam tak długie urlopy. Cóż, tylko druga połowa tego wolnego czasu przypomina prawdziwe wakacje. Pierwszą zajmuje stopniowe wydobywanie się ze skorupy.

Pułkownik nie był pewien, co ma oznaczać łagodne spojrzenie, jakim Ayscue obdarzył Leonarda. Energicznie powiedział:

- Ale oczywiście nie można ograniczać kręgu podejrzanych do samych tylko oficerów, ba, nawet do samej naszej jednostki, prawda, Brian? Muszę przyznać, że osobiście wyobrażam sobie piękną kobietę szpiega, która wprowadziła się do wioski i próbuje zwabić niewinnych młodych oficerów w swe sidła, wiecie panowie, ktoś w rodzaju Maty Hari. Dzięki temu nasze życie byłoby znacznie ciekawsze.

- To mało prawdopodobne, sir - powiedział Leonard. - Niewykluczone, ale mało prawdopodobne. Dotychczasowe śledztwo wskazuje jednoznacznie, że szpieg zainstalował się gdzieś w obozie. Może to być jeden z podoficerów albo nawet wartownik, ale to też raczej mało prawdopodobne. Nie wyobrażam sobie również, aby któryś z oficerów z grupy B1 był do tego zdolny. A podjęte przez pana, sir, środki ostrożności uniemożliwiają osobom nieupoważnionym fizyczny dostęp do tajnych materiałów. Jeśli nie pojawią się żadne przekonujące dowody, będę się upierał przy moich czterech kandydatach.

- Może by nam pan zdradził, co pan już wie - rzekł pułkownik. - Dlaczego uważa pan, że to ktoś z jednostki? Skąd w ogóle wiadomo, że mamy do czynienia ze szpiegiem? Chyba nie zdradzi pan w ten sposób tajemnicy, prawda?

Leonard podjął decyzję. Chciał przekonać się, kiedy, w jakiej postaci i czy w ogóle informacja ta powróci do niego poprzez Deeringa.

- Parę tygodni temu nasi ludzie aresztowali kogoś w Londynie. Przy osobie tej znaleziono między innymi wiadomość o postępach przygotowań operacji „Apollo”, zresztą, dodajmy, zerowych postępach. Otóż pewna cecha tego meldunku, nie sam jego tekst, świadczy o tym, że jego autor to wojskowy.

- Na przykład gatunek papieru - mruknął pułkownik.

- Ustaliliśmy jeszcze jedną rzecz. Osobnik, który zaniedbuje w ten sposób zacieranie śladów, nie może być zawodowym szpiegiem. W naszej terminologii używamy określenia „neoideolog”, ale jeśli pan woli, może pan go nazwać „amatorem”. Dla nas jest to i dobrze, i źle. Z jednej strony, może zdradzić go brak doświadczenia, z drugiej, na pewno nie działał on nigdy wcześniej, nie kontaktował się z nikim i w związku z tym nie jest notowany w naszych archiwach. Dlatego może to być dosłownie każdy.

Pułkownika bardzo zaciekały słowa Leonarda, ale teraz musiał wciągnąć Ayscue'a do rozmowy.

- No cóż, mam nadzieję, że wkrótce go pan odnajdzie i wszyscy będziemy mogli odetchnąć. Czy interesuje się pan literaturą, Brian?

- Niewiele mam czasu na czytanie.

- Rzeczywiście. Szkoda. Osobiście czytam mnóstwo. Mogę sobie na to, rzecz jasna, pozwolić. W dwadzieścia cztery godziny po przybyciu tutaj uruchomiłem całą machinę, rozstawiłem posterunki wartownicze i tak dalej, a teraz dokonuję tylko wrywkowych kontroli. Przez resztę czasu, jeśli nie siedzę tutaj i nie sprawdzam, czy wszyscy mają pod dostatkiem jedzenia i picia, próbuję przebrnąć przez francuskich egzystencjalistów. Wydają mi się nieco wyjąłowieni, ale nie o tym chciałem mówić. Otóż, chodzi o to, że Willie pragnie wydawać coś

w rodzaju czasopisma. Na razie nie miał pan okazji porozmawiać o tym ze mną, prawda, Willie? Jak pan to sobie wyobraża? Skąd weźmie pan materiały?

- Cóż - powiedział dość niechętnie Ayscue - w obozie znajduje się dwudziestu trzech oficerów i stu sześćdziesięciu trzech podoficerów i szeregowców. Większość z nich spędza połowę swego czasu na beczynnym oczekiwaniu na służbę lub wartę, a tylko dziesięć procent żołnierzy może wychodzić z obozu na przepustkę. Spośród pozostałych większość w ogóle nie ma zbyt wiele do roboty. Proszę pomyśleć choćby o kierowcach i gońcach. Rozmawiałem o tym z żołnierzami i wydaje mi się, że niektórych bardzo by to zainteresowało. Zapewne sam będę musiał pisać większość artykułów, ale przecież i tak nie mam tu zbyt wielu obowiązków.

- To chyba dobry pomysł - powiedział Leonard. - Bardzo dobry pomysł.

- O, więc nie obawiasz się, że zagrozi to bezpieczeństwu jednostki?

- Bynajmniej. Wprost przeciwnie. Przepraszam.

Leonard przeszedł w głąb sali. Przypominała ona wiejską bawialnię, którą zresztą była przed czterdziestu laty. Ktoś bardziej tym zainteresowany niż Leonard mógłby podejrzewać, iż świadomie zachowano jej poprzedni wygląd. Od roku 1946 aż do niedawna w budynku tym kwaterowano oficerów przybywających tu na kolejne kursy wywiadowcze. Usunięto ich stąd przed trzema miesiącami. Zapewne to któryś z nich albo dowódca kursów kazał zmienić parkiet, nie poprawiając jednak odwiecznych nierówności, odnowić kominek, zachowując asymetrię bocznych przypór, a niskie ściany pozostawić nie otynkowane. Salę wypełniały dębowe meble, między innymi bujany fotel powodujący takie wrażenia, że nikt nie siadał w nim więcej niż jeden raz. O wojskowym przeznaczeniu budynku przypominało jedynie kilkanaście oprawnych fotografii zawieszonych tu zapewne przez jakiegoś szydercę, a przedstawiających kompanie podchorążych dawno już nieżyjących lub emerytowanych, grupy generałów i sztabowców z czasów pierwszej wojny światowej, wąsatych żołnierzy w czapkach z piórami oraz defiladę zwycięstwa odbywaną w równie zamierzchłej przeszłości. Jedyne współczesny akcent stanowił duży telewizor. Obok niego, nie wykazując ochoty, by go włączyć, stał główny instruktor. Z daleka wydawało się, iż człowiek ten nie ma wcale szyi. Z bliska okazywało się, że jednak ją posiada, i to nawet pokaźną, lecz że maskuje ją potężny kark, powodując, iż zlewa się w jedno z głową. Sama zaś głowa była ciężka i kanciasta, o siwiejących, bardzo krótko przystrzyżonych włosach i rumianej, lecz delikatnej twarzy. Główny instruktor miał około pięćdziesięciu lat i był otyły, czego wcale nie usiłował tuszować żołnierską postawą. Wyglądał jak cywil w mundurze, i nim zresztą był w istocie. W tej chwili miał na sobie wyjściowy mundur wojsk informacyjnych składający się z ciemnoszarej kurtki i oliwkowozielonych spodni. Wyłogi kurtki w tym samym co spodnie kolorze były pokryte

popiołem z cygara, które stanowiło nieodłączny atrybut odzianego w nią mężczyzny. Główny instruktor był majorem i nazywał się Venables. Nikt w całej jednostce nie znał jego imienia.

- Dobry wieczór, Leonard - powiedział swym napiętym, chrapliwym głosem.

- Czołem, majorze. Właśnie...

- Jaki tam „majorze”. Mówiłem już panu. Taki ze mnie major jak z pana kapitan.

Nazywam się Venables.

- Przepraszam... Ma pan ochotę na chwilę rozmowy na tematy zawodowe?

- Chętnie, nawet jeśli chodzi o pana zawód. Znacznie bardziej mnie to pociąga niż zabijanie czasu tym, co tutejsi fizylierzy i dragoni uważają za konwersację. Słucham.

Leonard ściszył głos:

- Chodzi o zmiany w programie szkolenia.

- Mówiłem panu, że nie będzie z tym żadnych trudności, i miałem rację - powiedział Venables tym samym tonem co poprzednio. - Ludzie odpowiedzialni za nasze losy po raz pierwszy uświadomili sobie własną ignorancję i przydzielili nam więcej czasu na szkolenie niż to konieczne. Przyspieszenie zakończenia kursu o dwa tygodnie oznacza tyle tylko, że moi podopieczni będą musieli intensywniej uczyć się wieczorami. Na temat tak zwanego zespołu pomocniczego nie będę się wypowiadać. Z tego co obserwuję w tym przytułku dla upośledzonych, sądzę, że nie potrafiliby oni nawet powtórzyć słów piosenki *Wściekłe psy i Anglicy* bez względu na ilość ćwiczeń.

Leonard rozejrzał się nerwowo.

- Pssst - powiedział.

Venables zaśmiał się nerwowo.

- Jeśli tego rodzaju uwaga aż tak pana niepokoi, muszą panu bardzo ciężko wykonywane obowiązki. Powinien pan traktować rzeczy mniej serio.

- Tak. Cieszę się, że zdoła pan zakończyć szkolenie w przyspieszonym terminie. Oczywiście, zameldował pan o tym.

Zapadła chwila milczenia. Venables zacisnął wargi wokół swego cygara o kwadratowym przekroju. Sześcianik popiołu opadł na kurtkę jego munduru.

- Czy aby nie wtrąca się pan w nie swoje sprawy i nie przekracza swoich uprawnień? Moje kontakty z przełożonymi nie powinny pana interesować, jeśli meldunki nie są przechwytywane przez szpiegów. A skoro te gwiazdki, które kazali nam nosić na ubraniu, coś jeszcze znaczą, to nie ma pan prawa wydawać mi rozkazów. Dodam też, iż bardzo mi się to nie podoba, że dowiedziałem się o zmianie terminu najpierw od pana, a nie zwykłą drogą służbową od moich przełożonych.

- Przepraszam... Venables. Słowo daję, naprawdę nie chciałem niczego panu nakazywać. Po prostu moim szefom wydaje się, że powinienem zawsze wszystko wiedzieć. Coraz trudniej jest mi nie wścibiać nosa w cudze sprawy. A co do tego, że pierwszy otrzymałem wiadomość, cóż, niech pan to złoży na karb rywalizacji między wydziałami. Mój widocznie szybciej działa.

- Owszem. Dlaczego przesłali panu wiadomość przez gońca, a nie przez szyfrowy telefon, co byłoby równie bezpieczne, a do tego, jak się okazało, pewniejsze?

Leonard wzruszył ramionami.

- Cóż, pakiet zawierał mnóstwo szczegółowych informacji. I wydaje mi się, że ktoś mógł poczuć się bardzo ważny, zamawiając dla siebie gońca. Wie pan jacy oni są.

- Powoli zaczynam to rozumieć.

- Jest jeszcze jedna sprawa.

- O, rany.

- Drobną, ale ważną. - Leonard przypomniał sobie, czyj mundur ma na sobie, i spojrzał Venablesowi prosto w oczy. - Jak panu wiadomo, miał pan zachować przyspieszenie rozpoczęcia operacji „Apollo” w tajemnicy co najmniej do północy dnia jutrzejszego.

- Tak, tak.

- Wprowadzono pewne poprawki. Proszę nie ujawniać tego faktu aż do chwili, kiedy uzna pan to za absolutnie konieczne, i proszę powiadomić mnie o tym pisemnie z czterdziestoosiogodzinnym wyprzedzeniem. To rozkaz. Widzi pan, jednak mam prawo wydawać panu polecenia. We wszystkich sprawach bezpieczeństwa ma pan stosować się do moich rozkazów.

Venables wrzucił niedopałek cygara do kominka.

- Uhm... Czy nie powinienem był dowiedzieć się o tym od moich przełożonych? W sprawie tego powiadomienia i tak dalej?

- Niewątpliwie. Kazano mi jednak poinformować pana o tym jak najszybciej.

- A więc, dobrze. Chylę czoło przed pana władzą.

Venables ze zdziwieniem spojrzał na Leonarda. Być może w jego wzroku malował się szacunek wobec człowieka, który nie uląkł się go, szacunek charakterystyczny ponoć dla tyranów, służbistów i podobnych osobników. Leonard z doświadczenia wiedział, że ten rodzaj szacunku łatwo ukryć pod maską nasilonej apodyktyczności bądź zdwojonego lizusostwa, ale z Venablesem nigdy nic nie wiadomo. Nazbyt różnił się od innych. Leonard przez chwilę próbował wyobrazić sobie, w jaki sposób udziela on instrukcji, których przekazywanie należało do jego obowiązków, ale wkrótce zrezygnował.

W tym momencie szef kasyna ogłosił kolację. Leonard oderwał swe myśli od osoby Venablesa, ten zaś skorzystał z okazji, aby pozbyć się towarzysza.

Pułkownik White pierwszy ruszył przez wykładany kamiennymi płytami hall do jadalni. Podłoga w tej sali składała się z czarnych i białych kwadratowych płyt marmurowych. Nie stanowiły one pierwotnego wyposażenia budynku, ale kilkanaście lat temu, gdy w związku z przebudową lokalnego szpitala psychiatrycznego rozmaite materiały i instalacje budowlane zostały wystawione na sprzedaż, stwierdzono, iż pasować będą do ogólnego wystroju kasyna. Ówczesny oficer administracyjny przywiózł płyty ciężarówką, a przy okazji poprzednik doktora Besta podjął go podwieczorkiem.

Na tym szlachetnym podłożu stały dwa refektarzowe stoły o powierzchniach wypolerowanych na wysoki połysk przez pokolenia ordynansów i odbywających karę żołnierzy. Na nagich blatach rozstawiono sporo wiktoriańskiej porcelany, sztuków i szkła. Zastawę tę oraz dużą kolekcję win Hunter odkupił od poprzednich właścicieli po cenie, która nieco ich rozgniewała.

Pułkownik usiadł jak zawsze przy stole pod ścianą, wybierając miejsce, z którego można było spoglądać przez okno. Dzięki temu zrzekał się nonsensownego i niedemokratycznego prawa dowódcy do stałego miejsca przy stole, a jednocześnie mógł napawać się widokiem otoczenia kasyna. Nie dostrzegał stąd głównych budynków obozu, ale widział plac apelowy i park samochodowy, magazyn mundurowy, mały betonowy domek mieszczący centralę telefoniczną i awaryjną radiostację oraz kilka baraków mieszkalnych. Wszystkie te obiekty były obecnie wyludnione, tylko czterech czy pięciu mężczyzn w polowych mundurach szło powoli główną drogą. Poruszali się jak w letargu, w sposób typowy dla znudzonych żołnierzy ściągających ospale do kantyny na telewizję lub partię pokera. Za to przy bramie jak zwykle widniały dwie sylwetki w stalowych hełmach, z trzymanymi w pogotowiu maskami przeciwgazowymi w pozycji bojowej i pistoletami maszynowymi przewieszonymi przez ramiona. W tym momencie wielki zegar stojący za pułkownikiem wybił ósmą. Po kilku sekundach ukazało się kolejnych trzech mężczyzn wychodzących z pobliskiego baraku, którzy sztywno pomaszzerowali ku bramie; był to rozprawdzający podoficer w towarzystwie dwóch nowych wartowników. Zmiany warty dokonano z wzorową dyscypliną. Pułkownik poczuł ulgę. Ktoś jednak zajmował się naprawdę ważnymi sprawami.

Wziął do ręki menu. Na przystawki oferowano awocado lub jajka a la Benedict, a jako główne danie łososia na zimno, pieczoną kaczkę z sosem wiśniowym i zielonym groszkiem oraz deser lodowy z gorącym sosem czekoladowym (jedna ze specjalności kaprała Beavisa). Z win serwowano Kreuznacher St. Martin 1959 i Clos de Vougeot 1957.



Pułkownik zdecydował się na awocado, które błyskawicznie przyniesiono. Miało świeży kolor, ale miejscami opierało się łyżeczce. Zwrócił na ten fakt uwagę tęgawego młodego oficera o raczej ponurym wyglądzie, który siedział po lewej stronie. Był to jego adiutant, kapitan Ross-Donaldson.

- Powinni byli potrzymać je jeszcze dzień lub dwa, by dojrzały - powiedział pułkownik.

- Wciąż trzeba ich pilnować. Wszyscy odetchniemy, kiedy Max Hunter wróci wreszcie z kuracji. A propos, Alastair, kiedy to będzie?

- Chwileczkę, sir. - Ross-Donaldson odwrócił się do swego sąsiada z drugiej strony i powtórzył pytanie. - Churchill sądzi, że jutro, sir.

- W samą porę. Och, mówiłem właśnie o Maxie...

Kiedy pułkownik zwrócił się do lekarza, który siedział na prawo od niego, Ross-Donaldson podjął przerwana rozmowę z Churchillem.

- Cała koncepcja działania defensywnego traci sens - powiedział. - I oczywiście nie chodzi mi jedynie o to, że pole bitwy jest trójwymiarowe. Prawdę mówiąc, podkreślanie tego faktu dowodzi w chwili obecnej niedojrzałości, skoro wiadomo, że trajektoria pocisku może osiągnąć wymiar prawie każdej paraboli. Nie, rezygnacja z myślenia frontowego oznacza także rezygnację z pojęcia kierunku, poza czysto lokalnymi zastosowaniami, a co za tym idzie, cała *raison de se battre* działania defensywnego staje pod znakiem zapytania, choć niewątpliwie nadal będziemy dostrzegać jego wpływy albo przynajmniej resztki wpływów w posunięciach nieprzyjaciela. Moim zdaniem, powinniśmy za punkt wyjścia uznać odpowiednie rozmieszczenie węzłów.

- To znaczy, być tam, gdzie jesteśmy i walczyć ze wszystkim, co widzimy - powiedział Churchill.

- Dolać ci reńskiego? No, tak, choć to naiwne podejście i pomija pewne subtelności. Powinieneś przeczytać artykuł tego faceta w „Kwartalniku Wojskowym”. Pod tytułem, hm... *Węzeł i przeciwwęzeł: Przyszłość działań defensywnych?* Wiesz. Ze znakiem zapytania.

- Brzmi pasjonująco.

- To bardzo dojrzała publikacja. Dawno już takiej nie czytałem. Może od czasu równań van Geldera-Hernandeza-Funcka z roku sześćdziesiątego drugiego. Chciałbyś trochę się rozerwać dziś wieczorem? - dodał Ross-Donaldson nie zmienionym tonem.

- Tak. W jaki sposób?

- Zajrzymy do Lucy. Znasz ją, prawda? Lady Hazell. Och, musisz ją poznać. Spodobasz się jej. Chyba można by nazwać jej przypadek delikatnym kompleksem bachantki z pewnego rodzaju jokastańskim podłożem. Pojedziemy do niej po kolacji.

Skończywszy posiłek, Churchill i Ross-Donaldson wrócili do westybulu, gdzie szybko wypili po filiżance kawy i kieliszku Cockburn 1945. Mogli wyjść bez problemów, gdyż z wyjątkiem cotygodniowych kolacji dla gości pułkownik White wyrzekł się oficjalnych deserów. W hallu Ross-Donaldson zatrzymał się i zwrócił do Churchilla:

- Może lepiej zajrzę jeszcze na stanowisko dowodzenia. Pójdiesz ze mną?

Ruszyli w głąb hallu i na moment stanęli przed drzwiami niegdysiejszego pokoju śniadaniowego. Drzwi rozsunęły się i weszli do środka.

Na ich widok znajdujący się w pomieszczeniu sierżant i kapral stanęli na baczność. Ross-Donaldson kazał im usiąść. Tuż pod belkami sufitu umieszczono ekrany telewizyjne, na których można było zobaczyć główną bramę i kilka ujęć niskiego, długiego budynku otoczonego ogrodzeniem z drutu kolczastego oraz betonową ścieżką. Churchill spojrzął na ekrany i zobaczył, jak żołnierz z przewieszonym przez ramię pistoletem maszynowym przechodzi powoli i bezgłośnie, by za chwilę zniknąć z pola widzenia kamery. Poza tym w pomieszczeniu były dwa telefony, jeden podłączony bezpośrednio do cywilnej centrali, oraz tablica do zdalnego sterowania, którą podziemne kable łączyły odpowiednio z obozową centralą i radiostacją, poza tym wyróżniał się duży czerwony przycisk opatrzony napisem: ALARM OGÓLNY.

- Czołem, Fawkes - powiedział Churchill do kaprała. - Myślałem, że nie ruszacie się ze szpitala; przecież Viet Cong może spiknąć się z kapitanem Hunterem.

- Wczoraj zlikwidowano posterunek, sir - powiedział Fawkes. - Widocznie kapitan Leonard uznał, że czerwonym już się odechciało. Wróciłem akurat w samą porę, żeby trafić na służbę tutaj. Zresztą podobno kapitan Hunter i tak jutro wychodzi.

Fawkes mówił ze zwykłą swadą, ale wyglądał źle. Był blady, a jego górną wargę pokrywał pot.

- Dobrze się czujecie, Fawkes? - spytał Churchill. - Coś nie tak?

- Trochę boli mnie głowa, ale to drobiazg.

- Mogę wam jakoś pomóc? Jeśli chcecie, to zastąpię was kimś innym.

- Nie, nic mi nie jest, słowo daję. Ale dziękuję bardzo, sir.

Rozległ się dźwięk brzęczyka. Sierżant wstał, podszedł do drzwi i spojrzął przez grubą, jednokierunkową szybę.

- Przynieśli nam herbatę, sir - powiedział. - Mogę otwierać?

- Oczywiście - odparł Ross-Donaldson.

Sierżant nacisnął guzik i drzwi rozsunęły się. Wszedł dobrze zbudowany młody mężczyzna około dwudziestki z dwoma półlitrowymi porcelanowymi kubkami w dłoniach. Na

widok oficerów wyprężył się. Unikając śmiechomości, zdołał w geście przypominającym postawę na baczność ustawić naczynia na stole, po czym odwrócił się i zasalutował Rossowi-Donaldsonowi.

- Szeregowy sygnalista Pearce, sir - powiedział Fawkes.

- Dobry wieczór, Pearce - odparł Ross-Donaldson. - Proszę sobie nie przeszkadzać.

Churchillowi przypomniało się, że słyszał to nazwisko od Huntera. Uderzył go zdrowy wygląd cery i oczu młodego człowieka oraz wyjątkowa schludność jego munduru. Gdyby nie inteligentny wyraz twarzy, pomyślał Churchill, byłby z niego dobry model do plakatu werbunkowego.

Sierżant i Ross-Donaldson zaczęli rozmawiać o inspekcji uzbrojenia, która miała nastąpić nazajutrz rano. Churchill odwrócił się w ich stronę. Usłyszał przyciszony głos Pearce'a:

- Nic innego nie mogłem dostać. Masz zażyć trzy teraz i jeszcze dwie około pierwszej w nocy. Pamiętaj, że od dziesiątej będę w centrali i możesz do mnie zadzwonić, gdybyś czegoś potrzebował.

- Dziękuję, Andy. Nie martw się o mnie.

Rozległ się dzwonek wewnętrznego telefonu.

- Stanowisko dowodzenia, kapral Fawkes, słucham. Zgadza się. Zaczynacie za pięć minut, o... dwudziestej pierwszej dwadzieścia pięć. W porządku. Cześć. - Fawkes zwrócił się do Rossa-Donaldsona. - Chodzi o sprawdzenie reflektorów, sir.

- Dziękuję, Fawkes... Cóż, sierzancie, obawiam się, że oni zjawią się nawet za cenę bezsennej nocy. Mam nadzieję, że nie będę musiał niczego sprawdzać dwa razy. Coś jeszcze? Aha, kto jest oficerem dyżurnym?

- Kapitan Leonard, sir.

Jako oficer bezpośrednio odpowiedzialny przed pułkownikiem za dyscyplinę w jednostce Ross-Donaldson uznał widocznie, że nie powinien w żaden sposób reagować na to nazwisko. Nie patrząc na nikogo, przechylił głowę mniej więcej o cal, powiedział „dobranoc” i wyszedł.

Churchill ruszył za nim. W hallu wpisali się do książki wyjść wyłożonej na eleganckim rozkładanym stoliku. Ross-Donaldson zapisał w niej numer telefonu, pod którym można ich szukać i klamrą połączył go z oboma nazwiskami, po czym zawahał się.

- Lepiej zadzwonię i upewnię się - powiedział. - Nie czekaj na mnie.

Zapalając papierosa, Churchill wyszedł na dwór i powolnym krokiem ruszył w stronę oficerskiego parkingu. Po drodze musiał przejść obok bloku D4.

\*

Skrót D4 oznaczał długi, parterowy budynek, który Churchill przed chwilą oglądał na ekranach telewizorów ze stanowiska dowodzenia. Ze względu na to, co znajdowało się wewnątrz obiektu, pułkownik musiał bardzo starannie rozstawiać posterunki wartownicze. Latarnie oświetlały sam budynek i otaczającą go ścieżkę, na której Churchill dojrzał dwóch kroczących powoli wartowników. Nieco dalej można było zauważyć dwie inne postaci, żołnierzy patrolu, który przez cały czas kontrolował to miejsce. Mijali właśnie podstawę stalowego rusztowania tworzącego stanowisko karabinu maszynowego, także stale obsadzonego. Drugi karabin znajdował się na dachu kasyna. Były to wielkokalibrowe karabiny zamontowane na trójnogach. Używały pocisków 12,75 mm o płaszczu stopowym, które wystrzeliwały (o czym można było przekonać się podczas niedawno przeprowadzonego alarmu ćwiczebnego) z ogromnym hałasem. Pociski takie bez trudu przebijały pancerz każdego pojazdu, jaki, zdaniem pułkownika White'a, mógł być wykorzystany przy próbie opanowania D4. Zwykły samochód pancerny zmieniłby się w rzeszoto w ciągu kilku sekund. W razie zmasowanego ataku czołgów, co w czasie pokoju jest mało prawdopodobne, lecz niewykluczone, pułkownik miał wezwać pomoc z pobliskiej bazy RAF-u.

Churchill przyjrzał się blokowi D4. Myśl o tym, co się w nim kryje, nie robiła na nim większego wrażenia. Kiedy trzy tygodnie temu dwie pięciotonowe ciężarówki eskortowane przez cały pluton zmotoryzowany dostarczyły doń pewną liczbę dużych zapieczętowanych skrzyń, poczuł zaledwie słabe podniecenie. Tej nocy budynek nieprzyjemnie przypominał mu o świecie, który zaczął znikać niemal jeszcze zanim on nauczył się chodzić i mówić, ale który znał z różnych świadectw. Fakty te jednak nie były aż tak niemiłe jak przyszłość, którą zdawał się zapowiadać widok bloku D4. Churchillowi chodziło raczej o jego własną przyszłość, a nie tę rozumianą ogólnie. Gdy stał w mroku, czekając na Rossa-Donaldsona, przypominał sobie moment śmierci gońca przed pięcioma dniami, a zaraz potem w jego myślach pojawił się obraz dziewczyny, którą ujrzał nieco wcześniej tego samego popołudnia.

W tym momencie blok D4 i jego okolicę zalało jaskrawe światło włączanych reflektorów. Churchill niemal podskoczył, a przysiągłby, że i wartownicy na ścieżce potknęli się w swym marszu. Spotkali się i minęli w pobliżu jedynej bramy znajdującej się w ogrodzeniu, po czym kolejno zniknęli za narożnikami budynku. Na ćwierć minuty wszystko zastygło w bezruchu. Potem światła zgasły, ich odbłask skurczył się, zawirował i znów urósł w oczach Churchilla. Próba reflektorów potwierdziła ich sprawność.

Zjawił się Ross-Donaldson, który powiedział:

- To było w pewnym sensie dość nieoczekiwane. Teoria maskowania drugiego stopnia w warunkach pokoju. Ktoś taki jak stary Chalky White powinien raczej oświetlać teren reflektorami przez całą noc, żeby nawet rosyjscy kosmonauci w drodze na Księżyc mogli dostrzec D4, nie mówiąc już o ewentualnych wścibskich przybyszach w wiosce. Dzwoniłem dwa razy, ale jej numer był zajęty.

- Cóż, wiemy przynajmniej, że jest w domu - powiedział Churchill, kiedy wsiadali do jeepa Rossa-Donaldsona.

- Niekoniecznie. Sygnał zajętego numeru rozlega się za każdym razem, gdy działają obwody łączące aparatu, co dzieje się także wtedy, gdy inny abonent wykręca jej numer. A ludzie bez ustanku próbują wykręcić numer Lucy. To jedna z jej charakterystycznych cech. Jej i jej numeru. Oczywiście, byłem tu już na kilka tygodni przed tobą i całą grupą B1, dzięki czemu miałem więcej czasu na rekonesans i mniej konkurentów, przynajmniej na początku. Ale i tak dziwię się trochę, że nie poznałeś jeszcze Lucy ani ona ciebie. Myślę, że większość naszych kolegów odwiedziła już jej dom co najmniej raz, poza przypadkami w rodzaju Leonarda czy Venablesa. I Willie'ego Ayscue'a. I Hindusów, i Pakistańczyków. Jak się dobrze zastanowić, to okazuje się, że jednak sporo ludzi u niej nie bywa. Adiutant i porucznik Churchill. W celach wypoczynkowych.

Te ostatnie słowa skierowane były do kaprała, który wyszedł z wartowni i zapisał ich nazwiska oraz cel wyjazdu. Jeden z żołnierzy otworzył bramę, masywną płytę ze stali i betonu, którą chyba tylko spory pocisk artyleryjski mógłby wyważyć z zawiasów, a drugi bacznie przyjrzał się drodze, jakby zdawał sobie sprawę z tego, że jest to dobry moment na atak nieprzyjacielskich motocyklistów, jeśli takowi ukryli się gdzieś w pobliżu.

Skreślili w prawo na zwykłą polną drogę, a po chwili zawrócili w lewo. Pięćdziesiąt metrów dalej przejechali przez szeroką szosę i kontynuowali podróż boczną drogą otoczoną po obu stronach wysokimi żywopłotami. Ross-Donaldson natychmiast powtórzył to, co mówił już do kaprała:

- W celach wypoczynkowych. To chyba dobre określenie. Myślisz, że Leonardowi przyda się do czegoś informacja, że wypoczywaliśmy?

- Widocznie musi wiedzieć o takich rzeczach. Choć zastanawiam się, na co mogą mu się przydać te wiadomości dostarczane z wartowni. Gdybyśmy byli szpiegami udającymi się na spotkanie z łącznikiem, to raczej nie powiedzielibyśmy o tym temu kapralowi. I wyjeżdżalibyśmy o różnych porach i tak dalej, żeby...

- Wszechstronna randomizacja harmonogramu, sprawiająca wrażenie autentycznej przypadkowości. Właśnie. Jednak jestem pewien, że Leonard zdaje sobie z tego sprawę równie

dobrze jak my. Najpierw musi zająć się rzeczami oczywistymi. Dopiero potem zacznie nas zaskakiwać. Nie jest ci zimno?

Jeep pozbawiony był bocznych okienek, lecz wpadające do środka powietrze było ledwie chłodne. Wyczuwało się lekki zapach ziemi i roślin. Poza światłami samochodu nic nie mąciło ciemności.

- Ani trochę - powiedział Churchill, po czym dodał: - Dlaczego Hindusi i Pakistańczycy nigdy nie zaglądną do tej Lucy?

- Och, chyba domyślają się, że nie zdołaliby zaprzyjaźnić się z nią.

- Lubi tylko Europejczyków?

- Nie mam pojęcia. Zapal mi papierosa, Churchill, dobrze? Nie, chodzi o ich gusty. Ona nie miałaby nic przeciwko nim, o ile ją znam. Jeden z nich opowiadał mi parę dni temu, że wszyscy mają bardzo cudowne, bardzo kochające żony w Bombaju lub w Karaczi. Był to chyba twój przyjaciel Moti Naidu.

- Nie sądzę, żeby mógł powiedzieć coś podobnego.

- Przepraszam, wiem, że ze mnie kiepski parodysta. Muszę z tym skończyć.

- A co tu mają do rzeczy żony w Bombaju?

- Cóż, ja akurat tego nie rozumiem.

- Ale dlaczego z tego powodu nie mieliby odwiedzać Lucy?

- Ja odwiedzałbym ją nawet, gdybym był żonaty, ale Azjaci mają bardzo surowe zasady, jeśli chodzi o wierność małżeńską.

- Czy chcesz mi wmówić, że każdy, kto tam wchodzi, musi wylądować w łóżku tej kobiety?

- Zazwyczaj. Opowieści o Indiach raczej by ją znudziły.

Churchill poczuł lekki niepokój.

- Boże drogi, a cóż to za układy?

- Można by to nazwać *maison a une fille*. Oddaje się tak zwanej swobodnej poliandrii.

Sam się przekonasz.

- Boże drogi.

- Myślałem, że już ci to dałem do zrozumienia. Zresztą wszystko jest świetnie zorganizowane. Trzeba być wyjątkowo pruderyjnym, aby źle się u niej czuć.

- Czy jest ładna?

- Wystarczająco. Wydaje mnóstwo pieniędzy na ubrania, biżuterię i temu podobne. Jest wdową po facecie, który zrobił wielki majątek na produkcji mebli, tak wielki, że musieli nadać

mu tytuł szlachecki. Małżeństwo nie trwało zbyt długo, a mąż cieszył się swym szlachectwem jeszcze krócej, bo wypadł ze swego jachtu na Adriatyku i utopił się. Dzieci też nie mieli.

- A co ona robiła, zanim wyszła za mąż?

- Nie wiem. Nigdy o tym nie opowiada, a mnie to wcale nie interesuje. Nie wiem nawet, od kiedy uprawia ten proceder. Wydaje się, że robi to już od dawna, ale chyba w tej dziedzinie szybko dochodzi się do wprawy.

W myślach Churchilla nerwowość mieszała się z niecierpliwym oczekiwaniem. Po chwili namysłu stwierdził, że choć nie wie, co go czeka i ilu innych mężczyzn może zatęsknić tego wieczora za towarzystwem Lucy, to poczułby raczej rozczarowanie niż ulgę, gdyby z jakichś powodów nie mógł zawrzeć z nią znajomości. Myśl ta dodała mu otuchy; zauważył, że nie może już doczekać się końca jazdy.

- Daleko jeszcze? - zapytał.

- Dojeżdżamy do klasztoru Świętego Hieronima, a to mniej więcej połowa drogi. Klasztor jest za tą górą po lewej stronie. Nie widać go z szosy. Zresztą, z której strony by go nie wypatrywać, to trudno go dojrzeć. Znajduje się na szczycie wzniesienia, które można by uznać za idealny płaskowyż, choć w okolicy należałoby oczekiwać jeszcze kilku innych tego typu ukształtowań terenu, ale ja nie zlokalizowałem żadnych. Sądzę, że jest to raczej pozostałość bardzo szerokiego pasa pionowych warstw skalnych, którego zbocza poddane były działaniu śniegu i zmieniły się na skutek erozji w płaski grzbiet górski. Nawiasem mówiąc, znakomita pozycja obronna.

- Ten klasztor to już raczej ruiny, prawda?

- Zachodnia część kaplicy i narożnik refektarza zachowały się w dość dobrym stanie, ale w innych miejscach mury sięgają na wysokość najwyżej metra. Cromwell zniszczył je do tego stopnia, że potem już chyba nikt nie miał ochoty na ich odrestaurowanie. Zresztą samo zbudowanie klasztoru też musiało sporo kosztować. Wszystko trzeba było transportować na grzbietach jucznych zwierząt.

Po następnych dwudziestu minutach jazdy skręcili z drogi w kamienną bramę i pomiędzy dwoma rzędami drzew podjechali do sporego domu. Churchill uświadomił sobie, że trasa ich podróży układa się wzdłuż przekątnej kwadratu, w którego dwóch przeciwległych narożnikach znajdują się wioska i szpital psychiatryczny, a w środku stoi klasztor. W oknach domu paliły się przyćmione światła.

Ross-Donaldson zaparkował jeepa obok dwóch innych samochodów. Wsiadł i wygładził kurtkę munduru.

- Brzuch mi rośnie - powiedział z przygnębieniem. - Za dużo tutaj jemy i pijemy. Ale nie rozumiem, dlaczego otyłość ma złe skutki. W końcu gdybyśmy przez cały czas chodzili i biegali w specjalnych kombinezonach obciążonych kilkunastoma kilogramami piasku, z pewnością bylibyśmy znacznie bardziej sprawni i wysportowani, nasze mięśnie pracowałyby intensywniej, więcej byśmy wypocili. To przecież byłaby równowartość kilkunastu kilogramów nadwagi. A więc dlaczego grubasy nie chudną? Facet w takim kombinezonie szybko by schudł.

- Chyba coś tu nie gra - powiedział Churchill, gdy stanęli w rozłożystym portyku.

- Widocznie. Mam nadzieję, że Lucy nie wyjechała do Saint Tropez, zostawiając w domu zapalone światła. Choć jest to w jej stylu. A, proszę.

Drzwi uchyliły się nieznacznie. Męski głos wypowiedział parę słów.

- Dobry wieczór - rzekł Ross-Donaldson. - Przyszliśmy w odwiedziny do lady Hazell.

- Kim pan jest?

- Jej znajomym. A pan?

Znów rozległy się ciche, niezrozumiałe słowa, tym razem wypowiedziane zrzędlwym tonem, i wreszcie drzwi rozwarły się na oścież. Wchodząc za Rossem-Donaldsonem do środka, Churchill rozglądał się w poszukiwaniu człowieka, który je otworzył, lecz nie dostrzegł nikogo. Fakt ten zdziwiłby go jeszcze bardziej, gdyby hall był lepiej oświetlony. Panujący w nim półmrok rozpraszało jedynie anemiczne, różowawe światło kilku żarówek znajdujących się na schodach lub w ich pobliżu, w drugim końcu pomieszczenia. Nad schodami wisiał olbrzymi gobelin przedstawiający jakiegoś mitycznego bohatera lub bestię. Z pozostałych ścian spozierały podobne postacie, których trójwymiarowe odpowiedniki stały na podłodze. Na wprost wejścia znajdowały się drzwi, w tej chwili otwarte, zza których dochodziło nieco silniejsze światło. Tam właśnie skierował się Churchill.

Znalazł się w pomieszczeniu wypełnionym obrazami i rzeźbami, podobnie jak hall. Sprawiały one wrażenie tak niesamowitego tłoku, że dopiero po pewnym czasie stwierdził, iż jest tu tylko czterech żywych ludzi. Dwaj czy trzej mężczyźni pokrzykiwali na siebie.

- Dawaj klatkę.

- Nie mam zamiaru tego podnosić.

- Nie widzisz, że ona się boi? Daj jej na chwilę spokój.

- No, dalej, łap ją i kończymy już z tym.

Jeden z mężczyzn stał na półce nad kominkiem, lewą dłonią trzymając się narożnika ozdobnej ramy obrazu, a prawą machając w powietrzu nad głową. Zza jego biodra wychylała się twarz w peruce.



- Gin z tonikiem - mówił mężczyzna przymilnie. - Gin z tonikiem, gin z tonikiem, gin z tonikiem.

- Gin z tonikiem - odezwał się inny, upiorny głos.

- Chodź tu, idiotko.

Mężczyzna szybko wyciągnął rękę i stracił równowagę, a jego upadek wywołał kołysanie obrazu. Mężczyzna spadł z hałasem na stół, fotel i róg dużego biurka, lecz jak się po chwili okazało, nie zrobił sobie krzywdy. Jednocześnie mały ciemny kształt oderwał się od haka, na którym wisiał obraz, gdzie go prawie nie było widać, i bijąc skrzydłami poleciał na środek pokoju. Szara papuga z łysiną na czubku głowy zręcznie usadowiła się na prawym ramieniu Rossa-Donaldsona.

- Dobra, teraz niech się pan nie rusza i już ją mamy. Szybko, dajcie tu klatkę. Wszystko w porządku, ptaszku, gin z tonikiem.

- Gin z tonikiem.

Papuga udała, że pije z podsuniętej do połowy napełnionej szklanki.

- Właśnie, uwielbiasz to, prawda, pijaczyno?

- No. Dalejże, włącz, do diabła.

- Nie może, łapa jej się zaplątała w tych drutach, które on ma na ramieniu.

- To skuwka od akselbantów - powiedział Ross-Donaldson. - Część ubioru adiutanta.

- Część czy nie część, trzeba ją z tego, do licha, uwolnić. Trzeba...

- To na nic, ktoś musi ją przytrzymać.

Ponieważ nikt nie poruszył się, Churchill chwycił ptaka za skrzydła. Serce papugi było bardzo szybko. Po chwili otrzymał uderzenie dziobem w palec. Nie rozluźnił uchwytu, wpuścił ptaka do klatki i zaczął ssać ranę.

- Pokaż mi to - powiedział Ross-Donaldson.

- Ma pan szczęście, że nie złapała za palec, bo mogłaby uszkodzić kość. To złośliwe stworzenie.

Churchill spostrzegł, że w pokoju przybyła jedna, a może dwie osoby. Gdy Ross-Donaldson oglądał jego skaleczony palec, do Churchilla dotarł od tyłu powiew perfum i odgłos szeleszczącej sukni. Jego dłoń ujęła delikatnie inna ręka, szczupła, chłodna i sucha, należąca, jak zauważył, do kobiety średniego wzrostu, ciemnowłosej, o bladej cerze i w trudnym do określenia wieku. Zobaczył także elegancką suknię, kolczyki i naszyjnik.

Ross-Donaldson powiedział:

- Lucy, pozwól, że ci przedstawię jednego z mych towarzyszy broni, porucznika Jamesa Churchilla z Błękitnego Pułku Howarda. Churchill, oto lady Hazell.

- Miło mi pana poznać, panie Churchill. - Lady Hazell kilkakrotnie potrząsnęła jego dłonią. - Nic tu nie widać - dodała zgodnie z prawdą. - Zaprowadzę pana do łazienki.

Wciąż trzymając rękę Churchilla, pociągnęła go do przeciwległego rogu pokoju, gdzie zaczynały się wąskie schody o stopniach wykładanych linoleum, biegnące wzdłuż ścian z łuszczącym się tynkiem. Na piętrze w zupełnych niemal ciemnościach przeprowadziła go przez kilkumetrowy odcinek. Podłoga pod stopami Churchilla wydawała dźwięk wskazujący na to, że jest zrobiona z surowych desek. Wreszcie lady Hazell zapaliła żarówkę, której światło tak go oślepiło, że zmrużył oczy.

Pomieszczenie, w którym stali, było rzeczywiście łazienką, na co wskazywały znajdujące się tu wanna, umywalka i sedes. Churchill nie mógł jednak wyobrazić sobie, aby ktokolwiek dobrowolnie zechciał kąpać się w tym miejscu. Część podłogi pokrywał dywan o wytartym wzorze, a sądząc z wyglądu był wilgotny. W kącie stały dwie stare puszkę z farbą obok równie starej szczątki klozetowej, a na parapecie pozbawionego zasłon okna dostrzegł kilka słoików po dżemie, w większości pustych, choć na dnie jednego czy dwóch można było dostrzec odrobinę jasnobrazowej cieczy. Żarówka była pozbawiona klosza.

Churchill poczuł, że w ciągu dwóch sekund, które zajęła mu pobieżna lustracja pomieszczenia, lady Hazell przyglądała mu się uważnie. Nie zdradziła, jakie zrobił na niej wrażenie, kiedy miłym, nieco zachrypniętym głosem powiedziała:

- Straszny tu bałagan. Niestety, rzadko korzystamy z tej części domu. A teraz, proszę mi pokazać skaleczenie. Muszę pana przeprosić za zachowanie biednej Sadie. Była zdenerwowana i wyładowała się na pana, choć był pan jedynym odważnym człowiekiem, który usiłował coś zrobić. Tak to już bywa. Ale, Bogu dzięki, nie wygląda to poważnie. Czy bardzo boli?

Churchill przyglądał się lady Hazell z zaciekawieniem. Stwierdził, że pod wieloma względami wygląda ona znacznie lepiej niż się spodziewał. Przede wszystkim miała najwyżej trzydzieści pięć lat, może nawet mniej. A jemu wydawało się, że aby prowadzić taki styl życia, trzeba mieć co najmniej czterdzieści kilka lat. Poza tym była bardziej atrakcyjna, niż można by wnioskować ze słów Rossa-Donaldsona, który określił ją jako „wystarczająco ładną”. Cere miała gładką i jasną, a nie bladą, zaś na tym tle wyraźnie odcinały się czarne brwi i gęste rzęsy. I choć sylwetkę kobiety kryła suknia o wyszukanym kroju, to ani ona, ani sam strój nie wyglądały źle. A co najważniejsze, zachowywała się spokojnie, bez egzaltacji. Churchill wiedział doskonale, że to pozory, był jednak zadowolony, że dotychczas nie rzuciła się na niego z lubieżnym zamiarem, co wyobrażał sobie, kiedy Ross-Donaldson opowiadał mu o niej.

- Co? Och. Nie... wszystko w porządku, dziękuję. Palec na szczęście przestał już krwawić.

- To dobrze. Ale chyba musimy to zdezynfekować, obmyć i tak dalej. A więc...

Otworzyła szafkę, której drzwiczki były wyposażone po wewnętrznej stronie w popękane i upstrzone plamkami lustro. W środku znajdowało się około setki butelek bez korków, tubek pozbawionych zakrętek i otwartych puszek. Po chwili lady Hazell znalazła buteleczkę z brunatną cieczą.

- Jodyna. Akurat nam się przyda. Ale najpierw trzeba przemyć ranę.

Odkręciła jeden z kurków znajdujących się nad umywalką. Łazienkę wypełnił głośny wibrujący jęk, który po chwili przeszedł w pisk i ucichł. Z kranu buchnął strumień wody, który po pewnym czasie zmniejszył się do skąpego ciurkania, by za chwilę znów popłynął obficie.

- Zobacz pan, w końcu zrobi się ciepła. A teraz, panie Churchill, myślę, że chciałby pan zostać sam. W szafce znajdzie pan plaster. Niech pan naleje sobie coś do picia, dobrze?

Zanim wyszła, spojrzała na niego wzrokiem, który na pewno miał coś oznaczać, lecz Churchill nie wiedział co. Być może zdążył już oblać jakiś ważny egzamin i nigdy więcej nie będzie mu dane znaleźć się w pobliżu tej kobiety. Wyciągnął zdrową dłoń pod kran, z którego płynął teraz równomierny, lecz zimny strumień wody, i zamyślił się. Czyżby miał zabrać się do zdzierania z niej sukni, ledwo tu weszli? A jeśli tak, to czy byłaby to tylko rytualna manifestacja gorliwości, która zostałaby odnotowana i później wzięta pod uwagę, czy też sprawy potoczyłyby się już z góry ustalonym biegiem? A jeśli tak, to gdzie? Tutaj? W takim razie, słowo „gorliwość” byłoby raczej eufemizmem. A może Ross-Donaldson po prostu wyssał całą opowieść z palca? Z nim nigdy nie wiadomo.

I czego miał sobie nalać do picia? Czyżby w szafce były resztki jakichś leczniczych nalewek? Zajrzał do wnętrza, ale po chwili zrezygnował z poszukiwań. Ryzyko, że butelki posypią się do umywalki, było zbyt wielkie, a poza tym nie miał ochoty na resztki pochodzące z takiego źródła.

Woda z kranu osiągnęła ostatecznie temperaturę pośrednią między zimną a letnią. Obmył palec ledwo pieniającym się kawałkiem szarego mydła i wytarł ręce chusteczką. Po chwili namysłu połał skaleczone miejsce jodyną. Jedyńm skutkiem tego zabiegu było pojawienie się na skórze czerwonej plamy. Z plastra postanowił zrezygnować. Skorzystał z klozetu, przyglądał przed lustrem włosy, zapalił papierosa i powoli, po omacku dotarł do schodów.

W pokoju, do którego powrócił, nie było nikogo. Zaczął nasłuchiwać. Rozległ się odgłos uruchamianego silnika i odjeżdżającego samochodu. Nie był to jednak, jak zląkł się w pierwszej chwili, odgłos jeepa. Ostrożnie przeszedł przez hall, otworzył frontowe drzwi i wyjrzał na dwór. Jeep stał tam, gdzie go zaparkowali, a na podjeździe rozświetlały mrok tylne

światła innego samochodu. Zamknął drzwi i znowu nastawił ucha. Panowała absolutna cisza. Po grubych dywanach podszedł do schodów. Stąd wyraźnie dostrzegł, że gobelin, który zauważył zaraz po przyjściu, przedstawia jednak postać ludzką, dziewczynę w długiej białej sukni spoczywającą nad brzegiem stawu lub strumyka. Na szczycie schodów nic nie zwróciło jego uwagi.

Powróciwszy tam, skąd przyszedł, usłyszał papugę poruszającą się w klatce. Skierował się ku niej, lecz po drodze zauważył tacę z butelkami, szklankami i wiaderkiem wypełnionym lodem. Teraz zrozumiał, czego miał sobie nalać. Z uśmiechem zmieszał gin z tonikiem i lodem. Goście, na których natknął się tu przedtem, nie przypadli mu do gustu. Niewątpliwie wyproszono ich z domu. Od momentu, gdy lady Hazell zostawiła go w łazience minęło najwyżej pięć minut, co oznaczało, że przebywał w tym domu nie dłużej niż kwadrans. Bardzo go to zdziwiło. Jednak nurtowało go pytanie: jak długo jeszcze zostanie sam i jak ma wypełnić ten czas?

Znów ruszył w kierunku papugi. Ta, nie spuszczać z niego wzroku, pazurami i dziobem uczepiła się tylnej ścianki klatki. Po chwili zapomniała o nim i znieruchomiła w tej niewygodnej pozycji. Churchill kilkakrotnie zawołał ją po imieniu, ale bez skutku. Znużony, zaczął przyglądać się obrazom. W większości były to portrety. Nie wiedział, czy malarze wiernie oddali wygląd postaci, lecz w panującym półmroku twarze przedstawione na niektórych obrazach zdawały się tak brzydkie, że nie mógł wyobrazić sobie, w jaki sposób uniknęły zniszczenia po śmierci modela (albo i jeszcze wcześniej), chyba że przetrwały dzięki interwencji jakiegoś bliskiego krewnego. Nad kominkiem wisiało jedno z takich właśnie płócien: przedstawiało mężczyznę w średnim wieku, o wyłupiastych oczach i zirytowanym wyrazie twarzy, której malarz raczej bez większego skutku starał się nadać rysy władczości. Obraz był nieco przekrzywiony, prawdopodobnie przez mężczyznę, który gonił papugę. Churchill wyprostował go. Na półce nad kominkiem zauważył zdjęcie w ramce. Przyjrzał się twarzy przedstawionej na nim dziewczyny i choć odcienie były przesadnie skonstrastowane, stwierdził, że góruje ona urodą nad innymi postaciami, których podobizny znajdowały się tu. Przypominała mu nieco kogoś, jednak nie zdołał jej zidentyfikować. Odstawił fotografię na miejsce.

Nagle do Churchilla z niespotykaną pewnością dotarła myśl, iż będzie musiał spędzić tu całą noc, zapomniany przez Rossa-Donaldsona i lady Hazell, pozbawiony jakiegokolwiek zajęcia, jakichkolwiek książek, a nawet - bezskutecznie pstryknął przełącznikami przy drzwiach - światła. Dokończył gin z tonikiem i przyrządził sobie nową porcję: pił znacznie

szybciej niż zazwyczaj. Zresztą i to normalne tempo picia wzrosło od momentu gdy wraz z innymi oficerami z grupy B1 poznał całą prawdę o charakterze operacji „Apollo”.

Nie chciał teraz o tym myśleć. Z pełną szklanką ruszył w stronę hallu, jednak rozmyślił się i zawrócił do przeciwległego rogu pokoju. Tam, obok schodów znalazł drzwi, za nimi jadalnię, w której stał długi stół, lecz nie było krzeseł, a dalej kuchnię, oświetloną normalnym światłem. Było tutaj czysto i porządnie, lecz brakowało żywności i kuchennych naczyń. W lodówce znajdowało się jedynie mnóstwo tacek do lodu i siedem lub osiem puszek soku pomidorowego. Wyglądało na to, że poza sokiem lady Hazell żywi się wyłącznie jajkami, czarną kawą i różnymi przyprawami. Na stole leżała gazeta, otwarta na stronie zawierającej relacje z wyścigów konnych. Przez kilka minut Churchill czytał na stojąco, sącząc swój napój. Potem usłyszał, że Ross-Donaldson woła go z salonu.

- Niedługo to trwało - powiedział Churchill, wróciwszy do niego.

- Nie - powiedział Ross-Donaldson. Wyglądał normalnie i przypatrywał się jakiemuś obrazowi. - Gdzie byłeś?

- W kuchni. Wiesz, rozglądałem się.

- Zauważyłeś może jakąś kawę?

- Owszem. Mnóstwo.

- Napiłbym się. Ty też?

- No, tak, ale...

- Ach, oczywiście, przepraszam. Drugie drzwi po lewej stronie w korytarzu na piętrze. I byłbym ci naprawdę bezgranicznie wdzięczny, gdybyś zbytnio nie przedłużał pieszczot. Nie musisz się śpieszyć, ale zanim wrócimy do obozu i położymy się spać, minie godzina, a jutro o dziewiątej jest ta inspekcja uzbrojenia. Baw się dobrze.

Dopiero teraz Churchill naprawdę uwierzył, że i jemu przypadną jakieś korzyści z tej wyprawy. Wspinając się po ciemnych schodach, czuł przyjemne podniecenie, był pewien, że zdoła od ręki pokonać wszelkie przeszkody, które na niego czekają.

Lady Hazell leżała na środku bardzo dużego łóżka, przykryta aż po szyję. W panującym tu półmroku wydawało się, jakby wszystkie przedmioty w pokoju były z jedwabiu lub aksamitu, ale zanim Churchill zdążył sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest, odezwała się do niego:

- Chodzi o to, żebyś rozebrał się i położył do łóżka. Tak będzie najlepiej.

Zrobił, jak mu kazała. Znalazłszy się w łóżku, stwierdził, że i ona jest naga. Jej ciało było cudownie ciepłe, pięknie ukształtowane, silne, zadbane, zdrowe: po prostu młode. Mgliście przypomniał sobie, iż spodziewał się, że w jakiś sposób nie będzie mu ona

odpowiadać, że będzie reagować z przesadą albo wcale, ale było wspaniale, udało się. Już po wszystkim lady Hazell pogłaskała go po karku i uśmiechnęła się.

- Jak mam do ciebie mówić? - spytała. - James, Jim, Jimmy czy może jeszcze inaczej?

- James.

- James, nagle strasznie zachciało mi się spać. A jest dopiero jedenasta. Chyba nie jestem dziś w formie. Czy pomyślałbyś, że jestem paskudna, gdybym cię teraz wyprosiła?

- Ani trochę.

Wstał z łóżka.

- Łazienka jest tam. Możesz ze mną rozmawiać.

Łazienka bynajmniej nie przypominała tamtej, w której był poprzednio. Znajdował się w niej jaskrawoczerwony dywan, w który zapadły się jego stopy, a tapety przedstawiały kolumnady i ozdobne fontanny. Wanna była z pięknego bladozielonego marmuru. Papier toaletowy był w dwóch rodzajach. Odwróciwszy głowę przez ramię zapytał:

- Czy mieszkasz tu sama?

- Przez ostatnie parę miesięcy, tak. Pomaga mi pani Stoker. Mieszka przy drodze, niedaleko stąd. Przychodzi tu codziennie rano, robi mi śniadanie, zmywa naczynia i sprząta, a potem u siebie przygotowuje dla mnie obiad, który pan Stoker przynosi mi na tacy. On również sprząta klatkę Sadie i wykonuje inne tego typu czynności. A wieczorem lubię się czegoś napić i wtedy nie czuję się samotna. Ale od jutra będzie inaczej.

- A co się stanie jutro?

- Jutro wraca moja bliska przyjaciółka. Ma na imię Cathy. Była w szpitalu, ale już wyzdrowiała. Musisz zajrzeć tu jeszcze kiedyś i poznać ją.

Churchill wrócił do pokoju i zaczął się ubierać. Wydawało się, że lady Hazell zasnęła. Pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby wchodząc do domu, nie natknął się na tych mężczyzn i gdyby przyjechał tu sam. Nabierał coraz większej pewności, że już tu więcej nie wróci. Druga wizyta zapewne nie będzie tak przyjemna. A jeśli powrót tu sprawi mu satysfakcję, to tym bardziej będzie skrepowany obecnością innych mężczyzn. A może w końcu przestanie zwracać na nich uwagę. Myśl ta nie przypadła mu jednak do gustu.

Skończył się ubierać i podszedł do łóżka. Lady Hazell leżała na plecach, w takiej samej pozycji, w jakiej była, gdy wstawał z łóżka. Nie chciał wyjść, nie powiedziawszy jej „dobranoc”, ale nie wiedział, czy może ją zbudzić. Delikatnie położył dłoń na poduszce obok jej głowy, a kobieta natychmiast otworzyła oczy.

- Spodoba ci się - powiedziała. - Jest bardzo miła. Och, chcesz już iść?

- Tak.

- Powiedz Alastairowi „dobranoc” ode mnie. James, ile masz lat?

- Dwadzieścia cztery.

- Chyba myślisz sobie, że jestem strasznie stara.

- Wcale nie.

Pocałował ją.

- Widzisz, pewnego dnia stwierdziłam, że pragnę żyć w taki właśnie sposób. Wiem, że musi być jakaś tego przyczyna, ale oczywiście nie mogę wiedzieć jaka, prawda? A teraz nie musisz już tu siedzieć, bo wiem, jak daleko jest stąd do obozu. Ale przyjedź jeszcze kiedyś, by poznać Cathy.

- Oczywiście. Dobranoc, Lucy.

\*

Dla oficerów i żołnierzy z jednostki, którzy przyjeżdżali do wsi po zakupy lub do gospody, udogodnieniem był fakt, że osada znajdowała się dość blisko obozu. Miejscowe rzemiosło, które nigdy nie stanowiło potęgi, bardzo podupadło w ciągu minionych dziesięcioleci, a region ten nie przyciągał też poszukujących możliwości inwestycji przemysłowców. Tak więc wioska wyludniła się i nabrała nieprzyjemnego, zaniedbanego wyglądu, co zniechęcało zamożniejszych mieszkańców pobliskiego miasta do osiedlania się w niej. Mimo to od niedawna wielu zaczęło przyjeżdżać w letnie wieczory do gospody „Pod Białym Jeleniem”, jedynej w wiosce, a roszczącej sobie pretensje do elegancji. Odnowione wewnątrz wyposażono w mały grill, ustawiono stoliki w ogródku i zatrudniono nowe atrakcyjne barmanki, przyciągające przyjezdnych klientów bardziej niż miejscowe dziewczęta, które dotychczas tu pracowały.

Catharine Casement przyjęła posadę barmanki w barze „Pod Białym Jeleniem” w dwa dni po wyjściu ze szpitala psychiatrycznego. Był to pomysł Lucy Hazell, która zajęła się też jego stroną organizacyjną. Podczas ostatniej rozmowy z Catharine doktor Best zaaprobował ten pomysł, choć miał pewne zastrzeżenia.

- Z jednej strony to chyba dobrze, że od razu zaczniesz pani pracować - powiedział raczej zasmucony. - Ale zdaje pani sobie sprawę z tego, że będzie pani tam zmuszona stykać się z mężczyznami?

- Tak. Wcale się tym nie martwię.

Lekarz odsłonił dolne zęby.

- Pani zna mój pogląd na temat pani reakcji wobec mężczyzn. Nie będę teraz tego powtarzać. Chcę tylko, aby uświadomiła sobie pani, że w ciągu najbliższych tygodni musi pani

przejawiać śmiałość i odwagę. Jeśli stwierdzi pani, że jakaś sytuacja lub osoba niepokoi panią lub przeraża, jest to znak, że powinna pani zmierzyć się z nią, a nie wycofać. W przeciwnym wypadku okres próbny nie przyniesie żadnych skutków terapeutycznych. Proszę pamiętać, że potrzebny jest pani szok.

- Zrobię dla pana, co tylko będę mogła.

- Nie dla mnie, pani Casement, dla siebie samej. No, cóż, powrócimy do pani przypadku za cztery tygodnie. Do tego czasu me radzę kontaktować się ze mną. Im bardziej będzie pani samodzielna, tym większe szansę, że nasz eksperyment się uda. Mam nadzieję, że osiągniemy pozytywne rezultaty. - W tym momencie uśmiechnął się serdecznie. - Ale będę obserwował pani postępy.

- W jaki sposób?

- Niech się pani nie martwi, nie będę się narzucał. Będzie pani naprawdę zdana wyłącznie na siebie. No, to do widzenia. Na razie. I życzę powodzenia. W eksperymentowaniu.

Postanowiła nie myśleć o doktorze Beście i jego zaleceniach, dopóki nie przyzwyczai się do tego, że nie jest już w szpitalu. Zresztą przez kilka pierwszych dni wszystko szło znakomicie: nie bała się niczego. Wieczorem drugiego dnia, zgodnie z planem, pan Stoker zawiózł ją wraz z Lucy do gospody „Pod Białym Jeleniem”, gdzie miała zapoznać się z właścicielem oraz resztą pracowników i dowiedzieć się, na czym będzie polegać jej praca. Właściciel był rumianym pięćdziesięciolatkiem i nazywał się Eames. Miał krótką brązową brodę, którą zapuścił w ramach osobistego wkładu w modernizację lokalu. Poprosił obie kobiety do baru i zaproponował, by wypily szampana. Jego słowa i zachowanie wskazywały, że Lucy udzieliła mu już obszernych, choć nieco wybiórczych informacji o Catharine.

- Na początek damy panią do cocktail-baru, pani Casement, bo nie ma tam zbyt wielu klientów, jedynie w weekendy robi się tłumnio, ale wtedy zawsze ktoś będzie pani pomagać. Do cocktail-baru przychodzą bardzo sympatyczni ludzie. Zwłaszcza bardzo sympatyczni mężczyźni. Ale proszę pamiętać, że gdyby przypadkiem ktoś zachowywał się wobec pani nieuprzejmie, ma pani zaraz do mnie przyjść, a ja już się nim zajmę, dobrze? Przypuszczam jednak, że nie powinna pani mieć żadnych kłopotów. Jak już powiedziałem, to sympatyczni goście. Przychodzą tam lekarze, biznesmeni, i oficerowie z obozu przy drodze. Spodoba się to pani. A jeśli chodzi o kwestie techniczne, to powtórzymy je sobie jeszcze jutro przed otwarciem, jeśli zechce pani przyjechać, powiedzmy, o wpół do dziesiątej, choć lady Hazell wspominała, że zna się pani na podawaniu napojów, a więc chyba nie muszę już pani zbyt wiele uczyć. Na pewno będzie pani miała problemy z zapamiętywaniem cen, dodawaniem i wydawaniem reszty. W związku z tym kazałem wypisać dla pani pełen cennik. Proszę. Z tej



strony są napoje i tak dalej, a tutaj ceny. Radziłbym, żeby pracowała pani z tym, dopóki nie nauczy się pani tego na pamięć. Lady Hazell może pani pomagać. Niech pani szybko powie jakieś zamówienie, lady Hazell, a pani Casement niech obliczy cenę. Mogą się panie trochę pobawić. Coś w rodzaju: „Dwa duże giny z tonikiem, panienko, półtora kufla najlepszego jasnego piwa, dwa zwykłe piwa albo nie, jedno, proszę, ile to będzie?” „Jedenaście szylingów cztery pence, sir, i czy życzy pan sobie cytrynę do ginu?”

Nazajutrz w południe Catharine rozpoczęła pracę, która okazała się niezbyt trudna. Klientów było niewiele i przychodzili sporadycznie; zjawiało się tylko kilku miejscowych rzemieślników i jedna lub dwie pary młodych ludzi. Gdy o wpół do trzeciej zamknięto bar, Catharine szybko wytarła stoliki i kontuar. Miała teraz przerwę do za kwadrans siódma. Eames wytłumaczył jej, że dziewczyna z sali kawiarnianej, połączonej z barem, bez trudu poradzi sobie z klientami przychodzącymi na początku wieczoru, i dodał, że Catharine ma się nie przemęczać i od razu mu powiedzieć, jeśli jej zdaniem coś będzie nie w porządku.

Po południu przespała około godziny. Potem wstała, zaparzyła herbatę i zaniósła ją do sypialni Lucy. Po raz ostatni powtórzyły pozycje z cennika. Wreszcie Catharine stwierdziła, że pamięta już wszystko poza piwem butelkowym i porterelem.

- Nigdy się tego nie nauczę - powiedziała.

- No i co z tego? Czy to wstyd spojrzeć w cennik? Nie przesadzaj, to dopiero twój pierwszy wieczór. A zresztą, zauważyłam, że ceny maleją w porządku alfabetycznym. Najdroższy jest Esbjerg, potem Gesundheit, a następnie Lyre. Cena maleje o trzy pence między pierwszym a drugim i półtora pence między drugim a trzecim. Czyli o połowę mniej.

- O, to już łatwiej zapamiętać.

- Mam nadzieję, że dasz sobie radę, Cathy. Właśnie uświadomiłam sobie, że codziennie będziesz musiała spędzać dwie godziny w samochodzie. Ale jesteś silną dziewczyną i może po miesiącach zamknięcia w tamtym paskudnym miejscu przyda ci się trochę ruchu. A teraz trzeba wybrać ubranie dla ciebie. Musimy wziąć pod uwagę gust pana Eamesa. Coś pośredniego między tym, co uznaliby za wyzywające, a tym, co określiłby jako nobliwe. Trudna sprawa. Wiesz co, chyba zdrzemnę się jeszcze trochę. Wczoraj późno poszłam spać i jak sądzę, dziś też chyba czeka mnie bezsenna noc. A ty wykup się spokojnie i potem przynieś tu swoje najlepsze rzeczy, obejrzymy je razem.

O szóstej zdecydowały się wreszcie na błękitny płócienny żakiet bez rękawów, plisowaną spódnicę, sandały i złote kolczyki. Wystrojona tak Catharine rozmawiała z Lucy, która właśnie się kąpała. Patrzyła na namydlone ciało przyjaciółki. Wydawało jej się wspaniale zbudowane, skórę miała delikatną a dotknięcie jej nie przyprawiłoby jej o wstręt, ale nie

odczuwała ochoty, aby jej dotknąć. W tej chwili diagnozy doktora Besta, które dotychczas uważała za słuszne, także dlatego, że były dziwaczne i skomplikowane, wydały jej się nieprawdziwe i dyletanckie. Mówił tak, jakby zapomniał zupełnie, na czym polega pójście z kimś do łóżka, jeśli w ogóle wiedział coś na ten temat. Ale w jaki sposób może on obserwować jej postępy?

- Wszystko w porządku, Cathy?

- Tak, czuję się świetnie. Trochę się denerwuję. Widzisz, jest tam tylu mężczyzn. Wiem, że mogę uporać się z jednym lub dwoma naraz, ale to już nie takie łatwe, kiedy otacza cię cała zgraja szczerzących zęby chłopów. Wiesz, jacy oni są; chodzisz przecież do pubów.

- Prawdę mówiąc, przez jakiś czas miałam przerwę, aż do wczoraj. Ale ty w niewłaściwy sposób do tego podchodzisz. Powinnaś liczyć na to, że spotkasz kogoś wspaniałego. Naprawdę zasługujesz na to jak mało kto.

- Tak, to chyba możliwe. - Sęć w tym, jak stwierdzić, czy ktoś naprawdę jest wspaniały, czy też jedynie sprawia takie wrażenie, a gdy pokaże swoje prawdziwe oblicze, będzie już za późno. - Catharine czuła, że nie potrafi już określić tej różnicy tak dobrze jak wtedy, gdy miała piętnaście lat.

- A widzisz. Kiedy wrócisz, możesz, jeśli chcesz, iść od razu spać albo zajrzeć do salonu i zmieszać się z tłumem. Nie będziesz musiała za bardzo się trudzić, ja tego dopilnuję. Pamiętaj, że nawet jeśli ty nie zdołasz odpędzić niektórych facetów, mnie zawsze się to uda. Pan Stoker przywiezie cię mniej więcej kwadrans po jedenastej, a więc jeśli zapragniesz, będziesz jeszcze mogła trochę tu posiedzieć. O, właśnie nadjechał, poznaję klakson jego samochodu. Idź już, Cathy. Powodzenia z portierem. Baw się dobrze.

Catharine przybyła do gospody „Pod Białym Jeleniem” punktualnie, powiesiła płaszcz we wnęce obok kantorka Eamesa i weszła do sali kawiarnianej. Siedziało tam kilka popijających osób, wszyscy zwrócili na nią wzrok. Pracująca tu barmanka, pyzata dziesiętnastolatka imieniem Anne, uniosła klapę kontuaru i wpuściła ją do środka.

- U ciebie na razie spokój, Cath. Paru wieśniaków pije ciemne piwo i przyszło też czterech żołnierzy, trzech piją duże giny z tonikiem, a czwarty sam tonik. Nie wiem, jak można coś takiego przełknąć. Liczę mu po dziewięć pensów za szklanę. Jeszcze przez chwilę będzie pusto, ale po siódmej zacnie się zapełniać. Zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Catharine przeszła przez drzwi wiodące do cocktail-baru i znalazła się twarzą w twarz z młodym mężczyzną w polowym mundurze stojącym po drugiej stronie kontuaru. Natychmiast przypomniała sobie, że widziała go, gdy szła na przedostatnią rozmowę z doktorem Bestem.

Była zaskoczona i zauważyła też zdziwienie młodego mężczyzny. Przez moment oboje milczeli.

- Widziałem już panią - powiedział dźwięcznym głosem żołnierz. - W...

- Tak. W szpitalu psychiatrycznym. Przedwczoraj stamtąd wyszłam.

- Od razu panią poznałem.

Niemal bezwiednie odpowiedziała:

- I ja pana poznałam od razu.

- Wiem.

Zauważyła, że ma kształtne uszy i kanciaste dłonie.

- Może lepiej niech pan coś zamówi. Możemy jeszcze porozmawiać.

- Tak. Trzy duże giny z tonikiem i jeden tonik bez ginu. Kolega nie pije. Nazywam się James Churchill.

- Catharine Casement. Jaki chce pan gin?

- Powiedzmy, Plymouth. Ładne ma pani nazwisko.

- Przynajmniej do połowy. Z lodem?

- Tak, proszę.

- Wszystkie z lodem?

- Tak, proszę. Jak to, do połowy.

- Casement to nazwisko pewnego mężczyzny. Ale nie spotykam się z nim. Chociaż jakoś nie mogę się z nim rozwieść. On mieszka w Londynie.

- Nie jest pani zawodową barmanką, prawda?

- Nie, w ogóle nie mam zawodu. Dziś dopiero zaczęłam tu pracować. Proszę, siedemnaście szylingów i trzy pensy.

Gdy wyjmował pieniądze, otworzyły się drzwi wiodące na ulicę i weszło czterech lub pięciu mężczyzn. Wszyscy zebrali się przy barze i zaczęli się jej przyglądać.

- Dziękuję - powiedział Churchill, wciąż jeszcze nie płacąc. - Czy mogę odwieźć panią do domu po pracy?

Przybysze wyszczerzyli zęby i zaczęli trącać się łokciami.

- Hm, ktoś ma po mnie przyjechać.

- Kto taki?

- Cóż, właściwie ktoś w rodzaju taksówkarza.

- A więc, może pani to odwołać?

- Tak, chyba tak.

- Dobrze. - Podał jej pieniądze. - Dziękuję.

- Dziękuję panu, sir. Dwa szylingi dziewięć pensów i funt... Słucham pana, sir?

- Znajdzie pani dla mnie teraz chwileczkę czasu, kochana? - powiedział mężczyzna, do którego się zwróciła i który już się nie uśmiechał. - Czy woli pani pogawędzić sobie jeszcze?

- Bardzo pana przepraszam, sir, oczywiście natychmiast dostanie pan, czego tylko sobie zażyczy.

- No, to dwa giny z tonikiem, kufel najlepszego piwa, jedno jasne piwo, te giny niech będą duże...

Przyjrząwszy się klientowi przez kilka sekund, Churchill wycofał się ze szklanką w każdej dłoni. Kiedy wrócił po dwie pozostałe szklanki, powiedział, że musi zaraz wyjechać, ale jeszcze wróci. Dopóki nie wyszedł, Catharine wciąż zerknęła w narożnik, gdzie siedział z trzema towarzyszami, bladym mężczyzną z wąsem, drugim, który wyglądał na Hindusa i trzecim, najstarszym, w koloratce. Chwilami rozmawiali z ożywieniem, ale częściej siedzieli w milczeniu. Przeoczyła moment ich wyjścia.

Gdy nadeszła pora zamknięcia gospody, Catharine czuła zmęczenie, aczkolwiek nie aż takie, aby nie odczuwać zadowolenia z siebie: ani razu nie pomyliła się przy wydawaniu reszty. Przez otwarte drzwi zauważyła czekającego na chodniku Churchilla. W jej głowie pojawiły się dawno zapomniane pytania, których powrotu jeszcze wczoraj się nie spodziewała: Czy to już? Czy to ty?

Kiedy wyszła, Churchill ujął jej rękę i poprowadził do małego wojskowego samochodu z brezentowym dachem i otwartymi bokami.

- Nic lepszego nie mogłem skombinować - powiedział. - Następnym razem postaram się o coś bardziej eleganckiego. Dokąd jedziemy?

Wy tłumaczyła mu. Na ulicy przed nimi, w mieszaninie światła i cieni, samochody cofały się i zawracały, i dopiero gdy dotarli do ostatnich zabudowań wioski, Churchill powiedział:

- Myślałem o tobie codziennie, od kiedy cię zobaczyłem.

- Ja też o tobie myślałam. - Teraz dopiero zdała sobie sprawę z tego faktu.

- Wtedy, za pierwszym razem, wyglądałaś na przestraszoną. Czy bałaś się czegoś?

- Tak. - Opowiedziała mu o kocie i ptaku.

- Ale jak można bać się czegoś takiego?

- Nie wiedziałam, co się dzieje. Wyglądało na to, że będzie to coś brutalnego i strasznego, a połączenie tych dwóch rzeczy zawsze mnie przeraża.

- To znaczy, rzeczy brutalne i straszne?

- Cóż, raczej połączenie strasznej brutalności i braku orientacji w tym, co się dzieje.

- Czy często zdarzają ci się takie przeżycia?

- Kiedyś tak. - Catharine zamilkła na chwilę. - Tuż przed tym, zanim poszłam do szpitala. Mniej więcej pół roku temu.

- Czy te przerażające rzeczy sprzed pół roku miały jakiś związek z panem Casementem?

- Tak. Opowiem ci o tym kiedyś, słowo daję, ale nie teraz.

- To okropne, że musiałaś siedzieć w tamtym szpitalu.

- Mnie też się tam nie podobało, ale to chyba było konieczne. Sądzę zresztą, że na coś mi się to przydało. Teraz zajmuję się własnymi sprawami jak wszyscy inni ludzie i już nikt nie uważa mnie za wariatkę.

- Chyba wyzdrowiałabyś szybciej bez tej kuracji.

- Może. Ale wątpię. Było ze mną bardzo źle. Znajdowałam się u kresu sił. Przez cały czas nie wstawałam z fotela, bo bałam się, że jeśli wstanę, to już do niego z powrotem nie trafię. Czułam się tak, jakby coś było nie w porządku z moimi oczyma.

Spojrzała na mały wiejski domek, do którego właśnie się zbliżali. Był solidny, zbudowany z jednolitej cegły, zachował dokładnie te same, rzeczywiste rozmiary, gdy mijali go i zostawiali za sobą. Jako że jechali samochodem, ogrodzenie wokół domku tylko pozornie mogło zbliżać się do nich, a potem powracać na miejsce. Po obu stronach drogi znajdowały się teraz pola ugorów, wznoszące się ku niskim, porośniętym lasem wzgórzom, które układały się przed nimi w półkole. Gdyby mogła je dostrzec, wydawałyby jej się małe dlatego, że były bardzo daleko. Wszystko było takie, jak być powinno, a więc otaczająca ją pustka nie była ważna.

- Ale teraz jestem już zdrowa - mówiła dalej. - I życie jest znacznie ciekawsze. Kiedyś myślałam, że obłęd musi być interesujący. Oczywiście, powoduje mnóstwo kłopotów i strachu, ale jest też podniecający przez te wszystkie halucynacje, przekonanie, że na przykład ścigają nas rosyjscy szpiedzy. Ale naprawdę wcale tak nie jest, przynajmniej nie w moim przypadku. Nic się nie dzieje i wszyscy ludzie są okropnie nudni. Te pierwsze... tygodnie, jak myślę, przypominały wakacje w obskurnym hotelu, przy wtórnie nieustannie padającym deszczu, w obcym kraju, gdzie mówią w nie znanym języku, i powiedzmy, że w dodatku nie można czytać, bo stłukły się okulary.

- Trochę przypomina to wojsko. Cieszę się, że już wyzdrowiałaś. I bardzo dobrze się składa, że dostałaś tę pracę w gospodzie. Bo inaczej nie moglibyśmy tak szybko się spotkać. Wiesz, często odczuwałem pragnienie, żeby jechać do szpitala i szukać cię tam.

- Jak chciałeś to zrobić? Nie znałeś mojego nazwiska, nic o mnie nie wiedziałeś.

- Właśnie dlatego powstrzymałem się. Mógłbym jedynie błąkać się po szpitalu z nadzieją, że cię przypadkiem zobaczę.

- Dobrze, że tego nie zrobiłeś. Nasz uczony doktor Best mógłby cię zamknąć jako wariata.

- Och, tak, oczywiście, znasz przecież doktora Besta.

- Jak to, ty też go znasz?

- Tylko ze słyszenia. Opowiadał mi o nim facet, którego odwiedzaliśmy tego dnia, kiedy cię zobaczyłem. Może nawet spotkałaś go tam? Nazywa się Hunter, Max Hunter. Nie zwariował, tylko za dużo pił i dochodził tam do siebie.

- Może go widziałam, nie pamiętam.

- Oczywiście, był tam tylko przez parę tygodni. Ej, był ze mną wieczorem w pubie.

- Jak wyglądał?

- Ma wąsy. To ten, którego nie było ze mną, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałem.

- Nie pamiętam, żebyś zauważyła wtedy kogoś oprócz ciebie.

- Pochlebia mi to. Ja, niestety, pamiętam, że nie byłaś sama.

- Ale to prawda.

- Wiem. Jaka była diagnoza doktora Besta co do twojego przypadku?

- Wciąż powtarzał, że podświadomie chcę chodzić do łóżka z innymi dziewczętami. Churchill wybuchnął śmiechem.

- Ale to nieprawda.

- Tak, oczywiście. Przepraszam. Śmiałem się dlatego, że Max Hunter usłyszał od niego to samo, to znaczy że przejawia tłumione skłonności homoseksualne. Gdybyś znała Maxa... Ale wkrótce go poznasz. Kiedy masz wolny dzień?

- W poniedziałek.

- To za późno. Zostanę tu jeszcze tylko przez jakieś pięć tygodni.

- To już niedługo.

- A potem wyślą mnie za granicę, ale na krótko. Wrócę i przyjadę do ciebie, kiedy tylko będę mógł.

- Nie jedziesz na żadną wojnę, prawda?

- Nie. Nie na wojnę. Nie o to chodzi.

- A więc nie ma się czym martwić. Ale rzeczywiście, do poniedziałku jest jeszcze mnóstwo czasu. Będę miała trochę czasu jutro wcześniej rano i po południu.

- Ja też jestem wolny po południu. Przyjadę do ciebie i wybierzemy się gdzieś. Szkoda że mieszkasz tak daleko. A właściwie, to gdzie?

Powiedziała mu.

Zjechał na płaskie pole przy drodze, zatrzymał samochód i wyłączył silnik. W powietrzu rozbrzmiewał cichy, nieustający szum, który początkowo wzięła za dźwięk ciszy, ale po chwili poczuła na policzku delikatne tchnienie wiatru. Zaczynała się bać.

- Co się stało? Dlaczego stoimy?

- Cathy. A więc to ty jesteś przyjaciółką Lucy.

- Czy to coś złego? Nie gniewaj się na mnie.

- Nie gniewam się na ciebie. Przedwczoraj w nocy pojechałem z kolegą do Lucy. Najpierw on poszedł z nią do łóżka, a potem ja.

- Ale ja tego nie robię. Jestem po prostu jej przyjaciółką i mieszkam u niej. Ona uprzedza swoich gości i nawet nie próbują mnie podrywać. Kiedy tam jestem, pomagam jej tylko podawać drinki. Nie śpiam z nikim. Zależy mi tylko na jej towarzystwie. Nie mam tu wielu przyjaciół, bo przez osiem lat mieszkałam w Australii z moim pierwszym mężem. Kiedy uciekłam od Casementa, mogłam przyjechać tylko do niej. Ona nigdy nie usiłowała namawiać mnie, żebym szła z kimkolwiek do łóżka. Broni mnie nawet przed tymi ludźmi. Od kiedy u niej mieszkam, z nikim się nie kochałam. Przysięgam.

- Nie jesteś zła, że poszedłem z nią do łóżka?

- Czy kochasz ją i czy chciałbyś znów iść z nią do łóżka?

- Nie, ani jedno, ani drugie.

- A więc wcale się nie gniewam. A czy ty mi wierzysz?

- Że nie chodzisz z nimi do łóżka? Oczywiście.

- W takim razie...

- W takim razie nie mamy się czym martwić, prawda?

- Tak.

Catharine nie czuła już wcale strachu, kiedy Churchill objął ją za ramiona, położył dłonie na jej piersiach i zaczął całować. To już, pomyślała. To ty.

- Kocham cię - powiedział.

- I ja cię pokocham, może już jutro. Ale daj mi na to trochę czasu. Widzisz, myślałam, że już nie potrafię kochać. A więc muszę przygotować się do tego. Pozwolisz mi?

- Tak.

Pocałował ją po raz drugi, po czym uruchomił silnik.

Churchill zostawił jeepa Rossa-Donaldsona na parkingu i skierował się ku frontowym drzwiom kasyna. Jeden z wartowników patrolujących teren wokół bloku D4, ucieszony zapewne jego przybyciem, które urozmaiciło mu nudną służbę, odwrócił się w jego kierunku i stanął na baczność. Churchill zaszalutował, powiedział „dobranoc” i wszedł do budynku.

Pokój Huntera znajdował się na piętrze. Stał w nim bardzo wygodny fotel, miejsce większości jego alkoholowych sesji, w wyniku których wylądował w szpitalu. Zdecydował się urzędować tutaj, gdyż nie odpowiadała mu bardziej konwencjonalna procedura picia w westybulu na parterze. Zmuszanie kelnera do podawania whisky aż do czwartej nad ranem wydało mu się zbędnym angażowaniem personelu, a dwa razy z rzędu zdarzyło mu się, że w kilka godzin po libacji odzyskiwał przytomność na trawie w pobliżu kasyna i opierał się wartownikowi, który chciał go postawić na nogi. W końcu nawet fotel przestał mu wystarczać, bo zbyt łatwo było z niego spaść, i musiał przenieść się do łóżka, w którym ostatecznie znalazł go Churchill, kiedy zauważono jego całodobową nieobecność na stanowisku.

Tego wieczora, kiedy Churchill wszedł do tego pokoju, Hunter siedział w fotelu i popijał wodę sodową. Naprzeciwko niego, na skraju łóżka rozparł się Naidu trzymający w dłoni szklankę rozwodnionej whisky.

- Willie jeszcze nie wrócił? - spytał Churchill.

- Nie - powiedział Naidu.

- Nalej sobie whisky - zaproponował Hunter. - Butelka stoi na komodzie. Nie zamykaj jej. Możesz nawet wyrzucić zakrętkę. Jej brak oszczędza czas, straty płynu wywołane parowaniem są minimalne, zaś statystyki zapewne potwierdzają, że alkohol najczęściej wylewa się, a butelki upadają na podłogę właśnie podczas odkręcania i zakręcania. Tak samo jest z samolotami przy starcie i lądowaniu. Muszę zainteresować tym problemem Rossa-Donaldsona. Słuchaj, musisz nalać sobie więcej whisky, jeśli naprawdę chcesz towarzyszyć w picu abstynentowi. Moti jest pod tym względem do niczego. Pije tylko dla pozorów i nikt nie ma z tego żadnego pożytku.

- Wszystko dlatego, że to tak obrzydliwie smakuje - powiedział Naidu.

- O to właśnie chodzi, gdyby udało się to przełknąć bez wstrętu, już dawno wszyscy byśmy poumierali. A przynajmniej James i ja. I Willie. No, wcześniej wróciłeś. Dopiero za dwadzieścia pierwsza.

Churchill zajął miejsce na ciężkim drewnianym krześle z wysokim oparciem, z którego najpierw musiał usunąć stos czasopism dla automobilistów. Zapalił papierosa.

- Było już późno - rzekł. - A ona była zmęczona.

- A więc skróciłeś pożegnalne uściski. Jakie to rycerskie.



- Nie było właściwie żadnych uścisków.

- Ach, moje kondolencje. Czyżbyś nie namawiał jej zbyt przekonująco?

- W ogóle jej nie namawiałem. To jedna z takich dziewcząt, z którymi nie trzeba się śpieszyć.

- Z każdą dziewczyną trzeba się śpieszyć.

Naidu szybko łyknął nieco swego napoju.

- Max, co ty możesz o tym wiedzieć? - rzekł Churchill.

- Wiem całkiem sporo, mój drogi. Zauważyłem, jak patrzyłeś na nią w gospodzie i jak przez resztę wieczoru nie dostrzegałeś nic konkretnego poza zegarkiem, na który zerkałeś co dziesięć minut. Jest bardzo piękna i już sam ten fakt stanowi zagrożenie dla kogoś takiego jak ty. Ani się obejrzysz, jak się w niej zakochasz. Jeśli jeszcze to się nie stało.

- Nie widzę w tym nic złego.

- Jeszcze zobaczysz, James, jeszcze zobaczysz. Emocjonalne zaangażowanie nigdy nie prowadzi do niczego dobrego. Skorzystaj z tego, co druga osoba ma ci do zaoferowania, bez zbyteknych wysiłków, i potem zajmij się następną. Tak jest lepiej dla wszystkich.

- Jeśli wolno mi się wtrącić - odezwał się Naidu - nie podoba mi się takie deptanie romantycznych uczuć Jamesa. To dobre, godne pochwały, że młody człowiek ma takie poglądy, żywi szacunek dla płci pięknej i tak dalej. Max, nie śmiej się z niego.

- Nie śmieję się z niego. Próbuję go ostrzec. Ale chyba na próżno. A więc, James, ktoś to taki? Nie widziałem jej nigdy przedtem za kontuarem. Skąd się tam wzięła?

- Moti, ty ją już widziałeś. Wtedy, w szpitalu, kiedy poszliśmy odwiedzić Maxa.

- Oczywiście. Stała na ścieżce. Pamiętam, że wtedy byłeś nią... zafascynowany. Ale cóż to za niezwykły zbieg okoliczności.

- Daj spokój - powiedział Hunter. - Jeszcze zaczniesz myśleć o mocy przeznaczenia i podobnych bzdurach. A więc to też klientka doktora Besta? Czy mówiła coś o nim? Jaką postawił jej diagnozę?

Churchill wyszczerzył zęby.

- Zgadnij.

- Och, nie. Czyżby tłumione skłonności lesbijskie? Wicie, ten facet musiał przeżyć w dzieciństwie coś, wskutek czego teraz chorobliwie obawia się prawdy. Ale mów dalej. Nic jeszcze o niej nie wiemy.

- Cóż mogę wam powiedzieć? Ma męża, ale żyją w separacji. Mieszka u lady Hazell, o której na pewno już słyszeliście. Ale ona, Catharine, moja dziewczyna, nie uczestniczy w jej orgiach.

Churchill spojrział na Huntera, jakby spodziewał się dalszych ataków z jego strony. Ten zrobił minę sugerującą, że chciał coś powiedzieć, ale nie odezwał się.

- Mimo wszystko - rzekł Naidu - z tego, co słyszałem, nie jest to zbyt zdrowe miejsce.

- Ross-Donaldson opowiedział mi o tym, jak to pojechaliście tam we dwóch - powiedział Hunter. - Fascynująca historia. Może byśmy wybrali się tam kiedyś całą czwórką? Ty, James, złożyłbyś hołd swemu światłu miłości, Moti zbadałby rozkład architektoniczny i ogród, a Willie... Dla Willie'ego też pewno coś by się znalazło.

- Catharine mówi, że od Bóg wie jak dawna nikt nie zaglądał do ich biblioteki.

- Otóż to. Mógłby napisać o tym artykuł do tej swojej gazety czy magazynu. Nie wiesz, czy dużo mu dotychczas przysłali materiałów?

- Dopiero zaczyna.

- Rzeczywiście. Musisz napisać dla niego sonet do Catharine.

- Nie potrafiłbym nawet zacząć. A co ty chcesz robić u Lucy?

- Ja? Och, pójdę z nią do łóżka. Co innego mogę zrobić? Byłoby to chyba ciekawe doświadczenie. Ostatnio nie prowadzę zbyt intensywnego życia seksualnego. A to źle. Zaczynam rozmyślać, a z tym mi nie do twarzy. Biedny Brian Leonard. Byłby z niego znacznie miłszy facet, gdyby tylko mógł sobie od czasu do czasu podupczyć. I chyba też lepiej by mu szło łapanie szpiegów. Och, mam wspaniały pomysł.

- Jaki?

- Pułkownik nieustannie oświadcza, że jego zdaniem szpiegiem jest jakaś okoliczna uwodzicielka-kusicielka. Oczywiście, stary świntuch sam ma ochotę pojechać do Lucy i dokonać oficjalnej inspekcji. Ale może podsunie myślenie Brianowi? Wystarczy, że jeden z jej przyjaciół napomknie mu, iż prężąc się zmysłowo na otomanie, lady Hazell zaczęła wypytywać, co się u nas dzieje. Jeśli ty nie chcesz tego zrobić, to poproszę Rossa-Donaldsona.

- Ale po co?

- Żywy obraz zakładu lady Hazell, który widzę oczyma mej duszy, przekonuje mnie, że Brian czułby się tam jak ryba w wodzie. Przyda mu się to. Wyobrażam go sobie, jak z papugą na ramieniu przesłuchuje Lucy na okoliczność jej politycznych sympatii.

Usłyszeli dźwięk zbliżającego się do kasyna auta.

- To Willie - powiedział Naidu.

Podczas kiedy samochód podjeżdżał i hamował, a następnie na dworze zabrzmiały kroki i trzasnęły frontowe drzwi, w pokoju panowało milczenie. Hunter zmarszczył brwi nad szklanką z wodą sodową i prędko ją opróżnił. Po chwili wszedł Ayscue. Wyglądał na zmęczonego.

- On umiera - powiedział, podszedł do komody i nalał sobie whisky. - Szczerze mówiąc, może nawet już umarł. Powiedzieli, że zostały mu tylko godziny. Od rana jest nieprzytomny.

- Czy zdecydowali już, co mu jest? - spytał Hunter.

- Nie, chyba wciąż jeszcze nie wiedzą. Coś w rodzaju zapalenia opon mózgowych. Żadne lekarstwa nie skutkują. Rozmawiałem z ich specjalistą. Powiedział, że zrobili wszystko, co było w ich mocy.

- Czyli położyli go do łóżka - zakpił Churchill.

On także dolał sobie alkoholu, spoglądając pytająco na Naidu, który lekko pokręcił głową.

- Wyglądał, jakby spał - mówił dalej Ayscue. - Tyle że był bardzo zaczerwieniony. Nie mogłem dla niego nic zrobić. Pearce powiedział, że chce z nim zostać, więc wypisałem mu przepustkę na dwanaście godzin. Załatwię to rano z adiutantem.

- Jak on się zachowywał? - zapytał Hunter.

- Pearce? Bardzo spokojnie. Nie płakał i nie rozpaczał, choć kosztowało go to bardzo wiele wysiłku. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli zostawię go samego, żeby mógł się wypłakać. Spytałem, czy mogę mu jakoś pomóc, a on powiedział, bardzo taktownie, że raczej nie. A więc zabrałem się stamtąd.

- On się ostatnio świetnie bawi, prawda? - przemówił energicznie Churchill. - W zeszłym tygodniu ten goniec. Dzisiaj Fawkes. Wygląda na to, że działa według planu.

- W tym czasie na całym świecie umarło chyba około miliona ludzi - powiedział znużonym głosem Ayscue. - To nie jest żaden...

- Och, przepraszam, całkiem o tym zapomniałem. Oczywiście, teraz rozumiem, że nic złego się nie stało.

- James, może byś tak spróbował pogodzić się z pewnymi faktami?

- Dlaczego? Dlaczego mam to zrobić? Nie widzę powodów, dla których mógłbym kiedykolwiek przestać martwić się tym, co w tej chwili dzieje się z Fawkesem. Nie widzę żadnych przekonujących powodów. Same poszlaki. Lenistwo i tchórzostwo. Niezdolność skoncentrowania się na rzeczach ważnych. Wulgarne i nieprzemyślane stwierdzenia, że wszystko musi przecież mieć sens i że wszystko się dobrze skończy. Bo jeśli tak nie jest, to jaki z tego wniosek?

Naidu powiedział ostrożnie:

- Jeśli wysłuchasz kilku słów od wyznawcy innej, i mogę chyba powiedzieć starszej, religii, to chciałbym...

- Ja nie ufam żadnej religii - powiedział Churchill.

- O, ale przed chwilą oświadczyłeś, że jakiś „on” twoim zdaniem świetnie się bawi, zadając śmierć pewnym osobom. Muszę wyznać, że odniosłem wrażenie, iż mówisz o swoim Bogu.

- To była uwaga antyreligijna.

- James, z całym szacunkiem, ale nie sędzę, żeby w tak poważnym momencie występowanie przeciwko własnej religii było rzeczą stosowną. Wydaje mi się, że myśl o bliskiej śmierci kaprala Fawkesa powinna napełniać cię smutkiem.

- I napełnia. Jednak nie tylko smutkiem, ale i gniewem. Ten jeden przykład wystarczy jako dowód, że żyjemy w złym świecie.

- Na świecie nie ma złych rzeczy. - Naidu wstał z łóżka. - Mądrość pomaga nam znieść nawet największe pozorne okropności.

- Z całym moim szacunkiem, Moti, uważam, że mówisz o sentymentalizmie i bezwolnej wierze w tradycyjne pobożne życzenia, a nie o mądrości.

- Może i masz rację. Dla większości z nas mądrość jest nieosiągalna. Jeśli to, co nazywasz sentymentalizmem i bezwolnym trzymaniem się tradycji, pomaga znieść pozorne okropności, to tym bardziej, sędzę, że powinniśmy się do tego uciekać.

- Tak - powiedział gwałtownie Ayscue. - A w razie potrzeby nawet do kłamstw.

- Zgadza się, Willie, ty się na tym znasz - z równą gwałtownością zaatakował go Churchill. - Właśnie to wmawiasz ludziom, prawda?

- Idę spać - powiedział Ayscue po chwili milczenia. - A ty, Moti?

- Ja też. Dobranoc, James. Dobranoc, Max. Dziękuję za whisky.

- No, no, no - powiedział Hunter, gdy został sam z Churchilllem. - Ostatnio alkohol wyzwała w tobie agresję. Wszyscy muszą przejść przez tę fazę. Powinieneś pić znacznie więcej, zwłaszcza na początku wieczoru. Wtedy wódka atakuje mózg w szybszym tempie. Obezwładnia cię i zachowujesz się z godnością. Pamiętaj o tym, mój drogi.

Zamyślony wstał i z rękoma w kieszeniach podszedł do komody.

- Chyba wyrażam się bardziej obrazowo, niż powinienem. Już nieraz tego żałowałem. W każdym razie, w tym oto momencie z wielkim hukiem zrywam z moją, dobrowolną lub przymusową, abstynencją.

Wziął do ręki butelkę. Churchill podszedł do Huntera i położył dłoń na jego ramieniu.

- Max, nie bądź durniem. Za późno na rozpoczynanie takiej imprezy. Jeśli teraz zaczniesz, to nie będziesz już mógł spać. Nie przestaniesz aż do śniadania.

- Och, cudownie, kiedy przyjdą kelnerzy, będę mógł otworzyć następną butelkę.

Hunter napełnił jedną trzecią szklanki whisky i dolał wody. Trzymał ją blisko ust, ale nie pił.

- Nie wygłupiaj się. Nie w tej chwili. Mówiłeś, że kiedy wyjdiesz ze szpitala, to przez miesiąc nie tkniesz alkoholu. Aż do końca okresu próbnego. Minęły dopiero dwa dni. Nie marnuj tego. Zażyj pigułkę i połóż się do łóżka. Posiedzę jeszcze i pogadam z tobą.

- Musiałbym zażyć tyle pigułek, że jutro nie mógłbym ustać na nogach. I nie chcę spać, chcę się upić. To wcale nie jest nagła decyzja. Kiedy obiecywałem, że przez miesiąc nie wypiję ani kropli, umieściłem w tym zobowiązaniu pewną tajną klauzulę. Niepisane zastrzeżenie. Mianowicie, że będę mógł się upić, jeśli fiaskiem zakończy się pewna sprawa. Tak też się stało. A więc...

Jednym haustem wypił whisky i ponownie napełnił szklankę sobie oraz Churchillowi. Usiedli znów w fotelach.

- Chodzi ci o sprawę Fawkesa? - zapytał Churchill zaintrygowanym tonem.

- Nie, niezupełnie. Jemu już nic nie pomoże. Trudno mi to wyjaśnić. To znaczy, teraz, kiedy z tobą rozmawiam. Dla mnie kwestia ta jest całkiem jasna, moje uczucia są silne i mało delikatne. Ale to ma związek z Fawkesem. Jak słyszałeś, szeregowy Pearce przejął się bardzo tą sprawą. Rzecz jasna, przez jakiś czas nie będzie mógł o tym zapomnieć. A zaczynałem już żywić nadzieję, że może zwróci on na mnie uwagę.

- Chciałeś się do niego zalecać?

- Już zacząłem. No, powiedzmy, że dokonałem rozpoznania. Nic zobowiązującego. Ale wydaje mi się, że zrozumiał, o co mi chodzi, a raczej o co mi chodziło, bo w obecnej sytuacji należy chyba użyć czasu przeszłego. Wyznam ci nie bez dumy, że zgodził się zjeść ze mną kolację w mieście jutro wieczorem. Ale jak widzisz, trzeba będzie z tego zrezygnować. Dlatego porzucam abstynencję.

- Zdaje mi się, że chciał cię tylko naciągnąć na drogą kolację z mnóstwem szampana, a potem obrazić się albo zachować wulgarnie, kiedy dasz mu do zrozumienia, o co ci chodzi.

- Andy nie jest ani wulgarny, ani cyniczny. Liczył na wieczór z przyjazną osobą. To bardzo miły, szczery i skromny chłopak. Nie znasz go.

- A ty go znasz? Mówisz o nim tak, jakbyście byli starymi kumplami.

- Rozmawialiśmy ze sobą nie mniej niż trzy razy, kiedy odwiedzał Fawkesa w szpitalu. Cudownie się rozumiemy z Andym.

- Nie podejrzewałem, że on jest w twoim typie, Max. Widziałem go parę dni temu. Jest przystojny, sam to zauważyłem, ale bynajmniej nie zniewieściały.

- Och, wcale nie lubię zniewieściałych. Istnieje pewien rodzaj delikatnej urody i fizycznego wdzięku, który nie ma nic wspólnego z pedałowatością, ale występuje to tylko u bardzo młodych mężczyzn. Znika bez śladu, gdy osiągną dwadzieścia pięć lat. Taki właśnie jest Andy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak, chyba tak. Ale osobnik taki powinien być w zasadzie heteroseksualistą, nie sądzisz?

- Może. Ale jeśli tak wygląda, to zazwyczaj zaznał już i tej drugiej odmiany jako nastolatek, w okresie, gdy ciągnęło go nieco w tę stronę, albo przynajmniej lubił poeksperymentować. Wie zatem, jakie to może być przyjemne. Z drugiej strony, w tym czasie spotykał się też z dziewczętami i wie, że i one go lubią. A więc nie wątpi we własną męskość. Wtedy zjawiam się ja i w sposób jak najbardziej elegancki daję mu do zrozumienia, że odrobina tej zabawy, którą uprawiał z kolegami w szkole, na pewno mu nie zaszkodzi. Mówię mu nawet, że teraz będzie jeszcze fajniej, bo będziemy to robić w luksusowych hotelach i tak dalej, a nie pod płótem gazowni. Wszystko musi być supereleganckie, to bardzo istotne. Francuskie dania w blasku kryształowych kandelabrow, alkohol w ekskluzywnych barach, teatr, wyjazdy na modne imprezy sportowe; chyba do twarzy by ci było w tych koszulach, a więc kupiłem ci pół tuzina, zauważyłem, że popsuł ci się zegarek, a więc zechciej przyjąć ten. Tak długo, dopóki nie pojawi się ktoś następny, i on, i ja będziemy wspaniale się bawić, a potem on powróci do swych dziewcząt z lekkim sercem i z większym zrozumieniem możliwości ludzkiej duszy. Chcesz jeszcze whisky?

- Na razie nie, dziękuję.

- A ja jeszcze trochę sobie wypiję, nie więcej niż sto gramów. - Stojąc przy komodzie, Hunter rozmyślał na głos: - Wiesz, teraz, kiedy opowiadam ci o moich metodach, pojmuję, jak bardzo przypominają one twoje. Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że wielu homoseksualistów lubi nędzę i brud. Albo też świadomie nie przebiera w towarzyszach. Albo lubi płacić za to, a czasem też brać pieniądze. Lecz ja, poza jedną zasadniczą sprawą, wcale nie różnię się od ciebie. Możliwe, że doktor Best odkrył coś w rodzaju odwrotnej prawdy o mnie. Czyżbym przejawiał stłumione skłonności heteroseksualne?

- O rany, skąd ja mam wiedzieć?

- To tłumaczyłoby mój stosunek do kobiet. - Hunter znów usiadł. - Jeśli chodzi o sprawy łóżkowe, sypiam z kobietami w przerwach pomiędzy romansami, to zawsze sprawiało mi dużą przyjemność, a pamiętaj, kto to mówi. Rzecz jasna, z anatomicznego punktu widzenia są mniej interesujące, ale ich ogólne kształty podobają mi się, choć może są nieco dziwaczne. Jeśli czegoś nie mogę znieść, to tylko szczegółów. Nie podoba mi się kształt ich dłoni. Takie małe

wąskie łąpki nie potrafią dokonać niczego poważnego. I te paznokcie. Wydają się pretensjonalne. A czy widziałeś kiedyś ładną kobietę z przyzwoitym, zdecydowanie zarysowanym nosem? Małe, zadarte ryjki. Hm. Czy nie sądzisz, że zbieram sobie wymówki, aby nie lubić kobiet? Bo widzisz, gdybym ich nienawidził tak, jak przystoi zdrowemu, uczciwemu, bogobojnemu pedałowowi, to na przykład nie mógłbym zaakceptować ich piersi, które zresztą bardzo mi się podobają. Rozumiesz, do czego zmierzam?

- Tak. Ale chyba coś ci się pokręciło. Doktor Best stwierdziłby prawdopodobnie, że jako utajony heteroseksualista powinieneś odczuwać wstręt właśnie do piersi, bo to ułatwiałyby ci ukrywanie przed samym sobą twojego zakorzenionego heteroseksualizmu.

- Natomiast gdybym był homoseksualistą, to przejawiałbym wstręt do piersi, bo w ten sposób moja ukryta nienawiść do kobiet mogłaby wyładować się na tym najbardziej kobiecym atrybucie. Tak, rozumiem. Wiesz, trzeba by coś zrobić z doktorem Bestem. Zaczynam pałać coraz silniejszą żądzą zemsty.

- Co chciałbyś mu wywinąć?

- Coś niemiłego. Na razie tylko tyle wymyśliłem. Ale mam jeszcze mnóstwo czasu na opracowanie dokładnego projektu, zanim skończy się nasz pobyt tutaj i każdy pojedzie w swoją stronę.

- Chyba jednak napiję się jeszcze whisky - powiedział Churchill.

- Nalej sobie. Trochę dziwnie się dzisiaj zachowujesz.

- Przepraszam.

- Nie martw się Fawkesem. Możemy mu już tylko zazdrościć.

- Nie chodzi wyłącznie o to. Rzecz dotyczy... wojska.

- Czyżby wojsko ci podpadło?

- Mam go już dość. Nie wierzę już w tę instytucję.

- O rany - powiedział Hunter - a przedtem wierzyłeś?

- Tak. Wierzyłem, że jest to instytucja dobra i potrzebna. Dlatego się zaciągnąłem.

- Mój drogi, wciąż mnie zadziwiasz.

- A ty, dlaczego się zaciągnąłeś?

- Wyłącznie ze względu na stroje. Moi ulubieni chłopcy najlepiej wyglądają w mundurach. Podobno w marynarce jest więcej okazji, ale marynarze noszą takie paskudne spodnie. Natomiast khaki... Pamiętam dokładnie dzień, w którym postanowiłem zostać żołnierzem. Rodzice zaciągnęli mnie do nowej szkoły na oględziny, co niestety, nie zdarzyło im się po raz pierwszy. Szliśmy za dyrektorem, mijając jakiś cholerny ponury monaster. Nagle,

jak spod ziemi, pojawił się przed nami zachwycający, cudowny chłopiec w mundurku przysposobienia wojskowego. Muszę go zdobyć, powiedziałem sobie. Oczywiście w duchu.

- I zdobyłeś go?

- Och, tak, wiele razy, bez najmniejszych kłopotów. Jednocześnie zdobywało go chyba ze czterdzieści innych osób. A szkoda.

- Ale przecież sam mówiłeś, że tak powinno być. W ten sposób unika się emocjonalnego zaangażowania.

- Tak, ale w tym przypadku było inaczej. Poruszałem się jeszcze po omacku. Teraz już mi to nie grozi.

Hunter wstał i powoli zdjął kurtkę munduru.

- Co to ma być? - spytał Churchill. - Mały pokaz?

- Do tego potrzeba co najmniej dwóch osób, a poza mną znajdujesz się tu tylko ty. Niestety, nie jesteś w moim typie. Jesteś zbyt dojrzały. Mówię o wyglądzie. Nie, po prostu idę już spać. I nie mów, że dobrze zrobię, bo opróżnię do końca tę butelkę, żeby ci utrzyć nosa.

- No, to ja już pójdę. Zobaczymy się rano.

- Niewątpliwie. Dobranoc, James. Dziękuję ci, że mnie wysłuchałeś.

Kiedy Churchill wyszedł, Hunter usiadł na łóżku i gwałtownie rozejrzał się po pokoju, jakby szukał czegoś, czym mógłby cisnąć w ścianę.

\*

- Czy Evans na pewno rozpozna ten klucz? - zapytał Leonard.

Deering mlasnął językiem i westchnął.

- Mówiłem już panu - powiedział. - Na kółku są tylko cztery klucze. Jeden jest od pokoju. Evans wie, który, bo Ayscue dawał mu go dziesiątki razy, kiedy trzeba było zabrać rzeczy do prania i tak dalej. Drugi klucz musi być od sejfu, bo jest za mały, żeby pasował do jakiegokolwiek innego zamka. Jest też klucz yale, o którym nic nie wiemy, ale to na pewno nie ten, bo szafa nie ma takiego zamka. A więc to musi być ten czwarty klucz. Mam rację?

- Czy Evans może wynieść go z pokoju, dać tobie i podzucić z powrotem zupełnie niepostrzeżenie?

- Niech pan posłucha - rzekł Deering, przymykając na chwilę oczy. - Przede wszystkim, nie musi go szukać, bo Ayscue zawsze kładzie klucze razem z drobnymi pieniędzmi i pozostałą zawartością kieszeni na toaletce, kiedy się rozbiera na noc. A więc jutro rano Evans wchodzi z herbatą, stawia ją koło łóżka, bierze buty Ayscue'a i wymyka się, ściągając po drodze klucze. Ja czekam z woskiem, w dziesięć sekund robię swoje i znikam. Evans wraca z butami i



podrzuca klucze, zanim jeszcze Ayscue się zbudzi. W porządku? Jeśli nie wierzy pan, że potrafię zdjąć dobry odcisk, to może pan czekać przed domkiem i sam się do tego zabrać.

- Ktoś mógłby mnie zauważyć. A ordynansi wszędzie się kręcą i nikt nie zwraca na nich uwagi.

- Och, wielkie dzięki. Czy to już wszystko?

- Tak, Deering, dziękuję.

Ordynans spróbował stanąć na baczność.

- Dziękuję, sir. Dobranoc.

Po jego wyjściu Leonard zaczął przemierzać nierówną podłogę swego pokoju. Czuł lekki niepokój, napięcie i brak pewności siebie. Ostatnio coraz częściej znajdował się w takim nastroju. Stał przed obrazem uwieczniającym postać jakiegoś majora. Jego pewność siebie zmalała jeszcze bardziej i odwrócił wzrok od błękitnych oczu oficera. Wydawało mu się, że spoglądają one na niego z rozczarowaniem, może nawet z wyrzutem.

Nie uczynił żadnych postępów w pracy nad zdemaskowaniem szpiega. Właściwie był teraz jeszcze dalej od celu. Dokonywał tak regularnych, jak i dorywczych przesłuchań członków grupy B1, ale dowiedział się tylko tyle, że ani jeden z podejrzanych oficerów nie zadawał im żadnych pytań związanych z operacją „Apollo”. Zresztą w ogóle nikt ich o to nie pytał. Nikt w obozie nie interesował się tą sprawą. Zaś Leonard czuł, że ta historia z Ayscue'em stanowi fałszywy trop, coś, co musi on jedynie oficjalnie lecz dokładnie sprawdzić. Na razie nie miał też żadnych wiadomości z Londynu. Nie zidentyfikowano więc jeszcze nowego łącznika szpiega w stolicy, który zastąpił aresztowanego poprzednika.

I do tego ten nowy ślad. Właściwie powinien być wdzięczny nawet za najmniejszy promyk światła. Ale to, co ten akurat promyk ujawniał, stało w tak rażącej sprzeczności z jego teoriami, jakby specjalnie zostało wymyślone, aby go upokorzyć. Do tego, z rzadką u siebie intuicją, Leonard już teraz wiedział, że rozpracowanie tego śladu będzie od niego wymagać wielkiej zręczności, raczej osobistej niż zawodowej. Powinno go to cieszyć, a nie przygnębiać, a jednak nie czuł się pocieszony.

Ktoś zastukał do drzwi. Był to Ross-Donaldson.

- Gotów? - zapytał.

- Tak.

- Idziemy.

Wyszli z budynku i wsiedli do samochodu Leonarda. Wyposażony on był w małą radiostację nastrojoną na częstotliwość stanowiska dowodzenia i nadajnika awaryjnego.

Leonard włączył ją i wziął do ręki mikrofon. Świadom, że Ross-Donaldson patrzy na niego obojętnie, powiedział:

- Halo, centrala. Tu Kłódka. Odbiór.

Po chwili z głośnika odezwał się głos mówiący z północnym akcentem.

- Halo, Kłódka. Tu centrala, słyszę cię dobrze. Odbiór.

- Opuszczam chwilowo teren. Sprawdź alarm osobisty.

Z instrumentu umocowanego do prawego nadgarstka Leonarda rozległo się cieniutkie brzęczenie.

- Halo, centrala. W porządku. Bez odbioru.

- Co to za zabawka? - spytał Ross-Donaldson, gdy jechali w stronę bramy.

- Informuje mnie, jeśli ktoś chce rozmawiać ze mną przez radio. Zabieram ją zawsze, kiedy jadę gdzieś, gdzie nie ma telefonu.

- Tam, dokąd zmierzamy, jest telefon.

- Nie wiadomo, czy jest bezpieczny.

- Och, tak, oczywiście. Jak mogłem o tym zapomnieć.

- Oficer bezpieczeństwa i adiutant - powiedział Leonard do kaprała na posterunku wartowniczym. - W celach operacyjnych.

- Chyba daje ci się we znaki przerost szkolenia nad działaniem - rzekł po chwili Ross-Donaldson. - Zwłaszcza teraz, kiedy brak normalnych namiastek działania.

- O co ci chodzi?

- No, defilady, manewry, służba wartownicza. Gry towarzyskie nie liczą się, bo nie mają związku z przedmiotem szkolenia.

- Nadal nic nie rozumiem.

- Rzecz jasna, najlepiej ujawnia się to zjawisko pośród żołnierzy oddziału poddanych bardzo intensywnemu szkoleniu poprzedzającemu jakąś specjalną operację, która nagle zostaje odwołana. Morale natychmiast się rozluźnia, zaczyna brakować dyscypliny, szerzy się pijaństwo, drobne przestępstwa, nawet w pewnym stopniu dezercja. Oczywiście nie twierdzę, że tobie też to grozi. Ta wyprawa pomoże ci nieco złagodzić napięcie.

- Teraz chyba zaczynam pojmować - powiedział Leonard. - Mniej więcej. - Po jakimś czasie dodał: - W żadnym wypadku nie przedstawiaj mnie jako funkcjonariusza kontrwywiadu.

- Rozumiem, to mogłoby wszystko zepsuć.

- Po prostu kapitan Leonard z pułku Żeglarzy.

- Tak jest.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś mógł wspomnieć mimochodem, że wykonuję w obozie pewne tajne zadania.

- Spróbuję. Teraz w lewo.

- Czy nie minął nas przed chwilą samochód pułkownika? - znenacka zapytał Leonard po upływie paru minut.

Ross-Donaldson opuścił okno i spojrzał do tyłu.

- Tak, chyba tak.

- Ciekawe. Należałoby się przecież spodziewać, że on będzie zachowywał się rozsądniej niż jego podwładni.

- Logika połączona z niedokładnością w fazie niedoinformowania.

- Właśnie. - Leonard, który znał to określenie z podręcznika, był zachwycony. - Nie wiedziałem, że interesujesz się filaktologią.

- Staram się być na bieżąco w wielu dziedzinach - powiedział skromnie Ross-Donaldson. - Możesz zaparkować obok tych trzech samochodów.

- To przecież twój jeep.

- Faktycznie. Pożyczyłem go Churchillowi.

- Ach, z jego strony nie mamy się czego obawiać. Szkoda że nie wszyscy są tacy jak on.

- Szkoda.

Po dwóch minutach stali już w skąpo oświetlonym pomieszczeniu, w którym łysy osobnik około czterdziestki czytał jakiś magazyn, przyświecając sobie miniaturową latarką.

- A gdzie jest ten facet, który nas wpuścił? - zapytał Leonard.

- Gdzieś w pobliżu. Dzieją się tu różne dziwne rzeczy.

Łysy mężczyzna spojrzał na nich z odległości dziesięciu metrów. Szybkim ruchem skierował promień latarki na żołnierzy i kolejno oświetlił ich od stóp do głów i z powrotem. Następnie, równie niespodziewanie, powrócił do lektury.

Leonarda wytrąciło to nieco z równowagi.

- Widziałeś go już tutaj? - Mówił nieco ciszej niż zwykle, ale równie stanowczo i niecierpliwie.

- Ani razu. Napijesz się czegoś?

- Sherry, jeśli jest.

- Nie ma. Gin z tonikiem, nic poza tym.

- Niech będzie. Tylko nie za dużo ginu.

- Dobrze. - Ross-Donaldson głośniejszym głosem zapytał: - Zrobić panu coś do picia?

Łysy mężczyzna nadal czytał.

Podczas gdy Ross-Donaldson zajęty był nalewaniem, Leonard spacerował po pokoju. W czasie szkolenia wciąż powtarzano mu, jak ważne są przeczucia i instynkty, zwłaszcza w tzw. sytuacjach niezupełnie ufaktycznionych, zaś w tym momencie podświadomość niewątpliwie coś mu podpowiadała, choć nie wiedział zbyt dobrze, co.

- Dobry wieczór - powiedział.

Łysy mężczyzna znów podniósł wzrok, ale nie zmienił pozycji. Po upływie dziesięciu sekund odpowiedział:

- Dobry wieczór.

- Czy często pan tu bywa? - zapytał zdesperowany Leonard.

- Nie. Szczerze mówiąc, jestem tu po raz pierwszy.

- Ja też. Skąd dowiedział się pan o istnieniu tego miejsca?

- Skąd się dowiedziałem? Wszyscy o tym wiedzą. Tak jak o istnieniu jego właścicielki.

- Och, tak, oczywiście, ale chodzi mi o to, co się tu dzieje.

- Obawiam się, że przybyliśmy tu w różnych celach.

- Chyba tak. A po co pan tu przybył?

Mężczyzna na chwilę oświetlił twarz Leonarda latarką, wyłączył ją i schował do kieszeni.

- Kim pan jest? - spytał.

- Żołnierzem, oficerem. Stacjonuję w obozie, niedaleko stąd. Zna pan chyba to miejsce?

- Wiem, gdzie się znajduje.

- Zajmuję się tam pewnymi niezwykle ważnymi i tajnymi sprawami.

- Czyżby? - rzekł mężczyzna, zmieniając ton na bardziej przyjacielski. - Zdaje mi się, że już niedługo pozostaną one tajne.

- O... Dlaczego tak pan uważa?

- To logiczne. Jeśli osoby zajmujące się tajnymi sprawami rozpowiadają o nich każdemu napotkanemu nieznanemu, to tajemnica w połowie przestaje już być tajemnicą. Przy skutecznym ukrywaniu zatajony powinien być również sam fakt ukrywania.

Tak bardzo przypomniało to Leonardowi cytaty z podręczników, że musiał skupić całą siłę woli, aby nie wzdrygnąć się i nie krzyknąć. Nie patrząc na Rossa-Donaldsona, wziął od niego szklankę i zaczął saczyć napój.

- To ciekawe - powiedział. - Jak pan do tego doszedł?

- W ramach obowiązków zawodowych.

- A jaki zawód pan wykonuje, jeśli można...

- Powiedzmy, że zajmuję się przede wszystkim wyciąganiem na światło dzienne rzeczy, które ludzie woleliby zachować w ukryciu.

- Mówi pan tak, jakby był pan szpiegiem.

- Szpiegiem? - zapytał dobrotliwie łysy mężczyzna. - Skąd ten pomysł, szanowny panie?

- Tak to zabrzmiało. Mam nadzieję, że nie czuje się pan urażony.

Leonard powiedział to bardzo lekkim tonem, jeśli wziąć pod uwagę jego wrodzone predyspozycje wokalne i obecny stan ducha. Reakcja tego faceta na jego słowa była niewątpliwie anormalna. W tym momencie pojawiła się następna myśl - jeśli owa lady Hazell wyciąga z ludzi informacje, ten facet może być jej łącznikiem. W milczeniu, które teraz zapadło, Leonard odwrócił wzrok od mężczyzny, lekko uniósł głowę i jakby od niechcenia rozglądał się po pokoju. Po chwili zerknął kątem oka na rozmówcę i stwierdził, że ten przygląda mu się w taki sam sposób. Nagle poruszył głową i zobaczył, że wpatruje się w niego, również zezując, papuga nienaturalnie uczepiona prętów swej klatki.

Milczenie przerwały wreszcie głosy wchodzących ludzi. Leonard odwrócił się i ujrzał Huntera oraz Ayscue'a, którym towarzyszył Ross-Donaldson. Widocznie zajechał w tym czasie kolejny samochód, zastukano do drzwi i ktoś je otworzył, lecz Leonard był zbyt zaabsorbowany, aby zwrócić na to wszystko uwagę.

Hunter podszedł do Leonarda, skinął mu głową i dopiero po chwili spostrzegł łysego mężczyznę.

- A to ci niespodzianka - powiedział głosem wyższym niż zazwyczaj. - Cóż za spotkanie. Widzę, że zdążył pan już zaprzyjaźnić się z Brianem.

- Nie przedstawiono nas sobie. Siedziałem spokojnie i czytałem, a...

- Och, trzeba natychmiast naprawić to niedopatrzenie, choć wiem, że żaden z panów nie upiera się przy formalnościach. To jest doktor Best, który zarządza szpitalem psychiatrycznym, gdzie niedawno spędziłem parę dni, a to kapitan Leonard.

- Rozmawialiśmy kiedyś przez telefon - powiedział doktor Best do Leonarda. - Pana głos od razu wydał mi się znajomy.

- Panowie mają ze sobą wiele wspólnego - odezwał się Hunter.

- Muszę natychmiast powiadomić cię o pewnej ważnej sprawie - przerwał mu Leonard.

- Pozwoli pan, doktorze?

- Oczywiście - powiedział kordialnie lekarz, nie spuszczać z niego wzroku.

- Napijesz się ginu z tonikiem, Hunter?! - zawołał Ross-Donaldson.

- Sam tonik, jeśli można. A więc, Brian, co to za tajemnica?

- Musiałem cię powstrzymać, bo zorientowałem się, że właśnie chciałeś zdradzić, iż jestem funkcjonariuszem bezpieczeństwa. Nie rób tego pod żadnym pozorem. To rozkaz, Max.

- Ale przecież zazwyczaj... To znaczy, nie myślisz chyba, że są tu jacyś szpiedzy?

- Zwykła ostrożność. A teraz chcę cię o coś spytać. Przypuszczam, że kiedy byłeś w szpitalu, ten facet, doktor Best, zadawał ci mnóstwo pytań dotyczących twojego życia, pracy i tak dalej. Zastanów się dobrze. Czy interesowało go to, co się dzieje w obozie?

Hunter zastanowił się. Wreszcie powiedział:

- Tak. Tak. Trochę mnie zaintrygowała jego ciekawość, ale tyle się tam działo, że dopiero teraz sobie przypomniałem. Kilkakrotnie pytał mnie o to, co robicie, za każdym razem w inny sposób. Czy mnie to niepokoi, czy martwię się, że nie wykonamy zadań na czas, że mógłby mi pomóc, gdyby wiedział więcej o tej sprawie. Naprawdę, nie dawał mi spokoju. Mówiłem mu po prostu, że nie wiem, bo przecież nie wiem, prawda? A teraz, kiedy o tym myślę, to cieszę się z powodu tej niewiedzy.

- Dlaczego? - spytał Leonard ze zdwojoną niecierpliwością.

- Zaraz ci powiem... Dziękuję ci, Alastair. Przepraszam, że Brian i ja zachowujemy się tak nietowarzysto, ale musimy omówić pewną dość ważną sprawę.

- Proszę bardzo - powiedział Ross-Donaldson. - Zawołajcie mnie, jeśli będę mógł wam w czymkolwiek pomóc.

Ruszył w stronę Ayscue'a. Leonard znów zaatakował Huntera.

- Dlaczego? Dlaczego cieszysz się, że nic nie wiesz o operacji „Apollo”?

Hunter rozejrzał się i ściszył głos.

- Bo doktor Best przesłuchiwał mnie pod hipnozą - wysyczał.

- I nie pamiętasz, o co cię pytał?

- Nie. Ale mam takie wrażenie, że był bardzo... natarczywy. Wciąż powtarzał to samo pytanie, ale bez skutku. Oczywiście, mogę się mylić.

- Uhm. To bardzo przydatna wiadomość, Max. Dziękuję ci.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Brian. Mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

- Szczerze mówiąc, tak. Każę oczywiście sprawdzić i śledzić tego człowieka, ale często można wiele zyskać dzięki frontalnemu atakowi. Może byś tak, kiedy do niego wrócimy, zaproponował mi, bym zajrzał do szpitala, a jemu, aby mnie po nim oprowadził?

- Tak, naturalnie, ale jak mam to uzasadnić?

- Och, interesują mnie metody przesłuchiwania jeńców przy zastosowaniu środków chemicznych i podobne sprawy. Coś tam wymyślę.

Jak się jednak okazało, żadne podstępny nie były konieczne. Ledwo Hunter skończył swą kwestię, doktor Best już kartkował kalendarzyk.

- Czy odpowiada panu przyszły wtorek, godzina wpół do dwunastej? - zapytał. - A potem, jeśli pan pozwoli, zapraszam do mojego apartamentu na obiad.

Leonard podziękował mu i oddalił się w stronę swoich kolegów. Później wyjaśnił Hunterowi, że był to odwrót strategiczny mający na celu umożliwienie doktorowi wygłoszenia swobodnych, ale być może znaczących komentarzy na temat jego przyszłego gościa (np. że pozorowanie pozytywnej reakcji na wścibstwo i wypytywania to sztuczka tak stara, jak samo szpiegowskie rzemiosło).

Na razie doktor Best nic nie mówił o Leonardzie. Zapytał natomiast Huntera o jego samopoczucie.

- Całkiem niezłe, dziękuję.

- Widzę, że przynajmniej w tej chwili stroni pan od alkoholu.

- Jak pan genialnie spostrzegł, przynajmniej w tej chwili stronię.

- Ale z drugiej strony... Pozwoli pan, że na moment powrócimy do naszego niedawnego układu lekarz-pacjent?

- Niech pan mówi, na co tylko ma pan ochotę, doktorze.

- Dziękuję, kapitanie Hunter. Chciałem właśnie pozwolić sobie na uwagę, że choć cieszy mnie fakt, iż nie kusi pana alkohol, widzę też, iż nadal usiłuje pan zagłuszyć swą prawdziwą naturę, uganiając się za kobietami.

- Mówi pan o Lucy? Tak, pomyślałem sobie, że zajrzę i skorzystam z jej usług. Czy to źle?

- Powiedzmy, że nie najlepiej. W ten sposób wzrośnie tylko pana napięcie i lęk.

- Cóż, muszę się do tego przyzwyczajać. Teraz pana kolej, prawda?

- Moja kolej?

- Aby skorzystać z usług lady Hazell. Czy może Brian i jego kolega byli tu przed panem?

- Nie powinien pan podejrzewać, kapitanie, że wszyscy są tak jak pan opętani obłądną, neurotyczną i w efekcie groteskową pogonią za pospolitym fizycznym wyładowaniem. Przywiodły mnie tu zupełnie inne powody. Tak się składa, że w tym domu mieszka jedna z moich pacjentek. Wyszła ze szpitala na okres próbny tego samego dnia, co pan. Przypadek kumulatywnej dystrofii psychicznej, którą pochlebiam sobie, udało mi się zatrzymać, może nawet w pewnym stopniu cofnąć. Chciałbym poprosić lady Hazell, żeby porozmawiała ze mną i zrelacjonowała obecny stan mojej pacjentki.

- Czy nie prościej byłoby porozmawiać z nią samą, a nie z Lucy?

- Muszę unikać bezpośrednich kontaktów z pacjentką. Powinna się nauczyć żyć samodzielnie. Nie chciałbym, aby nadal liczyła na pomoc przyjaciół, którym może opowiadać o swych kłopotach i prosić o duchowe wsparcie.

- Jakich przyjaciół?

- Na przykład mnie.

- Aha. Jakoś nie pomyślałem o panu. Nie pije pan, doktorze?

- Alkohol w tej postaci raczej mnie nie pociąga. Chociaż nie jestem abstynentem.

- Chyba tylko osobnicy o tłumionych skłonnościach pijackich są abstynentami.

- Trochę pan wulgaryzuje sprawę, ale w sumie, tak, ma pan rację. Lubię wypić kieliszek wina do obiadu i nieco dobrego koniaku po obiedzie. Muszę nawet wyznać, że mam niewielką, ale niezłe zaopatrzoną piwniczkę w moim służbowym mieszkaniu w szpitalu. A propos. Czy ten młody człowiek, którego zaprosiłem na obiad w przyszłym tygodniu, to pana przyjaciel?

- No, cóż, w obozie wszyscy znamy się dopiero od niedawna, ale w ciągu ostatniego miesiąca spędziłem z nim sporo czasu. Dlaczego pan pyta?

- Sprawia wrażenie nieco... nerwowego. Czy uznałby go pan za osobę zrównoważoną, o normalnym stanie umysłu? Opinie laików wypowiedziane na podstawie bezpośrednich kontaktów z pacjentami bywają cenne.

Przez kilka sekund Hunter milczał. Doktor Best spojrział na niego z uśmiechem.

- Czemu się pan waha, kapitanie?

- Nie waham się. Układam wyczerpującą odpowiedź na pańskie pytanie.

- Może słyszał pan, że przy badaniach ludzkiego umysłu najbardziej cenne są reakcje spontaniczne i niewyrachowane, ale skoro już straciliśmy tę możliwość, to może się pan zastanowić.

- Już się zastanowiłem. Moim zdaniem, jeśli ma ono jakieś znaczenie, Brian Leonard to człowiek całkowicie zrównoważony. Lubi swoją pracę i z tego, co wiem, wykonuje ją dobrze. W kontaktach towarzyskich jest może trochę nieśmiały, ale nie nazwałbym go odludkiem. Nie jest ani pijakiem, ani samotnikiem, ani neurotykiem. Jeśli szuka pan wariata, doktorze, to marnuje pan czas na Briana.

- Mówi pan z wielkim zapałem, kapitanie, może z większym, niż uzasadnia to sytuacja.

- Nie wiem, ale mam już dość pańskiego doszukiwania się we wszystkim ukrytych podtekstów i traktowania każdego człowieka jako przypadku choroby psychicznej.

- A może pana sympatia dla kapitana Leonarda pochodzi stąd, że częścią umysłu traktuje go pan potencjalnie jako... kogoś więcej niż przyjaciela?



Na to Hunter wybuchnął tak niepohamowanym śmiechem, że wylał nieco swego toniku i musiał uchwycić się ramienia doktora Besta, aby utrzymać się na nogach. Wyciągnął chusteczkę i otarł oczy. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie nie było już owej skrywanej niechęci wobec lekarza, którą starał się utrzymać dotychczas.

- Mój rechot może przyprawiać o dreszcze - powiedział - ale po prostu nie mogłem się opanować. To chyba dostatecznie uzupełnia moją opinię. A teraz bardzo pana proszę, niech pan wyjątkowo zapomni o swoich zasadach i napije się. Przyłączymy się do reszty towarzystwa.

Doktor Best wzruszył się tym zaproszeniem. Dał się zaprowadzić do przeciwległej części pokoju i zażyczył sobie gin z tonikiem - słaby, jak się zastrzegł. Z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwał się prowadzonej rozmowie.

Leonard zirytowanym tonem mówił do Rossa-Donaldsona:

- Długo jeszcze będziemy tu czekać? Od kiedy Churchill... jest na górze? W takim tempie będę musiał...

- Czy James jest u Lucy? - zapytał Hunter.

- Pożyczył jeepa Alastaira, który stoi teraz przed domem.

- Ach, tak.

- Nawet zakładając, że kiedy przyjechaliśmy, dopiero zaczynał - powiedział Ross-Donaldson, spoglądając na zegarek - to i tak przekroczył już limit czasu o pięć minut. Ale oczywiście tak niewielkie przekroczenie nie ma znaczenia.

- Jak to obliczyłeś? - spytał Ayscue.

- Są to, oczywiście, liczby bardzo orientacyjne, ale można eksperymentalnie dowieść występowania zależności pomiędzy wiekiem kochanków a czasem trwania aktu seksualnego. Ciekawe jest to, że choć spodziewać by się należało wykresu w postaci paraboli, to w rzeczywistości jest on prawie liniowy. Wydaje mi się, że gdyby powiększyć zbiór danych, to otrzymalibyśmy w drugiej połowie osi wieku asymptotę wklęsłą, aczkolwiek nie sądzę, aby na początku wykresu miała rzeczywiście znajdować się asymptota wypukła. Zresztą, przypuszczam, że nigdy nie uda nam się zebrać wyczerpujących danych.

- Do kogo należą te dwa samochody przed domem? - zapytał Leonard.

- Jeden niewątpliwie do mnie - uśmiechnął się doktor Best.

- A drugi zapewne do tego, kto nas tu wpuścił - powiedział Ross-Donaldson.

- Ale gdzie ten ktoś jest? - nie ustępował Leonard.

W tym momencie na progu pokoju pojawili się dwaj mężczyźni w cywilnych ubraniach.

- Dobranoc panom - powiedzieli i zniknęli. Ross-Donaldson przymknął oczy i bardzo powoli skinął kilkakrotnie głową.

- I co teraz? - spytał Hunter.

- Zaczekajmy jeszcze chwilę - zaproponował Ross-Donaldson, znów patrząc na zegarek. - Wciąż trwa faza pierwsza i Lucy pojawia się tu jeszcze co jakiś czas. Za około pół godziny zacznie się faza druga, w której już się nie pokazuje.

- Może tymczasem zdecydujemy się, na kogo teraz kolej - rzekł Hunter.

- Rzecz jasna, na doktora Besta - zauważył Ross-Donaldson. - Był tutaj przed nami.

- Chyba wyjaśniłem już, że odwiedzam lady Hazell tylko i wyłącznie w ramach obowiązków zawodowych.

- Wyjaśnił pan to tylko mnie - przypomniał Hunter. - Dotychczas nie miał pan okazji powiedzieć tego pozostałym.

- Może ja również coś wyjaśnię - odezwał się Ayscue. - Także nie przybyłem tu po to, czego zazwyczaj poszukują bywalcy owego domu. Nie chcę bynajmniej tego krytykować, nie zrozumcie mnie źle.

- Ale nie sądzi ksiądz chyba, że może porozmawiać z Lucy w ramach obowiązków zawodowych? - spytał Ross-Donaldson.

- Ksiądz? - wtrącił doktor Best. - Ksiądz?

- Tak, może mi pan wierzyć albo nie, ale jestem oficerem Służby Duszpasterstwa Wojskowego. Wiem, że mój strój na to nie wskazuje, jeśli to pana dziwi. Ale w miarę możliwości staram się nie szargać mojej sutanny. Gdyby było tu w tej chwili więcej gości, co jak mi wiadomo, czasami się zdarza, mógłbym mieć kłopoty z wytłumaczeniem każdemu po kolei, że sprowadziły mnie w to miejsce szlachetne pobudki. Stąd moje incognito, doktorze.

- A czy można wiedzieć, czego pan tu właściwie szuka?

- Słyszałem, że gdzieś w tym budynku znajduje się pokój pełen starych książek. Od lat nikt ich nie oglądał. Pomyślałem, że może uzyskam zgodę na spędzenie tu dnia czy dwóch i sprawdzenie, czy nie ma wśród nich czegoś ciekawego. Interesuje mnie głównie osiemnasty wiek. Czasami można w takich miejscach znaleźć autentyczne skarby.

Po chwili Hunter powiedział:

- To znaczy, że niezbyt wielu z nas przybyło tu w tym celu co zazwyczaj. Właściwie tylko Alastair i ja.

- Właśnie.

- I ja - dodał Leonard.

- Ach, tak, przepraszam cię, Brian. A więc, jak to zorganizujemy? Mimo wszystko trzeba w harmonogramie umieścić pięć osób.

- To całkiem proste - powiedział Ross-Donaldson. - Zanim jednak to wytłumaczę, proszę, aby wszyscy wypili jeszcze jedną kolejkę. Mógłbyś mi pomóc, Hunter?

- Oczywiście.

Dwaj mężczyźni podeszli do stolika z napojami. Pozostali milczeli przez moment. Wreszcie doktor Best zwrócił się do Ayscue'a:

- Zatem interesuje się pan literaturą.

- Och, przesadza pan. Jestem laikiem w tej dziedzinie. Specjalizuję się raczej w muzyce. Również osiemnastowiecznej.

- Osobiście zawsze ceniłem sobie Bacha, choć jego twórczość naznaczona jest piętnem histerycznego emocjonalizmu.

- Mówi pan zapewne o tym starym, nadętym prowincjonalnym organistrze, który znał tylko metrum na cztery czwarte. Ja wolę jego syna Carla Philippa Emanuela. Napisał tyle cudownych melodii, których nie sposób zaśpiewać. Johann Christian, rzecz jasna, też jest niezły jako taki Mozart dla dzieci.

- Bardzo niespokojny umysł ten Mozart.

- Tak. Niezwykły i pod innymi względami.

- Czy gra pan na jakimś instrumencie? - spytał doktor Best.

- Ostatnio tracę do tego przekonanie. W młodości byłem nie najgorszym skrzypkiem.

- A pan, kapitanie Leonard? Czy pan też wykazuje zainteresowanie muzyczne?

- Słucham? Och, niestety, nie. Niezbyt wiele mam...

- Proszę, chłopcy - przerwał Hunter, który przyniósł szklanki. Był bardziej podniecony niż przedtem. - Dla ciebie, Brian, niezbyt mocny. A teraz Alastair prosi was o uwagę. Opracował harmonogram.

- Gdy tylko Lucy się pojawi, ksiądz może załatwić swoją sprawę w ciągu jednej minuty - powiedział Ross-Donaldson. - A więc to już mamy z głowy. Potem chyba doktor Best powinien omówić z Lucy swój problem, a po nim...

- Dziękuję, że nie zapomina pan o moich interesach - wtrącił lekarz - ale wolałbym zobaczyć się z lady Hazell już po... To znaczy, wolałbym, żeby rozmawiając ze mną, nie myślała już o niczym innym.

- Więc pan będzie ostatni.

- Ja też mogę trochę poczekać - powiedział Leonard. - Chcę być przedostatni.

- Jak sobie życzysz. Cieszę się, że twój atak niecierpliwości już minął. A więc, Hunter, zostaliśmy już tylko my dwaj.

- Możesz być pierwszy, jeśli chcesz. Przede mną.

- Zgoda. Czyli: ksiądz, ja, Hunter, Leonard, doktor. Wszyscy zrozumieli? Dobrze. Pozostaje tylko kwestia przejścia od fazy pierwszej do drugiej, a tym ja mogę się zająć, kiedy nadejdzie moja kolej. Pamiętajcie, że w fazie drugiej obowiązkiem wychodzącego jest zawiadomienie następnego w kolejce, że posterunek jest wolny. Wystarczy odczekać kilka minut... Ach, dobry wieczór, Lucy. Zawsze podziwiałem twoją punktualność. Pozwolisz, że ci przedstawię majora Williama Ayscue'a ze Służby Duszpasterstwa Wojskowego, kapitana Maximiliana Huntera z pułku karabinierów gwardii oraz kapitana Briana Leonarda z pułku Żeglarzy. Eee, i doktora Besta. Panowie, oto lady Hazell.

\*

- Czym mogę panu służyć, doktorze? - zapytała natychmiast Lucy.

- To sprawa osobista, lady Hazell. Chciałbym omówić ją nieco później, jeśli nie sprawi to pani różnicy.

- Owszem, sprawi. Wolałabym mieć to za sobą jak najszybciej.

- Naprawdę, jako lekarz uważam, że najlepiej dla wszystkich byłoby, gdybyśmy mogli porozmawiać o tym na osobności.

- Skoro tak pan twierdzi, doktorze... A więc, majorze... Ayscue. Czyżby był pan duszpasterzem? Duchownym?

- Właśnie tak, lady Hazell, choć chwilowo w owczej skórce, ale może wytłumaczę, dlaczego tu jestem.

Kiedy Ayscue skończył, Lucy powiedziała:

- Ależ oczywiście, może pan oglądać, co pan tylko chce. Cieszę się, że ktoś się tym zainteresował. Jeśli ma pan ochotę, może pan nawet teraz się rozejrzeć. Sądzę, niestety, że panuje tam bałagan, choć pani Stoker od czasu do czasu odkurza książki, a żarówka powinna działać. Pokażę panu drogę.

Wzięła Ayscue'a za rękę i wyprowadziła z pokoju.

- Nie rozumiem, gdzie jest Churchill - powiedział Leonard.

Twarz Rossa-Donaldsona wyrażała lekkie zdziwienie.

- Z pewnością nie tutaj. Zna reguły gry tak samo jak wszyscy. Albo byłby w tym pokoju, albo w ogóle go nie ma w tym domu. Nie ma go w tym pokoju, a więc w ogóle go tu nie ma.

- No, to gdzie jest?

- Musiał się już ulotnić.

- Nie słyszałem, żeby ktoś odjeżdżał. A taki dźwięk musiałbym usłyszeć. Wyrzę jeszcze na dwór.

- On tak zawsze? - spytał doktor Best.

- Moim zdaniem on po prostu nie pojmuje wielu aspektów świata. Chciałby w miarę swych możliwości zmniejszyć liczbę takich aspektów. W pewnym sensie rozumiem go. Chyba na jego miejscu zachowałbym się tak samo.

- A więc cierpi na zaburzenia równowagi psychicznej - powiedział lekarz, zerkając na Huntera.

- Niestety, nie znam się na tym - odrzekł Ross-Donaldson. - W sprawach ludzkich cierpień jestem laikiem.

Leonard wrócił w pośpiechu.

- Alastair, twój jeep nadal tam stoi.

- Nie wątpię.

- A więc, gdzie on jest?

- Być może w toalecie, być może robi sobie kawę, być może poszedł na spacer. Nie warto marnować energii, aby dowiedzieć się, co on konkretnie porabia. Jedną rzecz wiemy na pewno, tutaj go nie ma. Znamy odpowiedź na jedyne pytanie, jakie mogą stawiać nam okoliczności. A raczej - Ross-Donaldson na moment zmarszczył brwi - na jedno z dwóch pytań.

- A to drugie? - spytał Hunter.

- Pojawiło się dopiero przed trzydziestoma lub czterdziestoma sekundami. Gdzie jest Lucy?

- Zapewne prowadzi Willie'ego do biblioteki.

- Biblioteka znajduje się na drugim końcu hallu, w odległości około dwudziestu pięciu metrów. To najwyżej półminutowy spacer, tam i z powrotem. - Ross-Donaldson spojrział na zegarek.

- Ale wyszli dopiero trzy minuty temu. Widocznie Lucy pokazuje mu bibliotekę. Nie ma w tym chyba nic złego.

- Nie znasz jej. Ona nie pokazuje ludziom bibliotek.

- Myślisz, że wskoczyli do łóżka? No, to nie znasz Willie'ego. On jest bardzo cnotliwy. Może służyć jako przykład.

- Natomiast Lucy to bardzo atrakcyjna kobieta. Posiada zresztą, i to w dużym stopniu, najbardziej atrakcyjną ze wszystkich cech: dostępność.

- Twoim zdaniem to jest atrakcyjne?

- A twoim nie?

- Niezbyt.

- W takim razie co tu robisz?

- Nieważne - powiedział Hunter. - Zresztą, jeśli zniknęli gdzieś na chwilę, to co cię to obchodzi? Teraz twoja kolej.

- Należy trzymać się uzgodnionego harmonogramu. Obawiam się też, że Ayscue niezbyt dobrze pojął, co oznacza początek drugiej fazy.

- Och, na pewno cię zrozumiał. To było bardzo proste. A zresztą, widzę, że sytuacja sama się wyjaśniła.

Ruszając ku drzwiom, w których stała teraz Lucy, Ross-Donaldson rzucił do Huntera:

- Zaczekaj tu na mnie.

- Dobrze.

- W tej sprawie, o której rozmawialiśmy - powiedział Leonard z wyjątkową nawet jak na niego niecierpliwością. - Wybaczmy nam pan raz jeszcze, doktorze?

- Jak najbardziej.

- Och, Brian, na miłość Boską, czego znowu chcesz?

- Gdzie jest Churchill?

- Nie wiem, jak cię zmusić, żebyś przestał o to wypytywać, chyba nie pozostaje mi nic innego, tylko albo cię zabić, albo ci odpowiedzieć, a więc lepiej odpowiem ci. Ale przedtem wyjaśnij mi jedną rzecz. Czy jako funkcjonariusz kontrwywiadu chcesz wiedzieć, gdzie jest James, czy też po prostu intryguje cię to?

Leonard natychmiast otworzył usta, aby odpowiedzieć, lecz po chwili je zamknął. Wreszcie oświadczył:

- Sam nie wiem. Chyba i jedno, i drugie.

- Wiesz, Brian, czasami bardzo cię lubię, choć wolałbym, żeby nasz doktor nie dowiedział się o tym. Otóż - kontynuował Hunter - w tym momencie porucznik Churchill znajduje się na piętrze, w sypialni, a zapewne i w łóżku niejakiej Catharine Casement, przyjaciółki Lucy Hazell oraz tak jak ja eks- albo też nie eks-pacjentki cholernego doktora Besta, który gdyby się o tym dowiedział, popędziłby na górę, o co mogę się założyć, rozdzieliłby ich siłą i zaczął wypytywać, czy uważają, że w ten sposób rzeczywiście mogą wydobyc na jaw swą wzajemną stłumioną nienawiść.

- Och, nie sądzę. Przesadzasz.

- No, nie wiem, czy przesadzam, ale nie chcę, żeby ten bydlak wścibiał między nich swój nos, obmacywał ich i obwąchiwał. Pomyśl trochę, a sam będziesz mógł wyobrazić sobie,

jak bardzo to nieprzyjemne. A nawet jeśli sobie tego nie wyobrażasz, to i tak przestań wypytywać, gdzie jest Churchill.

- Oczywiście, rozumiem. Przepraszam cię, Max, nie wiedziałem, że o to chodzi. Mam nadzieję, że nie narobiłem żadnych kłopotów...

- Nie, nie, stary, nic się nie stało, wierz mi. Chciałem cię tylko uprzedzić. Ale pamiętaj. Przy doktorze Beście ani słowa o Churchillu. Pomyśl tylko. Skoro, jak mówi, jest tu jedynie po to, żeby porozmawiać z Lucy o Catharine, to dlaczego przyjechał właśnie teraz? Dlaczego nie w dzień? Dlaczego w porze, kiedy jest tu tylu innych gości? Między innymi oficerów z obozu?

Zanim Leonard zdołał odpowiedzieć, do pokoju wbiegł Ayscue z plikiem papierów w dłoni. Jego twarz nie wydawała się tak posępna jak zazwyczaj.

- To zdumiewające - powiedział głośno. - Spójrzcie tylko. Znalazłem to, wyobraźcie sobie, pomiędzy kartkami wiktoriańskiej encyklopedii przyrodniczej. Musiało przeleżeć tam ze sto lat.

Pokazywał wszystkim kilkanaście stron nut, pogniecionych, żółkłych i poplamionych, ale całkiem czytelnych. Leonard zauważył słowa *Vivace assai*.

- Czy nazwisko Thomas Roughead kojarzy wam się z czymś?

Hunter i Leonard pokręcili głowami. Doktor Best powiedział, że nie jest pewien.

- Koniec osiemnastego stulecia. Mniej więcej następne pokolenie po Boysie. Kolega Jonathana Battishalla. Był przez jakiś czas organistą w kościele Temple w Londynie. I... był uczniem tego samego Johanna Bacha, o którym zaledwie pół godziny temu rozmawiałem z panem, doktorze. Fantastyczna historia!

- I co z tym Rougheadem? - spytał Hunter.

- Założę się, o co tylko chcecie - powiedział Ayscue - że odkryłem właśnie jedyny zachowany egzemplarz sonaty h-moll Rougheada na flet, skrzypce i klawesyn. Dotychczas znano ją tylko z transkrypcji na dwa fortepiany tego starego osła Ciprianiego Pottera. Poza tym znalazłem jeszcze kilka kartek raczej nudnego utworu organowego Johna Stanleya. Ciekawe, ile lady Hazell zażyczy sobie za Rougheada.

- Moim zdaniem, odstąpi ci go za tyle, ile jest wart - rzekł Hunter. - To znaczy, za darmo.

- Och, na pewno jest to sporo warte - powiedział Leonard. - Nie jest to, oczywiście, utwór słynnego kompozytora, ale jest przecież stary. Wiesz, tak jak obraz dawnego mistrza. Nie musisz nawet wiedzieć, kim był ten mistrz sprzed wieków.

- To przecież jest muzyka, tępaku - odezwał się Hunter swym normalnym głosem. - Z definicji nic niewarta. Pamiętam, jak kiedyś siedziałem na koncercie i wysłuchałem całego

utworu. Była to symfonia w czterech częściach, zapomniałem czyja. Nie mogłem się połapać, w jaki nastrój autor chce wprowadzić słuchaczy. Muzyka miała mnie nakłonić do tego, żebym biegł, potem, żebym się położył i zasnął, potem, żebym zerwał się i znów pobiegał. Ale ja nie miałem na to ochoty.

- Muzyka nie do tego służy - przerwał doktor Best. - Poza pieśniami wojennymi i utworami tanecznymi, które mają nieco inny cel, sztuka nie pobudza do działania. Skłania raczej do kontemplacji, a ta z kolei pomaga człowiekowi w rozwiązywaniu rozmaitych konfliktów. Harmonia dzieła sztuki wprowadza harmonię do naszych umysłów.

- No, cóż, podczas wspomnianego koncertu nie udało się to. Zrodziła w moim umyśle zupełnie inne refleksje. To mój następny zarzut. Objawiła mi wewnętrzne konflikty, o których istnieniu nie miałem pojęcia.

- Cóż to był za potwór? - zapytał Ayscue. - Czy może Sibelius?

- Nie, ktoś na B. Ale większość kompozytorów ma nazwiska na B, prawda?

Hunter nie przestawał wyrażać się lekceważąco o muzyce, przytaczając coraz mniej zrozumiałe argumenty, dopóki do pokoju nie powrócił Ross-Donaldson.

- Faza druga - powiedział do Huntera. - Za kilka minut możesz iść na górę.

- Dotrzymasz mi w tym czasie towarzystwa?

Odeszli na bok. Doktor Best miał minę człowieka przyzwyczajonego, że ludzie zostawiają go samego. Ayscue podał kartki z nutami Leonardowi, ten zaś wziął je do ręki i zaczął przeglądać z udawanym zainteresowaniem. Próbował wymyślić jakiś komentarz.

- Gdzie tu jest telefon? - wypytywał Rossa-Donaldsona Hunter.

- Niestety, przy jej łóżku.

- Jest tylko jeden?

- Tak. Lucy opowiadała mi, że kiedyś miała też telefon na dole, ale pozbyła się go, bo wciąż musiała schodzić na parter i odkładać na widełki słuchawkę, którą przedtem położyła na stoliku, żeby móc rozmawiać z sypialni.

- Dziękuję za wyczerpujące wyjaśnienie. Ale to nie rozwiązuje problemu.

- Jeśli powiesz jej, że w grę wchodzi tajemnica wojskowa, to chętnie wyjdzie do łazienki.

Jak się okazało, Ross-Donaldson miał rację. Kiedy wreszcie Hunter podniósł słuchawkę i usiadł na łóżku, był sam. To, co przed chwilą robił w łóżku z Lucy, wydawało mu się znacznie bardziej odległe w czasie, niż było w rzeczywistości. Wszystko poszło dobrze, lecz za bardzo przypominało próbę ugaszenia pragnienia za pomocą likieru. Główny problem polegał na tym, aby uniknąć udawania lub wyobrażania sobie, że jest się z kimś innym. Samo w sobie nie



byłoby to bynajmniej nieprzyjemne, ale też nie dodałoby mu animuszu. Niemal zupełnie udało mu się od tego ustrzec.

Zakończył rozmowę, podszedł do drzwi łazienki i zastukał. Wyszła Lucy, zupełnie naga.

- Pójdę już - powiedział.

- Dodzwoniłeś się?

- Tak, dziękuję. Przepraszam, że cię przegoniłem.

- I tak musiałam tam pójść. Na kogo teraz kolej?

- Na Briana Leonarda. A potem doktor Best chciałby z tobą porozmawiać.

- Do diabła. Powiedz, czy ten pan Leonard jest mniej więcej w porządku?

- Kapitan Leonard. Strasznie by się zdenerwował, gdyby usłyszał, że nazywasz go „panem”. Tak, jest całkiem w porządku. Bądź dla niego miła, dobrze?

- Jestem miła dla wszystkich.

- Chyba rzeczywiście. Aha, Willie Ayscue znalazł w twojej bibliotece jakieś stare nuty. Chciałby je od ciebie odkupić. Uważa, że mogą być sporo warte.

- Powiedz mu, że może je sobie wziąć, ale żeby posłał trochę pieniędzy dla organizacji dobroczynnej, którą wspomagam. Powiedz mu, że zadzwonię do niego w tej sprawie.

- Dobrze. Dobranoc, Lucy, i bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co.

Objął ją i pocałował, żałując nieco, że nie sprawia mu to ogromnej radości, jak powinno, lecz jedynie pewną przyjemność.

- Odwiedź mnie jeszcze kiedyś.

- Na pewno.

\*

Zanim Hunter zdążył zamknąć za sobą drzwi, Lucy ponownie leżała już w łóżku. Była pewna, że kapitan Leonard rzeczywiście okaże się całkiem w porządku, ale owo słówko „całkiem” mogło oznaczać, że można go polubić dopiero wówczas, kiedy się go dobrze pozna, albo że są poważne argumenty na rzecz wręcz przeciwnego poglądu. Z jakichś tajemniczych powodów na jej wieczornych przyjęciach, jak zwykła je nazywać, choć tak o nich nie myślała, do tej pory nie zjawił się jeszcze nikt, kto nie byłby w porządku, albo przynajmniej całkiem w porządku. Jeden z jej najwierniejszych przyjaciół, dentysta, który od dwóch lat w każdy poniedziałek i czwartek, poza wakacjami, przyjeżdżał samochodem z miasta, wytłumaczył jej, iż instytucja ta działa na zasadzie klubu. Nowy gość mógł być zaproszony tylko pod

warunkiem, że zapraszający znał go dobrze i pozytywnie ocenił jego spodziewany udział w picciu na dole i - jeżeli takie rzeczy w ogóle można poddać ocenie - w tym, co miało nastąpić na górze. Cały problem polegał więc tylko na odpowiednim doborze członków-założycieli, co jakimś cudem jej się udało.

Zakładała, że jeśli kapitan Leonard okaże się nie całkiem w porządku, to raczej wskutek braku czegoś, nie nadmiaru. Krótkie spojrzenie, którym obdarzyła go na parterze, wystarczyło jej, aby stwierdzić, iż nie jest osobnikiem władczym. Mogły z tego wyniknąć kłopoty. Wiedziała, że osobnicy nazbyt władczy nie nastęrczają aż takich problemów. A na pewno są mniej zróżnicowani.

Kiedy w kilka minut później Leonard zastukał do drzwi i wszedł, odniosła wrażenie, że jej przewidywania się spełnią. Trzymał się blisko ściany jak chłopiec będący po raz pierwszy w nowej szkole. Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Ma pani śliczny pokój.

- Chodzi o to - powiedziała - żebyś rozebrał się i położył do łóżka. Tak będzie najlepiej.

- Och, czy nie moglibyśmy przedtem trochę porozmawiać? Przecież widzimy się pierwszy raz w życiu. Nie znamy się jeszcze.

- Jeśli będziesz mnie słuchać, wkrótce się poznamy. A najmilej rozmawia się po wszystkim.

Ignorując jej słowa, usiadł w nogach łóżka i zaczął przecierać binokle niebieską jedwabną chusteczką, której odcień, jak zauważyła, był identyczny z kolorem kurtki jego munduru.

- To wielka ulga - powiedział - móc tak przyjść tu sobie i odpocząć po całym dniu pracy. Chodzę bardzo spięty, bo mam niezwykle ważne zadanie i naprawdę bardzo tajne.

Nieco ją zdziwił gardłowy sposób, w jaki wymówił ostatnie słowa i baczne spojrzenie, którym ją obdarzył. Ale nic nie powiedziała.

- Wie pani - kontynuował po chwili Leonard - są tacy dżentelmeni na Wschodzie i nie tylko, którzy daliby wyrwać sobie przednie zęby, gdyby tylko mogli przez pięć minut obejrzeć pewne dokumenty, którymi dziś się zajmowałem.

Znów popatrzył na nią, tym razem przez binokle. Wciąż milczała. Czowała, że nie jest dla niego zbyt uprzejma, ale wiedziała, że jej bierność albo zmusi go do tego, by położył się do łóżka, albo tym prędzej wypędzi go z pokoju.

- Mamy w obozie naprawdę przerażające nowe rodzaje broni.

Cisza.

- Bomba atomowa wygląda przy nich jak sztuczne ognie. Cisza.

- Absolutnie rewelacyjne wynalazki.

Cisza. Po około czterdziestu sekundach Leonard wstał i gwałtownym gestem rozwiązał krawat. Lucy odetchnęła. Teraz już wiedziała, co się dzieje. Chodziło o dodanie sobie animuszu. Nawet jej przyjaciel dentysta czasami w takich momentach opowiadał o swoich planach zorganizowania pomocy socjalnej dla ubogich emerytowanych stomatologów i o zakusach szkół medycznych na jego wykłady. Nie miało to żadnego wpływu na to, co następowało potem.

Leonard właśnie zdejmował spodnie, kiedy rozległ się dziwny, cichy metaliczny dźwięk. Lucy przestraszyła się go: nie mogła się zorientować, skąd pochodzi. Leonard też się wzdrygnął, ale po sekundzie naciągał już z powrotem spodnie.

- Wszystko w porządku - powiedział z roztargnieniem. - Coś się stało. Ale może to nic ważnego. Ten aparacik na nadgarstku zawiadamia mnie, gdy ktoś chce ze mną rozmawiać. Muszę teraz wyjść. Mam nadzieję, że jeszcze wrócę, ale nie gniewaj się, jeśli się nie zjawię. Naprawdę chciałem z tobą porozmawiać.

Wybiegł przytrzymując kurtkę przewieszoną przez ramię. Lucy obróciła się na bok. Kiedy rozległ się cichy dźwięk, zainteresowało ją, co to takiego, lecz teraz sprawa ta już ją znudziła. Zapomniała o doktorze Beście i pomyślała, że na szczęście to już chyba koniec wieczoru. Zasnęła, ale po dwóch czy trzech minutach zbudził ją Leonard, który wbiegł do pokoju i zaczął się rozbierać w tempie, jakiego jeszcze nie widziała u nikogo.

- Co to był za dziwny dźwięk, z powodu którego uciekłeś?

Wykonując zabawne, taneczne ruchy, Leonard strząsnął buty z nóg.

- Czy to coś w rodzaju telefonu?

Zamek błyskawiczny przy spodniach świsnął przelotnie.

- Ale to już załatwione?

Gumka od slipów wydała odgłos przypominający szarpnięcie bardzo luźnej struny gitary.

- Och.

Już niebawem kapitan P.B. Leonard z pułku Żeglarzy dowodził ponad wszelką wątpliwość, że przynajmniej pod jednym względem jest nie tylko całkiem w porządku, ale po prostu w porządku. Udowadnianie trwało dłużej niż przeciętny okres obliczony przez Rossa-Donaldsona dla jego grupy wiekowej.

- Uff - powiedziała wreszcie Lucy.

- Jak wypadłem?

- Świetnie. Doskonale.

- Naprawdę?

- Tak, słowo daję.

- To doskonale. Bardzo chciałem dobrze wypaść, bo jesteś cudowną dziewczyną. Jesteś taka śliczna. Kiedy Alastair opowiedział mi o tym, co się tu dzieje, to jakoś nie pomyślałem o tym, że możesz być piękna. I ani przez moment nie wyobrażałem sobie, że będziesz taka miła. Ale tak jest. Jesteś niezmiernie miła.

- Ty też.

- Nie mogę tylko zrozumieć jednej rzeczy. Dlaczego taka śliczna i miła dziewczyna jak ty musi chodzić do łóżka z tymi wszystkimi mężczyznami, których nawet nie zna?

Lucy postanowiła złamać zasadę niedyskutowania na ten temat, którą stosowała wobec wszystkich z wyjątkiem Rossa-Donaldsona i może jeszcze paru innych znajomych.

- Wcale nie muszę. Po prostu odpowiada mi to. Nie twierdzę, że lubię seks bardziej niż ktokolwiek inny, ale podoba mi się taka jego forma. Oczywiście, nie każdemu przypada do gustu.

- Mnie na pewno nie, to znaczy, gdybym ja miał uprawiać coś podobnego. Ale nie myśl sobie, że... Jak to się w ogóle zaczęło?

- Cóż, jak zwykle, nawet nie zauważyłam, kiedy to się stało. Zaczniemy od tego, że wyszłam za mąż najnormalniej w świecie i dopiero po wielu latach odkryłam, że przez cały ten czas mój mąż miał mnóstwo kochanek, podczas gdy ja wychodziłam ze skóry, żeby być wierną żoną. Zaczęłam więc zachowywać się jak niezupełnie wzorowa żona, a to bardzo złościło mojego męża. Wciąż powtarzał, że nie o to tu chodzi, że to nie to samo i że na pewno zdaję sobie z tego sprawę. Rzeczywiście rozumiałam to i dlatego następnym razem, kiedy chciałam się zabawić, postarałam się, aby on pozostał w absolutnej błogiej nieświadomości. Można by się spodziewać, że to załatwi wszystko. Ale wcale nie, bo teraz ten drugi mężczyzna złościł się na mnie, że wciąż żyję z mężem i nie sprawia mi to przykrości, a nawet nie unikam sypania z nim. No, i właśnie wtedy, dla przysłowiowego świętego spokoju, rozwiodłam się, a zanim się obejrzałam, wszystko ułożyło się podobnie, choć tym razem było znacznie gorzej, bo wszyscy wokoło wiedzieli, co się dzieje. Naprawdę, to nie była moja wina. Po prostu mój kolejny mężczyzna tak się na mnie rozzłościł za to że nie nienawidzę mojego nowego męża, iż zadzwonił do niego i opowiedział mu o wszystkim. I wtedy obaj wpadli w szal. Ale wkrótce potem mój nowy mąż, stary Hazell, utopił się i znów byłam wolna. Nie chciałam od razu wychodzić za mąż i też różni ludzie byli na mnie źli z tego powodu. Wtedy więc stwierdziłam, że mam już tego wszystkiego dość. Wymyśliłam sobie, że jeśli zacznę sypiać ze wszystkimi, to nikt nie zdobędzie takiej części mnie, aby rościć sobie pretensje do mnie całej i złościć się na

mnie. Ale tę filozofię dorobiłam znacznie później. Wtedy zauważyłam jedynie to, że zaczynam sypiać ze wszystkimi.

Leonard słuchał tego tak uważnie, jakby był to wykład o chińskich metodach podsłuchu.

- Czy zjesz ze mną kolację kiedyś wieczorem? - spytał.

- Nigdy nie wychodzę wieczorami.

- A nie mogłabyś zrobić wyjątku?

- Mówiłam ci przed chwilą, że definitywnie zerwałam z robieniem wyjątków.

- Wiem, ale... obiecuję, że nie będę się złościć.

- Wszyscy tak mówicie, a potem kiedy już się złościcie, a ja przypominam wam o obietnicy, mówicie, że owszem, ale przyrzekaliście nie złościć się tylko o głupstwa, a takich rzeczy to już nie dotyczy.

Po chwili Leonard powiedział:

- A czy zjadłabyś ze mną obiad?

- To przecież to samo, a zresztą w południe zawsze śpię. Sama.

- Czy mógłbym zostać na noc, niekoniecznie dzisiaj, ale kiedyś?

- Nie. Nie mogę zasnąć z kimś w jednym łóżku. Proszę, nie upieraj się. A właściwie, dlaczego tak ci na tym zależy?

- Chcę po prostu porozmawiać z tobą.

- Rozmawiamy bez przerwy już od dziesięciu minut.

- Ale chciałbym być z tobą sam. Naprawdę sam.

- A, mam cię. O czym chciałbyś ze mną rozmawiać? Może o tym, jakimi to tajnymi sprawami się zajmujesz?

- Nie, przepraszam cię, to było głupie... Sam nie wiem, dlaczego tak gadałem. Nie, nie chcę rozmawiać o niczym konkretnym, chcę po prostu pogawędzić z kobietą, bo nie robiłem tego od jakiegoś czasu.

- Nie masz żony?

- Nie. Kiedyś miałem. Formalnie nadal mam, ale odeszła ode mnie dwa lata temu po sześciu latach małżeństwa. Po prostu odeszła.

- Dlaczego?

- Nie mówiła dlaczego. Pytałem ją kilka razy, ale nie odpowiedziała mi.

- Z kim odeszła?

- Z nikim. Po prostu odeszła.

- No, cóż, to rzeczywiście trochę...

- W tej chwili nie mam żadnej dziewczyny.

- Ale, oczywiście, zazwyczaj masz kogoś.

- No, zazwyczaj. Jakoś nie ma teraz tylu dziewcząt, które lubią rozmawiać, tak jak to było zaraz po wojnie. Dzisiejsze dziewczyny nie są zbyt otwarte. A od razu wiedziałem, że z tobą będę mógł rozmawiać o wszystkim. Lecz nie teraz, bo czeka jeszcze ten cały doktor Best.

- Niech sobie czeka. Nie wejdzie, dopóki tu jesteś. Pożałowałby tego.

- Wiem, ale może zastukać albo... Denerwuje mnie sama jego obecność w tym domu.

- Jest okropny, prawda? Rozmawiałam z nim raz zaledwie przez pięć minut, ale zauważyłam, że jest okropny.

- Jest... - Leonard urwał i spróbował wymyślić zwrot, w którym nie byłoby litery R - ...bez wątplenia niezwykle nieprzyjemny. Ale powiedz, czy zna go jeszcze któryś z twoich przyjaciół? Zwłaszcza któryś z oficerów z obozu. Czy wspominali ci o nim?

- Nie, nie przypominam sobie. Dlaczego?

- Tak się zastanawiam. No, nie tylko o to chodzi. Moja praca polega na sprawdzaniu, kto z kim się kontaktuje. Goście zaangażowani w tajne misje nie powinni być niedyskretni w nieodpowiednim towarzystwie. A więc...

- W nieodpowiednim towarzystwie. A więc kiedy zacząłeś się wygłupiać i opowiadać mi, jakimi to sekretami się zajmujesz, w rzeczywistości chciałeś stwierdzić, czy nie jestem szpiegiem, tak?

- Cóż, mniej więcej tak - przyznał Leonard, zaś Lucy wybuchnęła śmiechem. Jej ramiona drgały, przytulone do jego boku. Niebawem przyłączył się do niej, choć bez entuzjazmu.

- Ależ to znaczy, że twoim zdaniem, doktor Best może być szpiegiem - powiedziała wreszcie Lucy.

- Tak. Co o tym sądzisz?

- Cóż... gdybym mogła uwierzyć, że szpiegdy w ogóle istnieją, to uwierzyłabym bez trudu i w to, że doktor Best jest jednym z nich. Ale...

- Szpieg stanowi wyjątkowo charakterystyczną postać naszych czasów - rzucił Leonard, cytując zdanie ze wstępu do jednego ze swych podręczników i usiłując nadać swemu głosowi ton mimochodem wypowiedzianej uwagi.

- Och, myślałam, że najbardziej charakterystycznymi są osobnicy kształtujący opinię publiczną poprzez manipulacje środkami masowego przekazu. Tak przynajmniej ktoś napisał w niedzielnej gazecie.

- To chyba zależy od punktu widzenia. W końcu, w naszych czasach mogą istnieć dwie równie charakterystyczne i znaczące postaci. Ale do rzeczy. Doktor Best może rzeczywiście być szpiegiem. Och, nie uważam go za przebranego Rosjanina, raczej za tak zwanego zdrajcę nietranswazywnego, czyli kogoś, kto moralnie przechodzi na stronę przeciwnika, ale fizycznie nie ucieka do jego kraju. Nasi psychologowie dokładnie rozpracowali cechy osobowości takich ludzi, a nawet szczegóły ich wyglądu zewnętrznego. Doktor Best odpowiada dość ściśle jednemu z takich typów. Właściwie, pasuje nawet do kilku - dodał po chwili namysłu.

- Czy mam uważać na niego, kiedy tu przyjdzie? Próbować go podpuścić?

- Tak, to chyba niezły pomysł. - Leonard wstał z łóżka i zaczął ubierać się z roztargnieniem. - Potem, kiedy znów cię odwiedzę, mogłabyś opowiedzieć mi o tym. Na przykład jutro.

- Kiedy tylko chcesz. Aha, chcę cię jeszcze o coś spytać. Co to był za dźwięk, z powodu którego wybiegłeś z pokoju?

- Pochodził z tego aparaciku. - Podniósł prawą rękę, by ukazać nadgarstek. - Zawiadamia mnie, kiedy ktoś chce porozumieć się ze mną przez radio.

- Przez radio?

- Mam w samochodzie radiostację i jeśli stanie się coś ważnego, centrala w obozie może mnie o tym zawiadomić. Ale oczywiście nie mogę przez cały czas siedzieć przy radiu, a więc noszę ze sobą ten brzęczyk.

- Czy coś się stało?

- Nic ważnego. Właściwie to była pomyłka. Facet z obozu powiedział, że przez przypadek oparł się o maszynę, która uruchamia to urządzenie. Chyba bawił się przyciskami. Rano zmyję mu za to głowę.

- Moim zdaniem, to raczej ktoś zrobił ci dowcip.

- Dowcip? Nie widzę w tym nic dowcipnego. Kto chciałby zabawiać się w taki sposób?

- Nie wiem. Rzeczywiście, to niezbyt śmieszne. Ależ błyskawicznie się ubrałeś.

- W moim zawodzie trzeba umieć i takie rzeczy. Musimy być zawsze gotowi minutę wcześniej, aby udać się tam, dokąd nam każą.

Skończył wiązać krawat i podszedł do łóżka.

- No, to zobaczymy się jutro wieczorem. Bardzo cię polubiłem, Lucy. Mogę mówić do ciebie po imieniu, prawda?

- Och, tak, chyba znamy się już wystarczająco dobrze.

- Chciałbym, żebyś została moją dziewczyną.

- Jestem twoją dziewczyną.

- Tylko moją.

- Przepraszam cię, Brian, ale wytłumaczyłam ci już, dlaczego nie będę nigdy czyjaś dziewczyną. Nie mam nic przeciwko tobie. Mówię to samo wszystkim.

- Rozumiem. Pamiętasz moje imię, a słyszałaś je tylko raz.

- Łatwo nauczyć się zapamiętywać takie rzeczy, jeśli ma się trochę okazji do ćwiczeń. Sam byś się zdziwił, jakie to proste.

- Uhm... Cóż. Mam poprosić doktora Besta?

- Powiedz mu, by zaczekał jeszcze pięć minut. I napomknij, że jestem zmęczona, więc nie mogę poświęcić mu zbyt wiele czasu.

- Zapamiętam sobie. No, cóż. Dobranoc, Lucy.

- Nie pocałujesz mnie?

- Och, przepraszam.

- Dobranoc, Brian.

Natychmiast po jego wyjściu Lucy wyskoczyła z łóżka i poszła do łazienki. Wróciwszy do pokoju, założyła jedwabną piżamę oraz czarną atłasową lizeskę ze szkarłatną podszewką i położyła się z powrotem do łóżka. Pomyślała, że doktor Best mógłby wybrać sobie inną porę na odwiedzin. Była strasznie zmęczona i miała ochotę przespać najbliższe dwanaście godzin. Rzeczywiście zdrzemnęła się w półleżącej pozycji, oparta o poduszki, z ramionami rozłożonymi na kołdrze.

Nie spała dłużej niż kilka minut, bo kiedy się zbudziła, usłyszała dźwięk silnika samochodu należącego zapewne do Leonarda, odjeżdżającego właśnie sprzed domu, w pobliżu zaś rozległy się słowa doktora Besta:

- Niezwykle interesujący typ. Nie wyjątkowy, ale interesujący.

- Co? - spytała Lucy, głosem bardziej zachrypniętym niż zwykle.

- Nie musi pani odpowiadać na to pytanie, ale czy wywiązał się zadowolająco?

- Kto? Nie rozumiem.

- Kapitan Leonard, który wyszedł przed chwilą. Czy okazał się dość męski? Zapewniam panią, iż pytam tylko z naukowych pobudek.

- Nic mnie nie obchodzi pana pobudki, nie odpowiem na to pytanie. Może pan się... - Lucy opanowała się. - Dlaczego pan pyta?

- Jak już powiedziałem, to interesujący osobnik.

Doktor Best podszedł i usiadł na skraju łóżka, na wysokości kolan Lucy. Pomiędzy mankietem jego spodni a skrajem skarpetki dostrzegła kilka cali bladej, bezwłosej łydki.

- Czy opowiadał pani coś o tej swojej pracy, którą uważa za niezwykle tajną?



Lucy nie wiedziała jeszcze, czy podejrzenia Leonarda wobec doktora mają jakiegokolwiek podstawy, lecz w tym momencie poczuła niepokój.

- Owszem, trochę - powiedziała.

- Czy mówił przekonująco? Czy też jak wariat? To znaczy, pani zdaniem.

- Rzeczywiście zajmuje się tajnymi sprawami.

- Uhm... Jakiego rodzaju? Jeżeli oczywiście mówił coś na ten temat.

Lucy nie знаła jeszcze wścibstwa doktora Besta. Na próbę odpowiedziała:

- Nie sprecyzował tego, ale chyba chodzi o coś związanego z wojną nuklearną.

- Och. - Lekarz był zachwycony. - Skąd my to znamy. Tylu ludzi twierdzi, iż ma do czynienia z tymi problemami, że można by z nich utworzyć całą dywizję, według stanu z czasów drugiej wojny. Czy podał jakieś szczegóły?

Przypomniała jej się zdanie z gazetowego artykułu.

- Taktyczna broń atomowa.

- Wspaniale - powiedział doktor, śmiejąc się już otwarcie. - Podświadomość takich osób zawsze spóźniona jest o co najmniej dziesięć lat w stosunku do aktualnego poziomu techniki. W czasach niemieckich bomb latających, całe tłumy uważały się za ofiary urojonych ataków gazowych. Lada chwila dowiemy się, że czerwoni Chińczycy ukradli mu tę jego taktyczną broń atomową i zaczynają wiercić mu nią dziury w mózgu.

Lucy, która pozbyła się już chwilowego niepokoju, niezbyt dobrze rozumiała, o czym mówi Best. Zapamiętała jednak dosyć, aby móc to powtórzyć Leonardowi następnego wieczora.

- Chyba ma pan rację - mruknęła.

- Ale nie o tym chciałem z panią rozmawiać. Właściwie w ogóle nie chcę z panią rozmawiać - oświadczył, odrzucając kołdrę i chwytając lady Hazell w ramiona.

Odmowa przyjęcia jakiegokolwiek mężczyzny, który został jej odpowiednio przedstawiony, stała w sprzeczności z zasadami Lucy, a przynajmniej z jej praktyką, lecz postanowienie to nie odnosiło się do doktora Besta. Później doszła do wniosku, iż nie spodziewała się po nim takiego zachowania tylko dlatego, że bardzo nie chciała wyobrazić go sobie w podobnej sytuacji. W tym momencie jednak myślała jedynie o tym, o ile gorszy jest bezpośredni kontakt z jego ustami od samego patrzenia na nie. Wykręciła głowę na bok.

- Zostaw mnie - powiedziała głośno. - Daj mi spokój.

Przytrzymał jej nogi swoimi i zaczął ściągać lizeskę z jej ramion. Jednocześnie mówił, szybko, półgłosem:

- Oto, na czym polega twój zachwalany entuzjazm dla mężczyzn. Jak wszyscy, którzy rzekomo utrzymują stosunki z wieloma osobami, w rzeczywistości żyjesz na niskim poziomie seksualnym. Takie kobiety jak ty, cierpiące na syndrom Messaliny, muszą stwarzać w swych umysłach wizje nie kończących się procesji partnerów, aby móc dokonać aktu seksualnego.

- Wynoś się stąd. Nie chcę cię. Zostaw mnie.

- Jak widać, takie bezpośrednie podejście bardziej cię zniechęca, niż sama przyznajesz. Czyżby twoje podstawowe impulsy erotyczne były tak słabe, że musisz wzmacniać je przypadkowymi rekwizytami?

- Dostyc tego! To boli! Puść mnie! - Lucy teraz krzyczała.

Rękawy lizeski znalazły się tak nisko, że częściowo unieruchomiły jej ramiona. Doktor próbował unieść jej ciało, ściągając z niej jednocześnie spodnie od piżamy, przy czym nadal mówił:

- Jakich potrzebujesz doznań, zanim jesteś w stanie przyjąć mężczyznę? Biczowania? W roli oprawcy czy ofiary? A może pragniesz czegoś jeszcze bardziej odbiegającego od konwencji? A może w tym pokoju w ogóle nic się nie dzieje? Czyżbyś na mocy tajnej umowy pozorowała serię stosunków seksualnych w celu podniesienia erotycznego statusu zainteresowanych stron? To by było... Ach.

Zamilkł, ściągnął z niej piżamę i rzucił na podłogę.

- James! - krzyknęła Lucy. - Gwałcą mnie! James!

Kopiąc na oślep, uderzyła doktora Besta w ramię, w wyniku czego ten zatoczył się i padł bokiem na toaletkę. Obsunął się wzdłuż jej przedniej ścianki, zrzucił kilka słoiczków i pudełek, potknął się o kosz na papiery i upadł na jedno kolano. Po kilku sekundach wstał i rzucił się w stronę Lucy, ale zanim do niej dotarł, drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł Churchill ubrany w koszulę i spodnie. Doktor Best znieruchomiał i zaczął poprawiać sobie krawat.

Churchill rozejrzał się po pokoju.

- Wynocha - powiedział.

- Niektóre kobiety stwierdziwszy, że ich zaloty zostały odrzucone, często mszczą się za utratę pozytywnej opinii o samych sobie oskarżeniami o gwałt lub usiłowanie gwałtu. Oczywiście...

- Nie wątpię, ale to nie ma tu nic do rzeczy. Wynocha. A kto ty w ogóle jesteś?

- Nazywam się Best. Jestem...

- Best? Best! Wynocha, natychmiast! Sam sobie poradzisz? Czy mam ci pomóc?

- Bynajmniej - powiedział lekarz z pewną urazą. - Wychodzę z własnej woli. Dobranoc, lady Hazell.

Wyszedł. Churchill podał Lucy jej piżamę.

- Nic ci się nie stało? Czy mam przyprowadzić Catharine?

- Nie, teraz, kiedy go nie ma, już wszystko jest dobrze.

- Dopilnuję, żeby trafił do drzwi.

Gdy Churchill wyszedł, Lucy założyła piżamę. Noc była gorąca, więc spociała się nieco. Poszła do łazienki i nie patrząc w lustro, obmyła twarz zimną wodą. Usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi.

\*

Churchill patrzył na rozplywające się w mroku tylne światła samochodu doktora Besta. Nie wrócił od razu do budynku. Nocne niebo miało w sobie więcej koloru, niż kiedykolwiek przedtem dane mu było spostrzec. Płonęły na nim tysiące gwiazd. Księżyc był niemal w pełni. Poza jego blaskiem żadne światło nie mąciło ciemności.

Wszedł do środka, cicho zamykając drzwi, wspiał się po schodach i przez korytarz dotarł do pokoju znajdującego się naprzeciwko sypialni Lucy. Drzwi otworzył z nieco większym hałasem, niż było to konieczne. Catharine leżała w łóżku przy zapalanej lampie.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Lucy powiedziała jakiemuś gościowi, że jej się nie podoba, a on się rozzłościł. Już go nie ma. Sprawdzę tylko, czy nic jej nie trzeba.

- Wróc zaraz.

- Dobrze.

Lucy też leżała w łóżku. Włosy nad czołem miała wilgotne od wody.

- Nie powinnam była go tu wpuszczać - powiedziała.

- A dlaczego go wpuściłaś?

- Powiedział, że chce porozmawiać ze mną w sprawie osobistej, ale nie dowiedziałam się w jakiej. Coś związanego z jego działalnością zawodową. Może chciał sprawdzić, jak sobie radzi Catharine?

Churchill spojrział na drzwi i upewnił się, że są zamknięte.

- A może była to tylko wymówka, by dostać się tu i dobrać do ciebie? A propos, nie będziemy mówić Catharine, że on tu był, zgoda? Niepotrzebnie by się denerwowała.

- W porządku. Ale jaki był bezczelny na końcu. Udawał, że już od wielu godzin chciał wyjść, ale nie wiedział jak.

- Próbował tylko zachować twarz.

- James, twój dowódca nie pozwoliłby ci zamieszkać z nami, prawda? Obie chciałybyśmy mieć cię tu na stałe.

- Ja też o tym marzę, ale to niestety wykluczone. Mogę przyjeżdżać tu wieczorami.

- To dobrze. Wiesz, masz cudowny wpływ na Cathy.

- Mam cudowny wpływ na siebie samego. Jeśli nie chce ci się spać, to poproszę ją tu i pogawędzimy sobie.

- Nie, naprawdę, czuję się wspaniale. Idź już, ona czeka na ciebie.

- Na pewno tak chcesz? Mogę tam zajrzeć?

- O, Boże, oczywiście. Dobranoc, James, kochany.

- Dobranoc, Lucy. Zobaczymy się jutro wieczorem.

Pocałował ją i wszedł do łazienki. Trochę żałował, że nie skierował się do drugiej łazienki, tej zaniedbanej. Wcześniej stwierdził, iż lepiej unikać tej, w której był teraz, choć jest bliżej. Nie chciałby natknąć się na pułkownika lub Huntera, nie mówiąc już o cywilnych przyjaciółach Lucy. Perspektywa długiej wędrówki na drugi koniec domu i z powrotem tylko po to, by zachować tajemnicę, nie przypadła mu z początku do gustu. Ale sam spacer zafascynował go. W drodze do łazienki, gdy chodnik ustępował miejsca słomianym matom, te zaś - nagim deskom, gdy przed oczyma pojawiały się coraz bardziej zniszczone tapety, a w końcu gołe ściany, wydawało mu się, że dokonuje symbolicznego przejścia od spraw materialnych do duchowych. A droga powrotna wprowadziła go w nastrój romantyczny i zarazem nierealny. Miał wrażenie, że znalazł się na filmowym planie nowoczesnej wersji opowieści o zamku Rapunceli.

W sypialni Catharine rozebrał się i położył do łóżka. Wsunął jedną rękę pomiędzy jej kark a poduszkę, drugą zaś położył na jej biodrze. Znów zaczęli wpatrywać się w siebie, tak jak przed chwilą zanim zaniepokoiły ich krzyki Lucy. Zauważył, jakby po raz pierwszy, choć naprawdę już chyba po raz setny, że oczy Catharine są orzechowe, a w prawym jest więcej ciemnych plamek niż w lewym, że jej włosy mają kolor miodu, gdzieśgdy pojaśniały od słońca i tworzą regularną linię nad jej wysokim czołem, że jej uszy są zaokrąglone i nieco dziecinne, szczęki mocno zarysowane, że w jej jasnej cerze więcej jest bieli niż czerwieni, że nos jest prosty i lekko zadarty ku górze, a pod dolną wargą prostych ust znajduje się niewielkie wgłębienie. Przez czas, którego nie potrafił określić, kontemplował te szczegóły. Potem skupił się na innych, równie dobrze mu znanych. Policzki Catharine były gładkie, z delikatnym meszkiem, włosy nad czołem nie tylko miały kolor miodu, ale i pachniały miodem, jej wargi były gładkie i suche. Rozpostartymi palcami i kciukiem lewej ręki zbadał po raz kolejny delikatną wypukłość czaszki ponad karkiem. Prawą dłonią przypominał sobie, jak jędrne są jej

drobne piersi, jak miękki brzuch i jak nieporównanie większa miękkość panuje pomiędzy jej udami. Kiedy znalazł się nad nią i w niej, te części jego ciała, które jej nie dotykały, wymknęły się spod jego kontroli i przestały istnieć. Czuł tylko te fragmenty ud, które znajdowały się pomiędzy jej udami. Czuł swe ramiona jedynie tam, gdzie obejmowały jej boki i plecy. Słyszał tylko jej oddech i potem jej głos.

Znów poczuł kołdrę na plecach i prześcieradło pod ramionami, kolanami i palcami stóp.

- Kocham cię - powiedziała.

- Kocham cię.

- Wiem.

- To równie miłe, jak „kocham cię”, prawda? Kiedy się to mówi, i kiedy się to słyszy.

Prawie tak samo cudowne.

- Czy kochałeś już kogoś przedtem? - zapytała.

- Nie. Tylko lubiłem pewne osoby.

- Ja kochałam innych. Mogłam? Nie gniewasz się?

- Nie mogę gniewać się na ciebie o coś, co już zrobiłaś.

- Wiem. Ale mogę zrobić coś, o co byś się pogniewał, prawda? Mogę przestać cię kochać.

- Nie możesz.

- Nie, oczywiście, nie mogę.

Churchill wstał z łóżka, podszedł do umywalki i wrócił z małym ręcznikiem, który podał Catharine. Potem znów położył się i objął ją.

- Przepraszam, że mam takie małe piersi.

- O to też się nie gniewam. Podobają mi się takie, jakie są. Zresztą, chyba urosły od czasu, kiedy się z nimi zaznajomiłem.

- Jak to, przez tydzień? To niemożliwe... Może troszeczkę. To dla nich najgorsza pora miesiąca.

Złożył głowę na jej piersiach.

- O, jak dobrze. Mój mały James. Mogę tak na ciebie mówić?

- Tak, chociaż jestem na tyle duży, żeby się nie gniewać. To znaczy, na tyle wysoki.

- Zazwyczaj jawisz mi się jako wielki James. To dziwne, jesteś najbardziej delikatny, ze wszystkich, których znam, a jednocześnie nie spotkałam jeszcze prawdziwszego mężczyzny. Cóż, może, jeśli się dobrze nad tym zastanowić, wcale nie jest to takie dziwne połączenie. Podoba mi się, że zawsze trochę hałasujesz, kiedy wchodzisz do mojego pokoju, żeby mnie uprzedzić o swoim przybyciu i nie przestraszyć. Jak na to wpadłeś?

- Wcale nie musiałem o tym myśleć.

- Ależ musiałeś i to bardzo długo. Niektórym ludziom nigdy nie przyszłoby to do głowy.

- No, wkrótce nie będę już musiał o tym pamiętać, jeśli na zawsze pozbędziesz się swoich lęków, tak jak przez ostatnie parę dni. Zamiast tego, będę się za tobą skradał, wydawał mrożące krew w żyłach wrzaski i rzucał się na ciebie.

- Wcale nie. Ale rzeczywiście, wydaje mi się, że teraz już nic mnie nie może przestraszyć.

- Opowiedz mi, skąd wziął się ten twój strach. Łatwiej mi będzie pomóc ci zupełnie go opanować.

- Opowiem ci, mój najdroższy, ale nie teraz. Jest nam tak dobrze, a taka opowieść zdenerwowałaby mnie na pewno. Porozmawiamy o tym w barze „Pod Białym Jeleniem”, w przerwach pomiędzy podawaniem napojów i wydawaniem reszty. Tak będzie najlepiej. Nie myśl o tym i nie martw się: to naprawdę nic strasznego czy niezwykłego.

Pocałował ją i powiedział:

- Zgoda, niech tak będzie.

- Teraz chyba już zasnę. Trochę jestem zmęczona. Pamiętaj, że masz mnie zbudzić, kiedy będziesz wychodził. Tak się przeraziłam, kiedy przedwczoraj rano zobaczyłam, że cię nie ma.

- Muszę wyjść najpóźniej kwadrans po siódmej.

- To nic, masz mnie obudzić. Dobranoc, James. Kocham cię.

- Wiem. Dobranoc, Catharine.

Obróciła się na bok i on też obrócił się. Jedną ręką objął ją w talii, kładąc dłoń na piersi. Drugą zgiął za jej ramieniem. Czuł, jak Catharine zasypia. Poza odgłosem jej oddechu w domu panowała całkowita cisza. Dziwnie go ona zaniepokoiła, kiedy był tu po raz pierwszy. Teraz nie czuł już niepokoju. Pomyślał o śmierci gońca, o śmierci Fawkesa, o operacji „Apollo” i nie wydały mu się one straszne. Wiedział, że są okrutne i próbował zareagować na nie emocjonalnie, lecz pozostały tylko faktami martwymi, nieskończenie odległymi.

## CZEŚĆ II

### Utworzenie Ligi

Następnego ranka, tuż po śniadaniu, Willie Ayscue wrócił do swego domku na łące i zasiadł przy pianinie. Zawsze miał w swojej kwaterze fortepian, ale zamiast wszędzie, gdzie go posyłano wozić ze sobą ten sam instrument, jak zapewne uczyniłby Leonard, wołał wynajmować go na miejscu. W jego obecnej kwaterze mogło zmieścić się tylko pianino, lecz był to Bechstein i to z wyjątkowo dobrymi dźwiękami sopranowymi. Jego zdaniem, było lepsze od przeciętnego fortepianu.

Zdjął z pokrywy instrumentu laskę, którą Evans, jego ordynans, zawsze tam kładł podczas sprzątania, jakby sądził, iż jego pan używa tego rekwizytu, aby zza klawiatury dyrygować niewidzialną orkiestrą. Rzuciwszy okiem na swą alzacką sukę Nancy, która wyczekująco obserwowała go z kosza stojącego przy drzwiach, uniósł wieko pianina i na rozgrzewkę zagrał kilka przypadkowych nut. Pies zaskomlał, wstał i podszedł do swego pana, bez przekonania machając ogonem.

- Nic się nie stało - powiedział Ayscue, głaszcząc sukę po łbie - wszystko w porządku. Ta rzecz nie wybuchnie ani nie spadnie na mnie. Wydaje dźwięki, bo jest szczęśliwa. Nie gniewa się, nie boi i nic ją nie boli. To tylko pianino. Nie może mnie skrzywdzić. Miło mi, że się o mnie troszczysz, ale to niepotrzebne.

Nancy wykonała ruch będący psim odpowiednikiem wzruszenia ramionami, wróciła do kosza i usadowiła się w nim z głośnym westchnieniem. Kiedy jej pan zaczął grać, skuliła się nieco i znów zaskomlała, choć już ciszej.

Ayscue zagrał bez pośpiechu partię klawesynu z sonaty Rougheada, nie zwracając na razie uwagi na piękno muzyki, lecz jedynie na techniczne trudności jej wykonania. Po półgodzinie przeciągnął się, uśmiechnął i zapalił papierosa. W lewej ręce czuł jeszcze kilka tryli i obiegników, które niewielu amatorów potrafiłoby dobrze zagrać, ale to był drobiazg. Na pewno w promieniu dwudziestu mil znajdzie się kilkanaście osób zdolnych nieźle wykonać ten fragment. Rzut oka na partię skrzypiec wystarczył mu, aby stwierdzić, że nie wykracza ona poza jego własne umiejętności. Właściwie już w dwóch trzecich zrealizował projekt, który narodził się w jego głowie w bibliotece Lucy w ciągu pięciu sekund od chwili, gdy uświadomił sobie, co znalazł. Zorganizuje publiczne wykonanie utworu, najprawdopodobniej pierwsze w

oryginalnej formie od półtora wieku, co będzie jego drobnym, acz namacalnym wkładem w popularyzację angielskiej muzyki końca osiemnastego stulecia. Roughead znajdzie się dzięki temu nieco bliżej uznania, jakie kiedyś niewątpliwie sobie wywalczy, jako jeden z najbardziej interesujących drugorzędnych kompozytorów swojej epoki, niezwykle łączący w swej twórczości naiwność z profesjonalizmem. Ayscue stłumił w sobie niewdzięczną myśl, że wolałby znaleźć jedną z jego kompozycji kościelnych. Parę zachowanych hymnów Rougheada świadczy o głębi uczuć religijnych rzadko spotykanej poza chóralnymi dziełami Mozarta i Beethovena. Zapewne można by zmusić chórzystów z kościoła we wsi do poprawnego wykonania jednego z nich, a organistę, całkiem kompetentnego, namówiłoby się pochlebstwami do przygotowania którejś z sonat lub fantazji Rougheada. Gdyby koncert miał odbyć się w kościele, fakt ten podkreśliłby zasadniczy związek pomiędzy muzyką a religią, chociaż wtedy wykluczone byłoby włączenie do programu paru świeckich pieśni Rougheada, znacznie łatwiejszych w odbiorze. Ten pastor to obrzydliwy stary świętoszek. Gdyby jednak...

Ayscue otrząsnął się z marzeń. Zanim zacznie układać program koncertu, musi zająć się znalezieniem flecisty. Znał w Londynie trzech czy czterech i mógłby namówić któregoś na przyjazd do wioski, ale to zepsułoby lokalny, amatorski charakter, jaki pragnął nadać swemu przedsięwzięciu. Czy gdzieś w pobliżu jest orkiestra dęta? Jakakolwiek orkiestra?

Wstał podekscytowany nagłą myślą. Był niemal pewien, iż ktoś mu wspominał, że młody Pearce grywa na flecie podczas obozowych sesji jazzowych. A wygląda on na miłego, zgodnego chłopca. Takie zajęcie pomoże mu oderwać się od myśli o tragicznej śmierci Fawkesa, po której, jak wiedział Ayscue, nie doszedł jeszcze do siebie.

Cóż, nie ma na co czekać. Ayscue podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Słucham, centrala.

- Czy szeregowy Pearce ma teraz służbę?

- Nie, skończył o ósmej zero zero, sir, po nocnej zmianie. Teraz pewno leży w łóżku.

- W takim razie dziękuję.

- Jeśli pan chce, sir, mogę zadzwonić na wartownię i ktoś pójdzie po niego do bloku.

- Nie, jeśli śpi, to nie będę mu przeszkadzał. Znajdę go później. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i pomyślał przez chwilę. Potem wyjął z futerału skrzypce i miał właśnie zacząć partię skrzypiec z sonaty, kiedy Evans zastukał do drzwi i wszedł, niosąc parę butów od obozowego szewca.

- I mam dla pana jeszcze to, sir. - Ordynans podał mu dwa listy z wewnętrznej poczty obozu.

Ayscue otworzył pierwszy, ale zanim zabrał się do lektury, Evans spytał:



- Czy zabierze pan Nancy na spacer jak zwykle, sir?
- Tak, chyba około wpół do jedenastej.
- Pomyślałem sobie, że mógłbym w tym czasie zrobić w pokoju gruntowne porządki.
- Dobry pomysł.

Evans wyszedł. Ayscue spojrział na list, który trzymał w dłoni. Spinaczem przyczepiono do niego kartkę z pieczętką; *Od Ofic. ds. Adm.* Pod nią dopisano ołówkiem: *Willie! Zajmiesz się tym? M.H.*

Sam list napisany był na kartce pośpiesznie wyrwanej z bloku. Zielonym atramentem skreślono na niej niedbałym pismem kilka linijek. Bez żadnych wstępów nadawca donosił, że niedawno powrócił do Anglii po kilkuletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych i Ameryce Południowej, chciałby przedstawić w jednostce obraz sił zbrojnych w oczach opinii publicznej powyższych krajów i zamierza *we właściwym trybie* przygotować wykład na ten temat. Napisze znów w niedalekiej przyszłości; podpisał się jako *L.S. Caton*.

Ayscue uśmiechnął się do siebie. Hunter miał w zwyczaju przekazywać mu wszelką przesyłaną pod adres jednostki korespondencję, która w nawet najodleglejszy sposób kojarzyła mu się z kulturą. W zeszłym tygodniu umieścił jego nazwisko na liście odbiorców nowej instrukcji Zarządu Wychowawczego dotyczącej malowania wewnętrznych ścian baraków mieszkalnych i w dodatku poprosił go o komentarz. Dzisiejszy list sprawi Ayscue'owi nieco więcej kłopotów. W aktualnej sytuacji należało korzystać z niemal każdej propozycji działalności oświatowej czy rozrywkowej, lecz oferta tego Catona i sposób, w jaki ją złożył, były nieco podejrzané. Cóż, nic nie zaryzykuje, próbując dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

Usiadł za biurkiem i zredagował krótką odpowiedź, w której stwierdził, że choć proponowany wykład niezupełnie mieści się w ramach programu wypoczynkowego jednostki, to po otrzymaniu dokładniejszych informacji postara się znaleźć dla niego miejsce. Na koniec przypiął do listu kartkę dla Huntera: *Może być? WA.* Potem otworzył drugą kopertę. W środku znajdował się arkusz gęsto zapisany na maszynie o następującej treści:

## DO DZIECKA URODZONEGO BEZ RĄK I NÓG

*To tylko po to, żebyś pamiętał, kto tu żądzi.*

*Teraz będziesz już chodził na paluszkach, że tak powiem,*

*Będziesz patrzył pod nogi, że tak powiem,*

*I będziesz miał do czego przyłożyć rękę, że tak powiem.*

*Możesz przyjąć to jak mężczyzna,  
Albo beczeć i mazać się jak dzieciak.  
To twoja sprawa. Nic Mnie to nie obchodzi.  
Jeśli zrozumiesz to jak trzeba,  
Możesz jeszcze pięknie sobie pożyć.  
Chart ducha zawsze ci się przyda,  
I pomyśl, jak wspaniale jest pogodzić się ze swym LOSEM.  
Twojej Macie i Tacie też to dobrze zrobi,  
I Dziadkom i Babciom, i reszcie rodziny:  
Nie będą już tacy zadowoleni z siebie.  
Ale pamiętaj, mają cię ochrzcić,  
Żebyś nie trafił do Odchłani,  
Jeśli jakiś bydlak-morderca zechce usunąć cię z tego świata -  
Bo bez chrztu nie dojdiesz do RAJU, ha, ha, ha.  
Szepnę ci jeszcze słówko, jeżeli masz chodź jedno ucho.  
MASZ dobrze to zrozumieć,  
I właściwie się o Mnie wyrażać.  
Bo jak NIE,  
To mam jeszcze co nieco w zanadrzu,  
Na przykład białaczkę i polio,  
(Apropo, na to zawsze możesz liczyć,  
Czy zrozumiesz Mnie jak trzeba, czy nie.)  
No, to było takie przyjacielskie ostrzeżenie.  
Chyba jedno wystarczy, co?  
A więc uważaj na przyszłość.*

Nie było ani podpisu, ani kartki z dodatkową informacją.

Ayscue trzykrotnie przeczytał wiersz od początku do końca. Następnie podszedł do szafy na ubrania, wojskowego mebla z imitacji drewna orzechowego, i spomiędzy butów wyjął butelkę whisky. Napełnił do połowy szklankę do mycia zębów i wychylił ją dwoma łykami. Po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat zdarzyło mu się pić alkohol przed południem. Odkaslnął, usiadł, zapalił papierosa i uważnie przyjrzał się listowi.

Wiersz był niewprawnie wypisany na maszynie, na kartce taniego papieru w linie, który sprzedawano w kantynie. Na kopercie, zaadresowanej niewątpliwie przez tę samą osobę,

znajdował się stopień, inicjały imion i nazwisko odbiorcy - można było przeczytać je na dziesiątkach ogłoszeń i spisów w całym obozie - a w jednym rogu widniały słowa: *Do magazynu*. Poza tym nie było niczego więcej.

Ayscue poczuł przemożne pragnienie wykrycia tożsamości autora wiersza. Na razie był jednak zbyt poruszony, aby pomyśleć o tym ze spokojem. Doświadczenie nauczyło go, że podobne bluźnierstwa przeciwko Bogu świadczą o tym, iż atakująca osoba wymaga natychmiastowej pomocy, bez której popadnie w niewybaczalny grzech rozpacz. Powiedział sobie, że emocjonalne podejście do tej ewentualności może tylko utrudnić jej uniknięcie i skoncentrował swą uwagę na analizie samego tekstu.

Uporządkował w duchu swoje spostrzeżenia. Ortografia w większości nienaganna, lecz kilka błędów godnych było analfabety. Może to wskazywać albo na niedokładnie przyswojoną dobrą edukację, albo też na próby uzupełnienia złej edukacji. „Apropo” czy „hart ducha” pisany przez „ch”. Niska warstwa społeczna? A może to efekt zamierzony, może autor chciał sprawić wrażenie osoby przeciętnej, nie związanej z literaturą? Zbyt wyrafinowany pomysł? Porusza kwestię postawy poetyckiej. Ktoś, kto nie zetknął się z poezją? A może ktoś, kto zna się na niej, lecz stwierdził, że temat wyklucza konwencjonalne formy? Ayscue nie mógł nic wymyślić.

I ta anonimowość. Też dwuznaczna. I papier. A jeśli ktoś...

Ayscue potrząsnął głową. Jak typowy intelektualista unikał dotychczas podstawowego pytania. Przez moment poczuł pogardę do samego siebie za to, że nie zidentyfikował go od razu. Kto przeżył niedawno wstrząs, który mógł wprowadzić go w stan ducha niezbędny do napisania takiego wiersza? Szeregowy-sygnalista Pearce.

W zamyśleniu wyciągnął dłoń do telefonu, ale cofnął ją: Pearce śpi. Cóż, kto śpi, nie grzeszy. Ayscue spojrział na zegarek. Minie co najmniej trzy i pół godziny, zanim będzie mógł skontaktować się z nim. I co ma wtedy zrobić?

Myśląc o jeszcze paru nieprzyjemnych problemach, w końcu podniósł jednak słuchawkę i poprosił telefonistę, aby ten zajął się przekazaniem Pearce'owi podczas obiadu wiadomości, że kapelan chciałby, aby jeśli będzie miał czas, zajrzał do niego po południu na pogawędkę o muzyce. Obiecano mu, że Pearce na pewno otrzyma tę wiadomość. Szkoda, pomyślał Ayscue, odkładając słuchawkę, że taka informacja pochodząca od kapelana, choć ułożona w sposób wcale nie wojskowy, oznacza wezwanie do oficera, zaś pogawędka z kapelanem, nawet najmiłsza, to coś znacznie gorszego, bo naruszenie świętości czasu wolnego. Kiedyś zastanawiał się, czy nie wysłać do głównego kapelana raportu, w którym znalazłby się postulat, aby wojskowi duszpasterze służyli jako zwykli żołnierze, co byłoby przejawem szacunku dla tradycji chrześcijaństwa i chęci, aby ich słuchano. Porzucił ten zamysł, gdyż

główny kapelan z pewnością i tak nie zwróciłby uwagi na jego raport, jeśli takowy w ogóle by do niego dotarł, a poza tym wizja duchownych odzianych w mundury szeregowców, obierających ziemniaki w kuchni przy wtórze przekleństw albo milczenia sierżantów, acz kusząca, była zbyt komiczna, by stanowić bodziec do działania. Teraz przyszedł mu do głowy nowy kontrargument: próbując rozwiązać w ten sposób jeden problem, wywołałby inny, znacznie poważniejszy. On i jego koledzy interesowali się sprawami żołnierzy nie jako oficerowie, ale jako księża. Z każdym rokiem, z każdym niemalże miesiącem trudniej było zadać najniewinniejsze, najzwyczajniejsze pytanie, nie wywołując spojrzeń, które skrycie lub otwarcie mówiły: Co to cię obchodzi? Gdyby zniknęły oficerskie dystynkcje, spojrzenia te zmieniłyby się w słowa. Ayscue wstąpił do wojska z zamiarem przekazania Chrystusowego przesłania tym, którzy lada dzień mogą szczególnie go potrzebować. Miał nadzieję, że dzięki ścisłemu związkowi duchowemu i kontaktowi duszpasterskiemu, charakterystycznemu dla pracy kapelana, zdoła stworzyć coś prawdziwego i wartościowego. Widocznie szukał po prostu wdzięcznej publiczności.

Samooskarżenie to rodzaj litowania się nad samym sobą i jako takiego należy go unikać. Ayscue wstał, włożył czapkę i ruszył ku drzwiom. Nancy wydała wibrujący dźwięk, pośredni między warczeniem a skomleniem, wyskoczyła z kosza i pobiegła za nim. Z wywieszonym językiem popędziła przez łąkę, jakby ścigała jakiegoś niezwykle bezczelnego kota. Potem na zew niesłyszalnego, lecz ważnego sygnału zaryła łapami w śliskiej suchej trawie, zatrzymała się i znów pobiegła w kierunku prostopadłym do poprzedniego, szybko nabierając rozpędu i spoglądając na Ayscue'a swymi wypukłymi, jasnobrazowymi oczyma, gdy go mijała.

On tymczasem główną drogą skierował się ku bramie. Słońce jaskrawo oświetlało dachy obozowych zabudowań i liście drzew, odbijało się w oknach, szkle oraz metalu pojazdów w parku samochodowym i wzdymało ponad asfaltem grube, rozedrgane smugi żaru. Linie lasu na horyzoncie skrywała nieruchoma delikatna mgiełka.

Wartownik okrążający narożnik bloku D4 od niechcienia pozdrowił Ayscue'a skinieniem głowy. Ten, jak zawsze, elegancko zasalutował w odpowiedzi. Żołnierz zmieszał się i następne kilka metrów przeszedł bardziej sprężystym krokiem. Potem znów się rozluźnił. Ayscue pomyślał, że ten drobny incydent doskonale charakteryzuje nudę, przygnębienie i niepokój, które coraz bardziej szerzyły się w obozie i których nie był w stanie wyplenić.

- Major Ayscue - powiedział do kaprała z wartowni przy bramie. - W celach... rozpusznych, pijackich, rozpaczliwych. Przepraszam, myślałem o czymś innym. W celach wypoczynkowych.

Doszedł do szosy, gdzie czekała na niego Nancy. Człowiek i pies stali obok siebie przez pół minuty, a przed nimi w obie strony z wyciem pędziły samochody. Wszystkie miały otwarte okna, a kierowcy byli w samych koszulach. Sprawiali wrażenie, jakby łączył ich jakiś wspólny cel.

Nagle Ayscue przypomniał sobie, że zostawił list z wierszem rozłożony na biurku, gdzie Evans niewątpliwie zobaczy go w trakcie zapowiedzianych porządków. Poczul, że nie może dopuścić do tego, aby ten człowiek przesylabizował go, zaczął się zastanawiać, może uśmiechnął się albo gwizdnął ze zdziwienia. Czuł się odpowiedzialny za ten wiersz, jakby sam go napisał. Odwrócił się i ruszył z powrotem.

Nancy zatrzymała się, aby obwąchać jakieś kretowisko, Ayscue zaś bezszelestnie szedł przez łąkę, a więc żadne dźwięki nie zwiastowały jego nadejścia tym osobom, które podczas jego dziesięciominutowej nieobecności mogły zakraść się do domku.

Ktoś rzeczywiście wykorzystał okazję. Brian Leonard w nienagannie odprasowanym polowym mundurze opierał się w niedbalej, lecz sztywnej pozie o ścianę przy oknie. Drzwi szafy, zazwyczaj zamknięte na klucz, a przed chwilą pchnięte przez niego gwałtownie, otwierały się powoli z żalonym skrzypem.

- Czołem, Willie - powiedział. - Właśnie chciałem...

Ayscue podszedł do szafy i zamknął ją swym kluczem.

Spojrzał na Leonarda. Nigdy jeszcze jego twarz nie wydała mu się tak bardzo lśniąca, ziemista i pociemniała od podskórnego zarostu. Nancy weszła, znieruchomiała i warknęła cicho, ale na znak Ayscue'a ruszyła do kosza, w którym usadowiła się ze stęknieniem niezadowolona.

- Co? Co chciałeś zrobić?

- Chciałem... Pozwolisz, że usiądę? Dziękuję. Chyba mogę być z tobą szczerzy.

- No, chyba. Nie masz innego wyjścia.

- Rzeczywiście. Otóż jako oficer bezpieczeństwa w tej jednostce prowadzę pewne badania.

- Właśnie zauważyłem. W dość lekkomyślny sposób. Mój ordynans, ja, albo ktokolwiek inny mógł cię przyłapać. Trafiło na mnie.

- Zająłem się twoim ordynansem. Kazałem mu załatwić dla mnie pewną sprawę - powiedział Leonard z nagłą pewnością siebie. - I widziałem, jak wychodzisz z psem. W tej pracy trzeba liczyć na łut szczęścia.

- Niekoniecznie. A w ogóle, to co chciałeś tu znaleźć?

- Nie zawsze wiadomo z góry, czego się szuka.

- Czy naprawdę znalazłeś coś, co mogłoby cię zainteresować jako oficera bezpieczeństwa tej jednostki?

- Jeszcze nie. Dopiero zacząłem szukać.

- Dlaczego wybrałeś właśnie mój pokój?

- Wcale go nie wybrałem. To znaczy, dokonuję wyrywkowych kontroli wszystkich miejsc zakwaterowania. Akurat przyszła kolej na ciebie.

- No, dobrze. Ale dlaczego nie mogłem być przy tym obecny?

- Takie uprzedzenie odebrałoby kontroli cały sens.

- Czyżby? Myślałem, że twoja naczelna zasada nakazuje ci uprzedzać wszystkich o tym, co knujesz, bo dzięki temu możesz obserwować ich reakcje.

Wydawało się, że owo filaktologiczne stwierdzenie stanowiło dla Leonarda wielki wstrząs. Z urazą powiedział:

- To nie to samo.

- No cóż, ty się na tym znasz, a nie ja. Ale nie chodziło mi nawet o uprzedzenie. Mogłeś przecież przyjść któregoś ranka, kiedy tu byłem, i od razu przeszukać pokój. Wtedy nie miałbym czasu, żeby zjeść moje instrukcje z Tirany.

- Masz rację. Nie pomyślałem o tym.

Ayscue natychmiast odprężył się.

- Przydałby ci się urlop, Brian. Wszystkim nam by się przydał.

- Wiem. Przepraszam, że cię zdenerwowałem. Taka już jest moja praca.

- W porządku. A propos, jak udało ci się otworzyć tę szafę?

- Mam wytrychy - powiedział Leonard. Nie dodał, że nie umiał otworzyć nimi nawet szuflady własnej gotowni i że pozostawiwszy w różnych zamkach w całym obozie odłamane kawałki kilku z nich, postanowił nie używać ich już więcej. - Ale niezbyt dobrze sobie z nimi radzę - jego głos na samą myśl o tym stał się ostrzejszy - i byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś sam ją otworzył.

- A nie zajrzałeś jeszcze do środka?

- Właśnie chciałem, kiedy wszedłem.

- Och, w takim razie mam prawo odmówić otworzenia i pozwolić ci, abyś sam to zrobił.

Niniejszym korzystam z tego prawa.

Leonard wstał z łóżka, na którym siedział, i podszedł do Ayscue'a i do szafy.

- W grę wchodzi bezpieczeństwo państwa - powiedział - w związku z czym nie masz prawa na cokolwiek mi zezwalać ani czegokolwiek zabraniać. Jeśli mnie do tego zmusisz, to zaaresztuję cię i odstrzelę zamek. Rozkazuję ci otworzyć tę szafę.

- W środku są tylko moje osobiste rzeczy.

- W takim razie dochowam tajemnicy.

Po chwili namysłu Ayscue otworzył szafę.

W dwie minuty później Leonard mówił:

- Jeden garnitur cywilny, trzy koszule cywilne, trzy pary skarpetek cywilnych, siedem krawatów cywilnych. To już chyba wszystko.

- Nie będziesz szukać ukrytych szuflad i podwójnych ścianek?

- Nie. Sam wiesz, że nie mógłbyś ich zainstalować, nie zwracając tym czyjejś uwagi. A więc. Dokąd chodzisz w tym ubraniu?

- Do miasta.

- Po co? Obiecuję, że dotrzymam tajemnicy.

- Tego nie mogę ci powiedzieć.

Z wielkim wysiłkiem, jak się wydawało, Leonard nalegał:

- Musisz mi powiedzieć, Willie.

- Chciałbym. Ale naprawdę nie mogę. To sprawa kościelna.

- Ach... czy przysięgasz na Boga Wszechmogącego i na Pana Naszego Jezusa Chrystusa i na Ducha Świętego i na swój honor jako namaszczonego kapłana Kościoła, byłeś namaszczoney, prawda?, że to, co robisz w mieście w tych ciuchach nie ma nic wspólnego z bezpieczeństwem państwa?

- Przysięgam.

- Bogu dzięki.

- Amen.

Leonard opadł bezwładnie na łóżko.

- To im wystarczy - mruknął. - W razie potrzeby mogę odwołać się do głównego kapelana, a nawet i do arcybiskupa Canterbury. To im wystarczy.

- Brian, co ty wygadujesz?

- Posłuchaj, Willie. - W głosie Leonarda brzmiała nie tylko niecierpliwość, ale i powaga. - Obaj wiemy, że nie jesteś szpiegiem. Ale mój szef jest fanatykiem drobiazgowości, upiera się, żeby przeszukiwać wszystkie ślepe uliczki i zaglądać pod każdy kamień. W raportach musiałem pisać, że cię obserwuję. Teraz mogę donieść, że uroczycie przysięgłeś na Boga, że nie robisz niczego, co mogłoby nas zainteresować. To mu wystarczy. I on, i ja możemy o tobie zapomnieć. Oczywiście, jeśli w końcu okaże się, że jednak jesteś szpiegiem, to moja głowa się potoczy, i jego też. Ale skoro on wie, tak jak ty i ja, że to wykluczone, możemy

zamknąć sprawę. Naprawdę czułem wstręt do siebie, kiedy to robiłem. Proszę cię o wybaczenie.

- Nie myśl już o tym, mój drogi. A teraz, jeśli pozwolisz...

- Tak, muszę już iść.

W drodze do drzwi Leonard minął biurko Ayscue'a. Skinął głową w jego kierunku.

- Ciekawy wierszyk. Kto go napisał?

- Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. To znaczy, nie jako oficer bezpieczeństwa. Wiesz, nie zawsze myślę tylko o pracy, choć pewno w to nie wierzysz. Czasem wykazuję zainteresowanie wierszem i jego autorem niekoniecznie podejrzewając, iż jest to zaszyfrowana wiadomość z Kremla.

Powiedział to z wyrzutem i błysnął okularami, jakby kręcił głową. Ayscue poczuł, że niemal się uśmiecha.

- Oczywiście, Brian. Niestety, nie mam pojęcia, kto jest autorem tego tekstu. Nie ma podpisu ani żadnych wskazówek.

Kiedy Leonard wziął maszynopis do ręki i wydymając wargi spojrzał nań z uwagą, Ayscue znów poczuł się jak właściciel, niemalże autor utworu. Zaprażył wyrwać mu kartkę z dłoni i ukryć ją gdzieś głęboko.

- Rzeczywiście - powiedział Leonard. - Nie rozumiem z tego zbyt wiele, rzecz jasna, ale wygląda raczej chorobliwie. Moim zdaniem takie rzeczy, oczywiście, zdarzają się i wszyscy o tym wiemy, ale nie ma sensu tak się nad nimi rozwodzić. Cóż. Zdziwiał mnie ta linijka... „Bez chrztu nie dojdiesz do raj”. Rozumiesz to?

Ayscue z emfazą pokręcił głową.

- Nie - powiedział.

- Mm. Ale podoba mi się jego interpunkcja. No, nie będę już zabierał ci czasu. Dziękuję za wyrozumiałość.

Popatrzywszy, jak Leonard idzie, a właściwie maszeruje przez łąkę, wymachując ramionami i dziwnie poruszając obojczykami, Ayscue wrócił do swego domku i usiadł przy biurku. Znów spojrzał na wiersz. Początkowo chciał go ponownie przeczytać, lecz rozmyślił się i zamknął kartkę w swojej pancernej kasetce. Leonard nie zajrzał do niej, co było może dziwne, ale na pewno po myśli Ayscue'a. Gdyby zobaczył, co się w niej znajduje, natychmiast domyśliłby się, dokąd to ksiądz chadza po cywilnemu.

Schowawszy wiersz, Ayscue otworzył gruby notatnik, w którym zapisywał konspekty kazań i przemówień na spotkania modlitewne. Od czasu otrzymania święceń kapłańskich



zapełnił już ponad dwadzieścia takich notatników i każdy z nich niszczył, tuż po wykorzystaniu zapisków z ostatniej strony. Nigdy świadomie nie użył dwa razy tego samego materiału.

Otworzył zeszyt na notatkach następującej treści:

*Wyobrażenia Boga. Tradycyjne jako człowieka. Prymitywne, przypis. Własnych słabości, zagniewanego trzeba przebłagać, susze, ofiary. Nawet Gr., choć Ajsch. itp., Sokr., Aryst. + Part., lubieżni, gniewni, mściwi, ulubieńcy (Achill.). Tylko chrz., ojciec. Pochodzenie wg antropol. 1) władza plemienna, 2) postać ojca Freud, 3) resztki strachu + czł. - ktoś miota gromy. Ciekawe, ale to nie wszystko. Tylko chrz. Bóg nie ma ludzkich słabości. Ang. sądy najlepsze, ale zawsze winny/niewinny i vice versa. „Tylko ludzie”. Bóg zawsze 100% sprawiedliwy, nie może inaczej. Ojcowie-ludzie b. często dobrzy, kochający, nie mają ulubieńców, wszystkie dzieci takie same, brzydki = ładny, niegrzeczny = grzeczny. Ale tylko ludzie, nawet najlepsi zmęczeni, zmartwieni, zajęci, nieobecni. Tylko Bóg zawsze obecny, 100% kochający.*

Przeczytawszy te zapiski, Ayscue odłożył nie odkręcone pióro do kieszeni i zamknął notatnik. Wstał i włączył gramofon, przenośny model wyposażony w drugi głośnik do odtwarzania płyt stereofonicznych. Wybrał nagranie Magnificatu C. P. E. Bacha. Przy dźwięku trąbek w orkiestrowym wstępie łzy napłynęły mu do oczu. Zanim jednak chór na dobre zaczął *Magnificat anima mea Dominum*, zadzwonił telefon. Wyłączył muzykę i podniósł słuchawkę.

- Ayscue, słucham.

- Proszę czekać, sir, łączę... Proszę mówić.

- Mówi sekretarka biblioteki muzeum - rozległ się znany mu głos.

- Och, dzień dobry, czym mogę pani służyć?

- W sprawie tego rękopisu, który pana zainteresował, pamięta pan, majorze? Rozmawiałam o tym z dyrektorem i powiedział, że może go pan zatrzymać, jeśli wpłaci pan pewną sumę na konto organizacji dobroczynnej, której on przewodniczy. Czy zgodziłby się pan na dziesięć gwinei?

- Tak, to bardzo uczciwa suma. Czy mogłaby pani podać mi adres?

- Może przy naszym następnym spotkaniu, to nic pilnego. Jeśli chodzi o tę drugą sprawę, o której pan wspominał...

- Tak?

- Jak panu wiadomo, dyrektor jest ostatnio bardzo zajęty. Ale mógłby spotkać się z panem dziś wieczorem, jeśli ta pora panu odpowiada.

- Cudownie, dziś wieczorem jestem wolny. O której mam tam być?

- O dziesiątej. Jeśli przybędzie pan punktualnie, dyrektor przyjmie pana natychmiast. Rozumiemy, że nie chciałby pan rozmawiać z innymi ludźmi w poczekalni.

- Dyrektor to bardzo delikatny człowiek.

- Cóż, widzi pan, on bardzo dobrze zna się na ludziach i ich upodobaniach. Tak więc proszę być o dziesiątej przy bocznym wejściu do muzeum. Bardzo łatwo je pan znajdzie. Będę tam czekać i zaprowadzę pana do gabinetu dyrektora.

- Dobrze, rozumiem, i dziękuję.

- Dyrektor bardzo się cieszy, że będzie mógł spotkać się z panem.

\*

- Zamówię ci jeszcze jeden kieliszek.

- Tak, proszę. To wspaniałe. Jak się nazywa?

- Zielone Chartreuse. Cieszę się, że ci smakuje.

- Nie upiję się od tego? To chyba bardzo mocne.

- No to co? Dzisiaj świętujemy.

Otrzymałszy w odpowiedzi jedynie uśmiech, Hunter zastanowił się, co jeszcze mógłby powiedzieć. Chciał mówić o rozmaitych sprawach, lecz przeszłyby mu one przez gardło tylko wtedy, gdyby szeregowy-sygnalista Pearce znajdował się w jego ramionach, a nie siedział bardzo sztywno po przeciwnej stronie stolika w hotelowej restauracji. Oto odwieczny kłopot. Tylko przez pójście z kimś do łóżka można osiągnąć ów poziom konwersacyjnej intymności, stanowiący niezbędne preludium do namówienia tego kogoś na pójście do łóżka. Tak przynajmniej często wydawało się Hunterowi w podobnych momentach. Pod tym względem można tylko pozazdrościć heteroseksualistom, którzy skutecznie zapełniają chwile milczenia pytaniami, czy ktoś powiedział już kiedyś ich rozmówczyniom, jakie są piękne, porównaniami ich oczu do gwiazd, a nawet, co jest najodpowiedniejsze, bezsłownymi i bezmyślnymi uściskami rąk.

Nim to osobliwe milczenie przeciągnęło się ponad miarę, pojawił się kelner. Hunter spojrzał na niego z ulgą i wdzięcznością. Choć natychmiast rozpoznał w nim jednego ze swoich, typ raczej zachęcający do zalotów niż zalotny, jednak nie zauważył, aby podczas podawania posiłku posłał mu on choćby jedno niestosowne spojrzenie lub poruszył znacząco biodrami. Hunter wiedział, jak rzadka jest taka powściągliwość. Dzięki niej mógł zapomnieć o skrywanej pogardzie i rozbawieniu w zachowaniu głównego kelnera oraz o nie skrywanym i nie powściąganym rozbawieniu dwóch młodych biznesmenów siedzących ze swymi kobietami

przy sąsiednim stoliku. Pearce nie pokazywał po sobie, że cokolwiek zauważył, lecz Hunter domyślał się, iż jest on świadom tego wszystkiego.

- Poproszę o duże zielone Chartreuse, jeszcze dwie kawy i rachunek.

- Oczywiście, sir.

- Co sądzisz o naszym księdzu, Max? - zapytał nagle Pearce, gdy kelner odszedł.

Od chwili gdy Hunter poprosił go o to, zwracał się do niego po imieniu, co w jego ustach brzmiało zupełnie naturalnie. Hunter nie zastanawiał się, dlaczego tak jest i jak to możliwe. Po prostu zachwycał się tym.

- O Williem Ayscue'em? Jest całkiem miły jak na klechę.

- Dlaczego tak mówisz?

- No, wiesz. Nie mam zaufania do ludzi, którzy klękają przed narzędziem tortur, nawet jeśli narzędzie jest przestarzałym modelem. Ale to nieważne. Dlaczego raptem pomyślałeś o Williem?

- Poprosił mnie do siebie dziś po południu. Powiedział, że chce porozmawiać o muzyce.

- A o czym rozmawiał?

- Na początku rzeczywiście o muzyce. Pokazał mi nuty, które podobno gdzieś znalazł. Taki klasyczny utwór.

- Och, wiem. Jakiegoś Thomasa Srajheada.

- Właśnie, Rougheada. Taki staroświecki kompozytor. Ten utwór to trio. Jest w nim partia skrzypiec, którą ksiądz podobno sam może wykonać. Jest fortepian, na którym może grać jakiś miejscowy pianista. I jest też partia fletu. Zapytał mnie, czy mógłbym ją przećwiczyć. Widzisz, słyszał od kogoś, że grywam na flecie w zespole.

- Obawiam się, że ode mnie. Zresztą...

- Cóż, myśli o tym, żeby wykonać ten utwór na koncercie. Ciekawe, co ty o tym sądzisz.

Hunter nie odpowiedział, bo właśnie powrócił kelner z napojami i rachunkiem. Nalał kawę w elegancki, dyskretny sposób. Zapalając papierosa, Hunter spojrzął na gładki, stanowczy zarys jego szczęki i pomyślał, że zanim stąd wyjedzie, mógłby jeszcze zjeść mały obiadek *a un* przy tym stoliku. Odliczył pieniądze, dodając napiwek nieco większy niż jedna ósma rachunku. Kelner zauważył to i skłonił się.

- Bardzo panu dziękuję, sir - powiedział uprzejmie. - Mam nadzieję, że jest pan zadowolony?

Hunter uśmiechnął się przyjaźnie.

- Wyjątkowo. Znakomicie się pan nami zajął.

Tylko ktoś, kto tego oczekiwał, mógłby dostrzec drgnięcie powieki kelnera.

- Cała przyjemność po mojej stronie, sir - powiedział i odszedł.

- Ach, prawda, koncert Willie'ego - powiedział Hunter. - Moim zdaniem powinno cię interesować tylko to, ile czasu będziesz musiał przed nim ćwiczyć i tak dalej.

- Myślałem, że będziesz temu przeciwny, nawet jeśli wcale nie musiałbym ćwiczyć.

- Dlaczego?

- To przecież muzyka. - Pearce uśmiechnął się lekko. - Myślałem, że ten argument ci wystarczy. Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy w szpitalu, mówiłeś, że nie znosisz muzyki.

- Rzeczywiście. Masz bardzo dobrą pamięć.

Hunter pomyślał, że Pearce chyba jednak nie przypomina sobie tego zdarzenia równie dokładnie jak on sam. Uniósł wtedy głowę, słysząc stukot ciężkich butów Pearce'a na betonowej szpitalnej podłodze, i zobaczył, jak mijając stół zastawiony kwiatami, podchodzi do niego zarumieniony nieco, w obawie, czy może nie przeszkadza oficerowi, który do tej pory zamienił z nim tylko parę przyjacielskich zdań. Był jak uosobienie zmysłowości, bez najmniejszego śladu lubieżności czy kokieterii. Na jego widok Hunter po raz pierwszy w życiu poczuł wstręt do alkoholu.

Teraz mówił dalej:

- Nie powinieneś zwracać zbyt wiele uwagi na moje opinie. Czy oglądałeś te nuty? Dasz radę to zagrać?

- Raczej tak. To co widziałem, sprawia wrażenie dość prostej kompozycji.

W duszy Huntera niechęć do muzyki poważnej absolutnie szczerza, i pragnienie, aby Pearce rozwinął jakieś pozawojkowe zamiłowania, którymi mógłby się z nim dzielić, stoczyły krótką walkę. Zasada przegrała.

- W takim razie może byś spróbował? Wydaje się to interesujące.

- Czemu nie?

Pearce upił nieco swego Chartreuse'a i szybko oblizał górną wargę czubkiem języka. W odpowiedzi Hunter rozchylił lekko usta.

- Tak więc - rzekł Pearce - powiedziałem księdzu, że pomyślę o tym, a wtedy... Hm, najpierw zapytał mnie, jak się ostatnio czuję. Chodziło mu o... wiesz.

- Tak.

- A więc, powiedziałem mu, że zaczynam już trochę dochodzić do siebie, przynajmniej w ciągu dnia, ale tak naprawdę to sam nie wiem. A on przez chwilę milczał, choć widziałem, że, no, wiesz, współczuje mi. Zauważyłeś, Max, jak on źle wygląda? Jest strasznie wymizerowany. Chyba nie jest chory?

- Nie sądzę. Od kiedy go znam, zawsze tak wyglądał.

- Rozumiem. No więc, wtedy zapytał, czy czuję gniew w związku z tym, co się stało. Powiedziałem, że niespecjalnie, a to, co mnie gnębi, to tylko smutek. On zapytał, czy na pewno nie gniewam się na Boga. Musiałem mu powiedzieć, że nie wierzę w Boga, a więc raczej nie mogę się na niego gniewać. Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Ale następne pytanie po prostu mnie powaliło. Czy pisałem kiedykolwiek wiersze? Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że coś mu się poprzestawiało w głowie.

- Ja też przez chwilę tak myślałem. Ale zaraz wyjaśnił mi, że ktoś przysłał mu wiersz do tego jego pisma i ten wiersz strasznie go zdenerwował, bo wydaje mu się, że jego autor jest bardzo nieszczęśliwy i nienawidzi Boga, co jego zdaniem jest bardzo niebezpieczne, a więc chciałby znaleźć tego, kto to napisał. Widocznie facet się nie podpisał.

- Czy pokazał ci ten wiersz? O, rany, poezja. Chyba nienawidzę poezji jeszcze bardziej niż muzyki. Muzyka przynajmniej nie przypisuje ogólnego uczucia niepokoju i niedoli żadnym konkretnym zjawiskom. Poezja musi mieć przesłanie. Wiesz, o miłości, wiośnie i podnieceniu. Poezja każe nam zauważać świat.

- Nie widzę w tym nic złego.

- A ja tak. Najlepszym rozwiązaniem problemu byłoby posyłanie do więzienia autora każdej książki, która nie sprzedaje się w milionowym nakładzie. W ten sposób zlikwidowalibyśmy większość utworów, które mi się nie podobają. Zresztą nieważne, nie warto strześcić na tym języka. Czy widziałeś ten wiersz, który tak wkurzył Willie'ego?

- Nie, schował go gdzieś. Mówi, że nie powinien go nikomu pokazywać.

Hunter roześmiał się bezgłośnie.

- A więc, niestety, redaktor będzie musiał zrezygnować z nadesłanego materiału. Kochany Willie. Nigdy bym nie pomyślał, że taki z niego lojalny sługa Kościoła. Dziwne, że od razu nie spalił tego wiersza.

- Nie, ale wiesz, Max, on był naprawdę zdenerwowany. Powiedział, że teraz, kiedy wie już, że to nie ja go napisałem, nie ma zielonego pojęcia, jak znaleźć autora. Był autentycznie załamany. To było widać.

- Cóż, nie masz się czym przejmować. Willie miewa różne nastroje. Zazwyczaj to nic poważnego. Porozmawiam z nim rano. Do tego czasu pewno o wszystkim zapomni.

- Bardzo bym cię prosił, żebyś z nim pogadał. Ale przepraszam, zasiedziałem się.

- Wcale nie. Nigdzie nam się nie śpieszy.

- Tylko dopiję...

Pół łała Chartreuse'a na raz przekraczało możliwości Pearce'a. Zakrztusił się i rozkaszał. Hunter wstał i uderzył go krzepko w plecy. Zobaczył, że czworo ich sąsiadów

przygląda im się uśmiechając się, każde w inny sposób, ale każde równie wrogo. Zwróciwszy wzrok na młodszego z mężczyzn, wyleniającego satyra o wąskich wargach, łypnął ku niemu ponad ramieniem Pearce'a w najlepszym klozetowym stylu. Wszystkie cztery głowy odwróciły się, jakby poruszone za pomocą jednego sznurka.

Pearce złapał oddech.

- Nie ma to jak takie walnięcie, co? Przepraszam.

- Masz za co. Po tym pokazie powinniśmy wyjść jak najdyskretniej.

Tak też uczynili. Na dworze było jeszcze widno. Hunter wytłumaczył, że skoro mają do przejścia jedynie kilkaset metrów, to lepiej zostawić na hotelowym parkingu półcieżarówkę, którą tu przyjechali. Ulica była zatłoczona, lecz wzdłuż jednej strony ciągnął się kanał, a za nim opustoszałe składowiska i magazyny. Hunter dwukrotnie otarł się ramionami o Pearce'a, gdy wymijali grupy przechodniów.

- To tutaj - rzekł wreszcie.

Weszli do sieni niewielkiej kamienicy wybudowanej może trzydzieści lat temu. Nie było w niej windy. Na schodach Pearce powiedział:

- Opowiedz mi o tym facecie.

- Nazywa się Vincent Lane. Ma około trzydziestki. Kawaler. Znajomy mojego brata. Pracuje w firmie ubezpieczeniowej. Spędza połowę czasu tutaj, a połowę w Londynie. Nie wiem, kogo jeszcze na dzisiaj zaprosił. Powinno być całkiem miło.

Tymczasem dotarli na drugie piętro. Hunter nacisnął przycisk dzwonka. Usłyszeli jego dźwięk, ale poza tym panowała cisza.

- Mmh, czarno widzę - powiedział Hunter, dzwoniąc ponownie.

Znów nic. Hunter schylił się i unióś róg wycieraczki, pod którą leżał klucz. Otworzył drzwi mieszkania.

- Jak myślisz, co się stało? - zapytał Pearce.

- Może coś go zatrzymało. Nie będzie się gniewać, że sami weszliśmy. Może zostawił jakąś kartkę.

Z małego przedpokoju wchodziło się do długiego, raczej wąskiego saloniku z wypłowiałymi dywanami, skórzanymi fotelami i rozkładanym stołem pod ścianą. Na stole leżała napisana na maszynie kartka:

*Przepraszam, chłopcy - po południu wezwano mnie do Londynu. Pilna sprawa (tak mówią). Max, nie mogłem dodzwonić się do ciebie - zostawiłem wiadomość jakiemuś bałwanowi w obozie, ale skoro to czytasz, to widocznie jej nie otrzymałeś. Wszystkich innych*

*zdołałem uprzedzić. Skoro przyszlście, to musicie się napić. Ile tylko chcecie. Czujcie się jak u siebie w domu. Zadzwoń do mnie w przyszłym tygodniu, Max. Bardzo przepraszam, że musieliście się na darmo fatygować.*

U dołu rozchwianymi literami, ręcznie dopisano:

*W pośpiechu*

*Vince*

Pearce zerknął ukradkiem na Huntera, podszedł do okna i stanął przy nim, wyglądając na dwór.

- Napijesz się czegoś? - zwrócił się Hunter do jego pleców.

- Nie, dziękuję.

- Pozwolisz, że ja sobie naleję?

- Oczywiście.

Hunter przez kilka sekund stał niezdecydowany, po czym podszedł do Pearce'a. Okno wychodziło na kanał. Nadal było pusto. Po następnych paru sekundach Hunter położył dłoń na ramieniu Pearce'a. Zrobił to nie dlatego, że uznał, iż nadszedł na to właściwy moment, lecz z braku pomysłów, co zrobić i co powiedzieć. Czując się tak, jakby bicie serca wprawiało w drżenie całą jego klatkę piersiową, powoli odwrócił się i umieścił drugą dłoń na drugim ramieniu Pearce'a. Poczuł szorstkość materiału, z którego uszyty był jego mundur. Pearce miał zamknięte oczy.

- Och, Andy - powiedział Hunter, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu.

Delikatnie pocałował Pearce'a w policzek obok ust, czując, jak ten sztywnieje. Kiedy pocałował go po raz drugi, w kącik ust, Pearce odsunął się nieco. Przez chwilę obaj stali nieruchomo. Wreszcie Pearce zrobił krok do tyłu, a ramiona Huntera opadły bezwładnie.

- Przepraszam, sir - powiedział Pearce drżącym głosem. - Bardzo mi się pan podoba. Ale jednak nie mogę tego zrobić. Myślałem, że jeśli do tego dojdzie, to dam radę. Chciałem, przynajmniej chciałem chcieć, bo był pan dla mnie bardzo dobry i bardzo mi się pan podoba. Dałbym wszystko, żeby tylko móc to zrobić. - Z oka Pearce'a spłynęła łza. - Może zdołałbym to zrobić, gdybyśmy nie rozmawiali... wiesz... o nim. Choć między nami nic... Byliśmy tylko przyjaciółmi. Wiesz, jedynie przyjaciółmi. Ale zacząłem o nim myśleć, i to mnie rozłożyło. Przepraszam.

- W porządku - powiedział Hunter, wyglądając przez okno. - Nie musisz przeproszać. To moja wina. Nie powinienem był zaczynać.

- Nie chciałem nazwać cię „panem”. Tak mi się wymknęło.

- Oczywiście, rozumiem.

- Zachowałem się paskudnie. Aż do... aż do teraz powtarzałem sobie, że nie wiem, czego ode mnie chcesz. Ale teraz wiem. Wiedziałem cały czas. Wydałeś na mnie tyle pieniędzy, a ja nie dałem ci nic w zamian.

- Ależ dałeś. Sama rozmowa z tobą była wspaniała. Nie myśl o tym w ten sposób. Było mi bardzo miło w twoim towarzystwie. A poza tym, mam mnóstwo pieniędzy.

- Nie opowiem o tym nikomu.

- Wiem. Jesteś bardzo... Nie zrobiłbyś niczego podobnego.

- Gdybym z góry wiedział, że nie zdołam tego zrobić, to dałbym ci to jakoś do zrozumienia, nie przyszedłbym tutaj, nie skrzywdziłbym cię tak.

- Wcale mnie nie skrzywdziłeś. Nie przejmuj się. Szeregowy-sygnalista Pearce, wasze zachowanie było wzorowe pod każdym względem. Wasi przełożeni nie widzą w nim niczego nagannego. A teraz... napijmy się. Teraz chyba nie odmówisz?

- Nie. Nie odmówię, Max. Poproszę o odrobinę whisky, jeśli jest.

- Jest. Za chwilę wrócę.

W kuchni, która była w zasadzie wysoką i pojemną szafą, Hunter pochylił się, oparł o zlew i kilkakrotnie odetchnął, głęboko, powoli, spokojnie. Potem nalał sobie i szybko wypił bardzo mocną whisky z wodą, przygotował następną taką samą i jedną normalną whisky z wodą, zaniósł obie szklanki do saloniku i wręczył tę bez wody Pearce'owi, który przysiadł na poręczu jednego ze skórzanych foteli.

- Zdrowie - powiedział z uśmiechem Hunter. - Kochany Vince Lane nie żałuje whisky. Jest też bardzo dyskretny. Można by go nazwać gospodarzem idealnym.

- Nie ma żadnego Vince'a Lane'a, prawda?

- Na pewno ktoś nosi takie nazwisko, ale ten akurat osobnik jest wytworem mojej płodnej wyobraźni. Gdyby istniał, chyba nie przypadłby ci do gustu. Byłby jednym z tych facetów, którzy zawsze wiedzą wszystko, co chcą wiedzieć. Miły, ale bardzo poważny. Dobrze, że nie trafiliśmy na jego przyjęcie. Spotkalibyśmy strasznych ludzi. Mężczyzn, których życie duchowe ogranicza się do pewności siebie, i pyskate dziewczyny z cofniętymi podbródkami i naszymi z pereł.

- Czy nigdy nie lubiłeś dziewcząt?



- Niespecjalnie. Ale wiem, do czego służą. Dzięki nim mężczyznom żyje się znacznie łatwiej. Zwłaszcza mężczyznom posiadającym choćby resztki poczucia humoru. Dziewczyna może zrobić z mężczyzny durnia, jednak zawsze wie on, że ktoś inny poradziłby sobie z nią. On po prostu jest dla niej zbyt brzydki albo zbyt stary, albo zbyt biedny, zbyt jakiś tam, lub niedostatecznie jakiś inny, i to jedynie źródło komizmu tej sytuacji. Natomiast pomyśl tylko, co się dzieje, kiedy wpada ci w oko listonosz albo fryzjer, u którego się strzyżesz, albo wujek twojego starego kolegi szkolnego. Ktokolwiek by to był, zawsze musi to być śmieszne. Och, oczywiście trzeba podziwiać faceta, który gotów jest posadzić sobie na kolanach szacownego starszego urzędnika bankowego i namawiać go do wspólnej zabawy. To wymaga kolosalnej odwagi.

- Jakoś nie wyobrażam sobie siebie w takiej roli - powiedział Pearce z uśmiechem.

- Bogu dzięki. Ale nie skarżę się. W moim przypadku tchórzostwo pomaga mi w pewnych sytuacjach opanować się. Skoro nie możemy się uspokoić, przywołując na pomoc rozagę, przyzwoitość czy sumienie, to każdy inny środek jest równie dobry. A oto moja propozycja na resztę wieczoru. Dopijemy to jak najszybciej i przejdziemy się niedaleko, do pewnej knajpki z ogródkiem, w którym można sobie usiąść i nikt się nie wtrąca. Co ty na to?

- Jestem za - powiedział Pearce, wstając żwawo i opróżniając swą szklanę.

- No, to w drogę.

W drzwiach mieszkania Pearce spojrział na Huntera, zawahał się przez chwilę i wreszcie rzekł:

- Nie zapomnij podziękować swojemu kumpłowi Vince'owi Lane'owi za gościnność.

- Nie omieszkam. Podrzucę mu butelkę szampana w twoim i moim imieniu.

Hunter zamknął drzwi. Zeszli po schodach i znaleźli się na ulicy mniej zatłoczonej niż przed kwadransiem. Dwaj mężczyźni rozmawiali przed jednym z baraków znajdujących się po drugiej stronie kanału. Zza wody docierały do nich ciche, spokojne, rzeczowe głosy. Kiedy znaleźli się przed hotelem, w którym jedli kolację, Hunter zatrzymał się.

- Chyba zostawiłem tam zapalniczkę - powiedział. - Gdybyś mógł poczekać chwilę, to wskoczę i sprawdzę.

W środku podszedł do drzwi restauracji i stanął w nich. Po półminucie zbliżył się do niego kelner, którego szukał.

- Czym mogę panu służyć, sir?

- Mam do pana prośbę. Bardzo mi smakowała dzisiejsza kolacja, głównie dzięki pańskiej obsłudze, i chciałbym zjeść tu jeszcze w tym tygodniu obiad. Tym razem sam. Może by mi pan zaproponował jakiś dzień?

- Chwileczkę, sir... Czy odpowiada panu czwartek?

- Tak. Czwartek, znakomicie.

- W czwartki szef kuchni przygotowuje doskonały pasztet ze steku i nerek, który szczerze panu polecam, sir. Ale chciałbym zwrócić pana uwagę na jeszcze jedną sprawę: mianowicie radzę, żeby przyszedł pan stosunkowo wcześniej, bo część personelu kończy pracę tego popołudnia o wpół do trzeciej. Między innymi ja.

- Rozumiem. Jak pan myśli, czy wystarczy, jeśli przyjdę za kwadrans pierwsza?

- Jak najbardziej, sir, za kwadrans pierwsza. - Kelner przekartkował zeszyt rezerwacji leżący na pobliskim stoliku. - Czy stacjonuje pan w mieście, sir? - zapytał towarzyskim tonem.

- Niezupełnie. Mam mieszkanie niedaleko stąd.

- To bardzo przyzwoita dzielnica, sir. Och, przepraszam, jak pana godność.

- Lane. Kapitan Vincent Lane.

- Dziękuję, panie kapitanie. A więc oczekuję pana w czwartek. Dobranoc, sir.

- Dobranoc.

\*

- Ach, oto ciekawy przypadek, znakomite zakończenie naszej wycieczki.

Doktor Best po bratersku ujął Leonarda pod ramię i poprowadził go w dół schodów przed główne wejście szpitala psychiatrycznego, do około pięćdziesięcioletniego mężczyzny siedzącego w niedbałej pozycji na omszałej kamiennej cembrowinie ozdobnej sadzawki. Opodal stał inwalidzki fotel na kółkach. Wszystko było skąpane w jaskrawym świetle słońca.

- Ten człowiek nazywa się Underwood - powiedział wesoło lekarz. - Niech go pan obrazi.

- Słucham?

- Słyszał pan, co powiedziałem. Niech go pan obrazi. Proszę go zwymyślać. Naubliżać mu. Nawiasem mówiąc, słuch ma równie dobry jak pan czy ja. Śmiało, kapitanie.

Leonard przełknął ślinę i odchrząknął.

- Ty świnię - powiedział niewyraźnie do mężczyzny.

- Och, na pewno stać pana na więcej. Niech mu pan powie coś naprawdę paskudnego. Proszę sobie wyobrazić, że ten człowiek jest pana odwiecznym wrogiem i że oto zdany jest na pana łaskę, całkowicie bezbronny, i że nie musi pan obawiać się jego zemsty. Nienawidzi go pan z całej duszy. Jeszcze raz, proszę.

- Ty obrzydliwy... bałwanie. Ty wstrętny idioto. Nienawidzę cię. Jesteś najgorszym, eee...

- Nie, nie, nie. To nic nie warte. Niech pan posłucha.

Doktor Best stanął przed siedzącym człowiekiem, który od momentu ich przybycia nawet nie mrugnął, i pochylił się lekko.

- Underwood? - zapytał cichym, spokojnym głosem. - Słyszysz mnie, prawda? Wiem, że mnie słyszysz, i ty wiesz, że ja o tym wiem. A więc co byś powiedział, gdybym przyprowadził ci tu miłego chłopca? Miłego chłopca o ślicznych jasnych włosach i pięknych różowych policzkach. Mógłbyś go rozebrać i pobawić się z nim, robić wszystko to, o czym zawsze marzyłeś. Chciałbyś, co? Tak. Od czego byś zaczął? Mógłbyś...

- Dość już tego - powiedział Leonard. - Za wiele pan sobie pozwala. Niech pan zostawi tego biedaka w spokoju.

- Reaguje pan nieodpowiednio, kapitanie. Dokonujemy naukowego eksperymentu. Proszę pana o współpracę. Wytłumaczyłem panu, co ma pan robić. Chcę, żeby oskarżył pan pacjenta o to, co pana zdaniem stanowi najbardziej ohydną i haniebną zbrodnię na świecie. Dzięki temu powiększy pan zasób naszej wiedzy.

Leonard uspokoił się i namyślił przez chwilę. Potem cedząc słowa powiedział:

- Ty zdrajco. Ty sprzedawczyku. Ty komunistyczny szpiegu.

Underwood nadal nie reagował, lecz psychiatra i oficer kontrwywiadu spojrzeli na siebie uważnie. Doktor Best uśmiechnął się. Leonard zmarszczył brwi. Obaj na moment odwrócili wzrok, a potem znów na siebie popatrzyli. Wreszcie lekarz znów przyjął ton zawodowy:

- Całkowita retrakcja. Żadne normalne bodźce nie docierają do niego. A teraz zademonstruję panu pewien charakterystyczny rys jego stanu, o którego istnieniu może pan nie wiedzieć.

Ręce Underwooda zwisały bezwładnie wzdłuż tułowia. Doktor Best ujął jedną rękę za nadgarstek i uniósł do pozycji niemal poziomej, po czym odwrócił dłoń do góry. Kiedy ją puścił, ramię pozostało w tym samym położeniu, co wyglądało jakby mężczyzna zebrał albo sprawdzał, czy pada deszcz. Następnie lekarz podniósł jedną z nóg Underwooda, aż pięta znalazła się prawie pół metra ponad ziemią. Gdy ją puścił, ona także nie opadła.

- Tak zwana elastyczność woskowa, towarzysząca przypadkom całkowitej retrakcji. Proszę zwrócić uwagę, że pacjent pozostanie w narzuconej mu pozycji znacznie dłużej, niż osobnik normalny wytrzymałby jej nienaturalność bez wrażenia silnego fizycznego bólu.

- To straszne.

- Bynajmniej. Dzięki temu przenosimy go. Może siedzieć tu i opalać się. A raczej jego skóra może korzystać z dobrodziejstw wystawienia na promienie słoneczne. To lepsze od ciągłego leżenia w łóżku.

Doktor Best odwrócił się, jakby chciał kontynuować spacer.

- Ale chyba nie zostawi go pan tak? - zapytał z niedowierzaniem Leonard.

- Powiedziałem panu, że on nie reaguje tak jak normalni ludzie.

- Ależ na miłość boską...

- No, dobrze już.

Lekarz ostentacyjnie przywrócił kończyny Underwooda do poprzednich pozycji. Patrząc na niego, Leonard nagle zauważył przypominającą lwa rzeźbę umieszczoną na środku sadzawki. Zmrużył oczy od słońca.

- A cóż to takiego?

- Och, to nasza maskotka. - Lekarz był zachwycony nowym tematem rozmowy. - Wykonał ją jeden z naszych paranoików w ramach terapii zajęciowej. Pod tym względem podziałała ona znakomicie, gdyż natychmiast po zakończeniu pracy nastąpiła szybka i kompletna dezintegracja osobowości pacjenta. Teraz nie odważylibyśmy się już nawet pokazać mu dłuta. No, i pomyślałem, że można by umieścić tę rzeźbę gdzieś, gdzie wszyscy by ją mogli oglądać. Pierwotnie stała tu nędzna kopia romańskiego posągu jakiejś nimfy czy czegoś podobnego, szczerze mówiąc, sentymentalny rupieć. To coś jest znacznie bardziej... fascynujące. I pożyteczne. Mamy tu sporo ludzi, o których z całą pewnością wiemy tylko tyle, że są wariatami. Krzyczą, płaczą i tak dalej. Potem, czasami z dnia na dzień, przypadek taki zmienia się w oryginalną, samodzielną, w pełni skryzalizowaną psychozę. Może to być cokolwiek, od prób zamachów samobójczych poczynając na aspołecznym traktowaniu odchodów kończąc. To ciekawe, jak często pacjenci naszego zakładu, cierpiący na takie progresywne zaburzenia, twierdzą, iż to właśnie widok naszej maskotki stanowił bezpośredni bodziec owego psychicznego przewartościowania. W zeszłym roku mieliśmy niezwykle intrygujący przypadek: pewna kobieta symulowała napady szału po to, aby wymusić na nas przeniesienie jej do oddziału zamkniętego, gdzie nie musiała już oglądać naszej maskotki, która jak pan zapewne zauważył, znajduje się na widoku wszystkich osób wchodzących lub wychodzących z głównego budynku. Było to, rzecz jasna, urojenie, w jej przypadku obłęd nie ulegał wątpliwości, ale jakże charakterystyczne. Na długo przedtem, zanim umysł ludzki stał się przedmiotem badań naukowych, wiedziano już, że osobnik w anormalnym stanie psychicznym przekazuje swą dolegliwość, aby nie powiedzieć, zaraża nią innych. Podziwiam instynktowny rozsądek moich kolegów z tamtych czasów, którzy nie dysponując jakimkolwiek

zapleczem teoretycznym, wiedzieli z doświadczenia, iż zamykając razem furiatów i osoby jedynie niezrównoważone, jak to miało miejsce w ówczesnych domach wariatów, ułatwiają pacjentom tego drugiego typu dokonanie psychicznego przewartościowania i tym samym ujawnienie prawdziwej natury choroby. Jak powiedziałem, zaraźliwość ta jest powszechnie znana, ale chyba dotychczas nie zwrócono jeszcze należytej uwagi na fakt, że może ona ujawnić się za pośrednictwem jakiegoś zewnętrznego symbolu lub przedmiotu, że stan umysłowy stwarza rzecz, która z kolei stwarza stan umysłowy. Mamy tu oczywiste analogie z teorią estetyki, zwłaszcza z pojęciem obiektywnego odpowiednika u Eliota.

Doktor Best zapomniał widocznie o tym, że rozmawia z Leonardem. Słońce odbijało się w jego okularach i sprawiało wrażenie, że płonie w nim bezinteresowne umiłowanie jego zawodu. Jednakże teraz, gdy przeszli obok wieży ciśnień i skierowali się ku wejściu do jego mieszkania, lekarz umilkł i spojrzał przelotnie na swego towarzysza.

- Zauważyłem - powiedział - że kiedy przed chwilą poprosiłem, aby oskarżył pan Underwooda o najgorszą zbrodnię, jaką można sobie wyobrazić, wybrał pan szpiegostwo na rzecz komunistów. Dlaczego, kapitanie?

- Ponieważ według mnie jest to najgorsza zbrodnia. Czy mogłem mieć inne powody?

Lekarz rozpromienił się.

- Gorsza od morderstwa?

- Oczywiście. Dobry szpieg może spowodować znacznie większe zniszczenia niż notoryczny morderca.

- Och, tak pan sądzi? Czy jest także bardziej nikczemny? Bardziej przerażający?

- Nie o to mnie pan prosił. A w ogóle, po co pan go oskarżał o te paskudztwa czy raczej o paskudne skłonności?

- Gdyż wiem z doświadczenia, że oskarżenia takie najłatwiej wywołują reakcję w przypadkach retrakcji.

- Ale on nie zareagował?

- Nie. Zresztą nie spodziewałem się tego. Za to pan zareagował.

- O, Boże, miałem po prostu wrażenie, że poniża pan tego biednego czubka.

- Czy pan go nie poniżył, oskarżając o to, co pana zdaniem jest najgorszą zbrodnią na świecie?

- To co innego, doktorze. Ja wiedziałem, że on nie jest szpiegiem, ale całkiem prawdopodobne, że kuszą go te rzeczy, o których pan mówił.

- Aha. Wiedział pan, że nie jest szpiegiem, a jednak oskarżył go pan o to. Dlaczego?

Leonard zawahał się.

- Takie oskarżenie może urazić, nawet jeśli jest całkowicie zmyślone.

- A może jest to oskarżenie, które instynktownie kieruje pan przeciwko każdemu, bez względu na okoliczności, także wtedy, gdy rozsądek odradza to panu? Może wszędzie widzi pan szpiegów?

- Tak się składa - powiedział Leonard głosem bardziej niecierpliwym niż zazwyczaj, wpatrując się intensywnie w doktora Besta - że muszę widzieć wszędzie szpiegów.

Akurat w tym momencie lekarz usunął się na bok, aby przepuścić Leonarda przed sobą, gdyż wchodzili do budynku mieszkalnego przeznaczonego dla personelu szpitala. Wyglądało na to, że odsunął się nieco dalej niż zamierzał, być może w ataku śmiechu.

- Słowo daję, kapitanie, ciekawy z pana człowiek - oświadczył. - Urodzony kawalarz. A teraz, jeśli zechce pan zostawić tu swoje rzeczy... O, tak, tędy proszę.

Leonard umieścił czapkę i laseczkę na wieszaku, pod którym spoczywała ogromna torba golfowa. Następnie ruszył za doktorem Bestem do pomieszczenia przypominającego salę konferencyjną małej, lecz prężnej prywatnej firmy. Ściany aż do wysokości ramienia były wyłożone dębową boazerią, a sufit zdobiły belki z tego samego materiału. Na eleganckim kredensie w stylu króla Jakuba ustawiono dwa rzędy butelek i karafek z rżniętego szkła oraz platerowane wiaderko do lodu. Piękne lilie w wytwornych wazonach rozsiewały mocny, raczej nieprzyjemny zapach.

Gdy wchodzili, podeszli do nich dwaj mężczyźni około trzydziestki ubrani w ciemne garnitury i jedwabne krawaty w poprzeczne prążki. Jeden był bardzo wysoki i chudy, a jego uszy odstawały od czaszki pod kątem prostym. Drugi wyglądał zwyczajnie.

- Kapitanie Leonard, pozwoli pan, że przedstawię moich asystentów. Doktor Minshull - to był ten wysoki - i pan Mann - ten zwyczajny.

Leonard kolejno uścisnął im dłonie. Minshull patrzył wprost przed siebie, czyli ponad głową Leonarda. Mann uśmiechnął się i skinął głową.

- A więc - rzekł doktor Best - czego się pan napije? Sherry czy martini?

- Sherry, proszę - powiedział Leonard.

- Manzanilla, fino czy amontillado?

- Amontillado, proszę.

- Pedro Domecq czy Harvey?

- Harvey, proszę.

- Dużo czy mało?

- Mało, proszę.

Doktor Best dosłownie potraktował prośbę Leonarda: nalał mu niecałą połowę cylindrycznej szklaneczki o średnicy około cala. Dla siebie przygotował dwie trzecie szklanki. Spojrzał na naczynia Minshulla i Manna, w których znajdował się już alkohol, i stwierdził, że jak widzi, nie potrzebują jego pomocy.

- Podobała się panu wycieczka, kapitanie? - zapytał przyjaznym tonem Mann.
- Była bardzo interesująca.

Minshull wybuchnął wysokim, suchym, melodyjnym śmiechem, który trwał przez kilka sekund.

- Czy może zawodowo zajmuje się pan tymi sprawami? - kontynuował Mann nieco głośniej. - Wiem, że w dzisiejszych czasach wojsko poświęca wiele uwagi zagadnieniom wojny psychologicznej i podobnym problemom.

Leonard wygłosił przygotowaną zawczasu odpowiedź na to pytanie, którego przez minione półtorej godziny na próżno wyczekiwał z ust doktora Besta.

- Zajmuję się tym do pewnego stopnia. Badamy stan umysłów jeńców i uodporniamy na działanie tego typu akcji naszych ludzi. Ale właściwie pracuję w kontrwywiadzie. Słyszał pan chyba, że nasz obóz nie jest wolny od różnych tajnych problemów. Odpowiadam za to, żeby nie dowiedzieli się o nich niewłaściwi ludzie.

- A kim też mogą być ci niewłaściwi ludzie, kapitanie? - zapytał doktor Best.
- Ostatecznie, rzecz jasna, to Rosjanie albo czerwoni Chińczycy.
- Ale nie bezpośrednio. Czyli nie wierzy pan, że w okolicy kryją się poprzebierani prawdziwi Rosjanie czy Chińczycy?
- Nie. Wiem jednak, że na tym obszarze jest co najmniej jeden nieprzyjacielski agent.
- A jaki typ człowieka on reprezentuje, pana zdaniem?
- Może to być ktoś cieszący się dużym szacunkiem - powiedział Leonard. - Ktoś ogólnie znany i akceptowany w swym środowisku. Na stanowisku, które daje mu swobodę ruchów i umożliwia rozmowę z każdą napotkaną osobą. Być może ktoś, komu z racji wykonywanego zawodu wolno zadawać najrozmaitsze pytania bez wzbudzania podejrzeń.

- To znaczy, ktoś taki jak ja.
- Tak. To może być ktoś właśnie taki jak pan.

Minshull z głośnym siorbnięciem dopił resztkę swego napoju. Zacierając w podnieceniu dłoń, doktor Best zwrócił się do niego i do Manna:

- Czy to nie jest cudowne, panowie? Czy to nie jest cudowne?
- Nie widzę w tym nic cudownego, sir - powiedział Mann. - Jestem wprawdzie laikiem w dziedzinie, którą zajmuje się kapitan Leonard, ale uważam, że rozumuje on w sposób

najzupełniej rozsądny. A nawet jeśli nie możemy pojąć jego argumentów, to musimy przyznać, że sprawia wrażenie, iż wie, czego chce.

Doktor Best zeszywniał.

- Czy ja pana źle traktuję, Mann? - zapytał.

- Nie rozumiem, sir.

- Czy nie sądzi pan, że takie manifestowanie tłumionej agresji w obecności gościa dowodzi nieumiejętności racjonalnego myślenia?

- Zaręczam panu, że nie zachowywałem się agresywnie. Wygłaszałem tylko opinię.

- Na razie nie będziemy o tym dyskutować. Powiem tylko tyle, że jestem zaskoczony widząc, jak osoba o pańskich kwalifikacjach nie potrafi rozpoznać przypadku wczesnej fazy urojeń prześladowczych.

- Ależ, doktorze Best - powiedział Mann rumieniąc się - kapitan Leonard jest oficerem kontrwywiadu. Demaskowanie szpiegów to jego obowiązek. I proszę powiedzieć, kto teraz zachowuje się nieodpowiednio w obecności gościa?

Wbrew oczekiwaniom Leonarda, zaczepka ta nie wzmogła zdenerwowania doktora Besta. Odwrócił się jedynie do Minshulla i żartobliwym tonem powiedział:

- Abercrombie i Kraft, czerwiec 1963.

Minshull znów się zaśmiał, tym razem raczej zawodząco niż śpiewająco. Leonard w milczeniu spojrział na Manna, który zarumienił się jeszcze bardziej.

- To znany artykuł omawiający sytuacje, w których przeżycia pacjenta niejako potwierdzają jego urojenia - rzekł Mann. - Na przykład, co się dzieje, jeśli człowiek przejawiający neurotyczny strach przed otruciem przez własną żonę znajduje w zupie arsenik.

- A więc on uważa mnie za wariata - mruknął Leonard.

- Mniej więcej. - Mann zerknął na doktora Besta naradzającego się z Minshullem. - Ale on tak zawsze. Wcale nie musi pan tego słuchać. Jeśli pan chce, to pójdziemy sobie do jakiegoś pubu.

- Dziękuję, ale muszę tu jeszcze posiedzieć. Właściwie to bardzo wygodna metoda obrony. Zawsze lepiej jest zakwestionować motyw pytania niż odpowiedzieć na nie.

Mann powoli wciągnął powietrze do płuc.

- Czyżby podejrzewał pan, że on jest szpiegiem? - zapytał po chwili.

- Mam podstawy do tego, by nie wykluczać takiej możliwości. Sam pan powiedział, że to rozsądne rozumowanie.

- Mówiłem tylko, że pana teoria...



Dalsze słowa Manna zagłuszył hałas wielkiego mosiężnego dzwonka, którym potrząsał doktor Best. Rozpostarł ramiona i gestem zaprosił do zastawionego stołu znajdującego się w okiennej wnęce. Leonarda usadzono plecami do okna. Dzięki temu mógł dokładnie obserwować wejście dwóch wysokich dziewcząt: blondynki w obcisłym kombinezonie z czarnej skóry i brunetki w podobnym, lecz białym stroju. Pierwsza podeszła do bocznego stolika i postawiła na nim srebrne wiaderko z lodem i otwartą butelką wina, druga zaś podała talerze z wędzonym łososiem.

- Chyba bardzo im gorąco w tych ubraniach - zauważył Leonard, gdy dziewczęta wyszły. - Zwłaszcza przy takiej pogodzie.

- Och, tak, tak, bardzo - powiedział doktor Best, widocznie zachwycony, że jego gość zwrócił uwagę na ten ważny szczegół. - Bez przerwy narzekają. Nalać panu trochę wina?

- W takim razie, dlaczego je noszą? Dziękuję.

- Poprosiły mnie o to, a ja nie widziałem przeciwwskazań. Wprost przeciwnie. Ciekawym zbiegiem okoliczności ich fantazje całkowicie się uzupełniają. Skorzystałem więc z okazji, aby sprawdzić, czy możliwość spełnienia fantazji bez obawy kary społecznej lub jakiegokolwiek innej złagodzi dolegliwość, która wywołała fantazję, albo przynajmniej poprawi samopoczucie pacjentek.

- No i?

- Nic z tego nie wyszło - powiedział doktor Best. - Ale poczyniłem ciekawe obserwacje. Mój kolega Minshull opisuje właśnie ten eksperyment. To dobre wino, nie sądzi pan? Durkheimer-Schenkenbohl 1963. Lubię młode reńskie wino.

Na dźwięk dzwonka dziewczęta powróciły, niosąc butelkę Chateau La Bridane 1959 i udziec jagnięcy z fasolką oraz młodymi ziemniakami. Blondynka podeszła do Leonarda i nalała mu bordo. W kombinezonie na biodrze puściło parę szwów, odsłaniając mały skrawek nagiej skóry. Leonard poczuł się dumny z faktu, że to zauważył, i był wdzięczny Lucy, która przywróciła mu zdolność reagowania na tego typu widoki zanikającą w nim w ciągu ostatnich paru lat. Rozprute szwy kombinezonu świadczyły zapewne tylko o tym, iż blondynka, a zapewne i jej towarzyszka, znalazła prosty sposób, by dać upust ciepłu ciała, zatrzymywanemu przez nieprzewiewną skórzaną odzież. Ale obraz ten wywołał w nim silne postanowienie zatelefonowania do Lucy przy pierwszej okazji i umówienia się na wizytę u niej. Ta sprawa musi jednak poczekać. Na razie trzeba skoncentrować się na umiejętnym wygłoszeniu informacji, której przekazanie stanowiło jeden z celów jego wizyty.

Wstrzymał się z tym aż do momentu, gdy Mann zapytał go, jak układa się współpraca oficerów kontrwywiadu z ich podopiecznymi. Upewniwszy się, że słucha go doktor Best, Leonard powiedział:

- Wszyscy zawsze bardzo mi pomagali. Zwłaszcza w szczególnie trudnych chwilach. Na przykład, w piątek w naszej jednostce odbędzie się tak zwane ćwiczenie „Nabab”. Nie jest to właściwie ćwiczenie w dosłownym tego słowa znaczeniu, lecz jedynie pokaz i praktyczna nauka obsługi pewnych nowych rodzajów broni, ale wymaga to zamknięcia części doliny i uniemożliwienia osobom postronnym wstępu i obserwacji. To czynność rutynowa. Skomplikowane i męczące będzie natomiast zorganizowanie działań przeszukiwawczych i lotnych kontroli niezbędnych, aby nikt nie wymknął się z jakimś ważnym... rekwizytem w kieszeni lub z miniaturowym aparatem fotograficznym. Kiedy szykuje się coś takiego, można spodziewać się konfliktu z odwieczną wojskową mentalnością oraz biurokracji, złośliwego utrudniania i tak dalej. A tu nic podobnego. Natychmiast udostępniono mi wszelkie możliwe środki. Dowódca wydał rozkaz stwierdzający, że każdy oficer lub żołnierz odmawiający natychmiastowego wykonania moich poleceń będzie odpowiadać przed nim osobiście. Sam adiutant, jeśli pozwalały mu na to inne obowiązki, towarzyszył mi w rozmaitych obchodach i inspekcjach. Oficer do spraw...

Doktor Best przerwał tę wyliczankę, która zresztą służyła jedynie jako wstęp do zasadniczego przesłania, które chciał przekazać Leonard.

- Chyba miło panu, że jest pan ośrodkiem takiego zainteresowania.

- Och, sam nie wiem. To przecież moja praca.

- Wydawanie rozkazów pułkownikom, którzy wykonują je w mgnieniu oka, musi być bardzo przyjemne.

- W tym punkcie przepisy są wyjątkowo rozsądne. W sprawach bezpieczeństwa normalna hierarchia stopni nie...

- Czy zgodzi się pan z twierdzeniem, że największą satysfakcją w pana pracy stanowi poczucie funkcjonowania wewnątrz ogromnej sieci lub maszynerii i manipulowania ludźmi przy użyciu przycisków?

Zorientowawszy się, do czego zmierza lekarz, Leonard odetchnął głęboko, aby zaprzeczyć, lecz przeszkodził mu brzęczyk radioalarmu z urządzenia przyczepionego do nadgarstka. Zerwał się na równe nogi.

- Ktoś chce rozmawiać ze mną przez radio - powiedział, wybiegł z pokoju i zamknął drzwi przy wtórze śmiechu Minshulla.

Truchtem przebiegł pięćdziesiąt metrów przez zalany słońcem parking i nieco spocony, z zamglonymi okularami zaczął szukać na kółku właściwego klucza. W tym momencie zza krzaka wyszedł mężczyzna ubrany w drelichowy kombinezon. Przekradł się w kierunku Leonarda, dźwigając w ręku łopatę.

- Zgodnie z poleceniem, dokonałem...

- Nie teraz, durniu - warknął Leonard. - Schowaj się gdzieś.

Mężczyzna wycofał się. W samochodzie Leonard włączył radiostację i zdenerwowany, nie mogąc zebrać myśli, czekał, aż aparat się nagrzej. Kiedy głośnik zasyczał i trzasnął, Leonard nacisnął przycisk nadawania i powiedział do mikrofonu:

- Halo, centrala, halo, centrala. Tu Kłódka, słucham. Odbiór.

Po kilkusekundowym dźwięku fali nośnej z głośnika rozległ się szorstki głos Rossa-Donaldsona:

- Halo, Kłódka. Tu Mały Promyk. Coś... hm, stało się coś, o czym powinieneś wiedzieć. Odbiór.

- Czy to coś pilnego? - Leonard na próżno czekał na odpowiedź, wreszcie rozdrażniony dodał: - Odbiór.

- Nie sądzę i może w ogóle nie jest to związane z Kłódką, ale jeśli jest, to może być ważne. Więcej nie mogę ci powiedzieć. Odbiór.

- Wracam natychmiast. Odbiór.

- Zrozumiałem. Bez odbioru.

Leonard wyłączył radio i wysiadł z samochodu. Po twarzy spływał mu pot. Zamyślony podszedł do krzaków, z których przed chwilą wyłonił się mężczyzna z łopatą.

- Masz coś do zameldowania?

Rozległ się szelest i trzaśnięcie gałązki.

- Nie, sir - usłyszał Leonard.

- To się staraj. I po jaką cholere zbliżasz się do mnie na otwartej przestrzeni? Mamy się komunikować przez telefon.

- Przepraszam, sir.

- No, myślę.

W minutę później Leonard usprawiedliwiał się i ścisnął dłonie trzech psychiatrów. Doktorzy Best i Minshull byli w szampańskim humorze, natomiast Mann - nieco przygaszony. Leonard wrócił do samochodu i z szaleńczą prędkością pojechał do obozu. Ani wycieczka po szpitalu, ani obiad nie sprawiły mu przyjemności. Jego podejrzenia w stosunku do doktora Besta wzrosły, nie zdobył jednak żadnych dowodów, które mógłby przytoczyć w raporcie. Do

tego doszła nieudolność jego pomocnika, który udawał ogrodnika. Stosowne przepisy nakazywały wprowadzenie takiego agenta. Leonard wolałby z tego zrezygnować i poczekać, aż doktora Besta będzie można przenieść z grupy podejrzanych oznaczonej kolorem zielonym do grupy błękitnej, co uzasadniłoby założenie podsłuchu na jego telefon. Ale niestety przepisy są przepisami. Te akurat, po raz kolejny już w karierze Leonarda, wywołały impasową sytuację, w której dowody niezbędne do zademonstrowania winy podejrzanego można było zdobyć jedynie przy użyciu środków dozwolonych wyłącznie wobec osób, których winę stwierdzono już z zastosowaniem innych środków. Wykładowca na jednym z kursów, na które uczęszczał Leonard, uznał sytuacje takie za przejawy niedojrzałości i niedoskonałości filaktologii stosowanej. Owa kombinacja nagromadzonej, uprawomocnionej tradycji i ścisłej nauki przypomina jako żywo (zdaniem wykładowcy) grecką medycynę sprzed czasów Hipokratesa. Leonard był przybity widząc, jak fakty czy raczej ich brak potwierdzają tę opinię. Lecz pocieszyła go nieco myśl, iż przynajmniej udało mu się z zachowaniem odpowiedniej proporcji emfazy oraz dyskrecji zastawić pułapkę na doktora Besta.

Zaparkował samochód na przydzielonym mu miejscu i wzdłuż podjazdu ruszył do dyżurki. Na jego widok sierżant zerwał się na równe nogi i poprosił go do pokoju oficera. Tam Leonard elegancko zsalutował Rossowi-Donaldsonowi.

- Przykro mi, Leonard, że oderwałem cię od obiadu, lecz tobie też może zrobić się niemiło, kiedy usłyszysz, o co chodzi. Sierżant przyniósł mi ten papier. Był przyczepiony na tablicy ogłoszeń o imprezach, przed kantyną. Potem znaleziono jeszcze jeden między czasopismami w kasynie podoficerskim. Wysłałem drużynę na poszukiwanie dalszych.

Wręczył Leonardowi arkusz wydarty z wojskowego notatnika. Była to brudna, jednakże czytelna, kalkowa odbitka maszynopisu, o następującej treści:

### *LIGA WALKI ZE ŚMIERCIA*

*obejmuje Stowarzyszenie Anonimowych Ludzi*

*Postanowiono utworzyć w waszej jednostce oddział powyższej organizacji. Jeśli zgadzacie się z naszym programem, zapraszamy do współpracy. Jest to jedyny warunek wstąpienia do naszych szeregów. Nie ma wpisowego ani składek i pozostawiamy wam całkowitą swobodę wyboru działalności, jaką zechcecie prowadzić w imieniu Ligi. Nie będziecie otrzymywać żadnych poleceń.*

*Nazwa Ligi w pełni wyraża jej program, ale jeśli ktoś z was ma wątpliwości co do jej funkcjonowania, to prosimy o uważne przemyślenie następujących trzech przypadków, których opisy zaczerpnęliśmy z gazet pochodzących z minionych paru lat.*

*Przypadek nr 1: Trzydziestoletnia kobieta zmywała naczynia po rodzinnym obiedzie. Sięgnęła po ziemniak i włożyła go do ust. Ziemniak utkwił w jej gardle i kobieta udławiła się na oczach męża i trójki małych dzieci.*

*Przypadek nr 2: Od pioruna zapalił się dom. Dwudziestopięcioletnia, ciężarna kobieta rzuciła swego osiemnastomiesięcznego synka przez okno sąsiadom stojącym na chodniku, ci jednak nie zdołali go schwytać. Dziecko zginęło. Kobieta wyskoczyła prosto w ramiona sąsiadów, ale drugie dziecko poroniła.*

*Przypadek 3: Piętnastoletni chłopiec był niewidomy od urodzenia. Poddał się operacji, która przywróciła mu wzrok. W pięć dni później zaraził się mało znanym wirusem (nie związanym z operacją) i zmarł po dwudziestu czterech godzinach.*

*Jeśli sprzeciwicie się tym wydarzeniom, macie pełne prawo wstąpić do Ligi. Zapraszamy was na inauguracyjne zebranie w teatrze obozowym w najbliższy czwartek o godz. 19.00.*

*Zawiadomcie jak najwięcej osób o istnieniu Ligi, o czasie i miejscu zebrania. To ogłoszenie zapewne wkrótce stąd zniknie.*

*Wydał Komitet Oddziałowy Ligi Walki ze Śmiercią*

*przy 6 Bat. Adm. Kw. Gł.*

Leonard był oszołomiony. Coś podpowiadało mu, że jest to sprawa dla kontrwywiadu, lecz nie miał pojęcia dlaczego i pod jakim względem. Podręczniki nie przewidywały takich sytuacji, jeśli w ogóle w przeszłości wydarzyło się coś podobnego. Nie wiedział, co powiedzieć.

Ross-Donaldson nie miał takich kłopotów.

- Trochę to niecodzienne, prawda? - odezwał się. - Mimo wszystko, jak powiedziałem przez radio, nie wygląda to na sprawę poważną. Gdyby to ode mnie zależało, chyba nawet bym do ciebie nie zadzwonił, lecz na szczęście twoje polecenie zawiadamiania cię o wszystkim, co może mieć jakikolwiek wyobraźalny związek z bezpieczeństwem, uwalnia mnie od brzemienia

odpowiedzialności. A propos, wydaje mi się, że powinieneś przeredagować ten rozkaz. Po rozmowie z tobą przez kilka minut próbowałem wymyślić coś, co nie ma absolutnie żadnego związku z bezpieczeństwem, i nic nie przyszło mi do głowy. Już miałem nadzieję, że wpadłem na świetny pomysł, kiedy wyobraziłem sobie ordynansa zgłaszającego się z bólem zębów, ale potem uświadomiłem sobie, że przecież może on mieć schowany w ustach mikrofilm, który dentysta wyjmie i przekaże do Pekinu. To przygnębiające, być tak blisko celu i nic w końcu nie osiągnąć. Oczywiście, semantyka empiryczna poucza nas o znaczeniu słowa „wyobrazalny”, ale naszym celem powinna być maksymalna precyzja. Nie musisz jednak od razu szukać synonimów. Proszę.

Wszedł kapral, który zasalutował i położył na biurku jeszcze dwa egzemplarze ogłoszenia.

- Gdzie je znaleźliście?

- Jedno było w latrynie szeregowców, sir. Drugie przypięto do drzewa koło domków.

- Dobrze. Przeszukaliście już cały teren?

- Nie, sir, jeszcze pracujemy.

- Pracujcie dalej. Jeśli po zakończeniu poszukiwań ktoś zauważy choć jedną taką kartkę, to zgłoszę was i wszystkich pozostałych podoficerów z waszej grupy do raportu u pułkownika i obiecuję, że postaram się, aby odebrano wam belki. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

- Odmaszerować.

Kapral zasalutował i wszedł tak głośno, że wytrącił Leonarda z osłupienia.

- Nie za surowo go potraktowałeś? - zapytał. - Po co tyle zachodu. Wystarczy nam jeden egzemplarz.

Ross-Donaldson rozmawiał z kapralem normalnym, spokojnym głosem. Teraz wstał, zaś na jego pulchnej twarzy pojawił się rumieniec.

- Tobie może wystarczy - powiedział bardzo ostro. - Ale to ja jestem adiutantem tej jednostki i mnie to nie wystarczy. Jeżeli w ogóle można złapać tego człowieka, w co wątpię, to mam zamiar to zrobić. I zamknąć go w więzieniu. Tam będziesz mógł sobie z nim pogadać, jeśli zechcesz.

- Nie musisz się tak denerwować.

- Muszę. Stało się coś anormalnego i nie wiadomo, co z tego wyniknie. Przy tak tajnych zadaniach jak nasze, wszystkie aspekty sytuacji muszą być pod kontrolą. Nie można tolerować fanatyków, wariatów czy dowcipnisiów.

- Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę.

- Mam nadzieję. Nasze zadanie to upowszechnianie śmierci. Nie zapominaj o tym, Leonard.

\*

- Szesnaście i dziewięć pensów, siedemnaście szylingów, siedemnaście i sześć, funt. Dziękuję panu, sir.

- Dziękuję, kochana.

Klient schował resztę do kieszeni i odszedł z napojami. Churchill, usadowiony na wysokim stołku przy kontuarze, przy dużym ginie oraz imbirowym piwie, spojrzął uważnie na Catharine.

- Czy na pewno chcesz rozmawiać tutaj? - spytał.

- Na pewno.

- No, dobrze. Dlaczego on się z tobą ożenił?

- Myślę, że po prostu chciał się ożenić. Widzisz, wszyscy jego przyjaciele i koledzy z wojska byli żonaci. Nigdy nie lubił się wyróżniać.

- Kiedy to zauważyłaś?

- Chyba po jakichś dwóch latach. Ale długo nie docierało to do mnie. Byłam wtedy bardzo naiwna. Miałam dopiero dziewiętnaście lat, ale zdążyłam pójść do łóżka z tyloma mężczyznami, że wydawało mi się, iż wiem już wszystko. Myślałam, że nie dowiem się już niczego nowego. Ale nie wiedziałam, jaki to wszystko ma sens. Byłam jak ktoś, kto zna na pamięć całą konstrukcję lokomotywy i z zamkniętymi oczami potrafi wskazać każdą jej część, lecz nikomu nigdy nie przyszło do głowy, że to cholera służy do ciągnięcia wagonów. Wiesz, jak to jest? A więc na tym wczesnym etapie nie sprawiało mi to zbyt wielkiej przyjemności. Ale nie martwiłam się z tego powodu. Sądziłam, że widocznie ludzie, którzy opowiadają, jakie to wspaniałe, przesadzają, albo że może akurat mnie to nie pociąga. Spodziewałam się, że będzie lepiej, kiedy wyjdę za mąż i ustatkuję się. Jak widzisz, też nie jestem bez winy.

Mówiła cicho i spokojnie, lecz Churchill wolał, aby nie opowiadała zbyt szybko.

- Napij się - powiedział. - Tyle mówisz, że zaraz zaschnie ci w gardle.

- To bardzo miło z pana strony, sir, wystarczy małe jasne piwo.

Gdy napełniała szklanekę, Churchill rozejrzał się po wnętrzu baru. O tej porze, w środku tygodnia i tuż przed zamknięciem, był niemal pusty. Ani rumianolicy mężczyzna, który przed chwilą kupował napoje, ani jego przyjaciel, bardzo do niego podobny, ani też trzej młodzi ludzie, zapewne studenci na wakacjach, nie interesowali się Catharine ani Churchillem. Eames,

oberżysta, wyjaśnił, iż wielu gościom etykieta nakazuje, by nie przeszkadzać, w miarę możliwości, barmance i jej stałemu towarzyszowi.

- Gdyby była sama, mogliby ją uznać za dziewczynę do wzięcia - dodał - z czego wyniknęłyby tylko problemy. Tak więc bardzo się cieszę, że pani Casement zaprzyjaźniła się z takim miłym i spokojnym człowiekiem jak pan, panie Churchill.

W takich momentach, a zwłaszcza wtedy, gdy był z Catharine w łóżku, Churchill często miał wrażenie, że będzie to trwać wiecznie. Wiedział, że to niemożliwe, nie z ich winy.

Jednak coraz skuteczniej potrafił unikać tej myśli. Catharine spojrzała na niego pijąc, on zaś uśmiechnął się do niej.

- Płacisz szylinga i pensa.

- Och, przepraszam. Czy kiedy wyszłaś za mąż, coś się zmieniło?

Starannie wystukała cenę na kasie.

- O, tak. Według moich ówczesnych kryteriów było cudownie. Nie musiałam obawiać się zerwania, on nigdzie nie musiał wyjeżdżać. Ale po jakimś czasie znów coś się zaczęło psuć jak dawniej. Zwłaszcza w sprawach seksu. Seksem zajmowaliśmy się w łóżku, tak jak przy stole zajmowaliśmy się jedzeniem, a w teatrach oglądaliśmy sztuki. Wiesz, na przykład: „Chyba mamy akurat czas na jednego szybkiego”. Z tobą, kochanie, to jest zabawne i piękne. Ale powinieneś usłyszeć to wspaniałe rzeczowe wyrachowanie, z jakim on to mówił. „Wydaje mi się... wydaje mi się... jeśli się w miarę pospieszymy...” Najbardziej lubił to robić tuż przed wieczornym drinkiem lub przed wyjściem. Mawiał, że lubi mieć to z głowy i że wtedy może spokojnie położyć się spać. I wtedy znalazłam sobie kilku kochanków, a on był bardzo wyrozumiały. Sama nie wiem, czy mówię to z sarkazmem, czy nie. On powtarzał mi, że najważniejsze, żebym była zadowolona.

- A dzieci?

- Miał w tej sprawie takie same poglądy. Jeśli chcę mieć dzieci, to proszę bardzo. A więc nie chciałam.

- Tego nie rozumiem.

- To jak seks, James. Nic z tego nie wyjdzie, jeżeli jedno z dwojga jedynie nie ma nic przeciwko temu. Myślę, że z tego powodu nieszczęśliwych jest co najmniej tyle samo kobiet, ile z powodu kłopotów z seksem. Zresztą... wtedy pojawił się Casement. Mógłbyś mi dać papierosa?

Poczęstował ją i podał ogień.

- Casement zaczął od tego, że chciał, abym pozwoliła mu zabrać się gdzieś daleko od tego wszystkiego. A przynajmniej od tego, co było. Na początku był cudowny. Najlepszy ze



wszystkich, poza tobą. Dlatego pobraliśmy się. To było już w Anglii. Przeżyłam z nim około ośmiu miesięcy i myślałam, że go znam.

Jeden ze studentów podszedł do baru i zamówił trzy małe jasne piwa. Catharine obsłużyła go i mówiła dalej:

- Ledwie się pobraliśmy, bardzo się zmienił. Wiesz, James, nie lubię ludzi, którzy nagle się zmieniają. Mniej więcej trzy razy w tygodniu, wieczorami, robił mi awantury, zazwyczaj po tym, jak zaprosiliśmy kogoś na kolację albo gdzieś wyszliśmy i mógł się napić. Cekał, aż zaczniemy się rozbierać, i wtedy przypominał sobie, że w ciągu tego wieczora coś powiedziałam albo zrobiłam nie tak. Nieważne, co. Jeśli powiedziałam, że podoba mi się jeden z jego znajomych, to znaczyło, że jestem dziwką, bo chcę iść z nim do łóżka. A jeśli ktoś mi się nie spodobał, to też byłam dziwką, bo zdenerwowałam się, że facet nie dobiera się do mnie. I tak dalej. Potem zaczął mnie bić. Głównie w brzuch i po twarzy. Bardzo uważał, żeby nie zostawić ślców w widocznych miejscach. Płakałam i on też płakał i przeproszał mnie, w końcu mnie posuwał. I był bardzo kochany i miły, aż do następnej kłótni.

Powiedziała to równie spokojnie jak całą resztę, lecz szybciej, od czasu do czasu oddychając głęboko w przerwach pomiędzy zdaniem. Churchill nie spuszczał z niej wzroku. Pomyślał, że teraz, kiedy już zaczęła, powinna opowiedzieć mu wszystko.

- Wciąż od niego uciekałam, ale znajdował mnie i zabierał z powrotem. Umiał utrzymać pozory. Zachowywał się tak czarująco, że nikt nie wierzył w to, co o nim opowiadałam. Czasami sama nie mogłam uwierzyć, że on taki jest. Próbowaliśmy chodzić do adwokatów, ale okrucieństwo trudno jest udowodnić, a on zawsze łagodniał, kiedy mu tym groziłam. Zaprosiłam do nas moją siostrę i wtedy całkiem przestał się awanturować, więc siostra wyjechała przekonana, że jestem histeryczką i kłamie. Potem wydarzyło się coś, co otworzyło mi oczy. Mogłam uświadomić to sobie wcześniej, gdybym tylko zauważyła, że on posuwa mnie prawie wyłącznie po tym, jak mnie zbije.

Catharine przygarbiła się. Przesunęła dłonią po kontuarze w stronę Churchilla. Ten uchwycił ją i uściśnął.

- Strasznie bolał mnie ząb, a nie mogłam iść od razu do dentysty, więc leżałam w łóżku i jęczałam, a kiedy wyszłam do łazienki, natknęłam się na Casementa. Siedział w korytarzu i masturbował się, bo podnieciły go moje jęki. A więc zbił mnie mocniej niż kiedykolwiek, i... hm... zgwałcił w korytarzu. Wówczas całkowicie straciłam zdolność do kierowania własnym życiem pod każdym względem.

- Co się z nim stało? - zapytał szybko Churchill.

- Och, wyjechał. Teraz w ogóle nie chce się ze mną kontaktować, nawet w sprawach rozvodu. Mój obłąd zostałby ujawniony, a to byłby skandal. Myślę, że trochę mu też wstyd. Uchodzi za tak moralnego, porządnego człowieka.

- Och, na miłość boską.

Odetchnęła bardzo głęboko i uśmiechnęła się.

- A widzisz? Opowiedziałam ci o tym prawie bez trudu. Wcale mnie to nie przygnębiło. Wkrótce wszystko to minie. Ale wiesz, naprawdę sędzę, że Casement jest moralny. W tym właśnie sęk. Gdyby tylko powiedział: „Słuchaj, kotku, mam tu bat. Teraz, jeśli pozwolisz, spiorę cię nim na kwaśne jabłko, bo to akurat lubię. Nie pogniewasz się na mnie? Potem będziemy się kochać i pójdziemy gdzieś na dobrą kolację”. Gdyby tylko tak powiedział, to przynajmniej rozumiałabym, o co chodzi. Może nawet pozwoliłabym mu na to. Ale Casement nigdy by tak nie postąpił. Bo to byłoby niemoralne. Musiał mieć powód. Zastanawiałam się nad tym przez trzy miesiące i kiedy to zrozumiałam, zaraz zaczęłam wracać do zdrowia.

Churchill pochylił się ponad barem i pocałował ją.

- Ale ty się nie zmienisz, prawda? - zapytała.

- Oczywiście, że nie.

- Ojej, która godzina? Ostatnia kolejka, panowie! - zawołała. - Ostatnia kolejka!

- Czy był wierzący?

- Chyba można by to tak nazwać. Nie chodził do kościoła, ale wciąż powtarzał, że wychował się we wspaniałej nonkonformistycznej rodzinie. Był też, na swój sposób, bardzo odpowiedzialny. Nie miał długów, płacił rachunki, kiedy tylko je dostawał, nie prowadził samochodu po pijanemu, mawiał, że nudzą go te wszystkie świństwa w teatrach i w kinie. Tak, sir, jeszcze raz to samo?

Zaczęła podawać ostatnią kolejkę napojów. Churchill obszedł bar i zebrał brudne szklanki oraz popielniczki. Następnie wziął ze zlewu za kontuarem wilgotną gąbkę i przetrął blaty stolików. Wycierał umyte szklanki, kiedy z sali kawiarnianej wszedł Eames.

- Wszystko we wzorowym porządku, jak zawsze? Dziękuję panu. Cóż, panie Churchill, jeśli kiedyś wyrzucą pana z wojska, to zawsze może pan pracować u mnie w zmywalni. Tak sobie pomyślałem, że może mógłbym państwa zaprosić do sali klubowej na kawałeczek zimnej wołowiny z piklami przed wyjściem. Nie? No, w takim razie nie zatrzymuję państwa. Zobaczymy się wieczorem.

Stojąc w słońcu na dworze i czekając na Catharine, Churchill przez chwilę pomyślał o Eamesie i jego propozycji. Oberżysta to niewątpliwie miły człowiek, lecz na pewno nie jest aż tak wspaniały, jak go sobie przed momentem wyobraził Churchill, po dwóch zaledwie dużych

ginach, które w dodatku wsiąkły w kilkanaście kanapek z szynką. Podobne odczucie miał poprzedniego wieczora, kiedy to bez żadnego ginu poczuł nagle żal, że Brian Leonard nie ma tego dnia urodzin, i że nie może dać mu prezentu. Teraz szybko doszedł do wniosku, że widocznie na tym świecie, gdzie tylu ludzi jest wstrętnych dla innych i znudzonych przez innych, istnieje mniej miłości niż powinno. Ilu z nas jest na tyle szlachetnych, aby kochać wszystkich, nie zakochawszy się uprzednio w jednej osobie?

Catharine wyszła z baru. W białej sukni i pantoflach na wysokich obcasach oraz z białą opaską na włosach wyglądała tak pięknie, iż Churchill przez moment dziwił się szczerze, jak przechodnie mogą dalej przechodzić, jak rolnik wsiadający do furgonetki po drugiej stronie ulicy mógł nie upaść do jej stóp, jak mężczyzna kładący dachówki nad zakładem fryzjerskim może utrzymać się na tej wysokości. Churchill objął Catharine i pocałował ją.

- Przepraszam - powiedział, kiedy ją puścił.
- Nie masz za co przeproszać.
- Nie zrobię już tego więcej.
- Och, zrobisz. Masz to robić.

Wokół nich prawie nic się nie zmieniło. Kobieta z siatką na włosach spojrzała na nich przez ramię, a rolnik zerknął ciekawie znad stacyjki samochodu. Sami nie wiedzą, na co patrzą - pomyślał Churchill.

Obszedł wraz z Catharine narożnik gospody. Na dziedzińcu wsiedli do jeepa, którym tu przyjechali. Stanowił własność drużyny gońców, zaś jej sierżant, jak się okazało, czuł słabość do whisky i miał zwyczaj odwdzięczać się za wyświadczone przysługi. Było tak ciepło, że Churchill zdjął brezentowy dach i opuścił przednią szybę. Ruszyli drogą wiodącą ku domostwu Lucy. Pęd powietrza chłodził im skórę.

Kiedy wjechali pomiędzy lesiste pagórki, wkrótce znalazł przy drodze miejsce na zaparkowanie jeepa. Przepisnęli się przez druciane ogrodzenie i zeszli po łagodnym zboczu pokrytym rzadką darnią, spod której gdzieniegdzie wystawały korzenie drzew. Catharine trudno było poruszać się na wysokich obcasach, a więc wziął ją za rękę. Po drugiej stronie miniaturowej doliny murawa była gęstsza i szło się łatwiej, lecz i tam nie puścił jej dłoni. Patrzył, jak jej ciało wygina się przy każdym kroku, obserwował ją kątem oka, bo kiedy wiedziała, że ktoś jej się przygląda, zachowywała się z równym wdziękiem, ale troszeczkę inaczej. Za minutę albo dwie spojrzy na nią otwarcie i nacieszy się owym innym sposobem zachowania.

Dotarli na szczyt niewielkiego wzniesienia, gdzie drzewa rosły w większym skupieniu. Z podziwem spojrzął na ich oliwkowozielone, lśniące pnie. Wydawało się, że suche gałęzie

nigdy nie opadają i że na tym maleńkim płaskowyżu regularnie wieje silny wiatr, bo na ziemi nie było nawet jednej gałązki, jakby rano ktoś tu pozamiatał. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej wzniesienie kończyło się. Churchill ciekaw był, co znajduje się u jego podnóża. Gdy na przemian w cieniu i w słońcu szli w tamtą stronę, usłyszeli szmer wody.

Pół minuty później stali na skraju kilkumetrowego urwiska. Niżej rozciągały się nieregularne zwały głazów i mniejszych kamieni sięgające brzegów strumienia, który w zimie mógł mieć kilka stóp głębokości, choć teraz pozostało w nim zaledwie parę cali wody. Poza tym widzieli tylko drzewa, w pobliżu młodsze, dalej - wyższe, z rozłożystym listowiem, tworzące długie na milę pasmo lasu. Przeszli skrajem urwiska i wkrótce znaleźli wyschnięte kamieniste łożysko dopływu strumienia, którym łatwo było zejść w dół.

- Zniszczysz buty - powiedział Churchill. - Lepiej cię poniosę.

- Jestem ciężka.

- Wiesz przecież, że jestem bardzo silny.

Podniósł ją bez większego trudu, i nie potykając się, przeniósł na drugą stronę i postawił na kępce szorstkiej trawy przy strumieniu.

- O, Boże, naprawdę jesteś silny. Mój wielki James.

- Przyjemnie ci było?

- Mm, oczywiście. Poczułam erotyczny dreszcz.

- A czy kiedyś go nie czujesz?

- Rzeczywiście, sama nie wiem.

Jeden skok, a właściwie jeden długi krok wystarczył, aby znaleźć się na drugim brzegu. Ruszyli po ledwo widocznej ścieżce biegnącej wzdłuż strumienia, która niebawem skręciła w las. Tutaj szmer wody nie zagłuszał już brzęczenia owadów i śpiewu ptaków. Churchill wziął Catharine za rękę, spojrzał na nią i na to, co było za nią: dziewczyna, drzewa i strumień stanowiły jedną całość. Również ona popatrzyła na niego. Teraz wiedział na pewno, że ta chwila musiała nadejść, że jest nieuniknioną konsekwencją pewnej innej chwili, kiedy w dniu, w którym ujrzał ją po raz pierwszy, widział krajobraz podobny do tego i myślał o niej. Poczuł, że coś chwyta go za serce. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu i był zaskoczony siłą tego doznania. Przepelniała go radość.

- Nigdy nie będę mógł kochać kogoś innego tak, jak kocham ciebie - powiedział przystając i zatrzymując ją.

- Oczywiście, że nie.

- Nawet, gdybyś miała nagle zniknąć bez śladu.

- Ale nie mam zamiaru zniknąć. Właściwie nikogo dotychczas nie kochałam.

- Teraz wszystko jest dobrze, prawda?

- Tak, właśnie tak - powiedziała. - Wszystko.

- Może pewnego dnia uderzę się w głowę i całkiem stracę pamięć, albo zupełnie zgrzybieję, ale to jedyny sposób, w jaki mogę zapomnieć o tej chwili.

- Tak czy tak, ja ci nie dam zapomnieć.

Szli dalej. Ścieżka skręciła ku strumieniowi, a potem znów w las, dalej niż poprzednio. Pod drzewami panował głęboki cień. Kiedy w niewielkiej odległości od ścieżki, po przeciwnej stronie strumienia, ujrzeli trawiaste zbocze, Churchill ponownie się zatrzymał.

- Moglibyśmy tu usiąść - zaproponował.

- Nie chcę za dużo się domyślać, ale czy masz zamiar usiąść, czy się położyć?

- Trafne pytanie, bo akurat chciałem się położyć.

- W takim razie może lepiej będzie, jeśli zdejmę sukienkę. Pozwolisz?

- Tak.

Kiedy powiesiła sukienkę na krzaku i zrzuciła pantofle, przesunął dłonią po jej nagim ramieniu i stwierdził, że pomiędzy nadgarstkiem a łokciem skóra jest letnia, ponad łokciem chłodna jak powiew powietrza w czasie jazdy, natomiast przy obojczyku - nagrzana.

- Cudownie jest chodzić boso po trawie.

- Pewnie tak, ale ja nie mogę sobie na to pozwolić. Za dużo bym miał roboty ze sznurowadłami i skarpetami. Nie powinniśmy siedzieć tu zbyt długo.

- Cóż, możesz przynajmniej zdjąć kurtkę.

- Tak. A ty możesz zdjąć resztę ubrania, prawda?

- Chyba tak.

- Trawa jest bardzo miękka - powiedział po chwili, gładząc źdźbła - ale ziemia pod nią wygląda na twardą. Może cię gnieść w ramiona.

- Można tego uniknąć.

- Jak? Och, tak. Och, tak.

Nie spuszczała z siebie wzroku. Churchill obserwował, jak na jej twarzy powoli pojawia się wyraz pożądania i jednocześnie spokoju, pragnienia i szczęścia. Najpierw zdawało mu się, że widzi oblicze mniej ludzkie, mniej należące do Catharine, lecz potem pojął, że w rzeczywistości było ono bardziej ludzkie - bardziej niż kiedykolwiek wyrażało Catharine.

Kiedy leżeli obok siebie, wsunął ramię pod jej kark oraz ramiona i dotknął dłonią piersi.

Po chwili powiedział:

- Masz tu chyba jakiś guzek. Tak. Dotknij.

- Rzeczywiście. Jak myślisz, co to takiego?

- Och, to jest bardzo małe. Chyba tylko mała cysta. Kiedy chodziłem do szkoły, robiły mi się takie cysty w płatkach uszu.

- A więc powinnam się tym zająć.

- Tak, masz rację. Jak najszybciej.

Ubrali się i przygotowali do powrotu.

- Pojedziemy już - rzekł Churchill. - Znajdę lekarza i umówię cię na jutro rano. Powinni to wyciąć, zanim urośnie. W szkole zaniedbywałem moje cysty i potem miałem z nimi kłopoty. Przepraszam, że tak się upieram, ale jesteś teraz pod moją opieką.

\*

- Chyba pójdzie pan z nami, Brian - powiedział pułkownik White. - Może się okazać, że facet jest tym pana słynnym szpiegiem, co?

- Wątpię, sir - oświadczył Leonard. - Moim zdaniem, mamy do czynienia z wariatem.

- Oczywiście. Oczywiście. Przyjrzałem się temu ogłoszeniu i przemyślałem parę rzeczy. Facet uważa się za wyjątkowego. Jakby pierwszy zauważył, że czasami przyzwoici ludzie marnie kończą, albo że w pewnym sensie każdy koniec jest marny, choć nieunikniony. Poza tym nie ma rzeczy bardziej obłąkańczej, niż przypisywanie sobie monopolu na prawdę. A pan, Willie?

- To znaczy, sir, czy wybieram się na to zebranie? Cóż, czemu nie?

- Tak też myślałem. To wchodzi chyba w zakres pana obowiązków, prawda? W łepetynie naszego przyjaciela kołacze się mnóstwo wątpliwości. Może zdoła go pan nawrócić.

- Tak, może - powiedział Ayscue.

- Nie spodziewacie się chyba, że ten osobnik naprawdę się zjawi? - zapytał major Venables, machając powoli zgaszoną zapalką, którą przed chwilą zapalił sobie cygaro. - Czy raczej ci osobnicy. Podejrzewam, że tę farsę obmyśliła banda cierpiących na brak zajęcia pajaców przy piwie w knajpie „Pod Białym Jeleniem”.

Hunter skończył zamawiać napoje u kelnera. Teraz powiedział:

- W takim razie żart wymagałby także sprawdzenia, kto się na niego nabrał. Ten osobnik, albo ci osobnicy, musieliby mieć niesłychanie estetyczny stosunek do świata, żeby nie przyjść. Ja, osobiście, idę. Czuję, że szykuje się niezła zabawa.

- Dziwne ma pan poczucie humoru - rzekł Venables. - I nie tylko pan. Podczas ostatniego przyjęcia w kasynie widziałem, jak pięciu dorosłych mężczyzn, w tym trzech należących do grupy B1, a więc obarczonych sporą odpowiedzialnością, wspinało się na meble

usiłując, jak mi wytłumaczono, obejść salę bez dotykania podłogi. Była to czynność męcząca, nieestetyczna, hałaśliwa, irytująca i bezsensowna.

- Nic nie szkodzi - powiedział pułkownik. - To, że było to bezsensowne, to taka tradycja.

- Do tego, wczoraj wieczorem musiałem znosić coś w rodzaju zbiorowej recytacji lub pienia do słów w infantylny sposób sugerujących obsceniczność, wypowiedzianych z ogromną emfazą i w idiotycznie wolnym tempie. Siostry... mojej siostry... w mojej siostry... budyń w mojej siostry... czarny budyń w mojej siostry... gęsty czarny budyń... I tak dalej. Tego chyba nie zdoła pan już usprawiedliwić.

Ayscue roześmiał się.

- Niech pan nie przesadza z zarzutami. Moim zdaniem, młodzi ludzie chcą po prostu rozładować napięcie w bardzo niewinny sposób.

- Napięcie powstające głównie podczas pijackich posiedzeń - odparował Venables swym zachrypniętym głosem - które stały się równie nieodzowną częścią rozkładu dnia jak odprawa wart czy konserwacja parku samochodowego. Sytuacja w tej jednostce zaczyna mnie niepokoić. Znudzenie ustępuje miejsca zbiorowej hysterii.

- Nic podobnego - zaprotestował stanowczo Ayscue. - Ludzie pracują tu w dużym napięciu. W związku z tym po służbie mają prawo trochę się wyszaleć. Uważam, że wszyscy zachowują się wzorowo.

- Dobrze powiedziane, Willie - odezwał się pułkownik.

Ayscue z naciskiem i znacząco skinął głową w stronę Venablesa i wziął do ręki szklanekę whisky, którą mu właśnie podano. Dla pułkownika był gin z tonikiem, dla Leonarda sherry, a dla Huntera sam tonik. Venables przysunął sobie pozostałą szklanekę.

- Chwileczkę - zwrócił się do niego Hunter - czy nie zamawiał pan wytrawnego wermutu?

- Owszem. I co z tego?

- Otóż dostał pan - Hunter pochylił się i powąchał - słodki wermut. Każę...

- Czyżby? Dziękuję, taki też może być.

- Ależ to coś całkiem innego. - W głosie Huntera brzmiało skrajne zgorzienie.

- Nie wątpię. Nie zwracam uwagi na takie rzeczy.

- A powinien pan. Jak myślicie, chłopcy? Czy on powinien zwracać uwagę na takie rzeczy jak różnica pomiędzy wytrawnym a słodkim wermutem?

Ayscue znów skinął głową niemal tak samo zdecydowanie jak przed chwilą. Leonard przybrał obojętny wyraz twarzy.

- To jego sprawa - powiedział pułkownik.

- *Je n'en vois pas la necessite* - wychrypiął Venables. - Wracając do naszej rozmowy, o jakie to napięcie panu chodzi? Ja sam nie czuję żadnego, a ponoszę gros odpowiedzialności za powodzenie lub porażkę operacji „Apollo”. Każdy ze szkolonych oficerów odpowiedzialny jest za to częściowo, w jednej dwunastej. A pomimo to i oni, i pozostali, którzy nie są wtajemniczeni w nic ważnego, przejawiają ponoć objawy znacznego napięcia. Dlaczego?

- Sam pan przed chwilą powiedział, że grozi im masowa histeria - rzekł Leonard.

- Histeria tego rodzaju nie musi być, a w tym przypadku bynajmniej nie jest, objawem napięcia. Chyba że zechce pan uznać za napięcie konieczność polegania na konwersacyjnych i w ogóle towarzyskich umiejętnościach kolegów, którzy takowych nie posiadają.

- W takim razie jak pan sobie radzi? - nie ustępował Leonard.

Hunter i Ayscue wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- Nie polegam na nikim.

- No, to wszystko wyjaśnia - powiedział pułkownik. - Jeśli chcemy zdążyć, panowie, to powinniśmy dopić to i ruszać. Zajął się pan kolacją, Max?

- Tak, sir, przesunąłem ją na ósmą. Dłużej nie może trwać nawet uroczyste posiedzenie z wyborem zarządu i propozycjami nowych nabytków dla biblioteki. Obawiam się, że ci, którzy nie idą, będą po prostu musieli pić dzisiaj o pół godziny dłużej.

- A więc, załatwione. Domyślam się, że nie będzie pan nam towarzyszył, drogi przyjacielu? - zapytał pułkownik, zwracając się poufale, jak to miał w zwyczaju, do Venablesa, u którego zarówno brak imienia, jak i parę innych jego cech nieco utrudniało zachowanie zwykłej koleżeńskiej atmosfery w kasynie.

Venables wyjął z ust cygaro i spojrzał na nie, po czym odrzekł:

- Będę. Jestem akurat wystarczająco zaintrygowany, aby osobiście upewnić się, że zgodnie z moimi oczekiwaniami autorzy tej błazenady nie pojawią się.

- Czy jeśli dojdziemy wspólnie do takiego wniosku, nie uwierzy pan nam na słowo? - spytał Leonard.

- Nie.

Pułkownik White, Leonard i Venables wyszli razem. Hunter i Ayscue ruszyli za nimi. Na dworze w świetle zachodzącego słońca podążyli po żuźlowej ścieżce wiodącej zakolem do teatru obozowego.

- Jak ci się udał wieczór z Pearce'em?

- Och, był bardzo przyjemny, na swój sposób.

- Ale nie na ten najważniejszy, prawda?



- Niestety, nie. Choć bynajmniej nie zmarnowałem czasu. Przy kolacji obsługiwał nas niezwykle czarujący i inteligentny kelner. Dziś znów tam pojechałem i zjadłem pod jego auspicjami obiad, a potem on spędził resztę popołudnia pod moimi.

- Gratuluję.

Hunter zmarszczył brwi i przygładził wąsy.

- Willie, to bardzo nieprzyjemne pytanie, ale dlaczego mnie potępiasz?

- Och, Max, na Boga, znasz mnie chyba na tyle dobrze, żeby nie pytać już o takie rzeczy. Z zasady staram się niczego nie potępiać. Próbuję zachęcać ludzi, aby zmierzali ku temu, co jak im się wydaje, jest dla nich najlepsze i nigdy nie wmawiam im, że są niemoralni czy nienormalni. Tak więc, nie mogę i ciebie potępiać. A właściwie, co by ci to dało?

- Mój drogi, nie pasują do ciebie takie słowa. Ale jeśli nalegasz... Proszę powiedzieć, majorze Ayscue, dlaczego uważa pan, że oczekuję od pana potępienia?

- Przy pierwszej okazji wyznałeś mi, że jesteś praktykującym pederastą i dokładnie opowiedziałeś o swych wyczynach „Pod Białym Jeleniem”, pamiętasz. Byli przy tym James i Moti.

- Ach, prawda. Po pijanemu trudno mi utrzymać język za zębami.

- Wtedy bez przerwy byłeś pijany. Ale jak mi wiadomo, przy pułkowniku czy Brianie Leonardzie nie miałeś problemów z trzymaniem języka za zębami. Wiesz, Max, wydaje mi się, że chciałeś mnie sprowokować.

- Mówiłem ci już, że byłem pijany. I do czego miałbym cię prowokować?

- Przyznaj, że masz pretensje do Kościoła.

- Aha, rozumiem, już rozumiem. Chodzi ci o ten cholerny wiersz, tak?

- Kto ci o nim powiedział?

- Andy.

Ayscue skinął głową.

- Tak. Wiesz, przez jakiś czas podejrzewałem, że on to napisał.

- Czyżby?

- Już tak nie sędzę, choć miał ku temu motywy.

- Jak to?

- Max, na miłość boską. Fawkes był przyjacielem Pearce'a i umarł.

- Ach, tak, oczywiście, przepraszam.

- Teraz chyba doszedł już do siebie, nie uważasz?

- Uhm. Jest zupełnie opanowany.

- Pochlebiam sobie, że to po części moja zasługa, bo zdołałem zainteresować go tą sonatą Rougheada.

- Och, a więc zainteresowałeś go nią? Brawo.

- Odbyliśmy parę prób. Wiesz, jak na amatora ma wyjątkowo dobrą technikę. To utalentowany chłopak, Max.

- Tak, też tak myślę.

Umilkli i weszli do teatru. Był to spory barak z niską sceną na końcu pomieszczenia. Co tydzień wyświetlano tutaj filmy, kiedyś odbył się również koncert zorganizowany przez kasyno podoficerskie, tutaj miał swoje wykłady Ayscue, jednak nie zgromadził nigdy zbyt wielu słuchaczy, poza tym kilkakrotnie wystąpił pułkownik, wygłaszając podbudowujące morale oracje. Podczas pobytu jednostki w obozie nie wystawiono ani jednej sztuki, choć w pewnym momencie Hunter podejrzewał, że szykuje się coś, a może i odbywa się jakieś ambitne, acz konwencjonalne przedstawienie. Po niedzielnym seansie filmowym nie podniesiono rolet ani ekranu. W mocnym świetle reflektorów kilka umundurowanych postaci przechadzało się lub stało na scenie i przed nią. Gdy szli między krzesłami, Ayscue powiedział do Huntera:

- Coś mi mówi, że niebawem poznamy autora tego wiersza.

- Skąd to przeczucie?

- To niewątpliwie ten sam człowiek, który stworzył Ligę Walki ze Śmiercią.

- Na szczęście, jak na mnie, to zbyt skomplikowane rozumowanie.

Na scenie pojawił się Ross-Donaldson. Jego pulchna twarz była jak zawsze pozbawiona wyrazu, ręce założył za plecami i miarowym krokiem przechadzał się tam i z powrotem, co chwila zerkając ku drzwiom. Pod tylną ścianą stali w postawie na spoczynku dwaj żołnierze z kompanii wartowniczej. Obaj byli uzbrojeni i obaj spoglądali z zażenowaniem. Venables, Leonard i pułkownik White zebrali się przed sceną wokół rozklekotanego fortepianu. Dwaj pierwsi patrzyli przed siebie, każdy w innym kierunku, zaś pułkownik właśnie sadowił się na jedynym w tej części sali krześle. Trzymał w ręku wielki album popularnych piosenek, który widocznie znalazł na fortepianie. Cicho podśpiewywał coś pod nosem.

Na widowni, pojedynczo i parami, siedziało sześciu lub siedmiu mężczyzn. Hunter dostrzegł wśród nich Evansa, ordynansa Ayscue'a, a potem Naidu rozmawiającego z jakimś sierżantem, siedzących w pierwszym rzędzie.

- Cóż za nieoczekiwane spotkanie, Moti.

- Dobry wieczór panom. - Naidu wstał i skłonił się z żartobliwą przesadą. - Czemuż to zawdzięczam tę przyjemność?

- Pospolitej ciekawości - powiedział Hunter, kiwając głową sierżantowi. - Zresztą, o szlachetnych pobudkach. To z mojej strony. Willie podobno interesuje się tą całą Ligą z racji obowiązków służbowych. Tak w każdym razie uważa pułkownik, a przynajmniej tak mówi. Ale skąd ty tutaj, Moti? Naprawdę, nie spodziewałbym się, że jesteś zamieszany w tę aferę.

- To nic nadzwyczajnego. Jestem dzisiaj oficerem dyżurnym.

- I do twych obowiązków należy obecność na wszelkich zebraniach zwoływanych przez anonimowych fanatyków. Oczywiście, Brian myśli o wszystkim, co?

- Max, jesteś niepoprawny. Prawda jest znacznie prostsza. Otóż mój pomocnik sierżant i ja zdołaliśmy przeżyć surowe rygory odprawy wart i oto kierujemy się do następnego przystanku w naszym regulaminowym obchodzie. Postanowiliśmy skryć się tu i odpocząć przez chwilę, zanim będziemy zmuszeni do stwierdzenia jadalności pasztetów konsumowanych w tym momencie w stołówce. A więc jesteśmy tu ze względów egoistycznych. Z jakiego natomiast powodu wzięli się tu pozostali?

Hunter przesunął wzrokiem po reszcie nielicznej publiczności.

- Nie wiem nic specjalnego o żadnym z tych chłopców - powiedział. - Oficerowie są tu zapewne służbowo. - Zniżył głos: - Wiesz, jeśli Alastair naprawdę chce złapać tego popularyzatora walki ze śmiercią, to w dziwny sposób się do tego zabiera. Na jego, to znaczy popularyzatora, miejscu,ostałbym sobie na dworze przez jakieś pół godziny, czytając ogłoszenia na tablicy i patrząc, kto tu wchodzi. Myślę, że widok adiutanta przybywającego w asyście dwóch uzbrojonych żołnierzy zniechęciłby mnie do oficjalnego wystąpienia. Alastair powinien był pozwolić mu wejść na scenę. Możemy już wracać do kasyna.

- Poczekajmy jeszcze kilka minut - powiedział Ayscue.

- Szczerze mówiąc - rzekł Naidu - zauważyłem na dworze kilku wartowników rozmieszczonych w odpowiedniej odległości od wejścia. Niewątpliwie ktoś, kto nie spuszcza tego bloku z oka, zostałby zauważony. Powiedzcie mi - dodał tym samym tonem - jakie motywy mogą kierować naszym winowajcą? O co, waszym zdaniem, mu chodzi?

Naidu pytająco spojrział na swych rozmówców, a także na dyżurnego sierżanta, który przysunął się do nich.

- Oj, sir, w każdej jednostce są różne czubki - powiedział. - Pacyfiści i komuniści, i wegetarianie, i cała reszta. Mieliśmy kiedyś w koszarach orędownika braterskiej miłości. Paskudny typ. Do tego nigdy się nie mył. Było z nim dużo kłopotów, zanim uznano go za psychopatę i zwolniono z wojska.

- Czy ów człowiek, który może jeszcze zaszczycić nas swą obecnością, jest także orędownikiem braterskiej miłości? - spytał Naidu bez większego zainteresowania. - Pytam z ciekawości.

- Być może, w jakimś pokrętnym i pokręconym sensie - odrzekł Ayscue. - I to jest bardzo smutne. Gdzieś w jego duszy kryje się szczere współczucie i umiłowanie ludzkości.

Hunter zapalił papierosa.

- Jakie to nudne - powiedział.

- Ja nie mam żadnych wątpliwości.

- Oni wszyscy są tacy sami, sir. Chcą zwrócić na siebie uwagę. Wie pan, jak dzieci. Popisują się. Robią z siebie widowisko.

- Dlaczego wszyscy szepczemy, jakbyśmy byli w kościele? - zapytał Hunter. - Och, nieważne. Widzę na sali twego ordynansa, Willie. Czyżby był przewodniczącym Ligi, a może poprosiłeś go tu na wypadek, gdyby twoje buty wymagały wypucowania?

- Sam sobie odpowiedz na to pytanie, stary. Moim zdaniem, równie prawdopodobne jest to, że kazałem Evansowi przyjść tu, kiedy byłem w stanie oszołomienia heroiną, jak to, że jest on zdolny zainteresować się jakimkolwiek przedsięwzięciem wymagającym umiejętności czytania i pisania.

- Chyba zbyt surowo go oceniasz. Właśnie w tej chwili czyta. Wziął ze sobą jakiś magazyn.

- Wiesz, o czym mówiłem.

Naidu zerknął na zegarek. Spacerujący Ross-Donaldson uczynił to samo, po czym obrócił się i podszedł do skraju sceny.

- Proszę o uwagę - powiedział. - Wszystkich, którzy nie znajdują się tu w charakterze oficjalnych obserwatorów lub w ramach obowiązków służbowych, proszę o zebranie się na scenie.

- Willie, w jakim charakterze się tu znajdujemy?

- Zamknij się, Max, i siedź na miejscu.

Po chwili wahania i niepewnego szurania butami pięciu żołnierzy weszło na scenę i ustawiło się w nierównym szeregu. Pułkownik, Venables oraz Leonard przeszli na drugą stronę sali i usiedli w pierwszym rzędzie krzesel.

- Spocznij - powiedział Ross-Donaldson i beznamiętnym głosem zapytał: - Czy któryś z was związany jest w jakikolwiek sposób z Ligą Walki ze Śmiercią?

Zapadło milczenie, a kapral stojący na końcu szeregu spojrzał na swych towarzyszy. Wreszcie stanął na baczność.

- Nie, sir - powiedział.

- Spocznijcie, kapralu. Proszę, żeby każdy odpowiadał po kolei.

Z dłońmi założonymi za plecami Ross-Donaldson kilkakrotnie przeszedł przed szeregiem i przyjrzał się wszystkim żołnierzom. Nagle zatrzymał się i powiedział:

- Wy.

- Sir.

- Czy jesteście związani z Ligą Walki ze Śmiercią?

- Nie, sir.

- A ze Stowarzyszeniem Anonimowych Ludzi?

- Nie, sir.

Zatrzymując się kolejno przed wszystkimi pozostałymi, Ross-Donaldson zadał im te same pytania. Wszyscy odpowiedzieli przecząco. Zapadło dłuższe milczenie i w końcu Ross-Donaldson, podszedłszy do kaprala, znów się odezwał:

- Co sądzicie o śmierci?

- O śmierci, sir?

- Tak, o śmierci. Co o niej sądzicie?

- Nigdy o tym nie myślałem, sir.

- Nigdy?

- Nigdy, sir.

- Dobrze. Następny. Co sądzicie o śmierci?

- Nic mnie ona nie obchodzi, sir.

- W takim razie, co tu robicie?

- Nic specjalnego, sir. Pomyślałem z kolegą, że może będzie jakaś ciekawa impreza, i na wszelki wypadek zajrzeliśmy.

- Rozumiem. Następny. Co sądzicie o śmierci?

- To bardzo ważna sprawa, sir. To wielki problem. Mam swoje zdanie na ten temat, niestety, chyba niezbyt oryginalne. Przyszedłem, bo myślałem, że odbędzie się jakaś dyskusja, jakaś owocna wymiana poglądów mająca na celu sformułowanie pewnych wniosków.

- Ale to nie wy wywiesiliście te ogłoszenia?

- Och, nie, sir. Wcale nie wyrażają one mojej opinii na ten temat.

- Dobrze. Następny. Co sądzicie o śmierci?

- To straszna rzecz, sir. Straszna. Plaga, ot co. Co roku miliony ludzi. I nic się nie robi, żeby temu zapobiec. Myślałem, że może wreszcie ktoś się za to zabiera, sir, a więc, oczywiście,

postanowiłem przyjść i usłyszeć zdanie tego człowieka. Ale chyba zmarnowałem czas, prawda, sir?

- Tak. Następny. Co sądzicie o śmierci?

Następny i ostatni w szeregu był Evans. Z uśmiechem potarł policzek i odpowiedział:

- Cóż, sir, nie chciałbym uderzyć w niewłaściwą strunę ani urazić niczyich uczuć, ale w sumie jestem raczej „za”. Uważam, że wielu ludziom śmierć wyszłaby tylko na dobre. Moim zdaniem jest to haniebnie niedoceniany sposób rozwiązywania problemów świata. Bo w końcu, co to takiego? Zwykle ustanie świadomości, tak ja to rozumiem. Przydałoby się większości z nas. Wtedy reszta mogłaby pożyć sobie spokojniej, jeśli w ogóle ktoś by został. Właśnie dlatego zaciągnąłem się do wojska. A tu każą mi pucować buty i prasować spodnie, z całym szacunkiem, majorze Ayscue. A przecież chciałem zabijać.

Evans zaczął się śmiać. Pozostali poszli za jego przykładem i stanęli w swobodniejszych pozycjach. Ross-Donaldson nadal spacerował.

- To nadzwyczajne - powiedział cicho Naidu do Huntera. - Niesamowity monolog. Tyle zawdzięczam twemu krajowi, że nie przystoi mi krytykować go. Ale to, mój drogi Maxie, to jest powrót do prymitywu. Postęp powinien ustrzec nas przynajmniej przed nawrotami do pierwotnych pojęć. Cóż za zadziwiające widowisko. Dziękuję, że przynieśliście nam cywilizację, lecz teraz muszę przyznać, że choć staram się, nie potrafię was zrozumieć. Gotów, sierżancie?

Sierżant dyżurny wstał. W tym samym momencie Ross-Donaldson przystanął i powiedział głosem cichszym niż uprzednio:

- Bardzo wszystkim dziękuję za udzielenie odpowiedzi na moje pytanie. Jesteście wolni.

Powstało małe zamieszanie. Uzbrojeni żołnierze pod ścianą zapytali, czy wolno palić, na co otrzymali odpowiedź twierdzącą. Hunter i Ayscue podeszli do sceny, gdzie Ross-Donaldson stał, jakby w oczekiwaniu gratulacji po przedstawieniu.

- Świetna zabawa, Alastair - powiedział Hunter. - Choć może nie wszyscy ją docenili.

- Dziękuję. Teraz jestem pewien, że nie usłyszymy już o tej sprawie.

- Och, nie mów tak, to by było straszne.

Hunter zwrócił się do Leonarda, który właśnie do nich podszedł.

- Co ty na to, Brian? Jak myślisz, czy Liga uległa samorozwiązaniu?

- Sam nie wiem. To przerażające. W ciągu minionych piętnastu minut sytuacja zmieniła się diametralnie.

- Jak to, dlatego, że pięciu osiłków twierdzi, niewątpliwie zgodnie z prawdą, że nie mają z tym nic wspólnego?

- Nie. Niepokojący jest fakt, że nie pojawił się facet, który wywiesił te ogłoszenia.

- Nie rozumiem cię.

- Moglibyśmy porozmawiać o tym przez chwilę? Wybaczycie nam?

Ayscue i Ross-Donaldson odparli, że oczywiście, i Leonard odciągnął Huntera na stronę.

- A więc?

- Do tej pory mieliśmy dwie teorie co do motywów działania... Iksa. Albo miał to być jakiś dowcip, albo coś się za tym kryło. Przypominam sobie, jak powiedziałeś, że nie sposób nakreślić wyraźnej granicy pomiędzy dowcipniasami a ludźmi poważnymi, ale w takim przypadku...

- Żartowałem, kiedy to mówiłem, mój drogi. Nie powinienesz być traktować tego poważnie.

- Porozmawiamy o tym przy innej okazji, jeśli pozwolisz. Chciałem teraz jedynie przypomnieć, że te dwie teorie na temat Iksa rozważaliśmy po kolei. Dobra, żartuje albo wygłupia się, coś w tym stylu. Chce wywołać zamieszanie. Zdenerwować władze. Przysporzyć zmartwień mnie, Alastairowi i pułkownikowi. Cóż, słyszałem, co mówiłeś na ten temat do Venablesa. Ty miałeś rację, a on nie. Gdyby to był żart, Iks zjawiłby się i sprawdził, jak się udała zabawa, nawet gdyby tego bloku strzegło pięćdziesięciu wartowników. Człowiek, który potrafi niepostrzeżenie wydrukować takie ogłoszenia i rozwiesić je w całym obozie, na pewno dałby sobie radę i z pytaniami Alastaira. Ale nie przyszedł. A więc to nie dowcip. Albo jeśli wolisz, wywieszenie ogłoszeń samo w sobie stanowiło cel. Innymi słowy, nie były to wcale ogłoszenia. To był manifest.

Usłyszeli, jak za ich plecami Venables śmieje się swym chrapliwym głosem. W towarzystwie pułkownika kierował się ku drzwiom. Na chwilę przestał się śmiać i rzucił w stronę rozmawiających:

- Widzicie? Fiasko. Tajemnica nieobecnego figlarza.

Potem znów się roześmiał i ruszył za pułkownikiem. Ross-Donaldson i Ayscue także już wychodzili. Hunter i Leonard podeszli do wyjścia. Leonard zgasił światła. Wyszli z bloku i skierowali się do kasyna.

- Tak więc, jeśli moje rozumowanie jest słuszne, to co się dzieje? - kontynuował Leonard. - Iks protestuje. Przeciwno czemu? Przeciwno zadawaniu śmierci osobom niewinnym.

- Myślałem, że buntuje się przeciwko zadawaniu śmierci komukolwiek.

- No, dobrze, komukolwiek. A znajdujemy się w jednostce wojskowej, której zadaniem jest walka zbrojna, czyli zadawanie śmierci.

- Więcej, Brian. Zadawanie śmierci w ogromnym rozmiarze i we wspaniały sposób. Uśmiercanie niezwykle wydajne.

- Nie myśl, że jesteś w stanie mnie zaszokować. Nie widzę powodów, dla których ty albo inny nie wtajemniczony osobnik nie miałby domyślić się tego. Tak. Zgadza się. A więc mamy do czynienia z kimś, kto wie, jaki jest cel operacji „Apollo”, i u kogo wiedza ta wywołała ten niecodzienny protest. Czy rozumiesz już, dlaczego jestem przerażony?

- Zastanawiasz się, jaki będzie jego następny ruch.

- Tak, zastanawiam się gorączkowo. Jeśli zdobędzie coś z naszego wyposażenia, to nie potrafię przewidzieć konsekwencji. A właściwie potrafię.

- Niczego chyba nie brakuje?

- Na razie nie - powiedział Leonard.

- Ale to by się nie zgadzało z jego postawą protestu wobec śmierci. Próbowaliby raczej zniszczyć nasz sprzęt.

- To też niebezpieczne. Ale nie wiemy, co on chce zrobić. Nie możemy się spodziewać, że będzie postępować logicznie. Gdyby tak było, to najprawdopodobniej podzieliliby się swą wiedzą z nieprzyjacielem. I wtedy miałbym na karku dwóch szpiegów zamiast jednego.

- Uhm, ale chyba Iks nie może być pierwszym szpiegiem. Za bardzo zwraca na siebie uwagę. Nie może mieć pewności, że nie odnajdziesz maszyny, na której wypisał ogłoszenie.

- Niezupełnie. - Leonard miał ponurą minę. - Ustaliłem trzy fakty. Nie jest to żadna z maszyn należących do oficjalnego wyposażenia obozu. W całym kraju istnieją dziesiątki tysięcy maszyn takiego typu. W żadnym ze sklepów w mieście nikt nieznanomy nie nabył takiej maszyny w ostatnim czasie. Iks musiał wybrać się po nią gdzieś dalej. Nie wyobrażam sobie, żeby ten trop dokądkolwiek mnie zaprowadził.

- Czyżby?

Stali na wykładanej kamieniami podłodze hallu kasyna. Z westybulu dochodził głos pułkownika domagającego się alkoholu.

- Może byś zajrzał na chwilę do mojego pokoju? - spytał Leonard. - Mamy jeszcze trochę czasu przed kolacją.

- Tak, świetnie.



Deering stał przy oknie w pokoju Leonarda i palił papierosa. Słyszając otwierające się drzwi, od niechcienia zerknął na nie przez ramię, po czym na widok Huntera usiłował stanąć na baczność.

- Dobry wieczór, sir.

- Dobry wieczór, Deering. Nie będę cię teraz potrzebował.

- Tak wpadłem, w razie, gdyby miał pan jakieś życzenie.

- Dziękuję, ale jak powiedziałem, niczego mi nie trzeba.

- No, dobrze. Ktoś przyszedł na to zebranie?

- Nie, nikt godzien uwagi.

- Cholerny dureń.

- O kim mówisz, Deering?

- O facecie, który napisał to zafajdane ogłoszenie. Czubek. Odbiło mu. Jedzie prosto do wariatkowa. Aha, nikt w obozie o tym nie rozmawiał. Miałem nawet kłopoty ze znalezieniem kogoś, kto o tym słyszał.

- Rozumiem. Dziękuję, Deering, to wszystko.

- Dobranoc, sir.

Hunter przyglądał się pięciu Żeglarzom w historycznych mundurach na obrazie Leonarda. Gdy za Deeringiem zamykały się drzwi, odwrócił się i uśmiechnął.

- Eleganccy chłopcy. Skąd to wzięłeś?

- Ciekawe, prawda? Och, zaprzyjaźniłem się z paroma Żeglarzami w ich kasynie i uparli się, żebym to sobie pożyczył.

- To miło, że tak szczerze szafują pułkowymi relikwiami. Ale słuchaj, Brian, ten twój ordynans to paskudna kreatura.

- Ja też za nim nie przepadam, ale jest przydatny, donosi mi o obozowych plotkach i tak dalej.

- Obrzydliwość. Mam nadzieję, że o mnie nikt nie plotkuje.

- Gdybym usłyszał coś uwłaczającego tobie, to nie przekazałbym tego dalej i powiedziałbym Deeringowi, że to kłamstwa.

- Starasz się jak możesz, prawda, Brian?

Hunter usiadł w obitym perkalem fotelu, natomiast Leonard usadowił się na skórzanym krześle.

- Trochę mnie zadziwiła twoja uwaga - powiedział Hunter - że sprawa z maszyną do pisania to ślepa uliczka. Nie będziesz przeszukiwać obozu?

- W końcu będę musiał, ale nic z tego nie wyniknie. Iks nie należy do ludzi, którzy zostawiają dowody pod łóżkiem. Najprawdopodobniej znajdziemy ją w plastikowym worku pod jakimś krzakiem. Bez odcisków palców. Jeśli dojdzie do najgorszego, to będę musiał zrobić mnóstwo innych rzeczy, na przykład sprowadzić tu wszystkich sprzedawców maszyn do pisania z promienia stu mil i urządzić dla nich defiladę całej jednostki w nadziei, że kogoś rozpoznają. To jednak ostateczność.

- Niewątpliwie. Masz jeszcze jakieś dowody?

- Sam dobrze nie wiem. Na razie wiem tyle, a jest to najbardziej niepokojący fakt, że Iks musi być jednym z oficerów grupy B1. Nikt w takim stanie ducha nie będzie zdolny wykonać swojej części operacji „Apollo”.

- Jakie straty może to spowodować?

- Nie wiem, ale na pewno poważne. Będę musiał znów przejrzeć teczkę i szukać wzmianek o niezrównoważeniu psychicznym. Po wywiadach i kontrolach, których dokonano na początku, oczywiście nic już nie znajdę. Będę też musiał wszystkich obserwować i czekać, aż ktoś przypadkiem się zdradzi. Czy myślisz, że to może być Churchill?

Hunter zawołał zaskoczony:

- Dlaczego on?!

- Spotkałem go dziś rano i wyglądał bardzo dziwnie. Był roztrzęsiony. Zawsze uważałem go za wrażliwego chłopaka.

- Nie widziałem go dzisiaj. Słuchaj, przyjaźnię się z Jamesem. Mogę z nim porozmawiać, jeśli chcesz. Obiecuję, że nic mu nie wygadam.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny, Max. I zawiadam mnie, jeśli zauważysz coś, co może mieć związek z aferą Iksa. Potrzebuję pomocy, a wiem, że mogę na tobie polegać. I dziękuję, że zwróciłeś moją uwagę na doktora Besta.

- Drobiazg. A propos, jak ci z nim idzie?

- Powoli, ale dobrze. Mam nadzieję. Potrzebuję jeszcze konkretnego dowodu, ale jestem pewien, że to jego szukam. On jest... No, wiem, że to on i już. Musi mieć agenta gdzieś w obozie, ale na razie skupiam się na nim samym. Już za parę dni spodziewam się jakichś wyników.

- To dobrze. Brian, wracając do poprzedniego tematu, skąd pewność, że Iksa nie było dziś w świetlicy?

- Gdyż jedynym obecnym oficerem grupy B1 był Venables, a on związany jest z operacją „Apollo” dłużej niż ktokolwiek inny. W pewnym sensie to on ją wymyślił. Niemożliwe, żeby teraz zmienił zdanie na jej temat.

- Albo na jakikolwiek inny. Tak, masz rację. Przyszło mi do głowy coś jeszcze, jeżeli mogę...

- Śmiało. Tego mi trzeba. Konstruktwna krytyka.

- Tak sobie tylko myślałem. Jeśli Best ma agenta w obozie, tak jak powiedziałeś, to czy nie mógłby wypisać tych ogłoszeń, a potem przemycić ich tutaj i kazać rozwiesić?

- Nie. To znaczy, nie mógłby napisać ogłoszeń.

- Dlaczego?

- Widzisz, on nie jest przeciwnikiem śmierci. Zejdziemy już na kolację?

\*

Lucy zastukała delikatnie do drzwi sypialni Catharine.

- Proszę - rozległ się głos Churchilla.

Siedział w łóżku i czytał powieść w tanim wydaniu. Catharine spała.

- James, dobrze się czujesz?

- Tak, oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Zrobiłeś taką wystraszoną minę. James, jest tu ten twój miły kolega Max Hunter. Chciałby z tobą porozmawiać. Bardzo podkreślał, że to nic pilnego i może bez problemu poczekać do rana. Pomyślałam jednak, że skoro już tu jest, to może byś zajrzał do niego na dół.

Churchill wstał z łóżka, założył szlafrok oraz pantofle i wyszedł wraz z Lucy. Zaprowadziła go do swej sypialni.

- Z Catharine wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak. Kazałem jej zażyć pigułkę nasenną.

- Ty też zażyłeś?

- Nie, nie lubię ich. Gdzie mogę znaleźć Maxa?

- Niestety, poprosiłam go do biblioteki. Jest tam dość obskurnie, ale są dwa krzesła, na których od biedy można usiąść, a przynajmniej mój znajomy dentysta i jego towarzysze nie będą ci dyszeć w kark. Nie wiem dlaczego, ale jest dziś spory tłok.

- Jest jeszcze ktoś, kogo znam, poza Maxem?

- Twój drugi miły kolega, kapitan Leonard. To znaczy, Brian. Jest bardzo cierpliwy. Zawsze ustawia się na końcu kolejki. Spodziewałam się też Alastaira, ale trochę już na niego za późno. Chyba nikogo więcej nie znasz. Możemy już zejść na dół?

Wyszli z sypialni i ruszyli przez korytarz.

- Szczerze mówiąc - kontynuowała Lucy - w salonie jest dwóch gości, których sama nie znam. To widocznie czyiś przyjaciele. Zabawne, jak te upały ich tu ściągają.

Gdy zaczęli schodzić po schodach, Churchill zwrócił uwagę na postać dziewczyny widniejącą na wiszącym tam gobelinie. Było w jej pozycji coś nienaturalnego, jakaś sztywność, której dotychczas nie zauważył. Dostrzegł też, że jej suknia jest miejscami wyblakła zapewne od wilgoci.

- Och, chyba powinnam już przygotować się na przyjęcie Briana - powiedziała Lucy. - Wiesz, on mnie trochę złości. To jego gadanie. Ale nie można go nie lubić, prawda?

- Nie. Dziękuję, Lucy. Może jeszcze się dziś zobaczymy.

- Tylko nie siedźcie tam przez całą noc.

Dotychczas Churchill widywał bibliotekę jedynie za dnia. Teraz większość pomieszczenia pogrążona była w półmroku, w którym zapełniające jego ściany książki wyglądały na jeszcze mniej nadające się do czytania. Wciśnięto je na półki bezładnie, niektóre w poziomych kupkach, inne grzbietami do środka. Pośród ich opraw dominowała staroświecka ciemna czerwień.

Rozsiewały silną woń cudzego znudzenia. Gdziekolwiek, głównie na podłodze, stały popiersia w różnych rozmiarach. Pewnego popołudnia Churchill obejrzał je sobie i doszedł do wniosku, że bez względu na to, czy przedstawieni na nich ludzie mają jakieś związki z literaturą, czy nie, wszyscy z pewnością już nie żyją.

Silne światło, pochodzące z nagiej żarówki osadzonej w mosiężnej lampie, padało z płytkiej wnęki w jednym z rogów pokoju. Hunter siedział tutaj przy masywnej sekretarce w pozycji, która sugerowała, iż przed chwilą oderwał się od jakiegoś niezwykle twórczego zajęcia. Nic innego nie potwierdzało tego wrażenia. Oprócz lampy stała przed nim jedynie duża lalka w obszarpanym ludowym stroju, francuski marynarz ze zbutwiałej masy papierowej przykryty szklanym kloszem, niekompletny mechanizm zegara z połączanego brązu i szklanka wypełniona alkoholem. Hunter wskazał Churchillowi krzesło, które podobnie jak pozostałe miało rozdarte obicie siedzenia.

- Rozgość się, jeśli potrafisz - powiedział. - Może to ci pomoże.

Wręczył mu szklankę wypełnioną bardzo mocną whisky z wodą. Churchill duszkiem wypił jedną trzecią zawartości.

- Jak długo tu siedzisz?

- Niecałe dwadzieścia minut. Ale nie marnowałem czasu. Paliłem jak smok. Dwa gauloise'y jeden po drugim, ot, tak sobie. Poczęstuj się.

- Dziękuję. Przepraszam, że musiałeś na mnie czekać.

- To chyba wina Lucy. Ma dzisiaj mnóstwo klientów. Tak wielu, że musiałem wyjść. Właśnie rozpoczynali dyskusję o angielskiej młodzieży. Choć muszę przyznać, że tu też jest miło. Erudycja w stanie surowym.

- Czy Lucy już się tobą zajęła?

- Och, tak, już ma mnie z głowy. Ale było trochę za wcześnie na powrót do domu, więc pomyślałem, że jeśli nie śpisz, to może dałbyś się namówić na parę minut pogawędki.

Churchill znów się napił.

- Cieszę się, że o mnie pamiętałeś. No, co słychać?

- Nic specjalnego. Odbyło się inauguracyjne zebranie Ligi Walki ze Śmiercią, na którym nikt się nie pojawił. To znaczy pojawiło się paru ludzi, ale nikt nie chciał zapisać się do Ligi. Założyciel, którego roboczo nazywamy Iksem, też się nie ujawnił. Przeżyliśmy więc całą serię niespodzianek, które same w sobie są całkiem miłe, ale wcale nie zachęcające. Wiesz, czułem się, jakby ktoś mnie zdradził. Biedny Brian Leonard poczuł się znacznie gorzej. Odwoławszy się do całej swej filaktologicznej wiedzy, doszedł do wniosku, że Iks nie jest szpiegiem, którego on szuka od tyłu tygodni, lecz całkiem innym facetem. Nie za dobrze go rozumiałem. Pamiętam jednak, iż powiedział, że Iks to na wpół wariat i że lada chwila może zrobić coś absolutnie nieoczekiwanego, co jego zdaniem jest niezwykle przerażające. Ja tak nie sądzę. Nabrałem otuchy po klapie tego zebrania. A potem Brianowi przyszło do głowy, że ty możesz być Iksem.

Churchill wzdrygnął się gwałtownie.

- Dlaczego ja?

- Jak już wspomniałem, jego wywody są bardzo zawile. W każdym razie jest on przekonany, że Iks musi należeć do grupy B1. Uważa, że Iks popadł w rozterkę, bo w operacji „Apollo” będzie musiał uziemić tylu ludzi, zaś ta sprawa z Ligą to, że tak powiem, jego sposób na publiczne roztrząsanie swych rozterek. Trochę to wymyślne, ale tak to już bywa z tymi magikami od techniki. Teraz uważają cały ludzki umysł i serce za pole swych szczególnych zainteresowań.

- Rozumiem, że Brian szuka Iksa w grupie B1, ale dlaczego podejrzewa akurat mnie?

- Cóż... - Hunter wykonał szybki, lecz niezręczny gest dłonią. - Nasz Brian to kochane stworzenie, ale nie brakuje mu zwykłej spostrzegawczości. Powiedział, że spotkał cię dziś rano i sprawiłeś na nim dziwne wrażenie. Jakbyś był roztrzęsiony, tak to określił. Moim zdaniem był to zwykły kac, ale wolałem mu o tym nie wspominać. Straszny z niego idealista, prawda?

- Tak - powiedział Churchill, dopijając whisky. - Ale jaki by nie był, tym razem niezbyt się pomylił. Rzeczywiście byłem roztrzęsiony. Nadal jestem.

- Czy chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Tak.

- To dobrze. Ale najpierw musimy zająć się pewnym ważnym drobiazgiem. Daj mi tę szklankę. Albo nie, mam lepszy pomysł. Zaraz wracam.

Natychmiast po jego wyjściu Churchill wstał i zaczął spacerować po bibliotece w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu, na którym mógłby skoncentrować swą uwagę. Nie udało mu się to aż do momentu powrotu Huntera z niemal pełną butelką whisky, dzbankiem na mleko zawierającym wodę, salaterką z kostkami lodu i łyżką do zupy oraz pustą szklanką. Rozmieszczył te przedmioty bardzo pomysłowo, lecz i tak zaczynały wyslizgiwać mu się z rąk. Postawił je na sekreterze, marszcząc czoło z wysiłku i skupienia, i szybko przyrządził dwa drinki.

- Proszę - powiedział. - Zabezpieczenie zapasów stanowi naczelny cel służby administracyjnej.

- Dlaczego pijesz?

- Bo mam na to ochotę. Nie, tak naprawdę nie satysfakcjonuje mnie już obserwowanie innych pijaków. Nic dziwnego. Podglądanie jest rzeczą upokarzającą. A więc, co cię martwi?

- Czy dlatego chciałeś ze mną porozmawiać, żeby móc mnie o to spytać?

- Och, nie. Wcale, bynajmniej, nie. Przeżyłem dziś wiele udanych i urozmaiconych doznań seksualnych, a od tego zawsze robię się gadatliwy. W dodatku w salonie brak jakichkolwiek osobników godnych miana ludzi, poza Brianem, a jego towarzystwa miałem już dziś pod dostatkiem.

- Rozumiem. Zresztą cieszę się, że mnie o to pytasz. Przede wszystkim, nie jestem Iksem.

- Nie.

- Aczkolwiek sympatyzuję z nim tak mocno, że zrobiłbym to co on, gdybym tylko na to wpadł. Kiedyś nie byłem tak zagorzałym przeciwnikiem śmierci, zwłaszcza śmierci ludzi, którzy chcieli mnie zabić, albo którzy mogliby zabijać moich przyjaciół i rodaków. A więc na początku nie miałem nic przeciwko udziałowi w operacji „Apollo”. Szczerze mówiąc, czułem nawet dumę, bo w tej akcji chodziło o powstrzymanie naprawdę bardzo niebezpiecznych ludzi. Przedstawiono nam sytuację geograficzną i strategiczną, a potem wyjaśniono, jak mamy ich złamać. To mnie nieco zaniepokoiło i zacząłem pić więcej niż normalnie. Nie spodobał mi się sposób na powstrzymanie wroga który był wtedy przedmiotem szkolenia. Jest to nie tyle nowa metoda, zmodyfikowana wersja starej. Ważne jest to, że służy zabijaniu ludzi. Nie mogę powiedzieć ci więcej, ale wierz mi, że jest to sprawa moralnie wątpliwa. Pomimo to nie wycofałbym się z „Apolla”, nawet gdybym mógł (a byłoby to niezbyt łatwe), bo wtedy

nieważne było to, że mam robić coś, czego nie akceptuję, bo wtedy ja byłem nieważny. I wtedy poznałem Catharine. Od tego czasu wszystko, co robiłem i czego nie robiłem, stało się bardzo istotne. Ja sam stałem się ważny. Tak więc coraz trudniej było mi pogodzić się z udziałem w „Apolu”. Nie byłoby tak źle, gdybym tylko mógł porozmawiać o tym z innymi szkolonymi chłopakami. Ale okazało się, że to na nic. Wszyscy, oczywiście, zgadzali się, że mamy dokonać rzeczy strasznej, ale takie były rozkazy i to konieczne. Na początku myślałem, że mówią tak dlatego, bo są głupi albo nieczuli. Lecz uświadomiłem sobie, iż nie sposób stwierdzić, czy mówią szczerze, gdyż chodzi przecież o śmierć.

Ledwo wypowie się to słowo, coś się w ludziach zacina, nawet w takich, którzy bez wahania opowiedzą ci o całym swym życiu seksualnym i tak dalej. Nie mogłem więc znaleźć ukojenia. Potem stało się coś jeszcze. Catharine ma w lewej piersi guzek. To może być rak. Tak się tym denerwuje, że sam nie wiem, co robić. A nie wiem, jak bardzo ona się tego boi, bo nie mówi nic na ten temat, a ja nie mogę jej zapytać. Zanim to się stało, znałem ją lepiej niż kogokolwiek przedtem. Znałem wszystkie jej myśli. Teraz już tak nie jest, bo pojawiła się śmierć. Myślałem o tym. To nie takie trudne, jak się wydaje. Jeśli się o tym nie myśli, to można popaść w panikę, a tego nie mogę zrobić. Na początku rozpaczałem tylko dlatego, że złe rzeczy zawsze przeważają nad dobrymi, a dobre nad złymi nigdy. Wiesz, jak to jest: ból zęba może zagłuszyć orgazm i tak dalej. Ale wkrótce pojawiły się kolejne problemy. Zauważyłem, że boję się bardziej, niż powinienem, bo wciąż jeszcze nie stwierdzono u Catharine nic konkretnego. Wydawało mi się, iż wiem, że to będzie rak i że ona umrze. Wkrótce wytłumaczyłem to sobie. Przypomniał mi się ten goniec i Fawkes. Jestem więc przesądny, a uświadomiwszy to sobie, mogłem czuć szok, obawę i zaangażowanie, a nie wszechogarniający strach. Ale nie. Uzupełniłem to czymś jeszcze. Nie trzeba wierzyć w Boga, przeznaczenie czy tajemne moce umysłu, aby uwierzyć w istnienie ciągów pechowych zdarzeń. Stwierdziłem jednak, że pech niezupełnie tłumaczy mój stan ducha i to nie tylko dlatego, że w tej sytuacji to bardzo łagodne słowo. Bardziej przypadł mi do gustu pewien termin z taktycznego żargonu, którym nas tu szpikują. Słyszałeś pewno o tak zwanych węzłach śmiertelnego zagrożenia. Nie ma już bitew ani linii frontu, są tylko niewielkie kluczowe obszary, z których nikt nie wychodzi żywy. Tak więc znajdujemy się teraz w węźle śmiertelnego zagrożenia, który istnieje w czasie, a nie w przestrzeni. Okres, z którego nikt nie wychodzi żywy. Początek, skraj węzła, to był ten wypadek motocyklowy. Fawkes był już głębiej. Teraz chyba zbliżamy się do środka. Minięcie węzła poznamy po śmierci kogoś, kogo znaliśmy tak przelotnie jak tego gońca. To będzie drugi skraj. Wiem, że mówię trochę jak wariat. Przepraszam. Cała ta sprawa rozgrywa się na tle operacji „Apollo”. Jest ona jakby teatrem działań wojennych, na którym odbywa się pewna

operacja. Tak więc, co mam zamiar zrobić? Teraz, kiedy wiem już o śmierci nieco więcej, wydaje ci się może, że sędzę, iż nikt na nią nie zasługuje, jakkolwiek byłaby mu zadana. W takim razie musiałbym wycofać się z operacji, co pociągnęłoby za sobą rozmaite konsekwencje, włącznie z sądem wojennym, więzieniem i być może cichą likwidacją za sprawą przyjaciół Briana Leonarda, bo wiem zbyt wiele, aby pozwolili mi teraz odejść i zbratać się z pacyfistami. Jeśli będzie trzeba, zniosę to. Ale nie sędzę, żebym miał się specjalnie o to starać. Pójdę raczej po linii najmniejszego oporu. Jeśli Catharine ma umrzeć, to wszystko mi jedno, co się ze mną stanie.

- Kiedy się dowiesz, co jej jest?

- Pojutrze. Rano pobiorą próbkę tkanek, a analiza zabierze im dwadzieścia cztery godziny. Wygląda na to, że czas staje się niezwykle drogi. Zwłaszcza po wczorajszej wiadomości o przyspieszeniu operacji „Apollo” o dwa tygodnie. Można by się spodziewać, że to będzie dla nas wstrząs. W każdej innej sytuacji byłbym zaszokowany. Ale nie jestem. Dzięki porównaniu. Zawsze liczy się porównanie. Wiesz, na przykład, że pójdziesz do więzienia, jeśli do końca tygodnia nie spłacisz długu. To fatalnie. Tylko że twój syn miał dzisiaj wypadek samochodowy. Powiem ci, Max, że zdezerterowałbym, gdyby tylko pozwolili mi być z nią, ale nie pozwolą mi.

Hunter wyjął papierosy i napełnił obie szklanki whisky.

- Pojmuję twoją teorię węzłów zagrożenia - powiedział, powróciwszy na swoje miejsce - aczkolwiek nie twierdzę, że się z nią zgadzam. Nie rozumiem jednak, jak operacja „Apollo” może stanowić tło tej sprawy. Nie widzę tu żadnych analogii. Ty możesz dostrzegać związek, „Apollo” skierował twoją uwagę na śmierć, ale to co innego. Nie ulega natomiast wątpliwości, że to po części przyczyna twojego roztrzęsienia. Może w niezbyt dużym stopniu, ale z tym przynajmniej możemy się uporać. Reszta musi poczekać jeszcze trzydzieści sześć godzin.

- Co mam zrobić z „Apollem”?

- Nie ma to żadnego związku z Catharine, Fawkesem czy gońcem. Możesz wyrzucić ten problem ze swej świadomości. Opowiedz mi o nim.

- Dlaczego? Czy to coś zmieni?

- Niczego rzecz jasna nie mogę ci zagwarantować, ale może zmieni to twój stosunek do operacji, pomoże ci przemoć poczucie winy. Warto spróbować.

- Nie mogę. Obiecałem, że nikomu nie powiem.

- Złam obietnicę. Jeśli możesz myśleć poważnie o dezercji, sądzie wojennym i tak dalej, to nie powinienes już zwracać uwagi na podobne obietnice. Nikomu tego nie powtórzę. Chyba możesz mi zaufać?



- Tak. - Churchill przełknął nieco whisky. - Ale co będzie, jeśli ci opowiem, a nic mi to nie ulży?

- I tak nic nie stracisz.

- W grę wchodzi życie wielu ludzi.

- Tym bardziej będę musiał trzymać język za zębami, choć zrobiłbym tak w każdym wypadku. Nie podejrzewasz przecież, że jestem szpiegiem?

- Nie.

- A więc, opowiedz mi.

Churchill uległ namowie.

\*

O świcie, w dniu ćwiczenia „Nabab”, na obwodzie pagórkowatego terenu o powierzchni około pięciu kilometrów kwadratowych znajdował się kordon żołnierzy. Poprzedniego wieczora na okolicznych drogach ustawiono oficjalne tablice nakazujące objazd wszelkim pojazdom cywilnym. O ósmej rano wyjechał z obozu konwój, który skierował się w stronę zamkniętego obszaru. W jego skład wchodziły między innymi dwie ciężarówki piechoty w pełnym oporządzeniu bojowym oraz dwa transportery opancerzone z drużynami karabinów maszynowych i ich sprzętem. Jeden helikopter RAF-u unosił się piętnaście metrów ponad czołem kolumny, zaś drugi lotem wahadłowym patrolował trasę przejazdu. Na czas ćwiczenia zarządzono ciągle przeczesywanie i obserwację terenu.

W punkcie zbornym wyładowano kaemy i ustawiono je na trójnogach na pozycjach wychodzących na najważniejsze podejścia. Piechota zajęła stanowiska obronne na obrzeżu niewielkiej kotlinki, w której miało się odbyć właściwe ćwiczenie.

- Mam nadzieję, Brian, że przypomniałeś eskadrze krążowników, aby przygotowała się na przyjęcie kawalerii - powiedział Hunter.

- Możesz się śmiać - rzekł Leonard, sam to czyniąc. Był w doskonałym humorze, jakby czuł, że oto nadszedł jego wielki dzień. - Ale zapewniam cię, że wszystkie te środki są niezbędne.

- Czy naprawdę możemy się spodziewać zbrojnego ataku? A w ogóle, to czyjego ataku? Może, kiedy tu jechaliśmy, ktoś nam wypowiedział wojnę?

- Wiedziałbym coś o tym. Nie, fizyczna interwencja w jakiegokolwiek postaci jest niemal całkowicie wykluczona w tym momencie. Zawdzięczamy to między innymi naszemu pokazowi gotowości.

- To znaczy, że gdybyśmy nie zapewnili sobie potencjału ogniowego miliona pocisków na minutę, mielibyśmy na karku kompanię komunistycznych chińskich spadochroniarzy? Chyba zaczynam rozumieć.

- Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

- Ale bardzo rzadko. Czy zabezpieczyłeś się przed fotografią lotniczą? Mamy na to wymarzony dzień.

Spojrzeni na bezchmurne, intensywnie błękitne niebo. Niemal dokładnie nad nimi jeden z helikopterów hałaśliwie przemieszczał się w charakterystycznej, odchyłonej nieco w bok pozycji. Dwaj mężczyźni stali na narożniku kwadratowej, płaskiej polanki, na której zaparkowano pojazdy. W pobliżu, pod nadzorem Rossa-Donaldsona i sierżanta-szefa batalionu, rozładowywano ciężarówkę. Żołnierze uważnie wynosili z niej kilkanaście podłużnych, wąskich drewnianych skrzynek o wymiarach półtora metra na dwadzieścia centymetrów na piętnaście i układali je rzędem na murawie. Hunter od czasu do czasu spoglądał na nich z zainteresowaniem.

Leonard tłumaczył mu, że warunki akurat nie sprzyjają ani lotniczej obserwacji tajnych materiałów, ani zbliżającemu się ćwiczeniu. Fizyczna skala wydarzeń jest zbyt mała, aby można je było sfotografować z normalnej wysokości lotu samolotów szpiegowskich, nawet wyposażonych w najdoskonalszy sprzęt. Obniżenie wysokości lotu, przy braku zasłony chmur, stanowiłoby nadmierne przekroczenie progu ryzyka. Przygotowane na żądanie szefów Leonarda równania i wykresy uwzględniające Same wszelkich ewentualności meteorologicznych, od obecnego jaskrawego nasłonecznienia aż po nieprzewidziane zaćmienie słońca, stwierdzały, iż prawdopodobieństwo penetracji przestrzeni powietrznej ponad obszarem ćwiczenia „Nabab” przez nieupoważniony obiekt wynosi w przybliżeniu dwa centycenty, czyli dwie setne procenta. Owe dwie szanse na dziesięć tysięcy unicestwiła obecność nabrzeżnych systemów obserwacyjnych i patroli, których działalności Leonard wołał nie analizować w tej chwili.

Gdy kończył swój wykład, podeszli do niego trzej oficerowie: major Venables oraz O'Neill i Isaacs, małomówni kapitanowie, którzy przybyli do jednostki przed dwoma dniami. Obaj spędzili większość tego czasu ze sporą grupą saperów w obszarze ćwiczenia.

- I co, Leonard, zadowolony pan? - spytał Venables. - Proszę wybaczyć, że używam tego groteskowego, ale wygodnego zwrotu, choć troska o spokój pańskiego ducha do mnie nie należy.

- Rozumiem, sir. Tak, zakończyłem już wstępne czynności. Proponuję, aby zaczął pan swoje przygotowania i w odpowiednim czasie udzielił ostatecznego instruktażu.

- Nie widzę przeciwwskazań.

- Ile czasu to panu zajmie?

Venables spojrział na O'Neilla, który oświadczył:

- Wystarczy piętnaście minut.

- No, to do roboty - powiedział Venables.

O'Neill i jego towarzysz ruszyli w stronę ciężarówki.

- Jak sądzisz, Brian, mogę na to popatrzeć? - spytał Hunter.

Leonard zastanowił się.

- Tak - powiedział w końcu. - Należysz do grupy bezpieczeństwa, której dozwolona jest znajomość podstawowych danych... Oczywiście, jeśli pan się na to zgadza, sir.

- Kto, ja? - Venables sprawiał wrażenie zaskoczonego. - Dlaczego nie miałbym się zgodzić? Niech Hunter robi, co chce, oby mi tylko nie przeszkadzał.

- Dobra, Max. Na razie.

Kiedy Hunter podszedł do dwóch kapitanów, ci zaczęli już przygotowania. Grupa żołnierzy pod dowództwem sierżanta przenosiła skrzynki ustawione koło ciężarówki do niewielkiego, lecz solidnego ziemno-betonowego bunkra wybudowanego w ciągu ostatnich kilku dni. Umieszczono go tuż pod grzbietem niewielkiego zbocza. Hunter stwierdził, że można z niego obserwować ponad półmilowy odcinek doliny. Dostrzegł błysk metalu na horyzoncie: ktoś poruszył się na stanowisku obronnym. W pobliżu rozległo się pulsujące warczenie i zgrzyt gąsienic małego przestarzałego czołgu, który rano dołączył do konwoju, wysłany z pobliskiego ośrodka szkoleniowego wojsk pancernych, opóźniając zresztą wyjazd o dwadzieścia minut. Teraz czołg powoli ruszył wewnętrznym skrajem kotliny.

Dość ceremonialnie odsunięto zasuwę na jednej ze skrzynek i uniesiono wieko. Wewnątrz, unieruchomiony w wyściełanych uchwytach, spoczywał przedmiot przypominający nieco podłużną torbę golfową wyposażoną w parczane pasy oraz mosiężne sprzączki. W tym momencie Isaacs podszedł do skrzynki, otworzył torbę i wyciągnął z niej karabin z dziwnie wydłużoną lufą o stożkowatej nasadce, z małym dwójnogiem osadzonym nieco przed środkiem ciężkości i bębnowym magazynkiem z prawej strony zamka. Umieścił broń na jednym z worków ułożonych na parapecie bunkra. Tymczasem pod kierunkiem O'Neilla otwarto kolejną skrzynkę i po kilku minutach na parapecie spoczywało pięć identycznych karabinów.

- Amunicja - rzucił ostro O'Neill.

Isaacs podszedł do metalowego pudła z wymalowanym na obwodzie podwójnym czerwono-żółtym pasem. Zdarł z zatrasku pieczęć Ministerstwa Obrony i otworzył pojemnik, odsłaniając rząd wydłużonych, pomalowanych na czerwono naboii. Na wewnętrznej stronie

wieka znajdował się wypisany czerwonymi literami napis: *Uwaga - Materiał jądrowy - Odbezpieczyć przez naciśnięcie podstawy i przekręcenie o 180° w prawo - Nie dotykać bez rozkazu oficera.* O'Neill patrzył, jak Isaacs wyjmuje z pudła pięć naboí i starannie kładzie po jednym obok każdego karabinu.

Wtem Hunter zauważył Churchilla stojącego z kilkoma innymi oficerami przy zaparkowanych pojazdach. Ruszył w jego stronę, a Churchill wyszedł mu na spotkanie.

- Szykuje się niezłe przedstawienie, specjalnie dla nas - powiedział Churchill. Mrużył oczy, jakby raziło go słońce.

- Dziwię się, że nie przywieźli Willie'ego Ayscue'a, żeby pobłogosławił ćwiczenie. Czy naprawdę będziesz z tego strzelał?

- Może tak, może nie. Będziemy losowali.

- Dlaczego nie wszyscy mogą spróbować?

- Nie wiem. To może być nowotwór, lecz niezłośliwy. Mam nadzieję. Żałuję, że pozwoliłem jej zostać samej. - Churchill mówił beznamiętnym tonem.

- Dlaczego chciała zostać sama?

- Nie wiem. Może wszyscy umówili się, że będą się zachowywać tak, jakby chodziło o błahostkę. Nie wiem.

- Rozumiem. Kiedy dowiesz się o wynikach analizy?

- Lada chwila. Lucy zadzwoni na stanowisko dowodzenia, a oni skontaktują się z Brianem przez radio. On to wszystko wymyślił.

- Rozumiem. Chciałbym bardzo...

- Proszę wszystkich na instruktą - rozległ się z głośnika wzmocniony głos Venablesa. - Wszyscy oficerowie grupy B1 stawiają się na instruktą na stanowisko ogniowe.

- To do mnie - powiedział Churchill. - Max, jeśli w tym czasie nadejdzie wiadomość, odbierzesz ją za mnie? Uzgodniłem to z Brianem. Powiedzą, że wzywają Kowala, to mój kryptonim, a potem powiedzą tylko „Dobre nowiny” albo „Złe nowiny”.

- Oczywiście, zajmę się tym.

- Dziękuję. Chciałbym usłyszeć to od ciebie. Ale wiadomość może nadejść już po instruktażu. Jak tylko się skończy, przyjdę do samochodu Briana. Na razie.

Churchill podążył za swoimi towarzyszami. Pułkownik White wysiadł z samochodu, w którym siedział od chwili przybycia na punkt zborny i czytał jakieś naukowe czasopismo. Teraz żwawo pokuśtykał w tę samą stronę co pozostali. Zjawił się Ross-Donaldson, który przyłączył się do niego. Hunter wrócił na miejsce, gdzie rozmawiał z Leonardem. Ten właśnie przebiegł

kilka metrów do swego samochodu, wsiadł doń i trzasnął drzwiczkami. Okienko było jednak otwarte i gdy Hunter podszedł, usłyszał jego podniecony głos:

- Tu Kłódka. Odbiór.

- Zauważyłem cywila zbliżającego się do południowo-wschodniego narożnika - zabrzmiało z głośnika. - Obserwuję go przez lornetkę, ale nie wiem, czy to Optimus. To może być on. Porusza się powoli i ostrożnie, stara się nie wychodzić spod osłony. Na pewno zobaczył nas, ale myśli, że my go nie zauważyliśmy. Odbiór.

- Tak trzymać - powiedział Leonard, biorąc do ręki mapnik i pisak. - Podaj współrzędne jego aktualnej pozycji i przybliżony kierunek ruchu. Odbiór.

Z głośnika posypały się litery i liczby. Leonard narysował na pokrywającym mapę celuloidzie czerwony krzyżyk i strzałkę skierowaną na północny zachód. Następnie przez moment przyglądał się mapie i powiedział:

- Chyba idzie do tego jaru czy wąwozu w grzbiecie, o jakieś siedemdziesiąt metrów na północny wschód od ciebie. Czy potwierdzasz? Odbiór.

- To możliwe, sir. Tak, ma po drodze niezłą osłonę i sam wąwóz też jest gęsto zadrzewiony. Tak, idzie teraz w tym kierunku. Aha, i wydaje mi się, że to jednak Optimus. Odbiór.

- Dobra, świetnie. W porządku, sierżancie. Proszę kazać chłopcom po obu stronach wąwozu, żeby wycofali się, kiedy on się zbliży. Ale stopniowo. Nie zdradzać się. Zameldować o wykonaniu. Odbiór.

- Zrozumiałem, Kłódka. Bez odbioru.

Leonard uniósł głowę. Pot lśnił pośród rzadkich włosów nad jego czołem.

- Chyba go mamy - powiedział.

- Optimus, czyli po angielsku Best. - Hunter był także podniecony. - Uczony z ciebie człowiek, Brian. Skąd twoi chłopcy wiedzą, jak on wygląda? Czyżbyś posłał wszystkich na wycieczkę do szpitala?

- Kazałem go sfotografować. Oczywiście z ukrycia.

- Cudownie. I co go teraz czeka?

- Kiedy przejdzie przez kordon, pozwolę mu dotrzeć tutaj. Żołnierze na stanowiskach obronnych mają rozkaz jak najwięcej się pokazywać. Gdy tylko się dowiem, którądy idzie, każę im rozsunąć się na boki, tak jak przed chwilą zrobił to kordon. Możemy się go spodziewać gdzieś w tamtej okolicy - Leonard wskazał pewien punkt na horyzoncie - rzecz jasna, z aparatem fotograficznym.

- I wtedy go capniesz.

- Nie, chcemy, żeby przekazał zdjęcia, wtedy będziemy mogli capnąć też łączników. Rozciągamy nad nim ciągłą obserwację. Pozwolimy mu opuścić teren tą samą drogą, którą tu przybył. W towarzystwie jednego z moich ludzi.

Hunter z podziwem pokręcił głową.

- Dokładnie przemyślany plan. I bardzo kosztowny. Całe to przedstawienie na wyłączny użytek Besta.

- Wcale nie na jego użytek - powiedział z naciskiem Leonard. - Nie rozumiem, dlaczego tak sądzisz. To bardzo ważny element szkolenia.

- Tak, oczywiście. Ale to również niezwykle skuteczna pułapka na szpiega.

- Szczerze mówiąc - rzekł konfidencjonalnie Leonard - nie można tego zaliczyć do właściwego szkolenia. Jest to raczej pokaz. Ci chłopcy umieją wszystko na pamięć. Ale uważamy, że widok broni w akcji wywoła znakomity efekt psychologiczny. Dzięki temu uwierzą w jej działanie, nabiorą pewności siebie, przestaną myśleć wyłącznie w kategoriach teoretycznych.

- Dobry pomysł.

Głośnik znów ożył.

- Halo, Kłódka. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

- Kłódka, słucham. Odbiór.

- Cywil zbliża się teraz do wylotu wąwozu. Ostatecznie zidentyfikowany jako Optimus. Żołnierze po obu stronach wąwozu zmieniają pozycje zgodnie z rozkazem. Odbiór.

Hunter nie czekał, aż Leonard odpowie. Powoli przeszedł w pobliże bunkra, gdzie właśnie zaczynał się instruktaż. Był zamyślony.

- Przedstawiam panom kapitana O'Neilla - rzekł bez wstępu Venables. - Niektórzy już go znają. Opowie wam o wszystkim, co powinniście wiedzieć na temat tej strzelby.

Z tymi słowami Venables usiadł na trawie. O'Neill stanął w środku grupy, trzymając za kolbę jeden z karabinów.

- Panowie, oto RBJ-17 - powiedział. - Jak wiem, przeszliście pełne szkolenie w sprawach taktycznego stosowania ręcznej broni jądrowej, sposobu jej działania, specjalnych problemów związanych z amunicją i tym podobne. Pozwólcie jednak, że przypomnę parę podstawowych informacji. Przede wszystkim musicie pamiętać, iż jest to zwykły karabin, który wykorzystuje niezwykłą amunicję, i że nawet pocisk aż do chwili trafienia w cel zachowuje się w miarę zwyczajnie. Jak widzicie, przypomina on normalny, nieco staroświecki wojskowy karabin z kilkoma luksusowymi dodatkami: dwójnogiem zwiększającym stabilność, przedłużoną lufą ułatwiającą celowanie, tłumikiem rozbłysku służącym do maskowania

pozycji. Zwyczajny magazynek, zwyczajna konstrukcja zamka. - Zademonstrował działanie tych elementów. - Będziecie jeszcze mieli okazję, aby się z nim zapoznać, przy użyciu ślepych naboí. Jeśli chodzi o prawdziwą amunicję, to posiada ona moc uderzeniową 0,085 T, co, jak wiecie, równa się osiemdziesięciu pięciu tysiãcznym tony TNT, czyli po prostu osiemdziesięciu pięciu kilogramom. Wydaje się, że to niewiele. Rzeczywiście, w porównaniu z mocą niektórych taktycznych typów broni jądrowej jest to okruszyna. Jednakże gówną zaletą tej broni jest nie moc uderzeniowa, lecz prędkość i selektywność uderzenia. Pluton wyposażony w RBJ-17 wykazuje ruchliwość i zdolność obserwacji terenu pojedynczego żołnierza połączoną z siłą ogniową, powiedzmy, trzech baterii artylerii. To ideał w warunkach wojny ruchomej w trudnym obszarze. Druga zaleta techniczna jest związana ze zjawiskiem opadu radioaktywnego. Mamy tu pocisk o niezwyklej czystości, o przełomowej czystości, można by rzec. Dzisiaj, rzecz jasna, zachowamy wszelkie środki ostrożności, ale zapewniam was, że osadowe promieniowanie prawie nie występuje. Gdyby nie czynnik termiczny, o którym za chwilę powiem parę słów, teren oczyszczony przy użyciu RBJ-17 nadawałby się do prawie natychmiastowego użytkowania. Istnieją jednak specjalne okoliczności, w których pożądané jest zastosowanie całkiem innego rodzaju pocisku. Z oczywistych względów nie będziemy dziś w samym środku Anglii strzelać takimi pociskami. Ale proszę wyobrazić sobie skupisko ludności nieprzyjaciela znajdujące się w zasięgu naszego lotnictwa. Implikacje są oczywiste.

W tym momencie Hunter usłyszał, że Leonard woła go z samochodu. Natychmiast odwrócił się i podbiegł do niego.

- Kowal - powiedział Leonard.

- Czy przekazali już wiadomość?

- Zaraz im każę.

Leonard wziął do ręki mikrofon.

- Halo, centrala. Przekaż wiadomość. Odbiór.

- Halo, Kłódka. - Hunter rozpoznał głos jednego ze stałych radiooperatorów stanowiska dowodzenia. - Początek wiadomości. Złe nowiny. Powtarzam, złe nowiny. Koniec wiadomości. Odbiór.

- Dziękuję, centrala. Wiadomość odebrałem i zrozumiałem. Bez odbioru.

Na tle trzasków głośnika Hunter słyszał głos O'Neill'a kontynuującego instruktaż, choć z tej odległości nie mógł rozróżnić słów. Po chwili warczenie helikoptera, który przelatywał ponad stanowiskiem ogniowym, zagłuszyło wszystkie inne dźwięki. Hunter i Leonard nie

patrzyli na siebie, czekając, aż hałas ucichnie. Kiedy się odezwali, słyszeli już tylko cichy pomruk.

- Straszna sprawa - powiedział wreszcie Leonard. - Biedna dziewczyna. A James nawet nie może być przy niej.

- Wiem. To nieprzyjemna sytuacja.

- Oczywiście, lekarze potrafią teraz bardzo wiele. Jeśli wcześniej to wykryją, są spore szanse ratunku.

- Tak, to prawda.

- Kiedy mu powiesz?

- Zaczekam na stosowny moment.

- Nie zazdroszczę ci, Max. Co, do diabła, można powiedzieć w takich okolicznościach?

Człowiek staje się taki bezradny.

- Rzeczywiście.

- Halo, Kłódka - zabrzmiało z głośnika. - Tu Charlie. Odbiór.

- Tu Kłódka, słucham. Odbiór.

- Optimus znajduje się teraz wewnątrz kordonu i nadal posuwa się na północny zachód.

Za minutę lub dwie stracę go z oczu. Czy masz dla mnie jakieś rozkazy? Odbiór.

- Nie, wszystko w porządku. Obserwuj go, jak długo się da. Zamelduj o pozycji, na której straciłeś kontakt wzrokowy. Twoi ludzie mogą teraz odpocząć. Wszyscy spisaliście się świetnie. Odbiór.

- Zrozumiałem. Dziękuję, sir. Bez odbioru.

- Halo, Lis. Halo, Lis. Czy zrozumiałeś informację Charlie'ego? Odbiór.

- Halo, Kłódka. Tak, informację Charlie'ego odebrałem i zrozumiałem. Odbiór.

- Wspaniale. Czekajcie na pojawienie się Optimusa i natychmiast zameldujcie o nawiązaniu kontaktu wzrokowego. Odbiór.

- Zrozumiałem. Bez odbioru.

W czasie tej rozmowy Hunter opierał się o drzwiczki pojazdu, popijając z manierki zawierającej coś więcej niż wodę. Wzrokiem odszukał Churchilla pośród oficerów grupy B1 siedzących w półokręgu na trawie obok bunkra i przez jakiś czas wpatrywał się w jego kark. Następnie usadowił się o kilka metrów dalej, w wygodnym zagłębieniu gruntu, i wyjął z chlebaka powieść w tanim wydaniu. Miał kłopoty ze znalezieniem miejsca, w którym uprzednio przerwał lekturę, i z przypomnieniem sobie dotychczasowej akcji. Wreszcie zaczął czytać jeszcze raz od początku, lecz po kilku minutach odłożył książkę i wziął do ręki



manierkę. Siedząc w zagłębieniu popijał powoli i palił papierosa. O'Neill kontynuował swój wykład, a Leonard siedział w samochodzie.

Wreszcie instruktaż dobiegł końca i Isaacs rozpoczął pokaz musztry z bronią. Hunter obserwował go przez jakiś czas, ale wkrótce poczuł senność. Zanim jednak zasnął, oficerowie zaczęli się rozchodzić. Hunter wstał.

Churchill natychmiast go zauważył i obaj pośpiesznie ruszyli ku sobie.

- Przekazali wiadomość?

- Tak - odpowiedział Hunter. - Złe nowiny.

Churchill otworzył nieco usta, i szybko je zamknął.

- Rozumiem.

- Napijesz się?

- Tak.

Wziął manierkę Huntera i wypił jej zawartość.

- Dziękuję.

- Co teraz zrobisz?

- Pójdę do pułkownika i poproszę go o krótką przepustkę w związku ze sprawami osobistymi. Opowiedziałem mu wczoraj co nieco. Podwiózłbyś mnie do Lucy?

- Oczywiście.

- Czekaj na mnie przy swoim jeepie za kilka minut, dobrze?

Kiedy Hunter odchodził, Leonard poruszył się na fotelu samochodu i zauważył go.

- Jak on to przyjął?

- Nie wiem - powiedział Hunter. - Naprawdę, nie wiem.

- To dzielny chłopak. Potrafi to znieść.

- Chyba tak. Mam nadzieję, że ona też.

- Halo, Kłódka. Tu Lis. Nie widzę Optimusa. Powtarzam, nie widzę Optimusa. Odbiór.

- Halo, Lis - powiedział Leonard do mikrofonu. - Zrozumiałem. Bez odbioru.

Podniósł głowę, ocierając dłonią pot z ciemnej od zarostu górnej wargi. Jego podniecenie zniknęło bez śladu.

- Nie mam pojęcia, co on knuje - rzekł oskarżycielskim tonem. - Chyba nie postanowił się zdrzemnąć? Już piętnaście lub dwadzieścia minut temu powinni go zauważyć z tego stanowiska.

- Nie martw się, jeszcze go znajdą. Na razie.

Odchodząc, Hunter usłyszał jeszcze słowa Leonarda:

- Halo, George...

- Przepraszam, że tak długo to trwało - powiedział Churchill, kiedy wreszcie się zjawił.  
- Musiałem jeszcze zdobyć zgodę Venablesa. Mam czas do dziewiątej jutro rano.

- To dobrze.

Hunter tyłem wyprowadził swego jeepa z linii pojazdów i powoli ruszyli leśną dróżką, którą parę godzin temu przejeżdżał konwój. Najpierw ziemię porastała tylko rzadka trawa, gdzieś tam oznaczona skrawkami szarej skały, lecz wkrótce pojawiły się paprocie i niskie krzewy, gdy zaś wjechali na szutrową drogę mogącą zmieścić tylko jeden pojazd, z mijankami co pewien czas, byli już w lesie. Listowie lśniły zielenią, a poszycie było bardzo gęste. W pewnym momencie wśród kamieni rozbłysł mały strumyk. Churchill spojrzął nań przez okno i powiedział:

- Wiedziałem, że to się stanie.

- Nie, wcale nie, James. Myślałeś, że to może się stać, i to się stało. Nie ma to żadnego związku z jakimikolwiek innymi wydarzeniami. Sama wiedza o istnieniu pewnych rzeczy nie może spowodować pojawienia się innych rzeczy. Nie próbuj tłumaczyć zbiegów okoliczności. Wszystkie te spekulacje nic nie są warte.

- Wtedy, w nocy, zgodziłeś się ze mną. Kiedy opowiedziałem ci o węźle.

- Powiedziałem tylko, że rozumiem, o czym mówisz. Nie chciałem kłócić się z tobą. Teraz też nie chcę. Uważam tylko, że szukanie ukrytego znaczenia w tego typu zdarzeniach pogarsza jedynie sytuację, a nie poprawia.

- Wolę to niż rozmyślanie o... I nie szukam ukrytego znaczenia, widzę schemat, według którego wszystko rozwijało się od samego początku. To zły schemat. Jego podstawą jest śmierć.

- Nie mów tak. To wyłącznie przypadek. Nic innego. Nie kryje się w tym, ani w ogóle nigdzie, nic i nikt.

- Wiem, że nikt się za tym nie kryje. Ale takie schematy istnieją, nawet jeśli nikt ich z premedytacją nie stworzył. Pech, mówiłem ci już. A system, który funkcjonuje bez nadzoru, nie przestaje być systemem. Nie musisz wierzyć w boga pogody, żeby znienawidzić klimat.

- A ty musisz unikać nienawiści, nawet jeśli jest nieunikniona.

- Tak, postaram się. Nie chcę już o tym rozmawiać.

Kiedy przyjechali, Lucy wyszła z salonu i ucałowała ich obu. Na twarzy miała ślady łez.

- Jak ona się czuje? - zapytał Churchill.

- Jest bardzo dzielna. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nic nie mówi. Właśnie się położyła.

- Dobrze. Dziękuję za podwiezienie, Max.

Gdy Churchill wyszedł, Lucy powiedziała:

- Napij się ze mną.
- Dziękuję, właśnie o tym marzę.

Usiedli obok siebie na kanapie w salonie. Hunter dotychczas widywał ten pokój zagracony butelkami ginu i toniku, misami z topniejącym lodem oraz przepelnionymi popielniczkami. Teraz wpadały do niego promienie słońca, meble były przestawione i wydawało się, że właścicielka pokoju postanowiła zacząć nowe życie. Zważywszy na okoliczności, było to całkiem prawdopodobne.

- Czy to bardzo poważne? Znasz szczegóły?
  - To rak. - Głos Lucy był zachrypnięty bardziej niż zazwyczaj. - Na razie nie wiadomo nic więcej. Jutro ma jechać na operację i dalsze leczenie.
  - To dobrze. Przynajmniej coś robią.
  - Max, skąd biorą się takie rzeczy?
  - Tego nikt nie wie. Jest mnóstwo teorii.
  - Czy to może mieć jakiś związek z trybem życia, jaki się prowadzi? Wiesz, z różnymi przejściami?
  - Chyba jest i taka teoria.
  - Wczoraj wieczorem powiedziała mi, że przyczyną tego jej stanu jest tryb życia, jaki wiodła, zanim spotkała Jamesa, a on pojawił się już za późno. To byłoby straszne.
- Łzy napłynęły jej do oczu. Hunter objął ją ramieniem.
- Równie straszne jak to, o czym już wiemy - powiedział.
  - Dlaczego właśnie na nią musiało trafić?
  - Złym ludziom też to się przydarza. To zwykły przypadek, kochanie.
  - Jak myślisz, jakie ma szansę?
  - Och, sądzę, że całkiem spore. Przy takiej lokalizacji można...
  - Tak. Zostaniesz na obiad?
  - Chciałbym, ale muszę wracać na te idiotyczne ćwiczenia. Skończą się przed wieczorem. Przyjadę wtedy, jeśli będę mógł.
  - Postaraj się. Nie będzie nikogo innego.

Wypili jeszcze po szklance w całkowitym niemal milczeniu i Hunter oświadczył, że musi jechać. Za pozwoleniem Lucy wlał zawartość jednej z butelek do manierki i dołał nieco wody. Chciał już odrzucić jej propozycję zabrania dodatkowej nie napoczętej małej butelki, lecz stwierdził, że po wyrzuceniu racji obiadowych - kanapek z wędzonym łososiem i pasztetom z wątróbki drobiowej - w chlebaku pojawi się odpowiednia ilość wolnego miejsca.

Wychodząc zatrzymał się u stóp schodów i nasłuchiwał przez chwilę. Nie doszły do niego żadne dźwięki.

W drodze powrotnej, jakieś trzy czy cztery mile od punktu zbornego, wypełnił jego uszy potężny, świdrujący hałas. Zdawało się, iż jeep wibruje w rezonansie. Podniósł wzrok i ujrzał jeden z helikopterów lecący dokładnie nad nim na wysokości wierzchołków drzew. Po upływie minuty, którą załoga śmigłowca spędziła zapewne na przyglądaniu się białemu krzyżowi wymalowanemu na masce samochodu - był to znak wszystkich pojazdów biorących udział w ćwiczeniu - maszyna odleciała.

Niebawem Hunter natknął się na szereg żołnierzy w oporządzeniu bojowym maszerujących wolno poboczem drogi. Zatrzymał się przy prowadzącym ich podoficerze.

- Co się dzieje, sierżancie?

- Nie wiem, sir. Szef kompanii dostał rozkaz przez radiostację... Dobra, chłopcy, chwila odpoczynku.

Pomrukując coś, żołnierze usiedli na poboczu lub oparli się o trawiaste zbocze za nim. Nietrudno było się domyślić, że klęli zdrowo na swój los, zanim przybył Hunter, i że powrócą do tego z chwilą jego odjazdu.

- Ale o co chodzi?

- Nie wiem, sir. Mamy stawić się w punkcie gdzieś w tym lesie. Szef kompanii mówił coś o przeszukiwaniu terenu. To może zająć nawet cały dzień, sir.

- Czyj to rozkaz?

- Kapitana Leonarda, sir.

Żołnierze zaczęli mruzczyć głóśniej. Można już było rozróżnić poszczególne słowa.

- Rozumiem. No, cóż, dopilnuję, żeby wszyscy dostali gorący posiłek natychmiast po powrocie do obozu.

- Bardzo dziękuję, sir.

Gdy Hunter ruszał w dalszą drogę, jego oczy, raczej zmętniałe w ciągu minionej godziny czy dwóch, znów rozbłysły. Oddalwszy się od pieszego oddziału na odległość kilku zakrętów, zatrzymał samochód i napił się z manierki. Na skrzyżowaniu szosy z dróżką wiodącą do punktu zbornego pomachał do niego kapral stojący na poboczu.

- Nie radzę wjeżdżać na samą górę, sir. Zaraz zaczną strzelać. Wszyscy, którzy nie mają oficjalnego przydziału do bunkra, powinni pozostać na tym stoku.

- Dziękuję, poradzę sobie jakoś.

Hunter przejechał jeepem jeszcze kilkaset metrów aż do miejsca, gdzie uruchomiwszy napęd na cztery koła, zdołał zjechać z dróżki. Wysiadł z samochodu i poprzez zarośla wspiął się

na brzeg kotliny w pobliże bunkra. Znajdował się niemal dokładnie nad nim, tak blisko, że mógł dostrzec stojących razem w rogu Venablesa i Isaacsza. Znajomy czołg stał na drugim końcu doliny, zapewne bez załogi.

Wyglądało na to, że w bunkrze szykuje się coś ważnego. Jeden z oficerów stał, celując na progu strzeleckim. O'Neill zajął miejsce obok niego. Wszyscy zamarli w całkowitym bezruchu. Po chwili namysłu Hunter położył się za małą nierównością terenu i zaczął wyglądać zza jej osłony. Nagle usłyszał wysoki, wyraźny głos O'Neilla:

- Ognia!

Rozległ się ostry trzask zwykłego strzału karabinowego, po czym z drugiej strony doliny, tam, gdzie stał czołg, pojawiło się coś przypominającego mały kawałek słońca. Wszystko w tamtej okolicy stało się na moment niewyraźne i przyćmione. Fala ciepłego powietrza silnie uderzyła Huntera w twarz. Wreszcie w jego uszy wbił się basowy łoskot, jakby krótki fragment odgłosu gromu, zaś nad celem szybko nabrzmiał obłok ciemnoszarego dymu.

W bunkrze rozległy się głosy. Oficer, który strzelił, wyrzucił pustą łuskę z zamka karabinu. O'Neill znów zaczął swój wykład. Przez minutę lub dwie Hunter obserwował dym, który wcale nie rzednął. Wyglądało na to, że nie wydarzy się już nic godnego uwagi. Wieloletnie doświadczenie pozwoliło Hunterowi bez trudu rozpoznać początek jednego z owych długich okresów bezruchu, absolutnie pozbawionych wyróżniających cech, gdyż nie sposób przewidzieć, jak i kiedy się zakończą. Składa się z nich lwią część służby w wojsku. Zaczekał, aż dym rozplynie się na tyle, by w miejscu, gdzie przed chwilą znajdował się czołg, można dostrzec ciemnoczerwony splacheć ziemi porytej i pobrużdżonej, jakby pośpiesznie przesunął się przez nią gigantyczny pług z bardzo tępym lemieszem. Potem zszedł po stoku, wsiadł do jeepa i pojechał do punktu zbornego.

Tutaj panował rozgardiasz. Jedna grupa żołnierzy pod dowództwem sierżanta właśnie przybywała, a druga odchodziła. W obu grupach panował nastrój zbliżony do atmosfery w oddziale, który Hunter spotkał na drodze. Dwie krótkofalówki działały jednocześnie, zaś grupa sygnalistów demontowała trzecią. Motocyklista usiłował uruchomić swą maszynę. Ktoś tyłem wyprowadzał jeepa z linii zaparkowanych pojazdów, klaksonem rozpędzając żołnierzy stojących na jego trasie. Helikopter unosił się znad grzbietu wzgórza, gdzie widocznie ukrył się przed wybuchem. W oddali można było dojrzeć drugą krążącą maszynę.

W środku tego wszystkiego znajdował się ociekający potem Leonard. Rozmawiał na przemian z dwoma podoficerami, nerwowym krokiem chodził od jednej sprawnej krótkofalówki do drugiej, a wreszcie popędził do swego samochodu i zaczął krzyczeć do mikrofonu.

Kiedy helikoptery wylądowały, a zamieszanie nieco zmalowało, Hunter podszedł do Rossa-Donaldsona, na którego obliczu malowało się zainteresowanie, acz nie zaangażowanie.

- Skąd ta cała panika?

- To oczywisty przypadek zbiorowej emocji i łańcuchowego działania przykładu dowódcy. Wojsko zapewnia niezrównane możliwości do obserwacji takiego efektu. Oczywiście, występował on też i w innych epokach. W „Kwartalniku Wojskowym” ukazała się seria artykułów o słynnych wybuchach paraneurotycznego popłochu poczynając od klęski tej nocnej operacji Ateńczyków na wzgórzach koło Syrakuz.

Hunter zapalił papierosa.

- A co nie wyszło tym razem?

- Leonard oczekiwał tego Besta, który rzekomo miał pojawić się w okolicy w celach szpiegowskich. Chyba słyszałeś o tym.

- Owszem, obito mi się o uszy.

- Wszystkim obito się to o uszy. Otóż Best nie zjawił się. Zdaniem Leonarda, powinni byli go zlokalizować już dwie godziny temu. A jak widzisz, trzeba go szukać. W tym celu ściągają się ludzi z kordonu oraz stanowisk obronnych i przerzuca ich do przeczesywania terenu. Można by pomyśleć, że to proste zadanie, ale w praktyce okazuje się nad wyraz niewdzięczne.

- Widzę, że wezwał do tego również ważki - powiedział Hunter, ruchem głowy wskazując na Leonarda, który gestykułując rozmawiał z pilotami helikopterów.

- Poroniony pomysł. Większość terenu jest tak dobrze zamaskowana, że nawet niedoświadczony pojedynczy człowiek może uniknąć obserwacji z powietrza. Jedyne wyjątki to ta dolina, - zresztą chyba polodowcowego pochodzenia, nie sądzisz? - i bezpośrednie podejścia do niej, a jeśli on tam dotarł, łatwo będzie dostrzec go i z ziemi. Zagrałbyś partyjkę pikiety?

- Z przyjemnością.

Podeszli do jeepa Rossa-Donaldsona. Samochód posiadał pewne pozaregulaminowe wyposażenie. Niebawem wylądowali z niego i ustawili dwa składane krzesła z zielonego płótna i niepokostowanego drewna, mały stolik karciany oraz zielono-biały plażowy parasol z teleskopowym trzonkiem. Usiedli, a Ross-Donaldson wyjął z chlebaka dwie nowe talie kart.

- Nieźle się zaopatrzyłeś - rzekł Hunter.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Szampana?

- Chętnie.

Na znak swego szefa, ordynans Rossa-Donaldsona przyniósł z jeepa metalowy cylinder wielkości ośmiocalowego pocisku okrętowego i dwa srebrne kubki. Cylinder był w

rzeczywistości termosem i zawierał dwulitrową butelkę wspaniale schłodzonego Kruga 1955. Otworzyli ją i rozlali do kubeczków.

- Och - powiedział Ross-Donaldson, sącząc napój. - Chyba nieco za zimny.

- Dla mnie w sam raz.

- Cóż, zaradzimy temu, nie zakręcając pokrywy, lecz jedynie luźno ją nakładając. Może zagramy na razie krótką partię, a potem zobaczymy, co słychać na poligonie. Wolę nie prorokować, jak długo Leonard i jego witezie będą wykonywać swoje akrobacje. Przełoż.

- Kiedy już wyruszą, będą mieli do przejścia nie więcej niż milę, prawda? Nie potrzeba na to całej nocy. Jak myślisz, dwa szylingi za punkt?

- Zgoda. Ale teren jest bardzo nierówny, a Leonard ma za mało ludzi i kazał im posuwać się zygzakami. Dobieram jedną.

- Moim zdaniem - powiedział z roztargnieniem Hunter - Best już dawno prześliznął się poza kordon. A nawet jeśli jeszcze tego nie zdążył zrobić, to teraz ma wspaniałą okazję, bo Leonard przerzedził kordon, żeby mieć więcej ludzi do przeczesywania. Pięć punktów.

- Mało. Z ust mi to wyjąłeś. Czy sądzisz, że ten Best rzeczywiście jest szpiegiem? Znasz go chyba lepiej niż ktokolwiek inny.

- Trójka do waleta. Nie mam zielonego pojęcia. Brian nie ma co do tego wątpliwości.

- Mało. A czy można polegać na jego opiniach?

Hunter zawahał się.

- Raczej tak. Uważam go za bardzo kompetentnego człowieka.

- Wiem, że czasami traktujesz go jak błazna.

- Tylko prywatnie. Od oficera Służby Bezpieczeństwa nie można przecież oczekiwać zbyt wielkiej inteligencji i tak dalej.

- Czyżby? Może to i prawda. Co jeszcze masz?

- Przepraszam. Trzy walety. Ale nie znam się na sprawach kontrwywiadu.

- Czy twoim zdaniem inni także uważają Leonarda za kompetentnego?

- Myślę, że tak. A ty co o nim sądzisz?

Hunter wzdrygnął się gwałtownie, słysząc kolejny wystrzał i zwiłokrotniony dźwięk wybuchu, ale nie rozlał swego szampana. Ross-Donaldson nawet nie drgnął.

- Dolej sobie jeszcze - zaproponował, kiedy Hunter doszedł do siebie. - Na czym to skończyliśmy? Za mało.

- O, rany. Muszę chyba zacząć licytację.

Pod koniec tej krótkiej partii Hunter przegrywał o ponad czterysta punktów.

- Obawiam się, że nie potrafisz właściwie oceniać swych szans - oświadczył Ross-Donaldson. - I masz strasznie krótką pamięć.

- To wielka zaleta w większości życiowych sytuacji, choć niestety nie w pikiecie. Gramy dalej?

Ross-Donaldson wyjął z górnej kieszeni kurtki wojskowy notatnik.

- W tym miesiącu jesteś mi winien dokładnie... trzysta czterdzieści osiem funtów jednaście szylingów. Chyba przespaceruję się i zobaczę, co słyhać. Poczęstuj się tymczasem.

Dzięki słońcu, szampanowi i zawartości swej manierki Hunter czuł miłe oszołomienie. Gra znudziła go, choć nie swym przebiegiem. Teraz żałował, że ustalił stawkę na dwa szylingi, a nie na sto funtów, chociaż i to nie zwiększyłyby jego zainteresowania o sto tysięcy procent. Dolewając sobie szampana, stwierdził, że życie dzieli się na żałowanie, iż gra się o nic, i żałowanie, iż gra się o zbyt wielką stawkę.

Tak minął mu kwadrans. Wreszcie wrócił Ross-Donaldson.

- Na razie nic - powiedział. - Skończyli poszukiwania i zaczęli nowe, wzdłuż prostopadłych tras. Przyleciały dwa nowe helikoptery. W radiu straszna kłótnia, bo piloci nie chcą zejść tak nisko, jak życzy sobie tego Leonard.

- A gdzie on jest?

- W polu, pośród swych żołnierzy.

- Wiesz - powiedział w zamyśleniu Hunter - jest jeden bardzo dobry sposób, żeby wykurzyć Besta z jego kryjówek.

- To znaczy, strzelanie z tych karabinów? Od tego mógłby wylecieć w powietrze.

- Nie myślę o strzelaniu. Wystarczy powymachiwać nimi, tylko celować.

- Coś mi się nie podoba w twoim pomysśle.

- Co ci się nie podoba?

- Nie wiem. Po prostu coś mi się nie podoba.

- W ten sposób te cholerne giwery przynajmniej na coś by się przydały.

Ross-Donaldson spojrzał na niego surowo.

- Już się przydały - powiedział.

- Czyżby? Dwa próbne strzały? To było dziwne ćwiczenie.

- W tej chwili badają efekty. Samo strzelanie nie wyróżnia się niczym specjalnym.

Liczy się to, co dzieje się na drugim końcu.

- To chyba działka Venablesa.

- Zagramy jeszcze partyjkę? Zdaje mi się, że mamy mnóstwo czasu.

- Dobrze. Pomyśl, on wcale się nie odzywał podczas instruktażu. To znaczy, Venables.



- Omawiano tam jedynie sprawy techniki. On jest technologiem.

- Przełoż.

- Jeszcze szampana?

W drugiej partii Hunterowi wiodło się znacznie lepiej: stracił jedynie nieco ponad piętnaście funtów. Zanim Ross-Donaldson zdążył zapisać to w notatniku, pojawił się goniec z wiadomością o zakończeniu ćwiczeń. Nie wiedział, czy Leonardowe poszukiwania do czegoś doprowadziły.

- Gdyby go złapali, dowiedzielibyśmy się o tym.

- Zgadza się. Muszę iść dopilnować załadunku. I trzeba rozmieścić tablice ostrzegawcze wokół celu.

- Po co? Myślałem, że to coś w zasadzie nie jest radioaktywne.

- Przepisy, Hunter. Bardzo ci dziękuję za grę. Powinieneś zacząć trenować pamięć. Wiesz, to da się zrobić.

- Być może. Odegram się na tobie w trik-traka.

Na dróżce pojawił się samochód Leonarda i podskakując na wybojach podjechał do Huntera. Leonard wysiadł powoli. Przez dziurę w spodniach widać było umazane błotem i skrzepłą krwią kolano, zaś koszula była sztywna od potu. Bez słowa spojrział na Huntera.

- Nie martw się, Brian. Przynajmniej masz teraz dowody przeciw niemu.

- Nadal nie mogę go aresztować. Mogę go tylko przenieść do czerwonej grupy podejrzanych.

- No, to już coś.

- Za mało. Nie wiesz czasem, czy nie ma tu gdzieś odrobiny sherry?

- Nie jestem pewien, ale wątpię, czy znajdziesz coś takiego w okolicy. Spróbuj tego.

Hunter podał mu swą manierkę.

- Co to jest?

- Nieważne co. Ważne, że to ci dobrze zrobi.

- Dziękuję. - Leonard napił się. - O, Boże, chciałbym, żeby mi to dobrze zrobiło.

- Jak myślisz, co się stało z Bestem?

- Nie pytaj mnie. Widocznie gdzieś się schował, a potem uciekł.

- Rozumiem. Ale nie mógł przyjść tu z domu wariatów na piechotę, prawda? Część drogi musiał przejechać. Może byś polecił odszukać jego samochód?

- Zrobiłbym to, gdybym wiedział, gdzie jest. Zostawiłem drużynę, która go szuka. Przydzielono mi faceta ze skuterem, który miał go śledzić, ale w skuterze pękła dętka. Dostanę za to i ochrzani od szefa.

- Z tego wniosek, że musisz jeszcze bardziej ochrzanić swoich ludzi. No, no. Nie masz zbyt wiele szczęścia, Brian.

- To się wkrótce zmieni. Jestem pewien, że to się zmieni.

Wreszcie konwój był gotów do wyjazdu. Wyruszono z wyjątkowo małym opóźnieniem. Hunter jechał za drugą z dwóch ciężarówek wiozących żołnierzy piechoty. Pomędzy nimi podążał samochód ze sprzętem. Sierżant kwatermistrz, jego zastępca, zajmował miejsce obok. Dotarli do zjazdu na szutrową drogę i przebyli jeszcze kilkaset metrów, kiedy ciężarówka przed nimi raptownie zatrzymała się. Hunter zahamował. Po kilku chwilach usłyszał okrzyki dochodzące z czoła kolumny.

- Znów gry i zabawy - powiedział kwatermistrz.

- Zobaczymy, co się dzieje. Niech pan idzie ze mną, sierżancie.

Głęboki rów po jednej stronie drogi i strome zbocze po drugiej utrudniały obejście ciężarówki. Gdy tego dokonali, zobaczyli, że samochód ze sprzętem jest przechylony lekko na jeden bok, jedno przednie koło zwisa nad rowem, a spod uniesionej maski buchają płomienie. Kilku żołnierzy biegało drogą, wykrzykując do siebie.

- Zamknij tę pieprzoną maskę!

- Zaciął się, skurczybyk.

- Gdzie jest ta pieprzona gaśnica?!

- Zaciął się, skurczybyk.

- Wyciągnijcie majora, zanim wybuchnie paliwo!

- Nie chce się ruszyć, skurczybyk.

Sierżant odwrócił się i podbiegł do ciężarówki z żołnierzami. Hunter podszedł do szoferki płonącego pojazdu, gdzie na pasażerskim siedzeniu Venables czytał jakiś gruby maszynopis.

- Niestety, muszę zasugerować, aby opuścił pan to miejsce, majorze. Ciężarówka płonie.

- Właśnie widzę. Jest tu jednak aż zbyt wiele osób o wystarczających kwalifikacjach, aby się z tym uporać. Niech ugaszą ogień.

- Lada chwila pięknie szyba. Na drodze będzie pan bezpieczniejszy.

- Nie mogę wyjść. Krzaki uniemożliwiają otwarcie drzwi z mojej strony.

- To niech pan wyjdzie tędy. Szybciej, majorze.

- Nazywam się Venables. No, dobrze już.

Zanim Hunter wydobył Venablesa z szoferki, pojawił się Leonard. Widać było, że dotarł tu nie bez wysiłku. Przy kurtce brakowało mu guzika, a na policzku miał świeże zadraśnięcie. On także zaczął krzyżeć.

- Wyładować sprzęt, szybko! Wszyscy do roboty! Wyładować sprzęt!

Droga była teraz niemal zapchana żołnierzami i wkrótce niektórzy zaczęli wykonywać rozkaz Leonarda. Dwaj szeregowcy opuścili tylną burtę pojazdu i zaczęli przenosić broń oraz amunicję, znacznie mniej delikatnie niż podczas porannego rozładunku. Sam pożar, choć pustoszył przednią część ciężarówki, nie przyciągał większego zainteresowania. Dwa karabiny i skrzynka z amunicją znalazły się na drodze, zanim sierżant kwatermistrz zdołał przepchnąć się z gaśnicą i skierować jej strumień na płomień. Zmalały najpierw nieznacznie, a po chwili, gdy podbiegł kierowca z drugą gaśnicą, szybko zniknęły. Rozległ się powszechny pomruk ulgi. W tym momencie Hunter, który wpatrywał się w gęsty przydrożny las, chwycił Leonarda za ramię.

- Brian, patrz. Tam. Widziałeś go?

- Kogo? Gdzie?

- Besta. Przy tym drzewie obrośniętym bluszczem. Odwrócił się i uciekł, kiedy zobaczył, że na niego patrzę. Jestem niemal pewien, że to był on.

Leonard nie tracił czasu. Za sznurek wyciągnął z kieszeni gwizdek i dmuchnął weń ze wszystkich sił. Natychmiast zapadła cisza.

- Optimus jest w tym lesie! - ryknął. - Macie go złapać. Wszyscy do roboty. Ruszać się! Szybko! Cały las ma być przeczesany. To rozkaz dla każdego. Dla każdego! Dla kierowców, ordynansów, bez wyjątków. Ruszać się, powiedziałem.

Kiedy pierwsza grupa żołnierzy, klnąc bez żenady, przeskoczyła przez rów i zaczęła przedzierać się przez zarośla, Leonard zwrócił się do sierżanta kwatermistrza.

- Dobra robota, sierżancie. A teraz proszę wziąć mój samochód, dogonić resztę konwoju i zawiadomić ich o tym, co się stało. Nie mogą być dalej niż kilkaset metrów stąd. Proszę zameldować się adiutantowi. I niech się pan pośpieszy.

- Tak jest, sir.

Sierżant pobiegł. Leonard dał susa przez rów i z trzaskiem gałęzi i krzykiem zniknął Hunterowi z oczu. Ten zerknął na Venablesa, który siedział w ruinach szoferki i dalej czytał swój maszynopis. Bez zainteresowania podniósł wzrok, gdy Hunter minął go i wszedł do lasu.

Po półgodzinie Hunter stwierdził, że nie ma już ochoty dalej brudzić sobie munduru i znosić ukąszeń owadów. Bolała go głowa. Nie znalazł ani Besta, ani nawet Leonarda. Natknął

się tylko na dwóch piechurów palących papierosy w wyjątkowo gęstych chaszcach. Udał, że ich nie zauważył. Niespiesznie powrócił na drogę.

Po upływie następnej półgodziny Leonard i jego ludzie powrócili z niczym, załadowali sprzęt i wzięli wypaloną ciężarówkę na hol, po czym konwój znów ruszył w drogę.

Doktor Best obserwował ich odjazd.

## CZEŚĆ III

### Operacja „Apollo”

W dziewięć godzin później Churchill leżał w łóżku z otwartymi oczyma, trzymając jedno ramię wokół talii Catharine, a drugie - za jej plecami. Mniej więcej co minutę uważnie przysłuchiwał się jej oddechowi. Nie wiedział, czy śpi, choć oddychała głęboko i równo i już od dawna nie poruszyła się. Powiedziała mu, że zażyła pigułkę nasenną. Budzik nastawiony był na wpół do ósmej. O tej godzinie wstaną i ubiorą się, po raz pierwszy robiąc to razem, i pojedą do miasta, do szpitala. Tam, po przyjęciu Catharine, Churchill miał porozmawiać z opiekującym się nią lekarzem, z którym umówił się bez jej wiedzy. Następnie powróci do obozu, gdzie znajdzie się godzinę po zakończeniu przepustki. Nie martwiło go to jednak.

Powrócił myślami do minionego wieczoru, nie po to, aby analizować jego przebieg, lecz dlatego, że jego wspomnienie pokrzepiało go. Co pewien czas, gdy zbliżał się do granicy snu, dręczyło go wrażenie, iż razem z Catharine opuścił szlak normalnego życia i został zamknięty w odosobnionej niszy strachu i bezradności. Kilkakrotnie wydało mu się, że na tle przybliżających się do niego i oddalających barwnych płaszczyzn, wyświetlanych przez jego wzrok w ciemności, widzi geometryczny obraz owego węzła zagrożenia, o którym opowiadał Hunterowi. Miał on postać rozległego poziomego kręgu, zamglonego i ziarnistego na obwodzie, a w głębi gęstniejącego. Dokładnie przez jego środek przechodziła napięta pionowa nić, której końce sięgały w nieskończoność. Ludzie wchodzili do węzła lub węzeł ich otaczał, dopóki nie dotarli do nici. Wtedy zamiast przesuwając się w stronę przeciwległego skraju kręgu, byli zmuszeni do ruchu wzdłuż nici. Ci, którzy wędrowali przez krąg po jego cięciwie, a nie po średnicy, mogli zapewne nadal podróżować wewnątrz płaszczyzny, aż do wyjścia na zewnątrz. Hunter, Ayscue, Naidu, Pearce, Lucy poruszali się po cięciwach, w różnych odległościach od środka. Lecz Catharine szła po średnicy i oto osiągnęła środek oraz nić. A więc i on, Churchill, porucznik James Churchill z Błękitnego Pułku Howarda znalazł się na nici.

Poprzedniego wieczora Hunter przybył w momencie, gdy Churchill, Catharine i Lucy kończyli kolację, a właściwie rezygnowali ze spożycia pieczeni wołowej na zimno, pikli i sałatki ziemniaczanej, które przygotowała dla nich pani Stoker. Zaczęła się rozmowa o końcowej fazie ćwiczenia „Nabab” i o prawdopodobnym udziale w nim doktora Besta. Dopiero w momencie, gdy po raz drugi w ciągu kwadransa Hunter opowiadał o wydarzeniach na

drodze, Churchill uświadomił sobie, jak bardzo jego towarzysz jest pijany. Był bardzo blady, nie mógł usiedzieć spokojnie, wciąż pochylał się nad stołem, bez przerwy drapał się i gładził po udach, co jakiś czas zrywał się na nogi, podchodził do klatki Sadie i stukał w pręty. Kiedy nikt nie zareagował na jego propozycję partii wista, zamilkł na dobre, mamrocząc tylko czasami pochwały alkoholu, który właśnie pił, albo też alkoholu w ogóle. Ale dzięki niemu przestali zachowywać się, jakby usiłowali zatuszować jakąś niewybaczalną gafę lub przetrwać okres przytłaczającej nudy. Zapanował nastrój cieplejszy i serdeczniejszy.

Catharine siedziała w rogu kanapy, podciągnawszy nogi i oplótszy ramiona wokół kolan, jakby chciała uniknąć zbędnych poruszeń. Jej włosy wydawały się ciemniejsze niż zazwyczaj. Za każdym razem, gdy któreś z nich, Churchill lub Lucy, spojrzało na nią, uśmiechała się przelotnie i wciągała podbródek. Kiedy się śmiała, uchylała nieco dolną wargę. Churchill miał wrażenie, że nie oglądał jeszcze takiego jej uśmiechu, choć nie był tego do końca pewien. Nie chciała pić ani palić, ale zjadła sporo wołowiny i pikli.

- Jak się czujesz? - zapytał ją.

- Och, nieźle. Wstyd mi tylko, że sprawiam wam tyle kłopotu. Wiesz, musicie ze mną siedzieć, jakbym była teściową. Po prostu dziś nie zajmujemy się już niczym sensownym. Ale jutro będzie inaczej. Już nic nie będziecie musieli dla mnie robić. Choć ty wciąż będziesz się martwić. Chyba dużo jutro wypijesz. Postaraj się nie pić w samotności. Trzymaj się Maxa.

- Dobrze. Chciałabyś się przejechać?

- Nie, dziękuję, kochanie. Wolę siedzieć tutaj, z wami. A teraz nalej sobie jeszcze i dotrzyмай Maxowi towarzystwa.

- A ty się nie napijesz?

- To dziwne, ale alkohol już mi nie smakuje. Może to i lepiej. Zresztą, nigdy go specjalnie nie lubiłam. To chyba jednak męska rzecz.

- Chciałbym uprzyjemnić ci jakoś ten wieczór.

- Wiem, że zrobiłbyś to, gdyby tylko było to możliwe. Kochanie, jeśli się nie pogniewasz, to poszłabym już spać. Jestem trochę zmęczona.

- Pójdę z tobą.

- Idziecie już? - Hunter wstał, prezentując przy tym zaskakujący zapas energii. - Uważaj na siebie, kochanie.

Pocałował Catharine. Podeszła do nich Lucy.

- Pożegnam cię rano.

- Nie musisz zrywać się z łóżka specjalnie dla mnie.

- To żaden kłopot, Cathy.

- Bardzo cię proszę.

- Cóż, skoro nalegasz...

Kobiety objęły się i przez chwilę pozostały w tej pozycji.

- Odwiedzę cię, kiedy tylko mnie wpuszczą.

- Dobranoc, stary. Wiesz, gdzie możesz mnie znaleźć, kiedy wrócisz do obozu.

- Dobranoc, Max. Dziękuję ci za odwiedzin.

Catharine i Churchill przeszli po schodach obok gobelinu i korytarzem dotarli do sypialni. Na komodzie stała na pół spakowana otwarta walizka. Na toalecie leżała tylko szczotka i grzebień. Kiedy Catharine wyszła do łazienki, Churchill podszedł do okna. Lekka mgiełka skrywała krajobraz. Nie słyszał żadnych dźwięków, choć normalnie o tej porze co chwilę na podjeździe przesuwają się światła samochodowych reflektorów i rozlegało się warczenie uruchamianych lub wyłączanych silników, męskie głosy, kroki na żwirowej ścieżce. Zastanowił się, kiedy u Lucy znów zaczną pojawiać się goście, i stwierdził, że Ross-Donaldson znałby odpowiedź na to pytanie. A przynajmniej miałby na podorędziu gotową odpowiedź popartą przekonującymi argumentami. Co też on teraz porabia wieczorami?

W dwie minuty później Churchill i Catharine zaczęli rozbierać się gorączkowo, tak jak wtedy, gdy czuli przemożne pożądanie, aczkolwiek tym razem nie patrzyli na siebie. Chciał już położyć się do łóżka, kiedy usłyszał jej głos. Wypowiedziała jego imię. Odwrócił się.

- Spójrz na mnie - powiedziała. - Wiesz, na wszelki wypadek.

Podszedł do niej. Pocałowali się. Przez chwilę drżała, a nawet, gdy dreszcz przeszedł, jej ciało nie rozluźniło się.

- Kocham cię - powiedział.

- Wiem. I ja cię kocham.

Jeszcze przez chwilę stali razem. Wreszcie powiedziała:

- Chodźmy już spać. Nastaw budzik.

W łóżku natychmiast odwróciła się do niego tyłem. Był jej za to wdzięczny, gdyż nie byłby w stanie kochać się z nią, a bał się, że ona tego pragnie. Po kwadransie usłyszeli, jak samochód Huntera odjeżdża przed dom. Chwilę potem poprosiła go, aby zgasił światło, bo po ciemku łatwiej jej będzie zasnąć.

Za każdym razem gdy Churchill docierał w myślach do tego momentu, stwierdzał, że coraz trudniej mu powrócić do sceny przyjazdu Huntera. Ciało przyciśnięte do jego ciała coraz natarczywiej domagało się od niego działania, a on nie potrafił wymyślić żadnego rozsądnego planu poczynań. Z zaskoczeniem stwierdził, że miłość to działanie: dotychczas uważał, że jest to proces zmierzający do osiągnięcia stanu stabilizacji. Lecz teraz czynnik, który wzywał go do

działania, jednocześnie uniemożliwiał je. Na nici przecinającej środek węzła ważne było tylko to, że jest się w tym, a nie innym miejscu. Wszelkie inne myśli trzeba było sztucznie podtrzymywać w jakimś maleńkim, odległym zakątku mózgu. Ledwo Churchill zdał sobie z tego sprawę, ów zakątek zniknął. Pozostało tylko to, co czeka Catharine - nie szpitalne łóżko i narkoza, nie wózek, stół operacyjny i chirurdzy, ale konsekwencja tych wydarzeń.

Poczuł, że fizjologiczny mechanizm kontrolujący oddychanie wyłącza się jak żarówka. Wkrótce nie był już zdolny do oddychania w dawnym, ledwo zapamiętanym rytmie. Wykonał wdech i wydech i pozwolił płucom odpocząć aż do chwili, dopóki nie będzie potrzebował nowej porcji powietrza. Ale choć minęło wiele czasu, nie czuł jeszcze takiej konieczności, a więc pomyślał, że dobrze by było zrobić teraz nowy wdech. Wtedy stwierdził, iż nie wie, kiedy ma przestać. Istnieje zapewne punkt, po osiągnięciu którego znów będzie mógł zacząć wydychać, jak to się dzieje przy ziewaniu lub wzdychaniu. Zanim jednak do niego dotarł, okazało się, że płuca ma przepełnione. Znieruchomiał, nie czując najmniejszej niewygodności ani pragnienia wydechu, i wreszcie zmusił się do wypuszczenia powietrza. Znów nie rozpoznał momentu, w którym zazwyczaj przestawał je wydychać. Było nieco chłodniej niż ostatnio, ale mimo to poczuł, że pot zjawia się na jego piersi. Na próżno usiłował się opanować.

- Dobrze się czujesz? - spytała Catharine trzeźwym głosem, który dowodził, że nie spała.

Nieco zdyszany, wyciągnął rękę i zapalił lampę.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

- Dobrze. Myślałam już, że nam się to nie uda. Mógłbyś dać mi papierosa?

Czynność wyjmowania i zapalania papierosów przywróciła mu pewne poczucie rzeczywistości.

- Chciałem powiedzieć ci tyle rzeczy - zaczął - ale też nie chciałem, nie potrafiłem, pytałem tylko, jak się czujesz, i mówiłem, żebyś się nie martwiła, bo nie chciałem cię przerazić. To, oczywiście, było głupie. Ale nie wiedziałem, jak powiedzieć ci cokolwiek, co nie byłoby związane z tymi strasznymi sprawami.

- Cokolwiek byś powiedział, nie mógłbyś przerazić mnie bardziej ani na nowo. Myślę, że znam więcej odmian przerażenia niż ty, bo to przecież ja przechodzę przez to wszystko. Są uczucia, których nawet tobie nie potrafiłabym opisać. To już dość wierny opis, nie sądzisz? Wiesz, sama nie mogę w to uwierzyć, ale próbowałam przypomnieć je sobie dzisiaj i nie mogłam. Chyba jakoś usunęłam je ze swego umysłu.

- Czy to znaczy, że już mniej się boisz?



- Och, tego nie wiem. Naprawdę nie wiem. Takich rzeczy po prostu się nie wie. Nie sposób przewidzieć, co z nami uczyni następne wydarzenie, w którym będziemy uczestniczyć. Tak mało wiemy o życiu. I o umieraniu. Ja chyba wcale nic o tym nie wiem. Może kiedyś wiedziałam, lecz teraz zapomniałam. To znaczy, o tym, co czujemy, gdy coś się zaczyna. Większość ludzi chyba w ogóle nie zauważa momentu, w którym to się zaczyna. Ale dla mnie, to jeszcze bardzo daleka przyszłość. Najpierw musi się zdarzyć mnóstwo innych rzeczy. Mogą być bardzo nieprzyjemne, ale to jeszcze nie będzie ta właściwa rzecz. A może ona w ogóle się nie zdarzy? Mam przecież spore szanse. Nie zapominajmy o tym. Spróbujmy nie zapomnieć. A na razie, dopóki tu jesteśmy, nie może się stać nic złego. Mamy wciąż dużo czasu.

Mówiła tym samym tonem, którym „Pod Białym Jeleniem” opowiadała Churchillowi o swoim życiu - szybko, lecz spokojnie, co pewien czas oddychając głęboko. Starła się nie spuszczać wzroku z trzymanego w dłoni papierosa lub z jakiegoś punktu w nogach łóżka i tylko chwilami zerknęła na niego przelotnie. Raz przyglądała sobie włosy na skroni, odsłaniając część ucha. Patrząc na nią, Churchill czuł coraz większy gniew. Przez ułamek sekundy pomyślał o Lidze Walki ze Śmiercią. Miał teraz dobry powód, aby do niej wstąpić, gdyby tylko istniała i gdyby udział w jej działalności mógł cokolwiek zmienić.

- Chciałbym być zawsze przy tobie - powiedział.

- Ale nie możesz. To wykluczone. A wyjeżdżasz tylko na dziesięć dni.

- Nie mogę nie jechać. Mógłbym spróbować wymigać się z tego, ale to by nic nie pomogło. Zamknęliby mnie na co najmniej tyle samo czasu, a może na znacznie dłużej.

- Wiem, mówiłeś mi już o tym. Nie martw się, najdroższy. Zostaniesz jeszcze przez sześć dni, no, teraz to już pięć dni, a przez następne dziesięć nic nie może się jeszcze stać. Będzie mi smutno, ale wytrzymam. Chyba nie będę się bardzo bać. Na pewno nie od razu. Wiesz, dziś rano, ta znaczy wczoraj rano, myślałam o śmierci, próbowałam spojrzeć jej prosto w oczy i zachować rozsądek. I przez moment nie wydała mi się aż tak straszna. To Casement był straszny, bo mnie krzywdził, czasami w niesamowity sposób. A kiedy zwariowałam, bałam się wszystkiego, gdyż myślałam, że wszystko może mnie skrzywdzić. To było w pewnym sensie logiczne, bałam się przerażających zdarzeń, bolesnych przeżyć, nawet kiedy nie miałam pojęcia, czego konkretnie się boję. Ale śmierć nie jest przecież przeżyciem. Dla innych osób jest to wydarzenie, ale nie dla umierającego. Rzecz jasna, niezbyt długo można zachować ten obiektywizm i rozsądek. Niebawem znów wraca lęk. A jednak na razie, choć może brzmi to niemądrze, przestała mnie interesować ta najbardziej przerażająca strona całej sytuacji. W tej chwili przede wszystkim jestem wściekła. Wściekła, że być może będę musiała opuścić to wszystko. No, naprawdę chodzi mi tylko o ciebie.

Zgasiała papierosa i po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy odwróciła się do Churchilla i spojrzała mu w twarz.

- Myślałam rano o czymś jeszcze - mówiła dalej, teraz już wolniej - o tym, że bez wahania zrezygnowałabym ze wszystkiego, gdybym tylko mogła zachować ciebie. Widziałam raz sztukę, w której czworo ludzi zamknięto na zawsze w jednym pokoju, i to miało być piekło, wiesz, prawdziwe piekło, choć bez ognia. Bardzo bym chciała, żeby tak zamknięto nas razem. Nawet gdyby nie pozwolili nam się kochać. Mogłabym nigdy nie wychodzić i nie oglądać słońca i kwiatów, i nie przeczytać ani jednej książki, nic w ogóle nie robić. Tak sobie pomyślałam. To chyba śmieszne. Po stu latach nie mielibyśmy już o czym rozmawiać.

- Mielibyśmy.

- W każdym razie, jestem wściekła, bo muszę cię opuścić. Byliśmy ze sobą tak krótko.

- I to właśnie jest najstraszniejsze - powiedział Churchill przez ściśnięte gardło.

- Być może. Nie jestem tego tak pewna. To, że byliśmy ze sobą tak krótko, powiedziałam chyba bez zastanowienia. Myślę, że byłabym równie zła, gdybyśmy od pięćdziesięciu lat byli małżeństwem. Nigdy się sobą nie znudzimy, prawda?

- Tak. To wszystko wina śmierci.

- Tego już nie da się zmienić. Nie denerwuj się, kochanie. To nic nie pomoże.

- Czy wierzysz w Boga?

- Muszę się zastanowić. Wiesz, nigdy nie mogłam pojąć, na czym to polega. To chyba najbardziej skomplikowany problem na świecie. A jednak ludzie potrafią wyciągnąć z tego korzyści.

- Tylko ludzie, którzy nie potrafią rozróżnić dobra od zła - rzekł z ożywieniem Churchill. - Nikt inny nie mógłby czcić stwórcy wszelkiego zła, istniejącego lub wyobraźnego. - Odwrócił od niej wzrok. - Zwłaszcza śmierci. Gdyby nie istniała śmierć, cały rodzaj ludzki byłby szczęśliwy.

- Większość zła czynią ludzie. To właśnie oni są okrutni.

- Ludzkie zło to tylko narzędzie - ciągnął dalej Churchill nie zmienionym tonem. - To jedynie drobne uzupełnienie. Doktor Best, na przykład, należy do najbardziej obrzydliwych ludzi, ale on nie stworzył swych ofiar. Ból i obłąd istniały zawsze. I co więcej, już dawno temu pierwsi jaskiniowcy odkryli, że jeśli wziąć duży kamień i rzucić nim w czyjąś głowę, to z tym kimś dzieje się coś bardzo dziwnego. Od tego czasu ludzie wykorzystywali to zjawisko do regulowania wzajemnych stosunków, ale istniało ono i przedtem, zanim je odkryli. Oni go nie wynaleźli. Gdyby nie istniało, nie byłoby sensu dręczyć ludzi na inne sposoby. Ludzi posyła się do więzienia po to, by skrócić czas ich wolnego życia, by przybliżyć do nich śmierć. Inaczej nie

balibyśmy się więzienia i nikomu nie chciałoby się zamykać nas w nim. A więc gdyby nie śmierć, bylibyśmy szczęśliwi, niewinni.

Zapadło długie milczenie. Catharine zapaliła następnego papierosa i spojrzała na odwróconą twarz Churchilla.

- Nie jesteśmy jednak ani szczęśliwi, ani niewinni - powiedziała. - Powinieneś od tego zacząć.

- To defetyzm. Gdzieś musi być jakaś nadzieja.

- Jaka?

- Gdybyśmy tylko uświadomili sobie, kto jest naszym prawdziwym wrogiem - powiedział, marszcząc brwi - moglibyśmy zachowywać się inaczej. Lepiej traktować się nawzajem. Znacznie lepiej. Religia nie dostarczałaby nam już pretekstów do przemocy, nietolerancji, dumy i obojętności.

- Czy naprawdę tego pragniesz? - spytała Catharine po kolejnej chwili milczenia. - Takiej powszechnej braterskiej miłości? Jakoś nie pasuje to do ciebie.

Odwrócił się do niej, zobaczył, że jej orzechowe oczy z ciemnymi plamkami też na niego patrzą, że jej usta są proste jak zawsze. Z wielkim gniewem powiedział:

- Nie, nie tego pragnę. Kiedy na ciebie patrzę i myślę o tym, co może się z tobą stać, chciałbym zrobić coś, co naprawdę zwróci uwagę...

Za cienkimi zasłonami pojawiła się na moment rozproszona żółtawa poświata jak promienie wschodzącego słońca. Niemal natychmiast okna zagrzecotały głośno, a w sąsiednim pokoju spadł na podłogę jakiś przedmiot. Potem, po kilku sekundach, usłyszeli basowy łoskot, jakby dźwięk gromu, sam w sobie niezbyt długi, lecz wzbudzający niezliczone echa.

Catharine trzymała Churchilla za rękę.

- Co to było? - spytała.

- Nie wiem. Chwileczkę, przecież znam to. Ty też już to słyszałaś. Dziś po południu, kiedy piliśmy herbatę w kuchni. To ta broń, z której strzelali na ćwiczeniach.

- Czy to początek wojny?

- Nie. Niech pomyślę. To nie są nocne ćwiczenia, bo wiedziałbym o tym. Nawet gdyby zorganizowali to bez uprzedzenia, to Max wspomniałby coś na ten temat. Może po prostu zbrojeniowcy urządzili sobie nocne strzelanie. Choć nie wiem, na co mogłoby im się to przydać.

Wstał z łóżka i podszedł do okna.

- Nic nie widzę. Wzgórza zasłaniają widok. Brzmiało to jednak inaczej niż po południu. Jakby bliżej. Ale w nocy dźwięki szybciej się rozchodzą.

- Wróć do łóżka, kochanie. Jutro dowiesz się wszystkiego.

- To bardzo dziwne.

- Skoro nic nam nie grozi, to może na razie nie będziemy o tym myśleć?

- Przepraszam. Masz rację.

Usiadł na łóżku koło niej. Objęła go ramionami i położyła jego głowę na poduszce.

- Chcę cię o coś spytać. O ten twój wyjazd w przyszłym tygodniu. Wciąż nie wiem, po co jedziesz, lecz rozumiem, że nie możesz mi powiedzieć, i nie nalegam. Powiedz tylko, proszę, czy to jest niebezpieczne? Tyle możesz mi powiedzieć, nie zdradzając tajemnicy.

- Nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa - skłamał.

- Na pewno?

- Na pewno. To tylko podróż. Tam i z powrotem. Ale wszystko pójdzie na marne, jeśli dowie się o tym przeciwnik.

Poinformowano go, tak jak innych oficerów grupy B1, iż mają około siedemdziesięciu pięciu procent szans na przeżycie operacji „Apollo”. Pakistański kolega, z którym niedawno rozmawiał, sądził jednak, że jest to rozmyślnie kłamstwo i że autorzy planu operacji nie pozwolą, by przeżył choćby jeden jej uczestnik. Churchill w znacznym stopniu zgadzał się z nim. Byłoby to zgodne z charakterem zadania. Teraz po raz kolejny powiedział sobie, że nie wolno mu wycofać się z udziału w operacji, że nie powinien mieć żadnych wątpliwości, bo ludzi, przeciwko którym jest ona skierowana, po prostu trzeba powstrzymać.

- Powiedz, nie zostawisz mnie? - zapytała Catharine.

- Jak mógłbym cię zostawić?

- Nie wiem. Przestraszyłam się. Przed chwilą mówiłeś tak, jakby mnie tu nie było.

- O wybuchu? Chciałem tylko...

- Nie, przedtem, kiedy opowiadałeś o szczęściu i niewinności. Miałam wrażenie, że mówisz do siebie. Jakbyś pewnego dnia miał o mnie zapomnieć. Powiedz, że to niemożliwe. Prawda? Jeśli mam cię stracić, to niech to się stanie za sprawą śmierci.

Churchill przytulił ją bardzo mocno i przysunął jej twarz do swojej.

- Obiecuję ci, że nigdy nie zrobię niczego podobnego.

- Słowo? Słowo honoru, że mnie nie opuścisz?

- Słowo honoru.

Brian Leonard zaparkował swój samochód w stałym miejscu przed kasynem i przez chwilę usiłował zmusić się, aby zeń wysiąść. Było kilka minut po jedenastej. Minione sześć i pół godziny spędził albo na nogach, albo za kierownicą. Nie zjadł śniadania, był nie ogolony. Tak jak poprzedniego popołudnia, przez dziurę w spodniach można było dostrzec jego zakrwawione kolano, choć była to druga noga i inna para spodni. Teraz, kiedy samochód stał, gorąco coraz bardziej dawało się Leonardowi we znaki i nakłaniało go do opuszczenia pojazdu, mimo że wolałby pozostać w ukryciu.

Wreszcie poruszył się, słysząc dźwięk silnika wielkiej ciężarówki powoli zbliżającej się od strony głównej bramy. Każdy znajdujących się w niej żołnierzy po przebyciu dziewięciu lub dziesięciu mil podczas ostatniej fazy ćwiczenia „Nabab” i tuż po jego zakończeniu musiał zerwać się z łóżka na dwie i pół godziny przed pobudką i brać udział w przeczesywaniu wzgórz. Każdy wiedział, że za to wszystko odpowiedzialny jest Leonard. Mieli wysiąść z ciężarówki w bezpośrednim sąsiedztwie parkingu, a Leonard wiedział, jak reagują żołnierze na jego widok, i nie miał ochoty słuchać obelg rzucanych pod jego adresem, zaakcentowanych być może paroma seriami z poematów. Pośpiesznie wysiadł z samochodu i schronił się w kasynie.

Przy drzwiach westybulu uzbrojony wartownik stanął przed nim na baczność. Leonard odsalutował mu mniej pedantycznie niż zazwyczaj i podszedł do drzwi stanowiska dowodzenia, które po chwili rozwarły się przed nim.

- Spocznij, proszę - powiedział niepewnie do starszego sierżanta, szefa batalionu i kaprała, którzy powstali na jego widok. - Są już jakieś nowiny?

- Nie, sir - powiedział sierżant - żadnych, poza tym meldunkiem o dziesiątej, który...

- Który przekazaliście mi przez radio, właśnie.

- Lada chwila on się znów zgłosi, sir.

- Tak się składa, że akurat dlatego tu jestem.

- Znalazł pan coś, sir? - spytał kapral.

- Nie. Nic. Zupełnie nic.

- Jak pan myśli, kto to zrobił, sir? - nie ustępował kapral. - Ten typ, którego pan obserwuje? Czy to ten sam facet, którego szukaliście podczas ćwiczeń?

- Tak. Wkrótce dowiem się więcej.

- Ale jak mógł dostać się do tej broni? - Kapral nie zauważył, że sierżant piorunuje go wzrokiem. - I co on w ogóle knuje? Te ruiny to przecież nie jest cel wojskowy.

Zanim Leonard zdążył polecić sierżantowi, aby ten zaaresztował kaprała i kazał trzymać go o chlebie i wodzie, zadzwonił cywilny telefon.

- Mieszkanie pana Locka - powiedział Leonard do słuchawki.

- Tu biblioteka publiczna.

- Słucham. Tu Lock.

- Niestety, sir, nie zlokalizowaliśmy jeszcze tej książki dla pana. Szukaliśmy wszędzie tam, gdzie przypuszczalnie mogłaby być.

- No, to teraz zacznijcie szukać tam, gdzie nie może jej być, i to szybko.

- Tak jest, sir. Kłopot w tym, że do paru, eee, szafek z książkami nie możemy dostać się bez kluczy.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie zapominajcie, że to bardzo duża książka. Powinniście znaleźć ją bez trudu. A co porabia główny bibliotekarz?

- To co zawsze, sir, odkurza półki. Ale nie wygląda dobrze. Jeden z nas spytał go, dlaczego chodzi z bandażem, a on powiedział, że się przewrócił. Tylko tyle.

- Zauważyliście jakichś nowych czytelników?

- Nie, sir.

- No, to zabierajcie się do szukania, bo jak nie znajdziecie tej książki, napiszę na was raport do burmistrza.

- Tak jest, sir.

Leonard odłożył słuchawkę, po czym znów ją podniósł, wykręcił numer centrali i zażądał połączenia z pracownią badań specjalnych. Czekać, na przemian wpatrywał się w dwóch podoficerów, aż ci zmieszani opuścili wzrok, przeglądając magazyny, które czytali przed jego przybyciem. Zdenerwował go nie tyle sposób, w jaki patrzyli na niego, ile sposób, w jaki patrzyli na siebie. Wreszcie w słuchawce rozległ się głos:

- Pracownia badań specjalnych, słucham.

- Tu Lock. Dzisiejsza częstotliwość to pięć kiloherców. Jak tam sprzęt?

- Nie stwierdziliśmy żadnych usterek. Od czasu pana poprzedniego telefonu zarejestrowaliśmy jeszcze cztery transmisje, trzy w kierunku na zewnątrz i jedną z zewnątrz, wszystkie były dobrej jakości.

- Na pewno?

- Na pewno. Ta z zewnątrz była od lekarza z miasta, ta na zewnątrz do miejscowego klubu golfowego, firmy farmaceutycznej i sklepu z winem. Przebadaliśmy jak zwykle wszystkie połączenia: jakość była nienaganna. Mamy je na taśmie, mogę ją panu przegrać.

- Nie trzeba. Proszę natychmiast mnie zawiadomić, jeśli wykryjecie choćby najmniejszy spadek jakości transmisji, zrozumiano?

- Oczywiście. Czy to wszystko?

- Tak. W porządku. Do widzenia.

Odkładając słuchawkę, Leonard zmarszczył brwi. Pierwszy z jego rozmówców zachowywał się, jakby był zadowolony, a może i cieszył się, że nie ma żadnych wiadomości do przekazania. W głosie drugiego brzmiało lekceważenie, pod koniec nawet zniecierpliwienie. To było bardziej deprymujące. Ten zwykły technik, ten elektryczny podsłuchiwaniec wyobrażał sobie, że jest równy jemu, wykwalifikowanemu filaktologowi. Leonard pomyślał, że przed trzydziestu laty tak chyba musiał czuć się główny koniuszy pułku Żeglarzy, gdy spoufalął się z nim umorusany smarem mechanik samochodu pancernego. W jego mózgu pojawiła się wizja Żeglarzy. W tej chwili bardziej niż kąpieli, golenia, czystej odzieży i posiłku potrzebował czegoś, co dodałoby mu animuszu: wyobraził sobie, że stoi na trybunie i odbiera honory od defilującego przed nim pułku Żeglarzy w pełnym składzie, w galowych mundurach, z janczarską orkiestrą i pułkową maskotką - foką, ciągniętą na wózku przez chorążego.

- Gdyby coś się stało, będę w westybulu - oznajmił i wyszedł.

Na środku tego pomieszczenia, przy małym stoliku, siedział pułkownik White z telefonem, butelką sherry i kieliszkiem pod ręką oraz z majorem Venablesem u boku. Pułkownik stwierdził, iż ze względu na bliskość zapasów kasyno stanowić będzie lepszą tymczasową kwaterę główną niż jego gabinet. Leonard stanął przed nim na baczność i na jego skinienie bardzo powoli usadowił się na krześle przy stoliku.

- Wygląda na to, Brian, że przydałoby się panu między innymi coś do picia - rzekł przyjaźnie pułkownik.

- Chętnie poczęstuję się tym sherry, sir.

- No, to proszę nacisnąć dzwonek.

- I co pan odkrył, Leonard? - spytał Venables.

- Nic. Obszar, z którego można było oddać strzał, jest stosunkowo mały, ale nie znaleźliśmy tam karabinu. Dokładnie przeczesałismy teren pomiędzy tym obszarem a drogą, też bez skutku. Zarządziłem przeszukanie terenu przy drodze, na głębokość stu metrów. Lada chwila powinni skończyć. Jestem jednak przekonany, że nic nie znajdą. Karabin jest gdzieś w szpitalu psychiatrycznym lub w jego pobliżu. Dam sobie za to głowę uciąć. W tym momencie trwa przeszukiwanie szpitala, ale zdołałem wprowadzić tam tylko trzech ludzi i może to zająć jeszcze godzinę lub dwie.

Venables zakaszłał chrapliwie.

- Może by pan po prostu wpuścił tam swoich dzielnych żołnierzy i kazał im rozbierać budynek dopóty, dopóki nie znajdą zaginionej broni?

- Mam kilka kontrargumentów, a najważniejszy z nich brzmi, że w ten sposób jedynie przysłużyłbym się Bestowi. Nie wiem dokładnie, co nim kierowało, kiedy urządził to

przedstawienie, ale na pewno chodziło mu głównie o zwrócenie uwagi na naszą jednostkę i jej działalność, a przez to o utrudnienie przeprowadzenia operacji „Apollo”. Tak więc musimy zachowywać się bardzo dyskretnie. Kiedy już będzie można go aresztować, należy zrobić to po cichu, abyśmy mogli podać naszą własną wersję wydarzeń. Mam już plan. Wkroczę do akcji natychmiast po odnalezieniu karabinu i otrzymaniu upoważnienia od mojego szefa.

Tymczasem Leonardowi przyniesiono kieliszek, a on natychmiast opróżnił go. Poczuł się teraz znacznie lepiej, był niemal pewien, iż zaginiona RBJ-17 odnajdzie się zgodnie z jego oczekiwaniami.

- Doktor Best miał niesamowite szczęście - powiedział Venables, zapalając jedno ze swych cygar o kwadratowym przekroju - że znalazł się w pobliżu karabinów akurat w ciągu jedynego i to bardzo krótkiego okresu, kiedy nie były one strzeżone. Przejawił niewiarygodne opanowanie sztuki podchodów, zbliżając się do nich i odchodząc niepostrzeżenie oraz niewiarygodne opanowanie, pamiętając o tym, aby po wyjęciu broni z drewnianego pojemnika napełnić go kamieniami, co zapobiegło natychmiastowemu wykryciu kradzieży. Powiem więcej: nigdy nie uwierzę w możliwość jednoczesnego wystąpienia trzech równie niewiarygodnych przypadków.

- Zapewne istnieją alternatywne wersje wydarzeń, choć muszę wyznać, że jakoś nie mogę sobie żadnej z nich wyobrazić. - Odplacenie Venablesowi jego własną monetą mile polećtało próżność Leonarda. - Ale spekulacje takie tracą sens, gdy tylko karabin zostanie odnaleziony w przewidywanym przeze mnie miejscu.

Venables wydał dźwięk stanowiący coś pośredniego między warknięciem i rechotem, ale nie odpowiedział.

Pułkownik zdążył tymczasem zapisać godzinę przybycia Leonarda i jego skąpy meldunek w dużym wojskowym notatniku, na okładce którego czerwonym atramentem wypisano słowa: *Incydent „Kłoda”*. Teraz przekazał Leonardowi plik dużych fotografii.

- Otrzymałem je tuż po pana drugim wyjeździe, Brian.

Zdjęcia w różnych skalach przedstawiały pólakrowy obszar porożonego gruntu, zarzuconego odłamkami świeżo odkrytej skały i z lejem w środku. Obrazy w większej skali zdradzały, że teren ten znajduje się na równym, lecz lekko nachylonym płaskowyżu.

- Bardzo dobre - zauważył Leonard. - Kto je robił?

- O'Neill. Nie wiedziałem, że posiada wyobraźnię, którą powinien mieć każdy dobry fotograf. Widać pozory mylą. Fantastyczny widok. Był pan tam?

- Nie, sir. Musiałem zorganizować poszukiwania, a pomiary radioaktywności trwały bardzo długo.



- Według raportu O'Neill, obszar jest czysty jak łąka. - Pułkownik stuknął palcem w arkusz maszynopisu przypięty do jednej z kart notatnika. - Ale mądrze pan zrobił, że nie wchodził tam bez odzieży ochronnej. Cóż. To był klasztor Świętego Hieronima. Wygląda na to - pułkownik stuknął w słownik geograficzny rozłożony na stole - że już trzysta lat temu niewiele tam było. Teraz nie ma już w ogóle niczego. Ani skrawka żelaza czy kawałka kamienia. Druh Isaacs jest zachwycony. Dotychczas nie wiedziano zbyt wiele o działaniu tych atomowych kulek na budynki. Teraz można uzupełnić dokumentację. Miło pomyśleć, że ktoś wyciągnął praktyczne korzyści z tej afery.

- Doktor Best, zakładając chwilowo, że to jego sprawka, osobiście na pewno nic na tym nie skorzystał. - Venables zwrócił swą potężną głowę w stronę Leonarda. - Zamierza rzekomo zwrócić uwagę opinii publicznej na działalność naszej jednostki. W tym celu przygotowuje wybuch jądrowy w odległym zakątku wzgórz, z dala od ludzkich osiedli, topograficznie odizolowanym od reszty świata. Czy atak na wioskę, powodujący w dodatku straty w ludziach, nie byłby bardziej na miejscu? Albo jeszcze lepiej, atak na sam obóz? Budynek, w którym siedzimy, można ostrzelać z kilku punktów w okolicy, nawet przy użyciu pocisków płaskotorowych.

Leonard wychylił swój kieliszek i dolał sobie wina. Rozważył już wątpliwości wyrażone przez Venablesa. Nie zachwiały one jego pewności. Był przekonany, że Best improwizował, nie wykonywał niczyich rozkazów, a poza tym pasowały one do psychologicznego obrazu jego osobowości, który Leonard wytworzył sobie na podstawie jego zachowania. Zanim jednak Leonard zaczął wyjaśniać swój punkt widzenia, zadzwonił telefon.

- White, słucham. Dziękuję. A może by się pan do nas przyłączył? Po tym ganiu przyda się panu odrobinka czegoś mocniejszego, co? Dobrze... To był Max Hunter. Karabinu nie ma w obozie. Chyba nikt się go tu nie spodziewał, ale jak to teraz powiadają, nie należy zaniedbywać sprawdzania rzeczy niemożliwych. Zapytałem go...

Nagle drzwi otworzyły się i Leonard obrócił się na krześle, na wpół oczekując widoku Huntera, który jednak, nawet zaproszony na odrobinę czegoś mocniejszego, nie byłby w stanie pokonać kilkusetmetrowej odległości ze swego biura do kasyna w ciągu paru sekund. Na progu stał Ross-Donaldson. Najpierw przez chwilę popatrzył srogo na Leonarda, zbijając go tym z tropu, a potem odwrócił się do pułkownika.

- Tak, Alastair?

- Nic więcej nie zniknęło z magazynów, sir. Brakuje jednego karabinu RBJ-17 i jednej sztuki amunicji P6, poza tym wszystko się zgadza, co do wyciora.

- Dobrze. Sprawdziliśmy następną rzecz niemożliwą. Czego się pan napije, Alastair?

- Może mały kufel tego mocnego Bollingera, sir, jeśli pan pozwoli.

- No, to proszę nacisnąć dzwonek.

Ross-Donaldson zastosował się do tego polecenia, lecz w kilka sekund później zapomniał o piwie, słysząc wysokie zawroscenie rozmieszczonych w obozie syren alarmowych.

- Czy to próbny alarm? - spytał pułkownik wstając.

- Nie, sir - odpowiedział Ross-Donaldson, pędząc ku drzwiom tuż przed Leonardem.

Przebiegli przez wykładany kamieniami hall i niebawem znaleźli się na stanowisku dowodzenia.

- Zbliża się nie zidentyfikowany statek powietrzny, sir - powiedział sierżant.

Zatrzymując się tylko przy półce, z której chwycił w biegu miniaturową krótkofalówkę, Leonard znów pogonił wraz z Rosem-Donaldsonem przez hali i znalazł się w promieniach południowego słońca. Po ich prawej stronie, na głównej drodze, zbierała się grupa przeklinających i szamocących się z pistoletami maszynowymi i oprządzeniem bojowym żołnierzy. Po lewej stronie drużyny karabinów maszynowych ustawiały się przy swej broni. Pododdział alarmowy gromadził się na drugim końcu bloku D4.

- Nie widzę go - powiedział Leonard.

- Może ukrył się w słońcu.

Podszedł do nich pułkownik.

- Tam jest - rzekł, wskazując palcem.

- Helikopter - z niedowierzaniem powiedział Ross-Donaldson.

Maszyna poruszała się po łuku wiodącym wprost nad ich głowami. W jaskrawym świetle niektóre jej części wyglądały jak płynne, albo nawet gazowe. Znajdowała się powyżej normalnego pułapu śmigłowców, a nawet jeśli się zniżała, nie mogli tego dostrzec.

Leonard włączył krótkofalówkę.

- Co chcesz zrobić? - spytał Ross-Donaldson.

- Zawiadomię RAF.

- Nie wygłupiaj się, Leonard. Dość już narobiłeś szkód. Myślisz, że to doktor Best? Albo Chińczycy? Nie spodziewasz się chyba, że paru facetów w najpowszechniejszej i najbardziej hałaśliwej z istniejących maszyn latających może stanowić zagrożenie, w dodatku w warunkach maksymalnej widoczności? Masz sztubacką wyobraźnię. Albo to śmigłowiec szkoleniowy, który zoczył z kursu, albo ktoś zapomniał zawiadomić nas o swoim przelocie, albo też pułkownik z RAF-u wybrał się do nas z wizytą.

Gdy to mówił, helikopter zaczął szybko, niemal pionowo opadać. Można już było na nim dostrzec standardowe cywilne oznakowanie.

- Jeśli spróbują lądować, będę musiał ich aresztować - powiedział Leonard. - To teren wojskowy.

- Daj mi to pudełko, z łaski swojej. - Ross-Donaldson odebrał Leonardowi radiostację. - Jak się włącza megafony?

- Tym czymś. Co chcesz...?

Ross-Donaldson nacisnął wskazany przez Leonarda guzik i dmuchnął na próbę do mikrofonu. Z głośników zainstalowanych gdzieś na słupach rozległ się odgłos jakby chrząkającego brontozaura.

- Mówi adiutant - powiedział, a jego słowa zagrzechotały i echem odbiły się pomiędzy budynkami. - Nie strzelać do tego helikoptera. Powtarzam, nie strzelać. Nie podejmować żadnych działań, powtarzam, żadnych działań, bez moich osobistych rozkazów.

Tymczasem helikopter znalazł się na wysokości około stu metrów i nadal opadał. Ross-Donaldson oddał krótkofalówkę Leonardowi.

- Zmierzają w kierunku łąki. Równie dobrze możemy wyjść im na spotkanie.

Leonard, ruszając za Alastaiem i pułkownikiem, powiedział z urazą:

- Dlaczego nie pozwoliłeś mi zająć się tą sprawą, Alastair?

- Przepraszam. Po prostu bardzo chciałem usłyszeć przez głośniki własny głos.

- Mogłeś poczekać na spokojniejszy moment.

- Co to za typki, do diabła? - zapytał pułkownik. - Zgadzam się z Brianem, trochę przeholowali. Traktują nasz obóz jak jakiś park. Chętnie wsadziłbym ich do wartowni, żeby ochłoneśli.

Ostatnie zdanie musiał wykrzyknąć, gdyż zagłuszało go wycie wirnika, a dopóki maszyna nie spoczęła na gęstej trawie łąki, nie można już było powiedzieć ani słowa. Gdy śmigło znieruchomiało, siedzący obok pilota mężczyzna, wysoki, otyły cywil o rudych włosach i zakrzywionym nosie odsunął drzwiczki i wygramolił się niezdarne z kabiny. Pilot, który też był ubrany po cywilnemu, pozostał na miejscu. Rudowłosego mężczyzna podszedł do trzech oficerów.

- Jagger jestem - powiedział z prowincjonalnym akcentem, jakby uważał, że jego nazwisko to już wystarczające wyjaśnienie.

- Kim pan jest? - spytał Leonard.

- Już powiedziałem. Jagger. - Mężczyzna był zaskoczony.

- Znajduje się pan na terenie wojskowym. Czego pan tu szuka?

- Pan jest Leonard?

- Tak, ale...

- Kochane oficjalne kanały. Znów się zatkały. A więc albo stracił pan zmysły, albo też ktoś nie śpieszył się zbytnio z zawiadomieniem pana o moim przybyciu. Jak będziemy mieli szczęście, to może koło północy nadejdzie wiadomość. Proszę.

Z wysiłkiem wyciągnął z wewnętrznej kieszeni i wręczył Leonardowi pogniecioną legitymację opatrzoną jego zdjęciem i podpisem ministra spraw wewnętrznych. Na środku kartonika znajdowało się kilka drukowanych linijek głoszących, że wszelkie władze cywilne, wojskowe i prawne zobowiązane są do pełnej współpracy z okazicielem dokumentu. Nie wymieniono nazwy instytucji, dla której pracuje Jagger, ani też jego stanowiska, a sam Leonard nigdy o nim nie słyszał.

Oglądając legitymację, zauważył, że Jagger patrzy na drużyny kaemów i stojących w pobliżu uzbrojonych żołnierzy. Uśmiechnął się, zdaniem Leonarda, arogancko, odsłaniając duże, żółte zęby.

- Przygotowaliście dla mnie miły komitet powitalny. Nie sądziliście chyba, że zamierzam obrzucić was bombami? No, ale skoro nie spodziewaliście się mnie, to mogliście się trochę spietrać. Wziąłem śmigłowiec, bo nie znoszę pociągów. A więc, pan musi być pułkownik White. Miło mi pana poznać, pułkowniku. A ten pan...?

- Kapitan Ross-Donaldson, mój adiutant.

- Jak się pan miewa, kapitanie? Cholernie dziś gorąco, nie? Nie wiem, za jakie grzechy zesłano nam taką cudowną pogodę. Wezmę tylko torbę z helikoptera, a potem może któryś z panów pokaże mi, gdzie tu można dostać coś do picia. Wiecie, podczas lotu strasznie zasycha w gardle.

Wrócił do helikoptera. Tymczasem Leonard powiedział do mikrofonu:

- Mówi kapitan Leonard. Rozejść się. Wszyscy mogą się rozejść. Niektórzy powinni ruszać się nieco prędzej, ale w sumie wypadło to całkiem nieźle. Dziękuję.

Jagger wrócił z pękatą płócienną walizką w szkocką kratę. Jej wierzch i spód pokrywały arkusze przezroczystego plastiku.

- No, co z tym pić? - spytał, gdy ruszyli w stronę kasyna. - I może zechcecie mi wytłumaczyć, co się tutaj dzieje. Wiem tylko tyle, że pan Leonard zadzwonił rano do naszych wysoko postawionych wspólnych znajomych i powiedział, że jakiś geniusz bawił się karabinem atomowym i że przydałaby się pomoc. A więc przybywam z odsieczą.

- Nie prosiłem o żadną pomoc - rzekł Leonard.

- Nie? Przepraszam. Dano mi wyraźnie do zrozumienia, że o to panu chodziło. Z pewnością to znowu sprawka kanałów oficjalnych. Zresztą, przypuszczam że przyda się panu

pomocna dłoń. I tak ma pan dość obowiązków, nawet bez tej atomowej afery. Nawiasem mówiąc, nie będę nikomu wydawać rozkazów. Chcę tylko pomóc w miarę moich możliwości.

- Dziękuję - powiedział drewnianym głosem Leonard. - Przepraszam na chwilę.

Sherry już dawno wywietrzało mu z głowy. Przyczyniła się do tego niewytłumaczalna szorstkość Rossa-Donaldsona i w znacznie większym stopniu przybycie tego Jaggera. Jakże to charakterystyczne: w trudnych momentach władze pozostają obojętne, a potem, gdy wreszcie pech mija, podsyłają nieznanego człowieka o nieokreślonym statusie, nie znającego sytuacji, który zapewne spróbuje przypisać sobie część zasługi. W dodatku bez uprzedzenia...

Pozostawił swych towarzyszy w westybulu i wrócił na stanowisko dowodzenia. Tam, odłożywszy krótkofalówkę na półkę, przy akompaniamencie hałasu startującego helikoptera przeczytał zapis radiogramu oznajmiającego przybycie Jaggera drogą powietrzną. Radiogram nie zawierał żadnych innych informacji. Leonard przez kilka minut usiłował zredagować złośliwą odpowiedź, po czym machnął na to ręką, kazał kapralowi potwierdzić odbiór i wrócił do westybulu, gdzie pułkownik właśnie mówił:

- I to już wszystko, co wiemy.

Jagger, który siedział w największym fotelu, trzymając raporty i fotografie na kolanach, skinął głową, po czym pociągnął nosem.

- Co wiadomo o stanie psychicznym tego Besta? - zapytał.

Leonard zawahał się.

- Nic pewnego - powiedział.

- A więc, co wiadomo nie na pewno?

- Moim zdaniem, jest on niezrównoważony.

- Czym się to przejawia?

- Cierpi na urojenia.

- Jakiego rodzaju?

- Cóż... uważa mnie za wariata.

Słyszając to, pułkownik zmarszczył brwi, Venables warknął, Ross-Donaldson zaczął coś mówić, lecz przestał. Tylko Jagger nie zareagował.

- Jest pan tego pewien? - spytał.

- Tak, całkowicie. Dowiedziałem się o tym od jednego z jego kolegów. To znaczy o tym, że Best uważa mnie za wariata.

- A na jakiej podstawie tak uważa?

- Bo ja wierzę w istnienie szpiegów.

- Jakich szpiegów?

- Szpiegów. W ogóle. Widocznie jego zdaniem każdy, kto sady, że szpiedzy naprawdę istnieją, jest wariatem.

- Mania prześladowcza. Rozumiem. Ach.

Kelner przyniósł Jaggerowi srebrną tacę z półlitrowym kuflem zmętniałego piwa.

- Przepraszam, że to tak długo trwało, sir.

- Lepiej późno niż wcale.

- Widzi pan, sir, musieliśmy posłać po nie do kantyny szeregowców. Tutaj nieczęsto zamawiają piwo z beczki.

- Cóż, chłopcze, pewnie nie zabawię tu zbyt długo, ale póki tu będę, zamówię go całe mnóstwo, a więc weź największy dzban, jaki znajdziesz, napełnij go, przynieś tutaj i nalej mi następny kufel, bo zanim to zrobisz, ten będzie już pusty, a potem skombinuj jakiś ładny kawał kafla albo kamień i postaw na nim dzban. Zgoda?

- Tak jest, sir.

- No, to jazda... Bogu dzięki, smakuje lepiej, niż wygląda. A więc, Leonard, przyjacielu, jeszcze tylko parę pytań. Dał pan do zrozumienia Bestowi, że interesują pana szpiedzy, tak?

- Tak.

- Świetnie, takie miał pan instrukcje. Niech pan powie, co pan pomyślał, kiedy ten jego kolega stwierdził, że Best posądza pana o obłąd?

- Wzmocniło to moje podejrzenia.

- Podejrzenia, że Best jest wrogim agentem. Tak. Dlaczego?

- Ponieważ jest to typowa metoda obrony. Best mógłby namówić innego psychiatrę do podpisania odpowiedniego papierka i wtedy razem mogliby mnie zamknąć.

- Chyba kosztowałoby go to jednak nieco wysiłku.

- Niekoniecznie. - Leonard nalał sobie kolejny kieliszek sherry. - Ten doktor Minshull, który jadł z nami obiad, wyglądał na co najmniej równie stukniętego jak sam Best.

- A mimo to uprzedził pana, że Best uważa pana za czubka. Trochę to...

- Nie, to był inny człowiek. Nazywa się Mann.

- Dobra, teraz już rozumiem. Best stuknięty, Minshull stuknięty, Mann prawdopodobnie zdrowy. Wróćmy na chwilę do Besta. Do faktu, że uważa pana za wariata, i do tego, co z tego wynika. A mianowicie to, że on sam jest wariatem, gdyż raczej nie ma powodów, aby uważać pana za wariata. Ale wynika z tego i to, że jest on agentem, a w tym przypadku wcale nie uważa pana za wariata, tylko chce się pana pozbyć, czyli nie jest stuknięty, lecz jedynie cwany. Strasznie to zawiłe.

- Tylko na pozór.

- Doprawdy? - powiedział beznamiętnie Jagger i opróżnił kufel. - Ciekawe, czy ten chłopak wrócił już z kantyny. Zechciałby pan nacisnąć dzwonek, kapitanie?

Ross-Donaldson, który uważnie przysłuchiwał się ich dialogowi, spełnił tę prośbę.

- Dziękuję... A więc, o czym to mówiliśmy? Och, prawda. Best, stuknięty czy diablo cwany? Pańskim zdaniem, nie jest ważne, z którą ewentualnością mamy do czynienia.

- Niezupełnie o to mi chodziło. Raczej o to, że możemy mieć do czynienia z obiema naraz. On może na serio uważać mnie za szaleńca, i jednocześnie chce obronić się przede mną, zamykając mnie w domu wariatów.

- Muszę to sobie przemyśleć.

Drzwi otworzyły się i wszedł Hunter.

- Ach, oto człowiek, który zna Besta osobiście i może panu dużo o nim opowiedzieć - oznajmił z niecierpliwością Leonard.

Coraz bardziej zbijała go z pantałyku prokuratorska maniera Jaggera, a teraz mógł wreszcie skierować jego uwagę w inną stronę. Dokonał prezentacji dwóch mężczyzn i wyjaśnił rolę Jaggera.

- Aby oszczędzić Brianowi zakłopotania - powiedział Hunter - oświadczam, że poznałem doktora Besta podczas dziesięciodniowej kuracji odwykowej na oddziale dla alkoholików w jego szpitalu. To mi przypomina, że muszę się niezwłocznie czegoś napić. Byłbym tu wcześniej, ale musiałem jeszcze wyklócać się w biurze z sierżantami i różnymi takimi.

- To wspaniały człowiek - powiedział Leonard. - Wiele mi pomógł.

- Wygląda na strasznie zmęczonego.

- Prawie wszyscy zerwaliśmy się z łóżek o piątej lub w pół do piątej. Max jest na nogach od Bóg wie kiedy, nadzorował przeszukiwanie obozu.

- Rzeczywiście, to nie piknik. Wie pan co, kapitanie, zdaje mi się, że zaraz skończą się wasze wykłady i zejdzie się tu reszta ludzi, wtedy zrobi się cholerny tłok, a już teraz trochę tu dla mnie za głośno. Czy jest gdzieś w pobliżu jakaś miła knajpka, w której moglibyśmy napić się, zjeść co nieco i pogawędzić w spokoju?

- „Pod Białym Jeleniem”, we wsi, dają tam niezłe przekąski. Zabierzemy ze sobą Maxa Huntera? Opowie panu o Beście, a ja chciałbym wtajemniczyć go w mój plan zdemaskowania tego typka. Właściwie nie mam jeszcze upoważnienia do tego, ale gdy tylko...

- Spokojnie, przywiozłem je ze sobą. - Jagger poklepał kieszeń swej marynarki. - Jednakże nabiera mocy dopiero z chwilą odnalezienia karabinu w jego zakładzie.

- Oczywiście, przedtem nic nie zrobię.

- To rozumiem. A więc jak najbardziej, niech Hunter jedzie z nami. Tylko proszę nie mówić mu zbyt wiele, zgoda? Ach, miał pan rację, to wspaniały chłopak. Właśnie niesie piwo dla mnie.

\*

Pół godziny później stali we trójkę przy kontuarze w sali kawiarnianej restauracji „Pod Białym Jeleniem”. Obsługiwała tu Anne, puciołowata barmanka.

- To straszne, co się stało z biedną panią Casement - zwróciła się do Huntera.

- Tak, okropne. Poproszę o jedną kanapkę z szynką.

- Z ozorem, sir. Wydaje mi się, jakbym ją jeszcze widziała tu za barem.

- Może być z ozorem. Cóż, ma dobrą opiekę. Mogę prosić o musztardę?

- I trzy piwa z beczki - dodał Jagger. - Chyba, że któryś z was ma inny pomysł.

- Ja mam mnóstwo innych pomysłów - powiedział Hunter - ale lepiej, żebym o nich nie opowiadał. Polecam marynowane cebulki.

- Dobry pomysł. Proszę o sześć, panienko.

Usadowili się przy małym okrągłym stoliku koło okna. Oświetlały go ostre promienie słońca, więc Leonard zasunął grube płócienne zasłony, zanim zabrał się do konsumowania jajek po szkocku. Sala była prawie pusta, panował w niej miły półmrok i chłód. Pochłonawszy spory pasztet z wieprzowiny i zadawszy Leonardowi kilka pytań, Jagger oświadczył:

- Tak więc, pańskim zdaniem, cała sprawa jest już załatwiona, poza paroma nieprzyjemnymi formalnościami, i kiedy już go przymkniemy, znalezienie jego informatora w obozie będzie dziecinną igraszką. Mam nadzieję, że się pan nie myli.

Leonard głośno przełknął kęs jajka i powiedział:

- Nie taką znów igraszką. Nie. Ale nie będzie to bardzo trudne. Człowiek o osobowości Besta wyśpiewa wszystko, co nas interesuje, jeśli tylko odrobinę go przyciśniemy albo nawet i bez tego.

- Być może. Wie pan, im więcej myślę o osobowości Besta, tym bardziej mnie to fascynuje. - Jagger siedział przygarbiony na wyściełanej ławce w okiennej wnęce, mrużąc swe bladezielone oczy i zlizując z zębów resztki pasztetu. Powoli powiedział: - Jeśli go właściwie oceniamy, to wykonuje on wielce specjalistyczną misję szpiegowską polegającą na wykrywaniu i przekazywaniu tajemnic. Po prostu tajemnic. A nagle, bez namysłu, ryzykując natychmiastowym zdemaskowaniem, podiwania karabin i natychmiast strzela z niego. W ten sposób obwieszcza między innymi, że ktoś nieupoważniony wszedł w posiadanie karabinu.



Rozumie pan? Karabin to tajemnica. Jeśli dowiaduje się pan tajemnicy, to powinien pan zataić fakt, że ją pan zna, bo inaczej od razu traci ona na wartości.

- Mówiłem panu, że on jest niezrównoważony - powiedział Leonard. - Zapewne miał akurat atak paranoi. Dowiemy się wszystkiego, kiedy go przesłuchamy. Zresztą chciałem powiedzieć, że nawet jeśli nie wyśpiewa nam wszystkiego, to i tak szpieg w obozie zostanie odcięty od łącznika, a w ten sposób czasowo zneutralizowany. Wtedy możemy zastawić na niego pułapkę, w którą wpadnie, kiedy tylko przeciwnik przygotuje dla niego nowy kontakt, albo kiedy on zacznie szukać kontaktu. Dotychczas byłem zdany jedynie na własne siły, ale po schwytaniu Besta dostanę i ludzi, i niezbędne środki.

- Trochę szkoda, że musisz go capnąć - zauważył Hunter, gasząc papierosa na okazałej porcji swej kanapki z ozorem. - Gdybyś zostawił go na wolności, pod ścisłą obserwacją, mógłby zaprowadzić cię do innych agentów.

Jagger pociągnął nosem.

- Nic z tego, kolego - powiedział. - Posiadając tę pukawkę może jeszcze sporo nabroić, a nie bardzo potrafimy odebrać mu ją, jego samego zostawiając w spokoju. Nawet jemu samemu wydałoby się to podejrzan.

- Ale co on może zdziałać? Nie ma już amunicji.

- Nie, nie, chodzi mi o to, że on przekaże teraz części broni ekspertom wroga, wraz z fotografiami i podobnymi rzeczami.

- Czy nie można mu w tym przeszkodzić?

- Nie będziemy ryzykować, do cholery - powiedział Jagger, nagle zirytowany. - Stawka jest zbyt wielka, chłopcze. W tej chwili nie wiemy, kim jest jego kurier, jak się kontaktują, nie wiemy nic. Jeśli chodzi o tę kwestię, jesteśmy jeszcze zupełnie ciemni.

- Rozumiem. Ale jednej rzeczy nie mogę pojąć.

- Mianowicie?

- Oto wielka zaleta Maxa - wtrącił Leonard. - Konstruktywna krytyka.

- Nie wątpię. A więc, Hunter?

- Na czym Bestowi może jeszcze zależeć po zdobyciu karabinu? O czym może go poinformować jego agent z obozu? Główna rola agenta polegała chyba na powiadomieniu go o ćwiczeniu „Nabab”.

- Nie, nie, nie. Best potrzebuje jeszcze wielu innych informacji. Danych technicznych i taktycznych, planów strategicznych i całej reszty.

- Może już to ma?

- Wykluczone. - W głosie Leonarda zabrzmiało wielkie przekonanie. - Wiedziałbym o tym.

- Pomyśl, czy nie uważasz, że zachowuje się on jak ktoś, kto posiada całą niezbędną wiedzę?

Leonard pokręcił jedynie głową, natomiast Jagger znieruchomiał. Hunter zerknął na niego i zapalił kolejnego papierosa.

- No, tak czy owak, wkrótce go zgarniemy - powiedział Jagger.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Przerwał je dopiero Eames, który pojawił się za kontuarem, spostrzegł Huntera, uniósł klapę lady i podszedł do ich stolika.

- Wszystko w porządku, panowie?

- Tak, dziękuję, panie gospodarzu - rzekł Jagger. - Wyborny pasztet.

- Dziękuję panu, sir. - Eames spojrział na Huntera. - Nie ma pan przypadkiem jakichś wiadomości o pani Casement, kapitanie?

- Wiem tylko, że rano pojechała do szpitala.

- Tak, słyszałem, że ma iść do szpitala. Chyba jeszcze za wcześnie na konkretne wiadomości. Ale to straszna historia. Jak grom z jasnego nieba. Palec boży, można by rzec.

- Właśnie - powiedział Hunter - tak to można nazwać.

- Akurat, kiedy tak jej się dobrze układało z panem Churchillem. Jak on się miewa?

- Widziałem go przelotnie dziś rano. Nie wyglądał na załamane go.

- To bardzo miły młodzieniec. Zechce pan pozdrowić go ode mnie, kapitanie?

- Oczywiście, panie Eames, i bardzo panu dziękuję.

- No, cóż... - Eames sprawiał wrażenie, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale opuścił tylko głowę, pośpiesznie powiedział: - Do widzenia panom - i odszedł.

- Paskudna sprawa - powiedział Leonard do Jaggera. - Ta Casement ma raka, jest bardzo młoda, około trzydziestki, i jest, eee... związana z Churchillem, jednym z...

- Oczywiście, porucznik, Błękitny Pułk Howarda, zgadza się. Najmłodszy z waszego zespołu, jeśli dobrze pamiętam. Przyjaźni się pan z nim, Hunter?

- Tak.

- Bardzo smutna historia. Szczerze mówiąc, tragiczna.

- Wiesz, Max - powiedział w zamyśleniu Leonard - właśnie taki przykład mógłby umieścić w swym ogłoszeniu nasz przyjaciel z Ligi Walki ze Śmiercią, gdyby stało się to wcześniej i gdyby o tym wiedział.

- Właśnie.

Leonard znów zwrócił się do Jaggera:

- Jakiś nieszkodliwy narwaniec powywieszał w obozie mnóstwo ogłoszeń zwołujących zebranie tak zwanej Ligi Walki ze Śmiercią. Nikt się nie zjawił, całkowita kłapa. Poza tym ktoś posłał kapelanowi wiersz, pewno ten sam facet. Jak się okazało, nie wywołało to żadnych konsekwencji, ale wyznam panu, że przez jakiś czas byłem z tego powodu niespokojny.

- Chciałbym to obejrzeć - powiedział Jagger. - Zwłaszcza wiersz. Lubię poezję, choć nie wszyscy w niej gustują. - Roześmiał się.

Włączył się alarmowy brzęczyk na nadgarstku Leonarda. Wszyscy trzej zerwali się z miejsc i wybiegli na dziedziniec, gdzie zaparkowany był samochód. Leonard otworzył drzwiczki, zza których buchnęła fala nagrzanego powietrza, usiadł za kierownicą, uruchomił radio i z podnieceniem powiedział do mikrofonu:

- Halo, centrala. Tu Kłódka. Odbiór.

Z głośnika rozległy się słowa:

- Halo, Kłódka. Wiadomość z biblioteki publicznej. Znalaziono książkę. Powtarzam, znaleziono książkę. Przedstawiciel będzie pana oczekiwał zgodnie z ustaleniami. Odbiór.

- Zrozumiałem - powiedział Leonard drżącym głosem. - Bez odbioru.

Przez chwilę siedział bez ruchu, po czym obrócił się na fotelu i spojrzał na swych towarzyszy.

- No, panowie - powiedział wreszcie - jedziemy po niego.

Hunter i Jagger wsiedli do samochodu. Popędzili przez wioskę, ledwo unikając zderzenia z zaparkowaną ciężarówką wypełnioną jakimiś bulwami. Po drodze Leonard przedstawił swój plan, prosty, lecz jak uznali jego towarzysze, skuteczny. Wysłuchawszy go, milczeli aż do momentu, gdy znaleźli się około dwustu metrów od głównej bramy szpitala. Leonard zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

- Umówiłem się tu z moim człowiekiem - oznajmił, wysiadł i oddał mocz na żywopłot, a przynajmniej udał, że to robi.

Poza dochodzącym z oddali ćwierkaniem ptaków i pykaniem stygnącego silnika panowała cisza. Po chwili Jagger odezwał się zza pleców Huntera niespodziewanie gniewnym głosem:

- Karabin, karabin, karabin. Karabin to, karabin tamto. Pieprzony karabin.

- Mieliliśmy przez niego sporo kłopotów.

- Kłopoty to za słabe określenie, kolego.

Leonard wrócił do samochodu i pojechali dalej.

- Jest pod tym wielkim wieszakiem w hallu - powiedział. - Co za bezczelny typek.

- W takim razie, dlaczego te ślepaکی nie znalazły go wcześniej? - spytał Jagger.

- Zazwyczaj leży tam torba z kijami do golfa. Myśleli, że karabin w pokrowcu to nowy kij.

Jagger warknął w stylu Venablesa.

- Kiedy już będzie po wszystkim, potoczą się głowy - oświadczył.

- Dobra, Jagger - powiedział Leonard. - Teraz schowaj się pan.

Przy wtórze dalszych warknięć Jagger z wysiłkiem położył się na podłodze za przednimi siedzeniami. Leonard skręcił na podjazd do szpitala i zatrzymał się. Hunter, bardzo błady, wyskoczył z samochodu i wbiegł do stróżówki. Znajdował się w niej potężny mężczyzna w niebieskim garniturze.

- W czym mogę panu pomóc, sir? Och, to przecież kapitan Hunter.

- Muszę zobaczyć się z doktorem Bestem w dość pilnej sprawie. Czy jest zajęty?

- Nie wiem, sir.

- Ale zawsze rezerwuje sobie tę porę dnia dla ludzi, którzy chcą z nim rozmawiać.

- No, wie pan, ktoś może już u niego być.

- Mogę poczekać. Nie zechciałby pan zadzwonić do niego i spytać o to?

- Zechciałbym. Kim jest ten pan w samochodzie?

- Znajomy, który mnie tu podwiózł.

- Proszę chwilę poczekać.

Nie spuszczać wzroku z Huntera, mężczyzna podszedł do ściennego telefonu i zakręcił korbką. Po minucie oczekiwania powiedział:

- Mówi Johnson, panie doktorze, ze stróżówki. Jest tu kapitan Hunter, ze znajomym, jak twierdzi. Chciałby z panem porozmawiać... Dobrze, panie doktorze.

Odwiesił słuchawkę i z niechęcią powiedział do Huntera:

- Może pan jechać.

Hunter wyszedł bez słowa, zadowolony, że nie musiał wprowadzać w życie alternatywnej wersji planu, według której na wypadek gdyby doktor Best nie chciał się z nim zobaczyć, miał wyrwać słuchawkę Johnsonowi, wypowiedzieć do niej parę prośb, które prawdopodobnie nie odniosłyby skutku, lecz pozwoliłyby udawać przed Johnsonem, że uzyskał jednak zgodę na wizytę.

- W porządku? - spytał go w samochodzie Leonard.

- Poszło jak po maśle. Czeka na nas.

Leonard skinął gwałtownie głową i zwolnił sprzęgło. Z profilu jego twarz wyglądała na napiętą i zdeterminowaną: usta miał zaciśnięte, zaś spod czapki koloru khaki sączyła się strużka potu. Jednak w jego oczach Hunter dostrzegł wyraz radości, zapału i przejęcia, typowy

(zdaniem Huntera) dla religijnego chłopca przystępującego do pierwszej komunii lub dla podstarzałego zbrojnego znajdującego się przed szansą ostatecznej realizacji swych dotychczas nie spełnionych seksualnych perwersji. Hunter miał nadzieję, że nic nie zakłóci bliskiego triumfu Leonarda.

Na skraju parkingu przykłęknął na jednym kolanie mężczyzna, który dokonywał jakichś tajemniczych operacji na krzaku róży. Przybrał stylizowaną pozę, jakby wzorowaną na ilustracji ze staroświeckiego podręcznika wojskowego. To on, zgodnie z ustaleniami, miał zabrać karabin z hallu Besta i przenieść go do samochodu.

- Masz dwie minuty - mruknął Leonard, gdy przechodził obok niego z Hunterem.

Jagger pozostał w samochodzie - mógł już usiąść, pod warunkiem, że nie zdradzi swej obecności - i miał spełniać funkcję ruchomego odwodu.

Przechodząc przez hall budynku dla personelu, Leonard patrzył wprost przed siebie, lecz Hunter nie mógł oprzeć się pokusie zerknięcia na wieszak, pod którym, niemal całkowicie skryta pod płaszczami i pękatą torbą golfową z rudawego brezentu, stała pionowo RBJ-17 w parcianym pokrowcu.

Leonard zastukał do drzwi.

- Proszę, proszę, proszę - zawołał jowialny głos.

Weszli, a doktor Best wstał, aby ich powitać.

Hunter nigdy dotychczas nie widział lekarza w tak dobrym humorze. Jego błękitne oczy były szerzej otwarte i jaśniejsze niż zazwyczaj, a gdy się uśmiechał, odsłaniał poczerńiałe zęby. Bandaż na jego łysinie był założony starannie i nieco na bakier, co kojarzyło się bardziej z egzotycznym zawadiactwem niż z fizycznymi obrażeniami. Serdecznie uściskał dłoń Huntera, jednocześnie wyciągając do Leonarda lewą rękę, w stylu słynnych, ekscentrycznych aktorów. Po chwili wahania Leonard niezdarnie uściskał dłoń lekarza.

Leonard nie przewidział jednak obecności doktora Minshulla, a przynajmniej nie wspominał o tej możliwości Hunterowi. Drugi lekarz także wstał i obojętnie popatrywał ponad głowami przybyszów. Psychiatryzy stali po dwóch stronach stołu, na którym znajdowała się jedynie na pół opróżniona karafka, dwie szklanki, mosiężny ręczny dzwonek i drukowany formularz z odręcznymi dopiskami w przeznaczonych na nie rubrykach.

- Siadajcie, przyjaciele, siadajcie, siadajcie - krzyknął doktor Best. - Mam nadzieję, że dacie się namówić na kawę i koniak.

Nie oglądając się na Leonarda, Hunter przyjął zaproszenie. Usiadł w bardzo niskim fotelu wyściełanym żółtym aksamitem, zanim na dobre zdążył rozejrzeć się do pokoju, przez który

przeszedł kiedyś parę razy w drodze do sąsiadującego z nim gabinetu lekarskiego, doktor Best potrząsnął dzwonkiem.

- Szczerze mówiąc, mogę zaproponować panom Constantino 1935, rozlewane w Porto. Butelka tego specjału niedawno wpadła mi w ręce - powiedział - choć jeśli wolicie, służę także koniakiem.

- Proszę o koniak - rzekł odruchowo Hunter.

Mglistość uświadomił sobie, że aczkolwiek w ciągu minionych tygodni czuł się wolny od mocy doktora Besta, to powróciwszy na jego teren, znów poczuł się uwięziony. Wrażenie to potęgowała jeszcze bliskość podłogi. Zapach lilii przyprawiał go niemal o mdłości.

- Hine, Martell czy Courvoisier? -

- Hine, proszę.

- Trzygwiazdkowy, VSOP czy Antique?

- Antique, proszę.

- Dużo czy mało?

- Dużo, proszę.

Jego życzenie natychmiast zostało spełnione. Nie usłyszał, jak za jego plecami otworzyły się drzwi i po chwili z zaskoczeniem spojrzął na ciemnowłosą dziewczynę w jednoczęściowym stroju z białej skóry, który nie skrywał jedynie jej głowy i dłoni. Obserwowana z fotela wyglądała na bardzo wysoką. Nachylała się nad jego ramieniem, trzymając w dłoniach srebrną tacę.

- Czarną, sir? - spytała.

- Och. Tak. Dziękuję.

Nalała filiżankę kawy, podała mu ją i przeszła do Leonarda. Jej miejsce zajęła blondynka w czarnej skórze.

- Cukier, sir?

Hunter próbował wyzbyć się niemiłego wrażenia odrealnienia, które narastało w nim od momentu, gdy wszedł do tego pokoju.

- Nie, chyba zmienię zdanie - powiedział. - Zmieści się tu jeszcze maleńka kropelka mleka... I parę ziarenek cukru... Nie, nie, tyle wystarczy, doskonale... Bardzo, bardzo dziękuję.

Wciąż próbował wymyślić jakiś sensowny komentarz dotyczący dziewcząt, lecz oto zamknęły się za nimi drzwi, a doktor Best powiedział:

- Czy mogę poczęstować panów Romeo y Julieta?

- Czym? - odezwał się po raz pierwszy Leonard.

- A może Half Coroną?

- Och. Nie, dziękuję. Doktorze Best, chciałbym porozmawiać...

- Cóż, mamy dziś wielki dzień, wielki dzień, drogi kapitanie Leonard. Oto wreszcie przybył pan do nas.

- Wreszcie? - Leonard był zaintrygowany.

- Och, tak, spodziewaliśmy się pana. Prawda, Minshull?

Zapytany mężczyzna wydał przeciągłe, wznoszące się rzenie, które miało oznaczać śmiech.

- Widzi pan, od jakiegoś czasu chciałem zrewanżować się za wspaniały obiad, którym mnie pan podjął - mówił odważnie Leonard - i zaprosić pana do naszego kasyna. Tak więc, kiedy mój kolega wspomniał, że zamierza...

W tym momencie obaj lekarze roześmiali się.

- Och, kapitanie Leonard - doktor Best pokręcił obandażowaną głową - kawalarz z pana. Rozweselił nas pan. Ale porozmawiajmy teraz poważnie. Co naprawdę pana do nas sprowadza?

- Chciałem właśnie wytłumaczyć, że kapitan Hunter wspomniał, że zamierza pana odwiedzić, a ja pomyślałem...

- Ach, tak, oczywiście, nasz kapitan Hunter, wielki miłośnik alkoholu. Jak się pan miewa, sir? Zresztą sam widzę, co się z panem dzieje. Przydałaby się panu nowa kuracja. Chętnie się tym zajmę. Wprawdzie okres próbny kończy się dopiero za dziesięć dni, ale możemy go oficjalnie skrócić.

- Doktorze Best - powiedział Hunter - co się stało z pańską głową?

- To przykra sprawa. Wybrałem się wczoraj na małą wyprawę na łono natury, krótką przejażdżkę samochodem i pieszy spacer. Lubię towarzystwo bliźnich, ale czasami wolę... uwolnić się od nich. Zauważyłem, że jeden z naszych nowych ogrodników zbytnio interesuje się moimi poczynaniami, jeździ za mną na skuterze do klubu golfowego i innych miejsc, a więc wczoraj rano, przed wyjazdem, na wszelki wypadek wypuściłem mu powietrze z dętki. Jak by pan to nazwał w swoim żargonie, kapitanie Leonard, „strząśnięciem ogona” czy „zgubieniem cienia”?

Leonard milczał i nie poruszał się.

- Tak więc, po przejażdżce zaparkowałem samochód w ustronnym miejscu i ruszyłem na spacer. Przeszedłem około trzech kilometrów i zaczynałem już odczuwać dobroczynny wpływ słońca i świeżego powietrza, kiedy wpadłem w jakąś dziurę. Była tak zakryta paprociami i innymi roślinami, że nie sposób było ją dostrzec. Uderzyłem głową o kamień i straciłem przytomność, jak mi się wydaje, na kilka godzin. Kiedy się ocknąłem, było już późne

popołudnie i ze smutkiem pomyślałem, że zmarnowałem czas, nie osiągnąwszy celu mej wyprawy. Ale to przecież nieprawda. Osiągnąłem swój cel, czyż nie, kapitanie Leonard?

- Nie rozumiem pana.

- Och, tak, rozumie mnie pan, przyjacielu. Osiągnąłem swój cel. Oto przybywa pan, aby aresztować mnie za szpiegostwo. Z radością stwierdzam, iż rokuję jeszcze dla pana pewne nadzieje. Prędkość i stanowczość, z jaką dokonało się u pana psychiczne przewartościowanie, pozwalają na bardzo pomyślne prognozy. Teraz pańska choroba jest ujawniona, naga w swym... majestacie.

Zdenerwowany Leonard wstał.

- Jestem oficerem Służby Bezpieczeństwa - powiedział - mianowanym przez Ministerstwo Obrony i posiadam wydane przez tenże organ upoważnienie do doprowadzenia pana przed trybunał, od którego składu będzie pan miał prawo odwołać się we właściwym czasie. Teraz muszę pana poprosić o udanie się ze mną.

- O co jestem oskarżony, kapitanie? - spytał z zainteresowaniem doktor Best.

- Konkretnie o kradzież mienia objętego ustawą o tajemnicach państwowych i o bezprawne użycie go zagrażające bezpieczeństwu państwa. Niewątpliwie pojawi się także oskarżenie cywilne o narażenie zdrowia i życia ludzkiego.

- To nie żarty, co, Minshull? - powiedział doktor Best, uśmiechając się równie szeroko jak przy powitaniu. - Nie podoba mi się to.

Zerknąwszy desperacko na Huntera, Leonard spytał:

- Co to znaczy „nie żarty”?

- Jakie to mienie i do czego, pana zdaniem, je użyłem?

- Sam pan wie najlepiej, Best! - ryknął Leonard. - Ukradł pan karabin atomowy i strzelił pan z niego w środku nocy.

- Czyżby? A gdzie jest ten karabin?

- Pod wieszakiem w pana hallu. Tam przynajmniej był jeszcze przed chwilą.

Obaj lekarze znów się roześmiali.

- A więc już go tam nie ma - powiedział dziecinnym głosem doktor Best. - Co za szkoda. Gdyby tam był, moglibyśmy nieźle się zabawić.

- Pan zwariował! - krzyczał Leonard. - Dość już tych wygłupów! Pan pozwoli ze mną.

- Och, nie, kapitanie - rzekł kordialnie doktor Best. - Ja nie zwariowałem. To pan zwariował. Stwierdza to ten dokument. Jest on wart więcej niż jakikolwiek papierek, którego mógłby pan użyć przeciwko mnie.

Podniósł ze stołu formularz i machnął nim przed twarzą kapitana Leonarda.



- Oto nakaz poddania pana przymusowemu leczeniu w zakładzie zamkniętym na mocy ustawy o zdrowiu psychicznym z roku 1959 - kontynuował. - W tym zakładzie zamkniętym. Nakaz podpisany jest przez dwóch lekarzy - domyśla się pan zapewne których - i na początek przewiduje roczną kurację. Innymi słowy, nie pozwolę z panem. To pan pozwoli ze mną. Niezbyt daleko wprawdzie, ale wystarczająco daleko.

Hunter wstał.

- Nasz samochód znajduje się na podwórzu - powiedział. - Albo pójdzie pan do niego dobrowolnie, albo Leonard i ja zmusimy pana do tego.

- Doprawdy, kapitanie Hunter, ten koniak nie wyszedł panu na zdrowie. Chyba za dużo pan go wypił. Nie mogę przyjąć żadnej z pańskich propozycji.

Hunter i Leonard zrobili krok w kierunku Besta.

- Nie ruszajcie się, wariaci. Pielęgniarz!

Hunter odwrócił się i zobaczył w drzwiach gabinetu znajomą postać trzydziestopięcioletniego mężczyzny o niezwykle małym nosie. Tym razem nie miał na sobie białego kitla, lecz jedynie białe drelichowe spodnie i białą trykotową koszulkę, pod którą wyraźnie rysowały się mięśnie. W każdej dłoni trzymał dużą strzykawkę.

- Cześć, Maxie, kotku - powiedział mężczyzna. - Dawnośmy się nie widzieli, co?

- Proszę zająć się nimi po kolei - powiedział doktor Best. Wskazał na Leonarda. - Najpierw tym.

Pielęgniarz ostrożnie odłożył jedną ze strzykawek na kredens, pomiędzy dwie karafki, i podszedł do Leonarda, który wyjął z kieszeni mały pistolet.

- Nie zbliżaj się - powiedział spokojnym głosem, celując w pielęgniarza.

Pielęgniarz nie zatrzymał się.

- Nie wygłupiaj się, wariatuńciu - powiedział.

Gdy Leonard odbezpieczał pistolet, doktor Best chwycił go za ramię. Hunter skoczył ku niemu i choć oddzielał go od Besta narożnik stołu, uderzył go w policzek tak mocno, że zrzucił mu okulary i zmusił w ten sposób do rozluźnienia uchwytu. Leonard zdołał się wyswobodzić, lecz zanim się odwrócił, rzucił się nań pielęgniarz. Zderzyli się ze sobą, a każdy z nich ścisnął lewą dłonią prawy nadgarstek przeciwnika. Hunter znów zaatakował doktora Besta i przewrócił go na blat stołu. Walcząc z nim, usłyszał śmiech Minshulla i stuk upadającego na podłogę pistoletu Leonarda. Po chwili doktor Best sięgnął po stojącą na stole karafkę i dwukrotnie uderzył nią Huntera w głowę. Nie było to zbyt bolesne, więc Hunter złapał go niebawem za nadgarstek i kiedy z karafki wyskoczył korek, skierował strumień koniaku na twarz napastnika. W tym momencie usłyszał za sobą hałas, tym razem łomot i brzęk,

wywołane, jak się po chwili okazało, przez upadek Leonarda na zastawiony szkłem kredens. Koniak uspokoił nieco doktora Besta i Hunter już bez trudu uniósł go za klapy marynarki i wymierzył mu cios w szczękę, w wyniku którego lekarz natychmiast zwałił się bezwładnie na podłogę. Hunter zajął się teraz pielęgniarzem, który, przełożywszy strzykawkę do lewej dłoni, prawą zapamiętałę grzmocił Leonarda. Przerwał tę czynność na moment, aby wpakować prawy łokieć w żołądek Huntera. Hunter opadł na czworaki i z tej pozycji wyraźnie widział, jak do pokoju wpada Jagger i podbiega do pielęgniarza, choć nie zauważył, co rzuciło tego osiłka na dębową boazerię z taką mocą, że osunął się na podłogę i znieruchomiał.

- Oj, oj, oj - westchnął Jagger. - A toście się wpakowali w kabałę. Na szczęście znudziło mi się siedzenie w samochodzie i postanowiłem rozejrzeć się trochę. Dlaczego nie krzyczeliście?

- Nie myśleliśmy o tym - powiedział Hunter. - Na początku nie było potrzeby, a potem zbyt wiele się działo.

- Kazałem panu bezwarunkowo pozostać w samochodzie, Jagger. Gdzie są moje okulary?

Leonard mówił niewyraźnie. Chusteczką ocierał krew ciekącą mu z nosa i z rozciętego kącika ust.

- Tutaj - powiedział Jagger.

Szkła były nienaruszone.

- Bogu dzięki, że nie posłuchał rozkazu, inaczej byłbyś już w kaftanie bezpieczeństwa. Gdzie jest Minshull?

- Co?

- Był tu jeszcze jeden lekarz. Widocznie dał drapakę. Nie zauważył go pan?

- Pieprzyć go. Na razie i tak mamy roboty pod dostatkiem. Co pan mówił o kaftanie bezpieczeństwa, Hunter? Nie żartował pan?

Hunter nalał sobie kolejny duży kieliszek Hine Antique doktora Besta. Znalazł na stoliku nakaz przymusowego leczenia i podał go Jaggerowi.

- Dla mnie też coś przygotowali. Ten facet miał dać zastrzyki nam obu. Na kredensie leży moja porcja.

- Teraz wierzy już pan, że to wariat? - zapytał Leonard, który z uwagą przeglądał ocalałe z bijatyki butelki. - Ach. - Znalazł butelkę ciemnego sherry, odkorkował ją i przytknął szyjkę do ust.

- Hmm. - Jagger skinął głową i pociągnął nosem. - Rzeczywiście, miewa szaleńcze pomysły, ale czy jest szpiegiem?

- Odpowiem panu na to pytanie - odezwał się spod stołu doktor Best.

Bez wysiłku wstał i podszedł do nich. Pozbawione okularów jego oczy wydawały się większe. Mówił suchym, energicznym tonem, którego Hunter jeszcze u niego nie słyszał.

- Był przeciek. Wielki przeciek. Zdjęli dwunastu naszych najważniejszych agentów. Prawie wszyscy pozostali byli spaleni. W całym kraju nasza siatka szpiegowska legła w ruinach. Szef był zrozpaczony. Musiał zająć się największą misją wszechczasów, a nie miał komu jej przydzielić. Nie miał komu? Był przecież Best. Ale czy Best się zgodzi? Ostatni wyczyn Besta ocalił świat od zniszczenia przez promienie śmierci. Pięćdziesiąt krajów nadało Bestowi order. Best dostał sto milionów w złocie i wszystko,, czego żądał, i nikt go o nic nie pytał. Best jadł kolację w swej willi. Greccy chłopcy podawali Bestowi wyszukane potrawy i wina. Wzrok Besta błędził leniwie po ich nagich kształtach. Besta poproszono do telefonu. Szef zaprosił Besta do swego gabinetu. Best próbował odmówić. „Best - powiedział szef - światu grozi zniszczenie przez promienie śmierci”. Best powiedział, że nic go to nie obchodzi. „Best, tylko ty możesz nas uratować”. Best dał się namówić. Best pojechał do szefa. „Best, oto twój pomocnik”. Bestowi przedstawiono wspaniałego dwudziestolatka. Wzrok Besta błędził leniwie po jego nagich kształtach. Besta poproszono do telefonu. „Best - powiedział szef - światu grozi zniszczenie przez promienie śmierci”. Best wiedział, że tylko on może ich uratować. Best...

Tymczasem do słuchaczy Besta przyłączył się pielęgniarz, zaś Jagger wyszedł do sąsiedniego gabinetu, skąd zatelefonował do kogoś. Gdy wrócił, Best wciąż jeszcze mówił.

- Wiecie, im tu wszystkim odbija - powiedział pielęgniarz.

- On już nie jest groźny - rzekł Jagger. - I na nic się nam nie przyda.

- Sprawa zamknięta - oświadczył Leonard. - Teraz możemy się zająć agentem w obozie.

- Nie było to aż tak ciekawe, jak się spodziewałem - powiedział Hunter.

Gdy przybył Mann, który z gorliwą pomocą pielęgniarza wyprowadził Besta z pokoju, ten nadal mówił.

\*

- Wspaniale - powiedział Ayscue, odkładając skrzypce i smyczek na łóżko. - Jeszcze tylko parę drobiazgow, panie Townsend, w taktach od dwudziestego czwartego do dwudziestego siódmego.

Siedzący przy Bechsteinie kędzierzawy młody człowiek otworzył nuty we wskazanym miejscu. Był organistą i chórmistrzem w wiejskim kościele i z takim zapalem pracował nad przygotowaniem do koncertu muzyki Rougheada, że Ayscue nie mógł nie zaproponować mu

wykonania partii fortepianu w sonacie triowej. Wykazał sporą muzykalność, choć nieco przesadnie interpretował bas figuralny.

- Tak, majorze? - spytał ze swym wiejskim akcentem.

- Gdy Andy i ja wymieniamy między sobą te krótkie frazy. Obawiam się, że jeśli nie będzie pan ściśle trzymał się metrum, to może pan...

- Zagłuszyć was. Tak jest, majorze. Przyjąłem do wiadomości.

- Świetnie. - Ayscue przesunął chusteczką po karku. - Teraz ty, Andy. Zaraz potem, w takcie dwudziestym ósmym, pierwsza nuta. Myślę, że i ty, i pan Townsend powinniście silniej ją zaakcentować.

Pearce przyłożył flet do ust i wydobył z niego wzmocnioną nutę.

- Tak. Oczywiście nic nagłego, po prostu naturalna kulminacja crescendo. Och, chciałem was o coś spytać... Wracając do taktów siedemnastego i osiemnastego, czy nie sądzicie, że te dwie staccatowe ósemki w środku obu taktów powinienem inaczej frazować? Sęk w tym, że jeśli będziemy tak pędzić, to uzyskamy odpowiednią głośność, ale będziemy mieli kłopoty z brzmieniem. A więc...

Gdy Ayscue przeciwiczył owe dwa takty, Pearce powiedział nieśmiało:

- Nie wiem, sir, trochę dziwnie to brzmi.

- Nie pasuje to do stylu epoki, prawda? - dodał Townsend.

Ayscue udał, że zastanawia się. Chciał po prostu zrehabilitować się przed Townsendem po tym, jak skrytykował jego bas figuralny.

- Rzeczywiście, nie. Ma pan rację. A więc, zostawię to tak, jak było. Cóż. Nie mam już do was nic więcej. A wy?

- Sam koniec, sir - powiedział Pearce. - Te ostatnie takty, czy mamy grać je staccato?

- Nie, bynajmniej nie. Cztery długie akcenty na takt i tak ściśle połączone, jak się da, bez przesadnego frazowania.

- Dobrze, sir.

Zapadło krótkie milczenie. Pearce zagrał krótki pasaż, najpierw szybko, potem powoli. Townsend uniósł głowę znad pianina.

- Czy przegramy to raz jeszcze, majorze? Osobiście mam mnóstwo czasu.

- Nie, lepiej nie. Musimy zaoszczędzić trochę sił na sam koncert. Dziękuję wam obu za przyjście. O której spotkamy się w niedzielę? O wpół do trzeciej w kościele? Czy mogę podwieźć pana do wsi, panie Townsend? Na pewno nie? A więc, do niedzieli.

Świadom, że dość obcesowo pozbył się swych gości, Ayscue z rękoma w kieszeniach zaczął powoli spacerować po swym domku. Właściwie warto by było przegrać ostatecznie

utwór Rougheada, lecz zrezygnował z tego, bo chciał podtrzymać w sobie zainteresowanie sonatą, nie skazać go ową mieszaniną niepokoju i znudzenia, która napiętnowała wielokrotnie inne jego inicjatywy. Porzucił już plan wydawania obozowego pisma. Poza anonimowym wierszem nie otrzymał żadnych poważnych materiałów. Kiedy po południu Leonard poprosił go o kartkę z wierszem, Ayscue dał mu ją bez słowa, nie czując już owego zaangażowania, które obudziło się w nim przy pierwszej lekturze. Sprawa wykrycia autora tego tekstu oraz autora ogłoszenia Ligi Walki ze Śmiercią potoczyła się w sposób, który w ciągu minionych paru lat poznał aż nazbyt dobrze: przestała go interesować, przez jakiś czas drażniła jedynie jego sumienie, dopóki pewnego ranka nie zbudził się i nie stwierdził, że znalazła się na liście spraw, od których trzeba się uwolnić. Kiedy to ostatnio myślał o sytuacji Pearce'a? No i wczoraj wieczorem Hunter opowiedział mu o Churchillu. Ayscue wiedział, że musi mu jakoś pomóc, ale czuł też, że stracił już umiejętność rozwiązywania tego typu problemów. Obawiał się, że wkrótce nie będzie go już stać na cokolwiek.

Usłyszał pukanie do drzwi. Gdy je otworzył, Nancy wpadła do domku, jakby przez minioną godzinę siedziała w klatce, a nie biegła po obozie. W ślad za nią wszedł niejaki Tighe, nowy ordynans Ayscue'a. Evans stracił tę posadę natychmiast po zebraniu Ligi.

- Wystarczy, sir? - spytał Tighe. - Czy mam jeszcze z nią pochodzić?

- Nie, dziękuję, oni już wyszli. Proszę.

Ayscue wręczył mu pięć szylingów.

- Wypijcie za moje zdrowie, Tighe.

- Dziękuję, sir.

Czy on rzeczywiście był zdziwiony i lekko zaintrygowany, czy też jedynie udawał? Ayscue zrezygnował z rozwiązania tej zagadki. Po wyjściu Tighe'a przykucnął i pozwolił Nancy złożyć głowę na swych kolanach.

- Chcesz jeszcze sobie pobiegać? - spytał. - Nie zmęczyłaś się.

Zadzwoił telefon.

- Ayscue, słucham.

- Rozmowa do pana, sir... Łączę z majorem Ayscue'em.

- Tu muzeum - rozległ się lekko zachrypnięty głos Lucy. - Czy mógłby pan do nas przyjechać?

- Niestety, dziś wieczorem jestem zajęty. Muszę przedstawić prelegenta.

- Prelegenta? - Widocznie uznała, że jest to jakieś kodowe wyrażenie, które powinna natychmiast rozszyfrować.

- Tak, prelegenta. Niejakiego Catona. Wygłosi wykład o amerykańskich i południowoamerykańskich siłach zbrojnych oraz ich obrazie w oczach opinii publicznej. Bardzo prawdziwy wykład. Autentyczny wykład, że tak powiem.

- Och. Och. Rozumiem już. Ale nie chodziło mi o wieczór. Czy ma pan czas teraz?

- Czy to coś pilnego? Czy coś się stało?

- Raczej tak. To pilne. Chodzi o... pana Jamesa.

- Co z nim jest? - spytał Ayscue, usiłując skryć lęk.

- Cóż... nie chce wstać. Położył się do łóżka i nie chce wstać.

- Czy jest chory?

- Niezupełnie. Po prostu nie chce wstać.

- Czy to z powodu...

- Tak.

Ayscue zawahał się.

- Nie sądzę, abym mógł mu pomóc - powiedział. - Już kilkakrotnie rozmawiałem z nim o tej sprawie, dość ogólnikowo, i za każdym razem tylko go zdenerwowałem.

- Cóż, szczerze mówiąc, dobrze by było, gdyby go pan zdenerwował. Tak byłoby lepiej dla niego. Powinien go pan zobaczyć.

- Dobrze, już wyjeżdżam.

Odłożywszy słuchawkę, Ayscue wpatrywał się przez jakiś czas w pierwszą stronę sonaty Rougheada. Potem wstał, włożył kurtkę munduru i czapkę, powiedział Nancy, żeby nigdzie nie wychodziła i szybko przeszedł przez łąkę do domku bliźniaczo przypominającego jego własny.

Naidu siedział na łóżku w samej koszuli i czytał bogato ilustrowaną książkę o georgiańskich meblach, którą wypożyczył z miejskiej biblioteki. Widząc Ayscue'a, odłożył ją i wstał.

- Dzień dobry, mój drogi Willie.

- Czołem, Moti. Czy mógłbym poprosić cię o przysługę?

- Oczywiście, jak najbardziej. Wypijesz szklankę świeżej lemoniady?

- Nie, dziękuję. Słuchaj, Moti, chodzi o Jamesa Churchilla. Właśnie zadzwoniła do mnie Lucy Hazell. On jest u niej i, jeżeli dobrze ją zrozumiałem, cierpi na... jakieś załamanie nerwowe. Chcę do niej jechać; pomyślałem sobie, że może namówię cię, abys mi towarzyszył. On chyba wysłucha cię uważniej niż mnie.

- Och, tak sądzisz? - Naidu zastanawiał się przez chwilę. - O piątej prowadzę zajęcia z konwersacji.

- To już wkrótce. Nie mógłbyś tego przesunąć?

- Naturalnie. Wierzę ci na słowo, że to poważna sprawa. Przepraszam cię, muszę przedtem zatelefonować.

Wkrótce siedzieli już w półciężarówce Ayscue'a. Gdy mijali miejsce, na którym niegdyś stał klasztor Świętego Hieronima, Naidu powiedział:

- Ta nocna afery miała w sobie coś z bajki. Co można osiągnąć w taki sposób?

- Nie wiem, Moti. I chyba nigdy się nie dowiem. W tej okolicy dzieją się rzeczy, o których ani ty, ani ja nie mamy najmniejszego pojęcia. Zresztą pułkownik mówił przed obiadem, że Brian Leonard lada chwila zaaresztuje tego psychiatrę.

- Nie uronię łez nad jego losem. Ten osobnik nie posiada żadnych ludzkich uczuć. Z tego, co opowiadają o nim Max i Brian, jawi się obraz człowieka wrogo nastawionego wobec bliźnich. Prowadzi z nimi wojnę, w której wykorzystuje wszystkie swoje możliwości.

- Jak jakiś super-Venables.

- Och, Willie, tym stwierdzeniem krzywdzisz naszego walecznego majora. W nim ludzie budzą jedynie zmęczenie i pogardę, gdyż nie są naczyniami doskonałego rozsądku, jakie pragnąłby w nich widzieć. Dzięki temu wspaniale nadaje się on do kierowania tym planem wielkiego zniszczenia, który nasza jednostka ma wykonać. Osobnik typu Besta zwracałby zbyt dużą uwagę na sprawy destrukcji. Natomiast Venables jest obiektywny. Tak samo, jak nasz przyjaciel Alastair Ross-Donaldson, który w pewnym sensie znajduje się na bardziej zaawansowanym etapie rozwoju świadomości. Ludzkość jako taka nie wzbudza w nim żadnych uczuć. Dla niego jesteśmy tylko niezliczonymi punkcikami na wykresie.

- I kto teraz przesadza? Zawsze uważałem Alastaira za bardzo miłego chłopca. Ma świetne maniery.

- Och, oczywiście. Nie chcę potraktować go zbyt szorstko, Willie. Rzeczywiście, to sympatyczny młodzieniec. Jednak jego maniery, jakkolwiek godne podziwu, stanowią tylko i wyłącznie efekt wychowania. Znakomitego angielskiego wychowania.

- Raczej szkockiego. Ale zgadzam się z tobą. Mimo to twierdzą, że nie wiemy jeszcze wszystkiego o Alastairze.

- I zapewne nieprędko się dowiemy. Jeżeli nie wydarzy się coś bardzo nieoczekiwanego, nie poznamy całej prawdy o wielu ludziach, także i o nas samych.

Przez chwile milczeli, myśląc o Churchill. Wreszcie, gdy zbliżali się już do celu podróży, Naidu powiedział:

- W kasynie wiele się mówi o lady Hazell, ale chyba wiele jest w tym przesady. Czy naprawdę ona nie potrafi nikomu odmówić, jak sugeruje to Alastair? To, co mi powiesz, zachowam rzecz jasna w tajemnicy.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, Moti. Rozmawiałem z nią tylko parę razy, w sprawie tych nut, które znalazłem w jej bibliotece. Wydaje mi się całkiem przyzwoitą kobietą. Była bardzo dobra dla biednej Catharine Casement.

- Owszem, czułe serce to typowa cecha osób, jak by to powiedzieć... hojnie rozdzielających seksualne fawory. Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że nie zabrzmiało to nazbyt purytańsko. Czego by o niej nie mówić, lady Hazell pomogła niektórym z naszych młodych towarzyszy pozbyć się frustracji. Czy też osądzasz ją bardziej surowo?

- Wielki Boże, nie, za dobrze znam życie. Frustracja to żadna przyjemność.

- Wiem o tym z własnego doświadczenia.

- Za pozwoleniem, Moti, nie chciałbym wścibiać nosa w nie swoje sprawy, ale często spotykam się z tym problemem w mojej pracy. Jak ty to znosisz?

- Po prostu znoszę. Czasami jest mi bardzo źle i wtedy myślę sobie o pewnej ślicznej dziewczynie z Ujjain i o parze brzdąców, i przez jakiś czas nie jest mi już tak źle.

- Łatwiej sobie radzić, jeśli ma się kogoś.

- Czy ty, Willie, nigdy nie byłeś żonaty?

- O, tak. Szczerze mówiąc, nadal jestem. Ale nie było to zbyt udane.

- Dlaczego?

- Wyłącznie z mojej winy.

- Wątpię, za dobrze cię znam. Czy to tu? Imponujące domostwo. Z jakiego okresu pochodzi?

- To, co widzisz, wybudowano w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, choć podobno niektóre fragmenty powstały w czasach królowej Anny. O, jest i Lucy.

- Bardzo atrakcyjna kobieta.

- Masz rację.

Gdy wysiedli z samochodu, Naidu zsalutował Lucy, po czym zerwał z głowy czapkę i ucałował ją w rękę.

- Lucy, przedstawiam ci kapitana Naidu. Moti, oto lady Hazell, o której ci opowiadałem. Moti jest przyjacielem Jamesa.

- Miło mi cię poznać, Moti. Chodźcie już do Jamesa. Wiesz, Willie, on nie chce wstać. Leży cały czas.

- Czy mówi dlaczego?



- Tylko tyle, że nie może. Że nie może wstać. W ogóle mówi bardzo mało.

Wnętrze budynku, w którym się znaleźli po pobycie na słonecznym dziedzińcu, wydało im się bardzo ciemne.

- Od kiedy jest u ciebie?

- Może od trzech godzin. Nie wiem. Weszłam do pokoju i zobaczyłam go. Strasznie się przeraziłam.

- Czy jadł obiad?

- Nic nie wspominał na ten temat. Wiesz, że rano zabrał Catharine do szpitala i rozmawiał z lekarzem, który się nią opiekuje? Zresztą, nie sądzę, żeby to jakieś konkretne słowa lekarza tak nim wstrząsnęły. W końcu, nic jeszcze nie wiadomo. To chyba skutek całej tej sprawy... wiesz...

- Tak - powiedział Ayscue. - To tu?

- Tak. Spróbujcie mu pomóc. Wiem, że potraficie. Zaczekam na dole.

Dwaj mężczyźni weszli do pokoju, który niegdyś zajmowała Catharine. Churchill leżał na plecach w łóżku, przykryty po szyję. Kurtka i spodnie jego munduru były przewieszane porządnie przez oparcie krzesła, a pod nim równo stały buty. Churchill nawet nie drgnął, gdy goście znaleźli się w nogach łóżka.

- Cześć, James. Pomyśleliśmy z Motim, że cię odwiedzimy. Co słyhać?

Churchill nadal wpatrywał się w sufit lub w nieokreślony punkt przestrzeni.

- Powiedz nam, jak się czujesz - powiedział Naidu. - Opisz to jak najdokładniej. Bez tego Willie i ja nie zdołamy ci pomóc.

Po chwili milczenia Ayscue znów się odezwał, lecz Naidu uciszył go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Po upływie kolejnej minuty Churchill zaczął mówić, cichym i monotonnym głosem, jakby był bardzo zmęczony:

- Nie chciałem zostać w obozie i chodzić na wykłady. Przyjechałem tutaj. Tu było spokojnie. Myślałem, że poczuję się lepiej, jeśli położę się do jej łóżka. Myślałem, że to dobry pomysł. Nie chciałem być nigdzie indziej. Nie było dla mnie innego miejsca. Ale tu też jest mi źle. Nie ma dla mnie miejsca.

Zauważyli, że z jego oczu zaczynają powoli płynąć łzy. On sam chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Jego twarz nie zmieniała wyrazu.

- Tu jest gorzej - mówił. - Tu silniej czuję jej nieobecność. To już nie to samo łóżko, nie ten sam pokój. Nie mogę przypomnieć jej sobie. Wszystko jest zamazane. Jakby nigdy się nie zdarzyło. Spadam w przepaść, a wczoraj widziałem coś pięknego. Ale teraz spadam w przepaść, a więc wczoraj nie widziałem niczego pięknego. Jej naprawdę nie było, bo jej nie ma.

Czekali na dalsze słowa, ale widocznie już skończył. Ayscue usiadł na łóżku, wyjął chusteczkę i otarł nią łzy z oczu Churchilla.

- James, trzeba załatwić pewne sprawy - powiedział z wahaniem. - Musisz szybko wracać do obozu, bo oskarżą cię o samowolne oddalenie się. W takich przypadkach, gdy chodzi o tajne operacje i tak dalej, to nie żarty, James. Jeśli nie będziesz ostrożny, wylądujesz w więzieniu i nie będziesz mógł widywać Catharine.

- Wszystko mi jedno - natychmiast odparł Churchill.

- Tak mówisz teraz. Nie będzie ci wszystko jedno, kiedy nie pozwolą ci widywać Catharine.

- Teraz też nie pozwalają.

- Wcale ci nie pozwolą. Sam mi powiedziałeś, że jeśli zdezerterujesz, to wsadzą cię na Bóg wie jak długo. Możesz widywać się z Catharine tylko pod warunkiem, że pojedziesz na tę operację i wrócisz z niej.

- Och, nie jadę na operację - rzekł Churchill tonem, w którym po raz pierwszy zabrzmiało jakieś uczucie: zdziwienie, że musi mówić o tak oczywistych rzeczach.

Z głosu Ayscue'a zniknęło wszelkie wahanie.

- Musisz - powiedział. - Nie możesz tak tu leżeć. Wstawaj, zawiozę cię do obozu.

- Nie jadę.

- Musisz! James, nie wygłupiaj się. Takie zachowanie do niczego nie prowadzi. Tylko pogarszasz swą sytuację. Tyle chyba pojmujesz? Czy usiłujesz zapomnieć o tym? Jak byś na to nie patrzył, musisz wstać z łóżka i ubrać się. Czekają na ciebie obowiązki!

- Nie mów mi o obowiązkach - powiedział powoli Churchill.

- Nie chodzi o obowiązek żołnierza. Nie tylko o to. Głównie o coś innego. O twój obowiązek jako człowieka. To znacznie ważniejsze.

- Nie chcę o tym słyszeć. Nie od ciebie. Nie od księdza.

- Zapomnij, że jestem księdzem.

- Nie mogę o tym zapomnieć. Nie mogę ci tego wybaczyć. Idź już. Kochasz to, czego ja nienawidzę. Idź stąd. Daj mi spokój.

- Nie. - Ayscue pochylił się nad Churchillem i ujął go za ramiona. - Wiem, co sobie myślisz. Myślisz, że Bóg to zaplanował. To absurd. Przestań tak myśleć. To niebezpieczne.

- Boga nie ma.

- Wiem o tym równie dobrze jak ty. Nawet lepiej. Ty boisz się, że może istnieć. Jeśli nie chcesz oszaleć, musisz uwierzyć, że nic podobnego nie istnieje.

- Ale ty jesteś księdzem.

- I co z tego?

Churchill bez przekonania spróbował wyswobodzić się z uścisku Ayscue'a.

- Nie oszukasz mnie. Tylko udajesz, że się ze mną zgadzasz. Nie ufam ci.

- Posłuchaj - powiedział głośno Ayscue. - Nie jesteś aż tak wyjątkowy, jak sobie myślisz. Wszelka wiara w chrześcijańskiego Boga, w jakiegokolwiek życzliwe bóstwo, stanowi obrazę ludzkiej przyzwoitości i inteligencji. Tak, tak. Wszyscy o tym wiedzą. W twoim wieku uważałem Kościół za ucieleśnienie najgorszego kłamstwa wszechczasów. Wypowiedziałem mu prywatną wojnę. Dlatego zostałem księdzem, gdyż od wewnątrz można prowadzić dywersję bardziej skutecznie. W tamtych czasach opracowałem dla rozrywki porządek nabożeństwa, które ucieszyłyby Boga bardziej niż nasze pochlebstwa i żebranie o litość, wysławianie Go za Jego okrucieństwo i prośby o więcej. Na rozgrzewkę odrabujemy ramiona wybranym parafianom albo wyłupiamy im oczy. Potem kantyk o Jego miłości i dobroci. Następnie bykowce i bicze z kolców dla dzieci poniżej szesnastu lat, chwila ćwiartowania, a jeśli zażyczy sobie celebrans, to można też ściąć parę głów. Tymczasem chór śpiewa hymn na cześć piękna świętości. Potem kazanie objaśniające wolę Bożą, potem parę ukrzyżowań, żeby ujawnić prawdziwe znaczenie symbolu chrześcijaństwa. Wreszcie błogosławieństwo dla tych, którzy ocaleli, a po nim przyjacielskie przypomnienie, że w przyszłą niedzielę kolej na nich. Myślałem sobie, że Aztekowie byli najbliżsi ustanowienia królestwa Bożego na ziemi. Ile osiągnęli? Tysiąc ofiar z ludzi na tydzień? Ale przybyli chrześcijanie i zakazali im tych praktyk. Nasz Bóg jest zazdrosny.

Na początku tej tyrady przejście w głosie Ayscue'a było częściowo udawane. Teraz zniknęła z niego wszelka sztuczność. Sam to sobie uświadomił, gdy umilkł. Puścił bezwładne ciało Churchilla. Zerknął na Naidu, który, odwrócony do nich tyłem, patrzył przez okno. Szybko, tonem usprawiedliwienia, Ayscue dodał:

- Ale nawróciłem się. To znaczy zrozumiałem, że ludzie, którzy nie chcą dostrzegać tych rzeczy, czyli większość ludzi w ogóle, wcale nie manifestuje w ten sposób swej głupoty lub niewrażliwości na sprawy życia i śmierci. Dla nich właśnie istnieje chrześcijaństwo. Jest to spisek, którego uczestnicy udają, że Bóg zachowuje się w sposób tak tajemniczy, iż szukanie wyjaśnień stanowi tylko stratę czasu, i że tak naprawdę wszystko jest w porządku. Przyłączyłem się do spisku, jak wiesz. Jedyne kłopot to maskowanie spraw seksu i temu podobnych. Nie można zszargać sutanny, gdyż to osłabiłoby spisek. No, i są jeszcze takie przypadki jak twój.

Czuł, że bliski jest bardzo ważnej konkluzji, rozwiązania obecnego problemu, lecz nie miał pojęcia, co to będzie. Churchill nie poruszał się. Ayscue wstał z łóżka.

- Niestety, nic tu nie mogę pomóc - powiedział.
- Nie - rzekł Naidu, odwracając się. - Niestety, nie.
- Ale nawet nie przypuszczałem, że to mi się uda. Porozmawiasz z nim?
- Oczywiście.

Naidu energicznie podszedł do łóżka i usiadł na nim, w dość dużej odległości od głowy Churchilla.

- James, mój drogi przyjacielu - powiedział. - Pozwól, że z naszych rozważań wyłączymy Boga. Twojego Boga czy też twojego nie-Boga i w ogóle czyjegokolwiek Boga. Jeżeli będziesz zajmować się takimi sprawami, zabraknie ci czasu i sił na rozmyślania o tym, jak powinieneś się zachować. Jeśli obarczysz Boga odpowiedzialnością za pewną sytuację, tym samym pozbywasz się odpowiedzialności za własne w niej uczestnictwo. Ale jeśli kochasz choć jedną osobę, musisz przyjąć odpowiedzialność za nią. W swoim obecnym stanie nie możesz się przydać Catharine na nic. Próbujesz wczuć się w jej położenie. Chcesz zająć jej miejsce. Tak, to prawda. A więc nieważne są przyczyny, które tę sytuację zrodziły, ważne jest natomiast to, że musisz ją zmienić. Możesz to zrobić, bo wszystko da się zmienić. Och, nie mówię tu o cudownych uzdrowieniach, tego nikt nie jest w stanie dokonać. Ale możesz zmodyfikować sytuację, wprowadzić do niej nieco dobra. Jednakże najpierw musisz się z nią pogodzić. Musisz wyrzucić z siebie nienawiść, przestać szukać winnych. Bez tego nic nie zrobisz.

- Nikt nie może nic zrobić - powiedział niespodziewanie Churchill.

- O, nie, James, mój drogi, jest ktoś, kto może coś zrobić. Ty sam. Lecz musisz tego chcieć. A teraz pomyśl, pomyśl razem ze mną, James, jak przedstawia się sytuacja. Mamy serię złych wydarzeń. Twój strach tylko pogarsza ich efekt. A ty boisz się głównie własnej śmierci. Nie śmierci Catharine.

- Nie - powiedział Churchill. - To znaczy, boję się, potrafię się bać. Ale nie teraz.

- Tak, teraz. A to niemądre. Śmierć nie jest twoim wrogiem. Śmierć nie jest niczym wrogiem. Masz takich samych wrogów jak wszyscy inni. Twoi wrogowie to strach i wszelkie złe uczucia. Samolubstwo, pragnienie zachowania tego, z czym jest ci dobrze, zachłanność, arogancja i przede wszystkim wiara we własną wyjątkowość i znaczenie. A uczucia te istnieją dlatego, że zawsze myślisz najpierw o sobie. Trudno mi to powiedzieć, nie chcę prawić ci morałów, ale gdybyś tylko spróbował pokochać życie we wszystkich jego przejawach, wtedy twoje złe uczucia zaczęłyby znikać. Musisz kochać Catharine całym sercem, gdyż wtedy nie będzie w nim miejsca na strach przed jej utratą. Musisz odrzucić ten strach, a potem

pozbędziesz się wszelkiego strachu. Teraz boisz się tak, że udajesz umarłego. Przestań, James, i zrób coś. Wszyscy musimy starać się być ludźmi.

W pięć minut później Churchill powiedział:

- Nie mam nic do powiedzenia, poza jedną rzeczą, ale o niej będę milczał.

\*

- Jak pan to zakamufluje? - spytał Jagger.

Leonard zapiął szkarłatne wyjściowe spodnie i sprawdził w swym potrójnym lustrze, jak na nim leżą. Po ujarzmieniu Besta przepełniał go rzadki entuzjazm i wiara we własne siły.

- W obozie wciąż ktoś pojawia się i znika - powiedział, przyglądając się swemu odbiciu.

- Bez trudu można wprowadzić specjalną grupę techniczną. Im mniej będą przypominać żołnierzy, tym lepiej. Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że dostanę dobrych ludzi. Te półgłówki, które miały pilnować Besta, to było zupełne dno. Może po powrocie zamieni pan parę słów na ten temat z naszymi szefami? Czy wraca pan helikopterem?

- Nie, chyba złapię rano pociąg. Postaram się pomóc panu w kwestii tej dodatkowej grupy.

- Mając kilku ludzi pod moim osobistym dowództwem - rzekł Leonard, popatrując z uwagą w lustro i zapinając kurtkę w kolorze ultramaryny - mogę zidentyfikować agenta w ciągu tygodnia. Capniemy go, gdy tylko się poruszy... A, jesteś wreszcie. Czemu to tak długo trwało?

Deering wczłapał do pokoju i ociężale szurnął obcasami, podając swemu panu parę białych rękawiczek.

- Przepraszam, sir, musiałem czekać na żelazko.

Jagger uniósł głowę z łóżka Leonarda, na którym się wylegiwał.

- Co to takiego, do diabła?

- Rękawiczki galowe.

- Rękawiczki? Oj, kolego, nawet na przedszkolaka byłyby za małe. Rękawiczki!

- Nie nosi się ich na rękach - rzekł chłodno Leonard - tylko w rękę. To taka tradycja.

- Macie tu mnóstwo tradycji, co? A jesteście w tym cholernym miejscu dopiero od kilku tygodni. Do diabła, tradycje plenią się tu jak chwasty.

- Co słysząc, Deering? - spytał Leonard, nie spodziewając się niczego specjalnego, ale nie chcąc też bronić przed Jaggerem tradycji kasyna.

- Cóż, chłopcy klną, na czym świat stoi, tak im pan założył za skórę - powiedział z zadowoleniem Deering. - Kazał ich pan zbudzić w środku nocy, pognął w las bez...

Tego wieczora Leonard mógłby w pojedynkę stłumić bunt.

- Nie interesuje mnie to. Coś jeszcze?

Zadzwonił telefon.

- Leonard, słucham.

- Czy wie pan, sir, gdzie mógłbym znaleźć pana Jaggera? Jest do niego międzymiastowa.

- Jest u mnie... Do pana.

Jagger zwał się z łóżka i wziął słuchawkę do ręki.

- Jagger.

- I to kretyńskie przeszukiwanie obozu - kontynuował Deering. - Trwało trzy godziny, a znaleziono tylko parę zardzewiałych łusek wyrzuconych chyba w czasach wojny burskiej, maszynę do pisania w worku i plik świńskich zdjęć schowanych pod jednym z domków. Założę się, że pod domkiem księdza. Podobno niezłe. Wie pan, momenty i takie rzeczy. Nie wie pan, kto je teraz ma?

- Nie wiem. Czy coś jeszcze?

- Tak, chcę złożyć podanie o przeniesienie. Mam już tego bajzlu po dziurki w nosie.

- Porozmawiamy o tym rano.

- Dobrze, sir. Dobranoc.

Deering wyszedł. Leonard spojrział na Jaggera, który odłożył już słuchawkę, wypowiedziawszy do niej jedynie parę słów potwierdzenia, a teraz stał zamyślony.

- Coś ważnego? - spytał Leonard.

Twarz Jaggera natychmiast przybrała wyraz nieszczerości.

- Nie - powiedział. - Nie, nic konkretnego. Nic związanego z tą sprawą.

- Och. Jest pan gotów do zejścia na dół?

- Jasne, tylko na to czekam.

Stanąwszy ponownie przed lustrem, Leonard wpatrzył się w swą twarz pokiereszowaną nieco przez pielęgniarza w szpitalu doktora Besta, po czym zauważył odbicie Jaggera i niepewnie zerknął na jego oryginał.

- Nie uczesze się pan?

- Mogę, jeśli to poprawi panu nastrój. Pożycz mi pan grzebień?

- Hm...

- W końcu to pan chce, żebym się uczesał. Nie mam zamiaru zasuwać na to poddasze, gdzie mnie zakwaterowali, tylko po cholerny grzebień. Jeśli mam przynosić zaszczyt panu i wojsku, to musi mi pan dostarczyć niezbędnych akcesoriów, nie?

- No, dobrze już. Proszę.

Grzebień z trudem przedzierał się przez płomienną czuprynę Jaggera, co sugerowało, iż jej właściciel czesze się nie częściej niż raz na parę lat. Stał nachylony w bok, a ramię z grzebieniem trzymał dziwnie blisko piersi. Wreszcie zdołał nadać większości włosów pozycję poziomą, choć niektóre powinny raczej przylegać do czaszki.

- Piękniejszy już nie będę - oświadczył, wyskubując z grzebienia kłębek skołtunionych rudych włosów i oddając go Leonardowi. - Mam jeszcze prośbę. Otóż jeśli wasz ceremoniał nakazuje całować adiutanta w zadek albo wiwatować za każdym razem, gdy ktoś wypowie imię królowej, to niech mnie pan szybko uświadomi.

- Najlepiej, jeśli będzie pan robił to co ja. Chodźmy, już i tak jesteśmy spóźnieni.

W westybulu powitał ich pułkownik.

- Ach, są nasi łowcy szpiegów - powiedział. - Wspaniale się dzisiaj spisaliście. Gratuluję. Wreszcie będziemy mieli spokój z tym wariatem. Co za ulga. Czego się pan napije, panie Jagger? Odrobinę ginu z tonikiem?

- Dziękuję, panie pułkowniku, ale wolałbym trzymać się mojego piwa. Pozwoliłem sobie poprosić jednego z kelnerów o przygotowanie zapasu.

- Pierwszorzędny pomysł. A dla pana, Brian, sherry, tak? Ach, i Willie. Źle pan wygląda, Willie. Kropelka whisky dobrze panu zrobi.

- Dziękuję, sir. Nie wie pan może, czy mój gość już się pokazał?

Ayscue, który przed chwilą wbiegł do pokoju, rzeczywiście źle wyglądał, sprawiał też wrażenie bardziej wymizerowanego niż zazwyczaj.

- Och, ten facet, który ma wygłosić prelekcję o naszych patagońskich kolegach. Nie, jeszcze go nie ma. Niech się pan nie martwi, wkrótce się zjawi.

- Tak, na pewno. Czy mógłbym zamienić z panem parę słów na temat Churchilla, sir?

- Oczywiście, oczywiście. Słyszałem, że go pan odwiedził. Niech mi pan powie...

Pułkownik i Ayscue odeszli na bok. Z drugiej strony podszedł do Jaggera i Leonarda Hunter.

- Ciekawe, co czeka biednego doktora Besta - powiedział.

- No, to już nie nasz kłopot - rzekł Jagger. - Nie ma sensu przesłuchiwać szaleńca, nie mówiąc już o stawianiu go pod sąd. Może jeśli odzyska zmysły, to znów się nim zainteresujemy.

- Myśli pan, że to prawdopodobne?

- Skąd mam wiedzieć? Słyszał pan, co powiedział Mann. Im szybciej to się rozwija, tym mniej możliwe, że ustąpi. Moim zdaniem, on już na zawsze pozostanie Tajnym Agentem Bestem. Życzę mu wszystkiego najlepszego.

- Ciekawe, czy ten guz na głowie miał z tym jakiś związek.

- Nie sądzę, ale Mann przyśle mi dokładną diagnozę, kiedy tylko skończy badania. Podrzucę panu kopię. Może to pana zaciekawić.

- Dziękuję. A więc jest pan pewien, że to jego szukaliście?

- Och, całkowicie. A pan nie?

- Oczywiście, jeżeli moja opinia w ogóle się liczy.

- ...najpóźniej jutro - powiedział pułkownik, którego słowa znów zaczęły do nich docierać. - W przeciwnym wypadku będę musiał osobiście się tym zająć. Nieobecność na ważnych zajęciach szkoleniowych to nie żarty.

- Zrobię, co będę mógł, sir - odrzekł Ayscue.

Na twarzy Leonarda pojawił się wyraz zgrozy.

- O, rany - powiedział Jagger - co znowu?

- Rękawiczki - mruknął Leonard. - Zostawiłem je w pokoju. Muszę po nie skoczyć.

- Czy wyście tu wszyscy poszaleli? Na co one panu, kolego? Sam mi pan mówił, że nosi się je tylko w rękę. Po co to wszystko?

- Nic pan nie rozumie. Zaraz wracam.

Leonard wyszedł zamyślony i raczej przygnębiony. Martwiła go myśl, że teraz, gdy już prawie wypełnił swe zadanie, kończy się także jego służba w szeregach Żeglarzy. W czasie następnej misji, kiedy to być może, będzie musiał odgrywać rolę pijaka w jakimś pubie w Whitehall lub majstra w stoczni marynarki wojennej, raczej nie będzie mógł pojawiać się w swym obecnym stroju. Być może jednak uda mu się zdobyć honorowe członkostwo w pułkowym klubie weteranów i w ten sposób zachować kontakt z jednostką.

Otworzył drzwi swego pokoju i zanim na dobre uświadomił sobie, że jest w nim Deering, ten rzucił się na niego. Po raz drugi w ciągu czterech godzin Leonard był zmuszony do stoczenia męczącej i bolesnej bijatyki. Cios pięścią w ucho zachwiał nim i rzucił na łóżko, na którym zauważył otwartą walizkę z tajnymi aktami i rozłożone stronicę wstępnego raportu w sprawie Besta, który ukończył po południu. Zerwał się i, jak mu się wydało, ze wszystkich sił uderzył Deeringa głową w żołądek. Żołądek ten był jednak znacznie twardszy, niż można było się spodziewać, zaś gdy Deering kantem dłoni uderzył go w kark, Leonard zupełnie stracił inicjatywę, chociaż nie przytomność. Dwaj mężczyźni zwarli się i przez jakiś czas szamotali bez większych rezultatów, przewracając krzesła, rzucając się na ściany i przesuając wzdłuż



nich, ale ta faza zakończyła się, gdy Deering chwycił Leonarda za gardło i przycisnął plecami do palisandrowej gotowalni. Wkrótce Leonard stwierdził, że nie jest w stanie rozluźnić uścisku Deeringa, zaczął więc po omacku szukać jakiejś broni na blacie gotowalni. Jego palce natrafiły na nie otwarte pudełko z pastą do zębów, pustą torebkę na przybory toaletowe, plastikową butelkę z odżywką do włosów i wreszcie, gdy już wydawało mu się, że nie zdoła zaczerpnąć więcej powietrza, szczotkę do ubrania w ciężkiej drewnianej oprawie. Uderzany nią w głowę Deering spróbował złapać za trzonek jedną ręką, którą musiał w tym celu zdjąć z szyi Leonarda. Ten odzyskał nieco sił i kopnął przeciwnika w goleń. Deering puścił go, a wtedy Leonard spróbował wstać, zbyt niezdarnie jednak, gdyż ordynans chwycił go za ramię i z całej siły pchnął na potrójne lustro, które przewróciło się i rozprysnęło w kawałki. Leonard uderzył głową w coś twardego.

Przez pewien czas leżał na podłodze, zastanawiając się, czy upadek go ogłuszył i na jak długo. Na grzbiecie dłoni dostrzegł nieco krwi, choć nie zauważył żadnej rany. Wkoło pełno było potłuczonego szkła. Ostrożnie podniósł się na kolana i przejrzał w jednym z większych kawałków lustra. Było jeszcze na tyle jasno, aby mógł się przekonać, że nie odniósł w zasadzie żadnych obrażeń poza długim, lecz widocznie płytkim skaleczeniem na czole, z którego krew kapiała na jego dłoń. Dźwignąwszy się wreszcie na nogi, z wysiłkiem podszedł do obrazu pięciu Żeglarzy przekrzywionego podczas bójki i wyprostował go. Potem, wciąż dysząc ciężko, ale poza tym w pełni opanowany, podbiegł do telefonu.

- Ze stanowiskiem dowodzenia, szybko... Tu Leonard. Alarm ogólny! Zamknąć bramy. Szeregowy Deering jest gdzieś w obozie. Jest agentem nieprzyjaciela. Aresztować go! Do roboty! Zaraz do was przyjdę.

Zanim skończył mówić, syreny wybuchnęły piskliwym wyciem, jak rano po wykryciu helikoptera. Pod wpływem silnego, choć nieokreślonego impulsu Leonard zerwał swój prochowiec z wieszaka znajdującego się za drzwiami i przykrył nim rozrzucone na łóżku tajne dokumenty. Następnie wybiegł na korytarz i popędził po schodach.

Hall pełen był oficerów w barwnych mundurach, którzy głośno wymieniali pytania i przypuszczenia. Leonard przepchnął się przez tłum i dotarł na stanowisko dowodzenia. Za nim wbiegli Jagger, Hunter i Ross-Donaldson.

- Co się stało? - spytali go chórem, jak mu się zdało.

- To Deering, mój ordynans. Zaskoczyłem go, kiedy przeglądał akta w moim pokoju. Próbowałem go obezwładnić, ale uciekł. To nasz człowiek. Teraz już nam się nie wymknie.

- Czy wie pan, gdzie można go znaleźć, sir? - spytał dyżurny sierżant.

- Sądzę...

Gdzieś ponad nimi rozległo się pośpieszne łomotanie wielkokalibrowej broni automatycznej. Wszyscy w milczeniu odwrócili się do ekranów telewizyjnych umieszczonych na ścianach. Na jednym z nich spore odłamki betonu odpryskiwały od muru bloku D4. Na innym skulony wartownik uciekał z pola widzenia kamery.

- No, teraz już wiemy, gdzie go szukać - powiedział Ross-Donaldson. - Chyba od razu wdrapał się na dach kasyna.

Dobra pozycja do samobójczej improwizacji o maksymalnych skutkach niszczących.

Nad nimi rozległa się kolejna seria, choć ze stanowiska dowodzenia nie można było dojrzeć jej efektu. Hunter ruszył do drzwi.

- Dokąd to, kolego? - spytał Jagger.

- Rozejrzę się na dworze. Stąd nic nie widać.

Wraz z Rossem-Donaldsonem Hunter przebiegł przez hall do frontowych drzwi. Tłoczyła się przy nich grupa oficerów, wśród których można było zauważyć pułkownika i Ayscue'a: ci, którzy nie dotarli jeszcze do progu, przepychali się na zewnątrz, natomiast ci, którzy już go przekroczyli, zatrzymywali się lub cofali, słysząc nowe strzały z karabinu maszynowego. Hunter i Ross-Donaldson precyzyjnie się wśród nich i posuwając się wzdłuż muru kasyna, dotarli w pobliżu stanowiska Deeringa. Znajomy głos rozległ się z megafonów, które wzmacniały dźwięczące w nim napięcie.

- Mówi Leonard. Wszyscy mają pozostać w ukryciu. Pododdział alarmowy zbierze się przy północnej ścianie szczytowej kasyna. Nie śpieszyć się. Nie wychodzić bez potrzeby spod osłony.

- To przynajmniej rozsądne - powiedział Ross-Donaldson. - Będą mogli obejść kasyno od północy i zaskoczyć tego ptaszka od tyłu.

- Dobrze też, że przypomniał im, aby się nie odstawiali.

Ludzie sylwetki poruszały się między budynkami przy głównej drodze. Stał na niej jakiś cywilny pojazd, którego przednia szyba odbijała wieczorne słońce. Karabin znów się odezwał, paraliżująco blisko dwóch mężczyzn stojących pod ścianą. Odbicie słonecznych promieni zniknęło. Żołnierze padli na ziemię.

- Ktoś zginie, jeśli to potrwa dłużej - szepnął Hunter, gdy karabin umilkł. - Niewątpliwie znajdzie się wśród nich jakiś dureń marzący o odznaczeniu. Deering zabije ich, kiedy tylko się zbliżą. Pomyślmy chwilę... Ach, tak. Pomożesz mi wejść na to coś?

Wskazał na pobliską rynnę, której wlot oddzielał od stanowiska kaemu tylko krótki odcinek pochyłego dachu.

- Odstrzeli ci głowę - powiedział Ross-Donaldson.

- Nie sędzę. Nie może opuścić lufy karabinu tak nisko, a zdjęcie go z podstawy zajmie mu zbyt wiele czasu, nawet jeśli potrafi to zrobić. No, Alastair.

Ross-Donaldson nadstawił ramiona i wkrótce Hunter wytknął głowę ponad okapem dachu. O około pięć metrów ponad nim, nieco na prawo, Deering pochylał się nad celownikiem. Para grubych podeszew i wyciągnięte ramię należały zapewne do żołnierza, który pełnił służbę przy karabinie. Hunter wyciągnął ramiona wzdłuż korytka rynny i zaczął się podciągać. Fragment rynny oderwał się ze zgrzytem. Deering usłyszał ten dźwięk, podniósł wzrok i zobaczył Huntera. Nie dotykając nawet kaemu, sięgnął za siebie i podniósł pistolet maszynowy, zapewne własność nieprzytomnego wartownika. Zanim zdążył wycelować, Hunter skrył się pod okapem. Zawisł na rękach i nasłuchiwał uważnie. Gdy usłyszał ponad sobą na dachówkach skrobanie metalu czy podeszwy, zeskoczył wprost na ziemię, krzycząc do Rossa-Donaldsona, by uciekał.

Pobiegli obaj. Nie usłyszeli serii z peemu. Natomiast dotarł do nich dźwięk karabinu maszynowego, choć nie pochodził on ze stanowiska Deeringa. Niezbyt dobrze wiedząc jak, znaleźli się za rogiem bloku D4, gdzie na ziemi leżał samotny kapral.

- Sympatyczny chłopak - krzyknął Hunter, wskazując karabin maszynowy znajdujący się na wieżyczce na łące. - Uratował nam życie.

- Co?! - wrzasnął Ross-Donaldson, przekrzykując nieustanny hałas kaemu.

Hunter plasnął dłonią i zaczął czołgać się do narożnika bloku. W tym momencie jazgot wielkokalibrowej amunicji nagle się podwoił. Przez kilka długich sekund dwa karabiny maszynowe prowadziły pojedynek, potem ten na łące zamilkł. Otoczył go dym, iskry i unoszące się w powietrzu kawałki metalu. Po chwili, przy wtórze kolejnych strzałów Deeringa, ktoś zaczął schodzić z wieżyczki po stalowej drabinie. Hunter szybko odwrócił się i chwycił pistolet maszynowy leżący koło kaprala. Ten otworzył szeroko usta. Hunter wyskoczył przed blok, gdzie Deering mógł go doskonale widzieć, i wypuścił serię w jego stronę. Nie trafił, ale jazgot ustał i Deering skierował lufę na nowy cel. Hunter znów strzelił i zobaczył, że ponad dachem kasyna unosi się ceglany pył. Po chwili otoczył go oszałamiający hałas pocisków Deeringa. Nagle czyjaś dłoń chwyciła go za ramię i wciągnęła w ukrycie. Karabin maszynowy natychmiast umilkł.

- Nie przesadzaj - powiedział Ross-Donaldson. - Ten chłopak już dawno zszedł po drabinie i uciekł. Przede wszystkim powinien był otworzyć ogień nieco wcześniej, dlaczego nie pozostał w wieżyczce?

- Później o tym porozmawiamy - powiedział Hunter. - Ale przyznasz, że Deering nieźle sobie radzi z tą pukawką. Może przeszkolili go w Moskwie lub Hanoi czy gdzieś tam.

- Prawdę mówiąc, to żadna sztuka, zwłaszcza na bliską odległość. Pociski uderzają z taką siłą, że łatwo można korygować cel. Oczywiście, za każdym razem trwa to kilka sekund, inaczej już by cię tu nie było.

- Tak, masz rację. Co za szczęście... Zechcecie załadować wasz wyjątkowo poręczny pistolet, kapralu? Może się jeszcze przydać.

Wypełniając z ociąganiem polecenie, kapral spytał:

- Nie jest to chyba kolejny pomysł kapitana Leonarda, prawda, sir?

- Och, wątpię. Ministerstwo wyznaje bardzo konserwatywne poglądy, jeśli chodzi o ostre strzelanie do żywego celu. Pod wieloma względami nie wyrosli jeszcze z dziewiętnastego wieku. A, dziękuję.

- Co teraz knujesz? - zapytał Ross-Donaldson.

- Rozejrzę się troszkę. Nie odejdę zbyt daleko.

Hunter położył się i powoli wystawił głowę za narożnik budynku. Natychmiast dostrzegł rude włosy Jaggera lśniąca w promieniach zachodzącego słońca: ich posiadacz usiłował wydostać się przez okno znajdujące się tuż pod stanowiskiem Deeringa, jakieś sześć metrów niżej.

- O, Boże - westchnął Hunter.

- Co się stało?

- Jagger włązi na dach.

- Dobry pomysł.

- Nie dla niego. Pewno nie wie, że Deering ma ten peem. Wykończy Jaggera w mgnieniu oka.

Gdy Jagger znalazł się za oknem, Hunter powrócił na swą poprzednią pozycję i wystrzelił serię w komin, który znajdował się pięć metrów od stanowiska Deeringa po jego drugiej stronie. Kilka sekund później odezwał się karabin maszynowy. Hunter przebiegł dwadzieścia metrów, znów strzelił, tym razem w górę, i pobiegł dalej. Powietrze wokół niego wypełniały niewidoczne kawałki rozpędzonego metalu. Uświadomił sobie, że jeśli jeden z nich go trafi, to będzie koniec jego życia. Próbował biec prosto, ale nie mógł. Skręcił więc pod kątem prostym, przebiegł jeszcze kilka kroków, potknął się o kępkę trawy i upadł. W ciągu kolejnej sekundy dźwięk lecącego metalu jeszcze nabierał mocy, potem i on, i hałas karabinu ustał. Było tak cicho, że Hunter musiał zakryć uszy dłońmi. Kiedy spojrzał na dach kasyna, zobaczył wymachującego ręką Jaggera, a u jego stóp nieruchomą postać Deeringa.

Cała akcja, od pierwszego do ostatniego strzału Deeringa, trwała sześć minut. Po kolejnych siedmiu lub ośmiu minutach Hunter wylegiwał się w najwygodniejszym fotelu w westybulu, pijąc szampana ze srebrnego kubka. Wokół niego wrzała dyskusja.

- Pierwszorzędna robota, Max - powiedział pułkownik.

- Dziękuję, sir.

- Dopilnuję, żeby pana za to nagrodzono.

- Strasznie miło z pana strony, sir.

- I, oczywiście, wpłynie to też na pana karierę.

- Cieszę się, że tak pan uważa, sir.

- Niewątpliwie... Tak, Alastair, co pan ma?

- Meldunek o stratach, sir. Dwaj żołnierze odnieśli powierzchowne skaleczenia od odprysków cegły, poza tym nikt nie ucierpiał. To znaczy, w obrębie jednostki. Jest jedna ofiara cywilna.

- Jak to, do diabła, możliwe?

Ross-Donaldson wziął kieliszek szampana z podsunętej mu tacy.

- Człowiek, który miał wygłosić wieczorem prelekcję - powiedział. - Niejaki Caton, doktor L. S. Caton. Przyjechał taksówką tuż przed ogłoszeniem alarmu. Wartownik przy bramie wpuścił go zgodnie z poleceniem i samochód jechał właśnie do kasyna, kiedy rozpoczęła się strzelanina. Kierowca zatrzymał się, nie wysiadali z samochodu, lecz zabłąkana kula trafiła w przednią szybę.

- A więc zginął?

- Niestety, tak, sir. Dostał w samą twarz. Trudno będzie go zidentyfikować. Ayscue już się nim zajął.

- A taksówkarz?

- Nawet go nie drasnęło. Ale, oczywiście, jest w szoku. Samochód też jest uszkodzony. Kazałem zaprowadzić kierowcę do kasyna podoficerskiego. Kiedy tylko wypiję, pójdę do niego. Och, sir, czy wystarczy, jeśli przygotuję raport o stratach materialnych na jutro rano? Nie będzie w nim zbyt wiele, poza tym drugim kaemem.

- Oczywiście, Alastair, oczywiście - powiedział pułkownik. - Dziękuję panu. Może przed kolacją wypijemy jeszcze co nieco?

Hunter napił się jeszcze szampana. Zmęczyła go ta akcja, pod wpływem alkoholu poczuł znużenie. Kiedy nadeszła pora kolacji, oświadczył, że dopije szampana do końca, a potem weźmie sobie kanapkę i pójdzie do swego pokoju. Gdy wszyscy wyszli do jadalni, zamknął oczy.

- To już mija - mruknął. - Ktoś, kogo nie znamy. Drugi skraj.

Słyszając skrzywienie drzwi, otworzył oczy i ujrzał rudą głowę Jaggera wsuwającą się do pomieszczenia.

- Czołem, Hunter. Sam jak palec, co? Mogę się do pana przyłączyć? Nie mogłem wytrzymać w tej jadalni. Zafajdany ceremoniał. Pomyślałem, że skoczę do pubu i zjem jeszcze jeden pasztet z wieprzowiny. Może by pan pojechał ze mną?

- Wolałbym nie, jeśli się pan nie pogiewa. Marzę o wczesnym położeniu się do łóżka.

- Oczywiście, miał pan dziś męczący dzień. No, w takim razie wypijemy sobie razem po malutkim kieliszeczku, a potem zniknę. Przynieść panu coś?

- Chyba dziękuję - powiedział Hunter niezdecydowany. Potem stanowczo dodał: - Chociaż jeśli jest tam otwarta butelka szampana, to pomogę panu ją osuszyć.

- Dobra, rozumiem. Zaraz wracam.

Hunter znów zamknął oczy. Gdy je otworzył, Jagger sadowił się koło niego z kubkiem szampana, półlitrowym kuflem i dużym dzbankiem przeznaczonym do mycia rąk, a wypełnionym, jak się okazało, piwem.

- Nikt nie będzie nam tu przeszkadzał - powiedział Jagger, napełniając kufel. - Zechciałby pan wyjaśnić mi parę szczegółów?

- Szczegółów czego?

Jagger przez kilka sekund patrzył w milczeniu na Huntera.

- Rozumiem. - Hunter zapalił papierosa. - Co chce pan wiedzieć?

- Przede wszystkim, sprawy techniczne. Jak udało się panu wyjść stąd i wrócić niepostrzeżenie, i tak dalej. Brama jest bardzo dokładnie strzeżona.

- To nie było takie trudne. Po kolacji wyjechałem z obozu zwykłą trasą. Wróciłem pieszo po północy, zostawiwszy samochód na polu po drugiej stronie szosy. W tym czasie wartownicy zmienili się, a nie zapisują, w jaki sposób kto opuszcza obóz i powraca, tylko o której godzinie i po co. Położyłem się na parę godzin, a potem wyszedłem przez płot. To całkiem proste, jeśli zna się teren i zwyczaje wartowników. Następnie miła przejażdżka do obszaru celu, z przystankiem w miejscu, gdzie ukryłem karabin, zniszczenie klasztoru Świętego Hieronima i znacznie szybsza jazda w pobliże szpitala psychiatrycznego, dokąd także nietrudno dostać się niepostrzeżenie, jeśli zna się teren. Ominięcie ludzi Leonarda w szpitalnym parku i przy bloku dla personelu było już śmiesznie łatwe. Wreszcie, szybki powrót w okolice obozu i włączenie się do ogólnej bieganiny. Tak, jak oczekiwałem, wszyscy byli zbyt zajęci i przejęci, aby zwracać sobie głowę ewidencją wchodzących.

- Tu nieco pan zaryzykował. W każdej chwili ktoś mógł zacząć pana szukać, żeby przydzielić panu zadanie czy coś podobnego.

- W takim razie stwierdziliby, że jestem gdzie indziej. W wojsku nigdy nikogo nie ma tam, gdzie jest potrzebny. To już prawo natury. Zresztą cała ta sprawa była ryzykowna. Nie przeszkadzało mi to. Właśnie to mi się w niej podobało. A tak czy owak, musiałem to zrobić. Okoliczności potrafią krzyżować ludzkie zamiary w sposób tak złośliwy, skomplikowany i nieprawdopodobny, że kiedy tylko ta ciężarówka zapaliła się i przyszedł mi do głowy ów plan, wiedziałem, że muszę go wykonać. Zdradziłbym wszystkie moje wartości, gdybym nie założył, że tym razem okoliczności będą mi niewiarygodnie sprzyjać. Nie wiem, czy coś pan z tego pojmuje.

- Och, tak. Całkiem sporo. Tak, to wiele wyjaśnia. Niepokoiła mnie też sprawa tej maszyny do pisania. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie przeszkodził pan w jej odnalezieniu. W końcu to pan dowodził przeszukiwaniem obozu. Mógł pan zorganizować je tak, aby właśnie panu przypadło sprawdzenie wychodka kompanii C, czy gdzie tam pan to cholerstwo schował.

- A w ogóle, to jak pan na to wpadł?

- To proste jak drut, kolego. Już po pięciu minutach pobytu w tym miejscu zrozumiałem, że klasztor wyleciał w powietrze dlatego, że był klasztorem, czyli własnością Boga Ojca Wszechmogącego. A więc szukamy kogoś, kto nie lubi Boga Ojca Wszechmogącego. Potem, gdy tylko Leonard pokazał mi to ogłoszenie Ligi Walki ze Śmiercią, odebrał księdzu wiersz i dał mi go, wiedziałem, że to sprawka tego samego faceta. To ograniczyło także grupę podejrzanych. Niech pan spojrzy.

Wykrzywiając twarz i wydając ciche pomruki, Jagger przeszukał kieszenie. Wreszcie wyciągnął kartkę i na próżno próbował wygładzić ją na swoim udzie.

- Całkiem niezły wiersz - powiedział - w takim surowym, potocznym stylu. Ale surowość jest, oczywiście, zamierzona. Długo go pan pisał?

- Około dwudziestu minut.

- Oj, chyba dłużej. Widzę, że musiał się pan sporo namęczyć. Ale skoro już o tym mówimy, to jest w nim kilka błędów ortograficznych, lecz interpunkcja jest nienaganna. A to dziwne. Na każdą dwudziestkę ludzi, którzy znają ortografię, tylko jeden potrafi bezbłędnie stosować znaki przestankowe. Za to prawie każdy, kto zna interpunkcję, zna także ortografię. Tak więc, nasz człowiek nie jest półanalfabetą, tylko takiego udaje. A dlaczego? Bo chce stworzyć wrażenie, że wiersz może być dziełem byle kuchty lub pucybuta. Dobra. Leonard powiedział, że jego zdaniem autor to człowiek z wewnętrznego kręgu, z grupy B1, który przeraził się tego, co będzie musiał zrobić w operacji „Apollo”. Pod pewnymi względami jest to

całkiem rozsądny wniosek. Ale tak sobie pomyślałem, że można dojść i do innych. Jeśli weźmiemy pod uwagę temat wiersza, postawę autora itd., to idea wiersza nie jest taka, jakiej należałoby się spodziewać z treści. Należałoby się spodziewać, że przeciwnik afery „Apollo” ulży sobie na ludziach. Generałach. Politykach. Naukowcach. Na ludziach, a nie na Ojcu Wszchemogącym. Może to trochę dalekosiężny wniosek, ale w końcu mamy do czynienia z poezją. A więc szukam osobnika wykształconego, najprawdopodobniej spoza grupy B1. Potem słyszę, jak drużyna Deering mówi Leonardowi, że drużyna przeszukująca obóz znalazła maszynę do pisania i przypominam sobie, iż pan jako jej dowódca zameldował, że nie znaleziono niczego godnego uwagi, a maszyna do pisania z pewnością jest godna uwagi, z rozmaitych powodów, i tu pana mam. Oczywiście, były też inne poszlaki. Był pan w pobliżu karabinu, kiedy go skradziono, napuścił pan Leonarda na Besta, nie lubi pan Besta et cetera. Ale wszystko zaskoczyło mi w głowie, kiedy pomyślałem o tej maszynie do pisania. A propos. Nie powiedział mi pan jeszcze, dlaczego nie przeszkodził w jej znalezieniu.

Hunter roześmiał się bezgłośnie.

- Z bardzo prostego powodu - powiedział. - Byłem pijany, kiedy ją chowałem, i zapomniałem, gdzie ją zaniósłem, zanim dotarłem do łóżka. Wie pan, tabula rasa.

- Uhm. - Jagger napełnił swój kufel. - Chciałbym, żeby wyjaśnił mi pan jeszcze tylko jedną rzecz, jeśli oczywiście ma pan ochotę, a mianowicie motyw pańskiego działania. Nie. Nie motyw. Nieważne. Motyw znam. Bódźce. Jakie okoliczności nakłoniły pana do napisania wiersza i tych ogłoszeń?

Zapadła długa cisza. Wreszcie Hunter powiedział:

- Nigdy nie lubiłem myślenia o rzeczach, ani rzeczy, które zmuszają do myślenia o innych rzeczach. Wie pan, muzyka i tak dalej. I miłość. Wstąpiłem do wojska właśnie po to, aby od nich uciec. No, z początku nawet mi się to udawało. Ale niedawno stwierdziłem, że zakochałem się w kimś w sposób bardziej katastrofalny niż kiedykolwiek przedtem. I to od pierwszego wejrzenia. Upiłem się do nieprzytomności, żeby uwolnić się od tego uczucia. Nic z tego. Potem umarł najlepszy przyjaciel tego kogoś i stwierdziłem, że lepiej dmuchać na zimne, zanim się sparzę, czy raczej, zanim ten ktoś się sparzy. Stąd wiersz. Ta sprawa z miłością niemal ułożyła się po mojej myśli, ale kiedy przyszło co do czego, wszystko się rozleciało, bo ten ktoś myślał o swoim zmarłym przyjacielu. To mnie naprawę załamało. Stąd Liga Walki ze Śmiercią. A potem mój przyjaciel się zakochał, a jego dziewczyna ma raka, jak pan wie. To już był ostatni gwóźdź do trumny. Stąd karabin i klasztor. Jako sposób zmanifestowania swego sprzeciwu. Z dodatkiem odrobiny zemsty.

- Niezbyt to praktyczne - rzekł Jagger. - Cała ta historia.



- Rzeczywiście, niezbyt. Ale czasami trzeba być niepraktycznym, nielogicznym i trochę szalonym, jeśli jedyną alternatywą jest całkowita bezczynność, która byłaby po prostu zniewagą dla naszej godności. Takie rzeczy nie mogą przechodzić bez żadnego komentarza, jakby nikt ich nie zauważał, albo jakby nikt się nimi nie przejmował. Żadną miarą.

Po chwili ciszy Jagger spytał:

- I co pan teraz o tym sądzi?

- Dobre pytanie. Chyba trochę mi wstyd. Nie wyszło to tak, jak się spodziewałem. Przynajmniej jeśli chodzi o moje sumienie. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że gdzieś przesadziłem.

- A więc nie zastanawia się pan, czyby nie wysadzić w powietrze opactwa westminsterskiego?

- Nie, nie mam takich ambicji. Choćby dlatego, że byłoby to zbyt nudne.

- Tak trzymać. Jeśli jeszcze kiedyś spróbuje pan takich numerów, źle się to dla mnie skończy.

- Jeszcze kiedyś...

- Tak - powiedział Jagger, energicznie kiwając głową. - Właśnie. Dobrze mnie pan zrozumiał. Nie będę tym razem podejmował żadnych działań. Z kilku powodów. Powód pierwszy. Przed chwilą uratował mi pan życie. To zawsze porusza czułą strunę w moim sercu. Powód drugi. Tak się składa, że ja także mam co nieco do zarzucenia Bogu Ojcu Wszchemogącemu. Dwa lata temu zabrał mi córkę. Nazywa się to rozsiany toczeń rumieniowaty. Choroba tkanki łącznej. Objawia się jedynie czerwoną wysypką na twarzy, którą wzmaga światło słońca. Nie mogła wychodzić za dnia z domu. Miała dwadzieścia lat. Była zaręczona. I tak dalej. Wie pan co, Hunter, jeśli kiedyś na serio zorganizuje pan tę swoją Ligę, to chętnie się do niej zapiszę. Zawsze może mnie pan znaleźć za pośrednictwem ministerstwa.

- Pan mówi poważnie?

- Jestem równie poważny jak pan.

- Tak. Czy są jeszcze jakieś powody?

- Tak, jest trzeci powód, znacznie ważniejszy od dwóch poprzednich. Sprawa jest zamknięta. Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli taka pozostanie. Nawet jeśli Bestowi powrócą zmysły, o nic go nie oskarżymy. Był szalony, gdy stało się to, o co go podejrzewamy. Ale naprawdę chodzi o to, że powtórne rozbabranie tej afery mogłoby w pewnym stopniu zniweczyć znakomite rezultaty, jakie przyniosła nam operacja „Apollo”.

- Przyniosła? - zapytał Hunter. - Czy nie za wcześniej na takie stwierdzenie?

- Och, nie. Operacja już się zakończyła, kolego. Zakończyła się powodzeniem. Dowiedziałem się o tym przed godziną, tuż przed tym, jak nasz przyjaciel Deering rozpoczął swój popis. Więcej, niestety, nie mogę panu zdradzić. We właściwym czasie dowie się pan, o czym mówię. W każdym razie jesteśmy bardzo zadowoleni z rozwoju wydarzeń. Co zamierza pan robić, kiedy wasza jednostka opuści obóz? Dam panu dobrą radę. Można? Myślę, że powinien pan wypisać się z tego zafajdanego wojska, znaleźć sobie kogoś, kogoś miłego, przyzwoitego, poważnego i ustatkować się. To żadna sztuka.

Hunter podniósł dzbanek i napełnił kufel Jaggera.

- Znakomita rada - powiedział. - Ustatkować się? I zrezygnować ze wspaniałej kariery, która właśnie się przede mną otwiera? Nie. Wybiorę sobie jakieś paskudne miejsce, naprawdę paskudne, i każę się tam posłać. Wpadłem na ten pomysł, kiedy strzelał do mnie Deering. Dotychczas nikt jeszcze do mnie nie strzelał. To niezwykle interesujące przeżycie, choć, w tej chwili trudno by mi było je zdefiniować.

- Co kto woli. Wyznam panu, że mnie się wcale na tym dachu nie podobało. Cóż...

Po kilku bezowocnych próbach, którym towarzyszyły ciche pomruki, Jagger wyciągnął z górnej kieszeni marynarki hałaśliwie tykający zegarek i zerknął na niego, a po chwili spojrzął nań z niedowierzaniem. Z wysiłkiem wstał z fotela.

- O rany - wymamrotał. - Muszę już lecieć, bo nie dostanę kolacji.

- Wyjeżdża pan w nocy?

- Nie, umówiłem się w tym domu wariatów To spory kawał drogi stąd, prawda?

- Proszę wybaczyć moją ciekawość, ale z kim się pan umówił?

- Gdyby ktoś się o mnie pytał, to z Mannem, żeby porozmawiać o Beście, ale tak naprawdę to z tymi dwiema laleczkami w skórze, które podawały wam kawę. Wpadłem na nie, kiedy wychodziły. Chyba trochę za długo z nimi gruchałem, bo powinienem był sprawdzić, czy nie przydam się panu i Leonardowi. Przepraszam.

- Drobiazg. Będzie pan miał ciekawy wieczór.

- Nigdy nie wiadomo. Nie miałby pan ochoty zmienić planów i pojechać ze mną, żeby wyrównać proporcje?

- Dziękuję, ale nie. Proporcje wcale nie byłyby wyrównane.

- Rozumiem. - Twarz Jaggera ożywiła się. - Ale niech pan pomyśli - rzekł, klepiąc Huntera po ramieniu - że też Leonard nic o nich nie wspomniał, kiedy zastanawialiśmy się nad tym, czy Best jest wariatem. Każdy facet, który ubiera kobiety w takie ciuchy, musi mieć kuku na muniu. Zresztą, to po prostu ciekawy szczegół, godzien wzmianki. A Leonard nie puścił pary z ust, choć potem powiedział mi, że zwrócił na nie uwagę, kiedy parę dni temu jadł tam

obiad. Przycisnąłem go i zmusiłem do wyznania, że wtedy rzeczywiście wydało mu się to nieco dziwne.

- Obawiam się, że często jeszcze bywa bardzo naiwny.

- Oj, niech pan tak nie mówi. Brian Leonard to jeden z naszych najlepszych ludzi. Ma wielki talent. Sęk tylko w tym, że ma też wielkiego pecha. A propos, Max, mój drogi. W ciągu najbliższych paru dni będzie pan mógł okazać Brianowi swoją przyjaźń. Będzie jej potrzebował.

\*

- Co wiesz o psychice Chińczyków? - zapytał Ross-Donaldson.

Leonard zawahał się. Nadal był przygnębiony, a natrętna myśl, że pozwalał Deeringowi kraść sobie sprzed nosa tajemnice, napełniała go złymi przeczuciami. Teraz doszło do tego oszołomienie: wezwany niespodziewanie przez Rossa-Donaldsona, stwierdził, iż z biura adiutanta zniknęli jego pomocnicy, zaś przy drzwiach stoi uzbrojony wartownik. Leonard poczuł się tak, jakby jajka *bonne femme*, które jadł na śniadanie, zatrzymały się gdzieś w drodze do żołądka.

- Tylko tyle, ile nauczyli nas podczas szkolenia - powiedział wreszcie. - Nie ukończyłem żadnego specjalnego kursu.

- Nie. Pozwolisz więc, że przypomnę ci pewien ważny fakt, który zapewne jest ci znany, a mianowicie, że ich działanie cechuje niezwykle duża rozbieżność pomiędzy założeniami a danymi. W praktyce, jeśli chodzi o ich postawę wobec narodów zachodnich, oznacza to, że ideologia nakazuje im pogardzać nami i uważać nas za durniów, zaś doświadczenie zmusza ich do ciągłego szacunku dla naszej wydajności oraz przebiegłości. W związku z tym każdy projekt mający na celu oszukanie ich musi zawierać niezwykle dokładnie wyważone elementy pozornej głupoty i pozornej przebiegłości. Przyjrzyjmy się tym składnikom w kolejności, w jakiej pojawiają się one w projekcie, który wspólnie realizowaliśmy w ciągu minionych tygodni.

Po pierwsze, elementy pozornej głupoty. Przede wszystkim mamy ciebie, niedoświadczonego oficera zajmującego się sprawami bezpieczeństwa, w dodatku bez pomocników. Kiedy nieco później trzeba przydzielić ci agentów do inwigilacji doktora Besta, wybieramy ludzi o sprawdzonej nieudolności. Chiński agent Deering bez trudu zostaje twoim służącym, a pełniąc tę funkcję ma co najmniej potencjalny dostęp do twych tajnych akt. Poddając cię szkoleniu, w którym podkreślano znaczenie rzekomej chytrych i zalecano ci przechowywanie tych akt w miejscu jak najbardziej dostępnym, stworzyliśmy sytuację

sprzyjającą zmianie owego potencjalnego dostępu w rzeczywistości. Rzecz jasna, na Chińczyku i nie tylko na nim, owa rzekoma chytrość robiła wrażenie prawdziwej głupoty. Nie spodziewaliśmy się, że ty sam nauczysz Deeringa tak prostego sposobu dobrania się do twych akt, ale po pewnych dyskusjach uznaliśmy, że stanowi to poważne wzmocnienie naszej wiarygodności. Wreszcie, wskutek nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności, skupiłeś swe wysiłki na doktorze Beście, człowieku niewątpliwie niebezpiecznym, lecz bynajmniej nie związanym z naszą sprawą.

Na razie sama głupota, nieuleczalna, zgodna z przewidywaniami, imperialistyczna. A teraz... Źle wyglądasz, Leonard. Wypijesz filiżankę herbaty?

Leonard wolałby wprowadzić sherry, ale skinął głową.

- Z mlekiem i cukrem?

- Z mlekiem. Bez cukru.

Leonard siedział w pustym pokoju, nie poruszając się i niemal nie myśląc, Czas do powrotu Rossa-Donaldsona wypełnił marzeniami o Lucy.

- Do którego wydziału należysz? - spytał bez ciekawości.

- Nazwa nic ci nie powie. Zorganizowano go wyłącznie dla celów tego projektu i wkrótce zostanie rozwiązany. Teraz, jeśli pozwolisz, przedstawię ci drugi aspekt tej sprawy. Mam nadzieję, że nie nudzę cię.

- Nie.

- Dobrze. Omówiliśmy wyczerpująco elementy pozornej głupoty. A teraz elementy pozornej przebiegłości. Naszym głównym celem była tu rozrzutność, nieograniczone nakłady czasu, pracy i pieniędzy, aby stworzyć wrażenie, iż jednostka ta stanowi ośrodek szkoleniowo-instruktażowy zajmujący się problemami wykorzystania w warunkach wojennych taktycznej broni jądrowej najnowszego typu na obszarach jak najbardziej oddalonych od metropolii. Zresztą osiągnęliśmy w tym zakresie pewną nieoczekiwaną korzyść. Chińska kwatera główna przez jakiś czas będzie wierzyć, że armia brytyjska dysponuje karabinami atomowymi na szczęblu drużyny piechoty, a w najgorszym przypadku będzie liczyć się z taką możliwością. W rzeczywistości tak zwana RBJ-17, a przynajmniej jej amunicja, jest zbyt kosztowna, zaś jej produkcja zbyt kłopotliwa, abyśmy mogli brać pod uwagę jej użycie w warunkach wojennych.

Mówiłem o rozrzutności czasu, pracy i pieniędzy. Najważniejsze były oczywiście nakłady finansowe, które dla ludzi Wschodu stanowią gwarancję szczerości. Może przypominasz sobie omawiany podczas szkolenia słynny przypadek z czasów pierwszej wojny światowej, kiedy to alianci podrzucili tureckiemu wywiadowi fałszywe plany bitew, a o ich

autentyczności przekonali Turków, umieszczając w tej samej przesyłce sporą ilość prawdziwych banknotów. Według chińskich kryteriów koszty fizycznych środków bezpieczeństwa były kolosalne: od budowy bloku D4 do zainstalowania telewizji kablowej. Takie wydatki na maskowanie, na oficjalną przykrywkę, połączone z naszą gotowością do poświęcenia w razie potrzeby tajemnicy RBJ-17, musiały przekonać ich, że to, co się kryje pod tym kamuflażem, jest autentyczne. Kosztowność oszustwa potwierdzała naszą niezwykłą przebiegłość.

W tym momencie pojawiła się herbata przyniesiona przez kaprała, który, jak przypomniał sobie Leonard, w dniu ćwiczenia „Nabab” przeklinał znacznie więcej i plugawiej niż inni. Żołnierz kilkakrotnie spojrzał na niego, zaś na jego ustach pojawił się uśmiešek triumfu. Nie mógł, rzecz jasna, wiedzieć, z jakiego powodu wezwano Leonarda na dywanik, ale każdy, kto spędził w wojsku co najmniej tydzień, mógł poznać, że rozmowa nie jest dla niego przyjemna.

- W porządku - powiedział Ross-Donaldson, gdy zamknęły się drzwi za kapralem. - Wszystko to oznacza w uproszczeniu, że Chińczycy musieli poważnie potraktować doniesienie Deeringa, iż w trzecim tygodniu swej inwazji na subkontynent indyjski stracą około miliona ludzi, a w czwartym dwa i pół miliona. Wyjątkowe okrucieństwo broni kryjącej się pod naszym kamuflażem, broni, której mieliśmy rzekomo użyć, kiedy tylko ich pierwsze większe oddziały przekroczą Himalaje, stanowiło dodatkową gwarancję autentyczności: zachodnia dzikość, nieludzki imperializm i tak dalej. W rzeczywistości okrucieństwo to służyło wyłącznie celom psychologicznym. Operacja „Apollo” była niewykonalna w samym swym założeniu. Tylko na subkontynencie zginęłyby miliony ludności cywilnej. Ale to jeszcze jedna gwarancja autentyczności: obojętność kapitalistów na cierpienia Azjatów.

Jak więc widzisz, projekt ten miał na celu odstraszenie Chińczyków. Dlatego też musieli dowiedzieć się wszystkiego o naszej tajnej broni. Twoja rola, Leonard, polegała na czynieniu zaciekłych, aczkolwiek bezskutecznych wysiłków zapobieżenia przeciekowi tych informacji. Wypełniłeś ją znakomicie. Pakiet zawierający wyczerpujące dane dotyczące broni opuścił Anglię, by udać się w drogę do Pekinu dwanaście dni temu. Wcześniej niż się spodziewaliśmy. Byliśmy zachwyceni, lecz potem pojawiły się pewne problemy.

Ross-Donaldson przerwał i przez jakiś czas patrzył na Leonarda uważnie. Po raz pierwszy od chwili, kiedy się poznali, Leonardowi wydało się, że jego rozmówca jest zakłopotany. Nareszcie powiedział:

- To dla ciebie zapewne spory szok, Leonard. Przepraszam. Sądzę, że to ja do pewnego stopnia cię skrzywdziłem. Dla ogólnego dobra musiałem odwozić cię z niewłaściwego, to

znaczy właściwego tropu i kierować w ślepe uliczki. I, niestety, kilkakrotnie bawiłem się twoim kosztem. Może nie zauważyłeś tego. Teraz wydaje mi się, że za bardzo ulegałem podszeptom Huntera.

- Max to wspaniały oficer.

- Owszem, posiada rycerskie zalety, ale nie idzie z nimi w parze szlachetność ducha.

Napijesz się jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję. Wyjaśnij mi resztę. O jakich to problemach wspominałeś?

- O dwóch. Jeden związany był z marszrutą pakietu. Nie mogliśmy obserwować jego całej drogi, bo ktoś mógłby zauważyć, że ją śledzimy. Pakiet dotarł do Albanii, po czym ślad po nim zaginął. Wiesz, jacy są Albańczycy. Gdyby tam pozostał, byłoby dla nas źle. Wciąż jeszcze sprawdzaliśmy, czy przekazano go do Chin, kiedy pojawił się drugi problem. Karabin. Strasznie mnie to zdenerwowało. Można to było wyjaśnić na dwa sposoby. Pierwsze tłumaczenie było takie, że nasze procedury sprawdzające nie są warte funta kłaków, że Best jest mimo wszystko nieprzyjacielskim agentem, co oznaczałoby, że informacje rzeczywiście utknęły gdzieś po drodze i Pekin nadal interesuje się karabinem. Na końcowym etapie operacji byłaby to katastrofa. Jagger przez jakiś czas skłaniał się ku temu wyjaśnieniu. Ja wierzyłem raczej w drugie, właściwe jak się okazało, a mianowicie, że Best to szaleniec pragnący się wyżyć w jakiś paranoiczny sposób. Ale to było równie niepokojące. Z punktu widzenia Chińczyków był to bardzo podejrzany incydent. Nie pasował do żadnych schematów. Bóg wie, jaki schemat by do niego zastosowali i ile czasu by im to zajęło. Tak mnie to zdenerwowało, że musiałem wezwać Jaggera na pomoc. Winien ci jestem przeprosiny, Leonard, za to, że tak szorstko cię potraktowałem wczoraj rano. Ale myślałem, że to twoja wina. Miałem zresztą rację.

W każdym razie mogło być znacznie gorzej. Cudownie ujarzmiliście Besta, a jakiegokolwiek resztki podejrzeń, jeśli nieprzyjaciel jeszcze takowe żywi, rozwieje wspaniałe widowisko, które odbyło się tu wczoraj wieczorem z udziałem prawdziwych trupów. O tym na pewno się dowiedzą. Nawet Chińczyk nie jest w stanie zwątpić w jego autentyczność.

Ross-Donaldson wyciągnął się w fotelu, pogładził po brzuchu i uśmiechnął. Potem przybrał bardziej zdyscyplinowaną pozę.

- Teraz mogę cię już poinformować - powiedział ściszym głosem - że realizacja naszego projektu została uwieńczona powodzeniem. Informacje dotarły w końcu do Chin. Inwazję odwołano. Stwierdziliśmy to na podstawie dowodów pośrednich, ale jednoznacznych. Wygraliśmy, Leonard. Nie będzie operacji „Apollo”. Nie będzie wojny. No i? Nie cieszysz się?

- Jeszcze się ucieszę. W tej chwili jestem zbyt oszołomiony.

- Rozumiem cię. Ja też przez moment tak się czułem.

Po chwili milczenia Leonard zapytał:

- A co będzie ze mną?

- Cóż, obawiam się, że będziemy musieli potraktować cię surowo, ale bez rozgłosu. Zbierze się sąd wojskowy, który nakaże zwolnienie dyscyplinarne. To czysta formalność, na wyłączny użytek Chińczyków. No, głównie na ich użytek. Dopilnujemy, żeby nie dowiedziała się o tym prasa, a więc nic nie zakłóci twoich szans w życiu cywilnym. I... czeka cię nagroda. Po upływie stosownego czasu, powiedzmy, po półtora roku, umrze twój fikcyjny krewny, który zostawi ci około dwóch tysięcy funtów. Netto. Po opłaceniu podatku spadkowego.

- Cóż za hojność. Dwa tysiące funtów dla największego durnia, jakiego mogła znaleźć Służba Bezpieczeństwa.

- Na twoim miejscu nie myślałbym w ten sposób. Jak już mówiłem, wybrano cię ze względu na twój brak doświadczenia. I działałeś w osamotnieniu. Ktoś musiał to zrobić. Kiedy przygotowaliśmy projekt, utworzyło się silne lobby żądające, aby oficer na twoim stanowisku był w pełni poinformowany o rzeczywistej sytuacji i zamierzeniach, ale zdołałem przekonać ich, że ciągłe udawanie byłoby dla niego zbyt wielkim brzemieniem. Alternatywę stanowiło przydzielenie tej funkcji komuś o twojej osobowości, czyli człowiekowi sumiennemu, nie mogącemu nas zaskoczyć, dysponującemu niezbyt wielką wyobraźnią, i utrzymywanie go w niewiedzy. Wybraliśmy ciebie. Spełniłeś nasze oczekiwania. Nie masz się czego wstydić.

- Wstydzę się wszystkiego.

Ross-Donaldson wstał z westchnieniem i obciągnął mundur. Leonard także uniósł się z fotela.

- Wiesz, Leonard, wydaje mi się, że w cywilu będzie ci lepiej. Wątpię, czy kiedykolwiek zostałbyś dobrym oficerem kontrwywiadu. Za bardzo interesujesz się ludźmi.

- Nie wiem o nich nic - odpowiedział Leonard.

Nałożył czapkę, elegancko zasalutował i odwrócił się. Ross-Donaldson wzruszył ramionami.

\*

Minęła prawie godzina, zanim samopoczucie Leonarda nieco się poprawiło. Wyszedłszy z biura Rossa-Donaldsona stwierdził, że potrzebuje sherry tak bardzo jak Lucy, a sherry jest bliżej. Jednak przed progiem kasyna zatrzymał się. Była dopiero za dziesięć dziesiątą, a nie chciał, żeby inni oficerowie widzieli go pijącego o tak wczesnej porze czy

robiącego cokolwiek innego o jakiegokolwiek porze. Po chwili namysłu pojechał do wsi i od Eamesa, który właśnie otwierał swą knajpę „Pod Białym Jeleniem”, kupił butelkę Manzanilli de los Hermanos Murillo. Czekając, aż oberżysta zapakuje ją, Leonard zmusił Annę, by podała mu szklanekę tego, co akurat miała pod ręką.

Było to słodkawe południowoafrykańskie wino, które zniknęło bez śladu nie dotarwszy nawet tak daleko, jak jego śniadanie. Przygnębienie nie opuszczało go podczas jazdy do Lucy i pogłębiło się jeszcze, gdy ta powitała go z podejrzliwością graniczącą z wrogością.

- O co chodzi? - spytał, stojąc w portyku. - Co ja takiego zrobiłem?

Spojrzała na niego wściekła.

- Czego tu szukasz? Powiedziałam ci, żebyś do mnie nie przyjeżdżał.

- Myślałem, że chodzi ci tylko o to, żebym nie przyjeżdżał wieczorami. Chciałem cię odwiedzić. Mam trochę czasu. Jeśli chcesz, to sobie pójdę.

Jej spojrzenie złagodniało.

- Nie przyjechałeś po Jamesa?

- Po Jamesa? Czego mógłbym od niego chcieć? On tu jest?

- Przecież jesteś kimś w rodzaju żandarma. Tak, jest na górze.

- Dlaczego? Nie rozumiem.

Po dziesięciu minutach zrozumiał już co nieco. Siedział z Lucy w cieniu dębu, na zapuszczonym trawniku przed oknami salonu. Rozmawiając sączyła słaby gin z tonikiem. On wypił już dwa kieliszki sherry, trzeci trzymał w dłoni, a butelkę ustawił obok swego leżaka. Sam nie wiedząc jak, zapomniał o swym przygnębieniu.

- Chyba powinniście byli zawiadomić mnie o tym - powiedział w pewnym momencie. - Choć teraz to już bez znaczenia.

- Tak, ta sprawa jest znacznie poważniejsza.

- I nic nie jadł ani nie pił? - zapytał, gdy Lucy zakończyła swą opowieść.

- Nie chce jeść. Nie chce nawet palić. Willie wmusił w niego parę szklanek wody.

- A co z... wiesz, załatwianiem się?

- Willie zabrał go do toalety chyba trzy razy. Za trzecim musiał go prawie nieść. To znaczy, z małą potrzebą. Nie chciał załatwiać dużej potrzeby. Popadł w całkowity letarg. Idzie Willie.

Ayscue podszedł do nich po zalanym światłem słońca trawniku. Ponuro skinął głową Leonardowi, odmówił drinka, usiadł w trzecim leżaku i zaczął powoli pocierać oczy. Był blady i nieogolony.

- W jakim jest stanie? - spytała Lucy.



- Bez zmian. Może w nieco gorszym. Coraz trudniej stwierdzić, czy śpi, czy nie.

- Ty sam powinieneś się przespać.

- Czemu nie? Jemu już nic nie pomogę. A ty pewno przyjechałeś go zabrać - dorzucił oskarżycielskim tonem pod adresem Leonarda.

- Nie. Brian chciał mnie tylko odwiedzić. Opowiedziałam mu o wszystkim. Chcesz nam pomóc, prawda, Brian?

- Nie wiem, czy coś zdołam zdziałać, skoro wam się to nie udało.

- Brian - powiedział Ayscue. Wrogość zniknęła już z jego zachowania. - Co się stanie, jeżeli w tej chwili ubierzemy go i zawieziemy z powrotem. Jak potraktuje go Służba Bezpieczeństwa?

Leonard wiedział, że odwołanie operacji „Apollo” nie oznacza, na razie przynajmniej, złagodzenia zakazów i ograniczeń nałożonych na jej uczestników. Przypuszczał, że jego szefowie nie pozostawią na wolności człowieka znającego tak ważne tajemnice i nie zrównoważonego psychicznie.

- Zamkną go - odpowiedział.

- Tak też myślałem, Brian. Chcę cię spytać o coś ważnego. Podejrzewam, że James nie powiedział nam o wszystkim, co go dręczy. Sądzę, że dręczy go ta operacja „Apollo”. Sądzę, że nie może znieść myśli o niej. Wiem, że każda wojna jest straszna, ale to coś musi być wyjątkowo okrutne. Powiedz mi tylko, czy mam rację. Powiedz tylko „tak” lub „nie”.

- Tak - powiedział Leonard. - Masz rację.

- Tak. Widzisz, Brian, on nienawidzi Boga. To już źle. Ale stracił też wiarę w cokolwiek. W świat. Nienawidzi świata.

- Chyba rozumiem, o co ci chodzi. Przepraszam was. Wrócę niedługo.

Ruszył w stronę domu. W drzwiach obejrzał się jeszcze na nich. Ayscue, w wymiętym polowym mundurze, wyciągnięty był na leżaku jakby spał, a Lucy, w nieskazitelnie białej sukni, lśniącej w słońcu, siedziała pochylona z ramionami splecionymi wokół kolan. Leonard przekroczył próg i poszedł na piętro do pokoju, w którym Churchill leżał z zamkniętymi oczyma. Leonard uklęknął przy jego łóżku.

- James. To ja, Brian Leonard. Wiem, za martwisz się operacją „Apollo”. Już nie musisz. Odwołano ją. Nie musisz nigdzie jechać. Jesteś wolny. Już po wszystkim. Operacja „Apollo” została odwołana.

Churchill nie poruszał się. Ledwo można było usłyszeć, jak oddycha.

Leonard odchrząknął i karykaturalnie wojskowym tonem oświadczył:

- Oficjalna wiadomość dla porucznika Jamesa Churchilla z Błękitnego Pułku Howarda. Ścisłe tajne. Niniejszym odwołuje się, powtarzam, odwołuje się operację „Apollo”, z wykonalnością natychmiastową. Potwierdzić odbiór. Koniec wiadomości.

To też nie odniosło skutku. Leonard wstał i zamyślił się. Po chwili zszedł po schodach, frontowymi drzwiami wybiegł z domu, wsiadł do swego samochodu i odjechał.

Dźwięk silnika dotarł na trawnik. Ayscuc poruszył się nerwowo.

- Ciekawe, dokąd pojechał - rzekł. - Pewnie po żandarmerię albo coś równie użytecznego.

- Willie, jak możesz?

- Przepraszam. To rzeczywiście bardzo miły człowiek. Ale głupi. Nigdy w życiu nie zadał sobie żadnego poważnego pytania. Od czternastego roku życia nie dowiedział się niczego nowego o świecie.

- To chyba też nieprawda.

- Może nie. Nie jestem dzisiaj w formie. Pójdę położyć się na kanapie. Zajrzysz do Jamesa od czasu do czasu?

- Nie martw się, nie wyjdę z jego pokoju.

Lucy usiadła z ilustrowanym magazynem przy łóżku Churchilla, ale i ona była niewyspana, i po kilku minutach już drzemała, co jakiś czas na pół budząc się i poprawiając w fotelu. Ocucił ją dopiero hałas dwóch pojazdów zatrzymujących się pod oknem. Jeden, jak stwierdziła, należał do Leonarda, który właśnie z niego wysiadał. Drugi samochód był ambulansem. Kierowca otwierał właśnie tylne drzwi. Niebawem pojawiła się Catharine, a z nią młody człowiek w okularach i ciemnym garniturze, rozglądający się niecierpliwie. Lucy zbiegła na parter.

- Kochanie - powiedziała w hallu, obejmując Catharine. - Co się stało? Czy już cię wypuścili?

- Tylko na parę godzin. To jest doktor Galton, który przyjechał ze mną na wypadek, gdybym potrzebowała opieki.

Młody człowiek skinął przelotnie głową i natychmiast zwrócił się do Leonarda.

- Ma pan czterdzieści minut - oświadczył wysokim, lecz władczym głosem - po upływie których pani Casement ma zjeść coś lekkiego i bezzwłocznie wrócić do szpitala.

- Dziękuję - powiedział Leonard. - To nam wystarczy.

- Musi wystarczyć. Mam nadzieję, że wie pan, co robi.

- Już pan to mówił, doktorze. Zapewniam pana, że wiem.

- Czy mogę iść do Jamesa? - zapytała Catharine.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - powiedział Leonard. - Będzie pani mogła pomóc mu bardziej, jeśli najpierw wysłucha pani tego, co mam do powiedzenia. Chodźmy na dwór. Tam nikt nas nie usłyszy.

Wyszli, zostawiając lekarza spacerującego nerwowo w hallu.

- Jak się czujesz, Catharine? - spytała Lucy. - Opowiedz mi o wszystkim.

- Czuję się świetnie. Żadnych problemów. Wszystko w porządku.

- Jakim cudem udało mu się wyciągnąć cię stamtąd? Brian, jakim cudem udało ci się wyciągnąć ją stamtąd?

- To na razie nieważne. Teraz ważny jest James.

- Nie jest z nim aż tak źle, prawda? - zapytała Catharine.

- Popadł w pewien rodzaj letargu - powiedział Leonard. - Ale chyba zdoła go pani wyrwać z tego. Nie znam się na takich rzeczach, ale Lucy i Willie Ayscue powiedzieli mi, że jest to częściowo spowodowane tym, co stało się z panią, pani Casement. Nie wiem, ile...

- Proszę mi mówić Catharine.

- Catharine. A więc, to jedna przyczyna. Druga związana jest z tą operacją „Apollo”, w której miał wziąć udział. Chciałbym teraz opowiedzieć ci o niej. To zajmie tylko parę minut.

Dotarli do ustawionych w cieniu dębu leżaków i usiedli w nich.

- Oznacza to, że będę musiał naruszyć ustawę o tajemnicach państwowych - mówił Leonard. - Jeśli te informacje dotrą do niepowołanych uszu, może wybuchnąć wojna. A więc obiecajcie mi, że nikomu nie powtórzycie tego, co wam powiem.

Kobiety spojrzały na siebie.

- Ale czy nie boisz się, że złamiemy obietnicę? - spytała Lucy.

- Nie. Muszę ci to powiedzieć, żebyś mogła pomóc Catharine, a tobie ufam. Natomiast James kocha ciebie, Catharine, a więc i tobie mogę zaufać. Czyli nie ma się czego bać. Obiecujecie?

- Tak - odpowiedziały.

W skrócie powtórzył im to, czego rano dowiedział się od Rossa-Donaldsona. Potem przyjrzał się Catharine, którą znał dopiero od godziny. Na jej twarzy nie mógł dostrzec oznak choroby, bólu ani strachu, malowało się na niej jedynie napięcie. Z podziwem popatrzył na jej proste usta. Pochylił się na swym leżaku i z emfazą, ale nie za głośno powiedział:

- Widzisz więc, Catharine, że James nie będzie musiał nigdzie jechać ani nikogo zabijać. On o tym jeszcze nie wie. Na razie nie wiedzą o tym także inni oficerowie z jego grupy. Musimy czekać na rozkaz, który zezwoli nam powiadomić ich o tym. Ale tamci, kiedy im powiemy, wysłuchają nas i zrozumieją. Natomiast Jamesa myśl o operacji „Apollo” przeraża

znacznie bardziej niż pozostałych, ze względu na ciebie. Sądzę, że teraz widzi on wokół siebie tylko śmierć. W takim stanie każdy człowiek popadłby w letarg. Tak więc, nie ma sensu mówić Jamesowi o odwołaniu tej awantury, bo i tak nie będzie słuchał. Próbowałem już to uczynić, ale na próżno. To znaczy, że nie będzie słuchał przypadkowych ludzi. Wysłucha tylko ciebie, bo cię kocha. Ale jeśli chcesz go przebudzić, musisz dokładnie zrozumieć, co się kryje w jego umyśle, czyli musisz dokładnie wiedzieć co, jak mu się wydaje, będzie musiał zrobić.

Apollo był greckim bogiem słońca, muzyki i rolnictwa, lecz był także bóstwem zarazy. Zsyłał pomór. Nazwaliśmy operację jego imieniem chyba po to, aby Chińczycy łatwiej mogli odgadnąć, co zamierzamy. James i inni oficerowie przechodzili szkolenie przygotowujące ich do rozsiania zarazy pośród chińskich żołnierzy, a prawdopodobnie także i w samych Chinach. Każdy z nich miał ukryć się w pobliżu głównych chińskich linii komunikacyjnych wraz z oddziałkiem tamtejszych partyzantów. Mieli czekać, aż pojawi się samotny Chińczyk, na przykład goniec z pocztą albo paru żołnierzy w ciężarówce i urządzić na nich zasadzkę, ostrzelać ich pociskami gazowymi, od których straciliby przytomność na kilka godzin. Wtedy mieli zarazić ich i zniknąć. Chińczycy odzyskują przytomność, czują się znakomicie i jada dalej. Przez dziesięć dni niczego nie zauważają, a w tym czasie to samo spotyka dziesiątki innych. I wtedy pojawiają się pierwsze symptomy.

Postanowiliśmy, że aby symptomy te wywołały maksymalne efekty psychologiczne, muszą być jak najstraszniejsze. Pod tym względem zwykłe epidemie to za mało. Gorączka, zapalenie gruczołów, maligna, zaburzenia mowy i ruchów. To zbyt pospolite. Nasi bakteriologowie stwierdzili, że modyfikacja istniejących epidemii nie wystarczy. Ale epidemie mają tę wielką zaletę, że są zakaźne. Spróbowali więc zacząć od drugiego końca, pomajstrować przy jakiejś bardzo nieprzyjemnej, ale niezaraźliwej chorobie, i zmienić ją w zarazę. Wreszcie pewien naukowiec, nazwiskiem Venables, zaproponował wykorzystanie choroby, którą on sam doprowadził do takiego stopnia zaraźliwości, jaki przejawia zapalenie płuc. Zresztą roznosi się ją w ten sam sposób, przez kropelki śliny znajdujące się w wydychanym powietrzu, tak jak zwykły katar. Nawiasem mówiąc, wymyślili ją już dwa lub trzy lata temu i uznali, że może się kiedyś do czegoś przydać. No, i przydała się.

Wynalazek Venablesa stanowił pewną odmianę wodowstrętu, czyli wścieklizny. Od zwykłej wścieklizny różniła się ona tym, że można było zarazić się nią nie w wyniku pogryzienia przez wściekłego psa, lecz przez kontakt z powietrzem wydychanym przez chorego. Podobno jest to choroba, która wywołuje największe z możliwych cierpień. Zaczyna się od uczucia przynębnienia i strachu. Pogłębia je jeszcze widok umierających na nią innych ludzi. Potem chory zaczyna odczuwać wielkie podniecenie i nie może normalnie oddychać.

Lecz najstraszniejsze jest to, że czuje ogromne pragnienie, ale kiedy próbuje się napić, krztusi się i wije w konwulsjach. To samo dzieje się z nim, gdy widzi wodę, albo słyszy, że ktoś ją nalewa, albo myśli o niej. Lub jeśli jest przeciąg, albo ktoś go dotknie. A także w niezliczonych innych okolicznościach. Przez cały ten czas oddychając, wydaje dźwięk podobny do szczekania i cierpi na szczękościsk. Trwa to cztery do pięciu dni. Potem chory umiera. Dziwne jest to, że tuż przed śmiercią znów może normalnie oddychać, pić i przełykać.

Każdy oddział uczestniczący w operacji „Apollo” miał otrzymać pewną liczbę małych jednoosobowych namiotów z plastiku. Mieli umieszczać w nich nieprzytomnych Chińczyków i szczelnie zamykać otwór. Potem ze specjalnego zbiornika mieli napuścić do namiotu powietrza z kropelkami wody zawierającej wirusy wścieklizny. Delikwent leży w namiocie przez parę godzin, po czym nasi chłopcy wydobywają go, umieszczają w szoferce ciężarówki i przenoszą się w inny rejon. W ponad dziewięćdziesięciu procentach przypadków Chińczycy mieli zarazić się wodowstrętem. Och, istnieje oczywiście szczepionka przeciw temu, ale zanim wyprodukują ją w odpowiedniej ilości i zaaplikują komu trzeba, będzie już za późno.

Oto, czego lęka się James.

Catharine milczała przez kilka sekund, a potem wstała.

- Pójdę już do niego - powiedziała i odeszła.

- Mam nadzieję, że ona mu pomoże - westchnął Leonard.

- Ale nie opowiedziałeś o tym w szpitalu, prawda, Brian?

- Skądże. Tam musiałem blefować i liczyć na szczęście. Mówiłem im o kryzysach międzynarodowych, o tajnej broni i o szpiegach. Rzeczywiście miałem szczęście, bo kiedy zadzwonili do Whitehall, nie było akurat mojego szefa. W jego biurze był tylko sekretarz, a z nim poradziłem sobie bez trudu. Chyba i tak nie udałoby mi się, gdyby lekarz nie przyznał nieopatrznie, że jazda samochodem nie może w niczym zaszkodzić zdrowiu Catharine. Ona sama była całkowicie oszołomiona, dopóki nie wytłumaczyłem jej wszystkiego. To wspaniała dziewczyna. Jeśli ktoś może go przebudzić, to tylko ona.

- Brian, co się stanie, kiedy twój szef dowie się o tym ambulansie i o twoim podstępie?

- Najpierw oniemieje. Na minutę albo dwie, a potem przemówi - i to jak.

- Nie boisz się?

- Cóż, ktoś przecież musiał to zrobić. I tak wyrzucą mnie ze Służby Bezpieczeństwa.

Już mnie wyrzucili.

Leonard wziął do ręki butelkę ze swym sherry i odkorkował ją.

- Brian.

- Tak?

- Czy skoro cię wyrzucili, możesz zostać u mnie na noc?

- Och, tak, Lucy, dziękuję ci.

W tym czasie Catharine była już z Churchillem. Nie bez trudu udało jej się ułożyć go tak, że mogła objąć go i umieścić jego głowę na swych kolanach. Dwukrotnie uniosła go i przysunęła jego twarz do swojej. Patrzyła w nią bardzo uważnie, ale nie dostrzegła niczego poza tym, co zobaczyła w pierwszej chwili. Nie była pewna, czy uda jej się to, co, jak wiedziała, musi zrobić. Kiedy zaczęła mówić, starannie poruszała ustami, chcąc nadać słowom właściwą moc, aby mogły dotrzeć do jego świadomości, która kryła się w bezwładnym ciele.

- James, najdroższy, wiesz, kim jestem, prawda? Nie muszę ci przypominać. Nigdy o mnie nie zapomnisz. Mój mały James. Umówiliśmy się, że mogę cię tak nazywać. Zawsze słuchałeś wszystkiego, co do ciebie mówiłam. Teraz też musisz mnie wysłuchać.

Najpierw opowiem ci o sobie. Miałam operację. Udała się znakomicie. Wszyscy są ze mnie bardzo zadowoleni. Niestety, musieli co nieco wyciąć. Ale chyba nie będziesz się tym martwić. Nie aż tak, jak myślałeś. Jeszcze sporo zostało. I obiecali, że ładnie się zagoi. Wierzę im, bo znają się na tym. Nie wyobrażasz sobie, jak dobrze się na tym znają. Mówią, że teraz czeka mnie mnóstwo nieprzyjemnych zabiegów. Przez kilka tygodni będę musiała jeździć na nie do szpitala. Ale to drobiazg, bo przez resztę czasu będziesz ze mną. Tak. Będziesz ze mną. Powiedzieli jeszcze, że miałam szczęście, bo przyszedłam do nich bardzo wcześnie. Udało się dzięki tobie. Szczęście. Przyniosłeś mi szczęście.

Wiem, kochanie, że nie chodzi tu tylko o mnie. Wiem o tej drugiej sprawie, nieważne, skąd. Są rzeczy, których miłość w żaden sposób nie może objąć. Tak powinno być. Są rzeczy, których nie wolno robić. Na przykład zarażenie ludzi wścieklizną. Właśnie się o tym dowiedziałam. Mogę o tym mówić, bo tego nie będzie. Nigdy nie miało tego być. To była tylko groźba. Wiem, co myślałeś i co czułeś. Czasami trzeba wiedzieć o pewnych rzeczach. Miałeś wsadzić człowieka do plastikowego worka i spryskać go płynem, od którego umierałby z pragnienia i nie mógłby nawet przełknąć śliny. On wyszedł z worka. Nic mu się nie stanie. I to nie przypadek. Ludzie postanowili, że nie zrobią tego. Nigdy nie chcieli tego zrobić.

Pamiętam, jak opowiadałeś mi o Bogu, o tym, jaki jest zły. Nie czułam tego co ty, ale rozumiałam cię. To straszne, kiedy uważamy, że Bóg jest bardzo okrutny, a potem dzieje się coś, co każe nam myśleć, że ludzie zaczęli postępować tak jak On. Ale kiedy powiedziałeś mi, że Bóg wymyślił wszelkie zło i że wszystkie okrutne zdarzenia to Jego wina, nie mówiłeś do mnie. Wtedy mówiłeś do siebie, tak jak teraz zwrócony jesteś do swego wnętrza. Wiesz dobrze, że tylko od ludzi zależy, czy zrobią użytek ze zła, które stworzył Bóg. Mogą udowodnić, że są od Niego lepsi. I teraz właśnie to robią.

Myślisz, że nieszczęścia chodzą parami. Masz prawo tak myśleć. Ale tym razem mylisz się. Jest inaczej. Naprawdę boisz się tylko jednej złej rzeczy. Tego, co stanie się ze mną. A to wcale nie musi być nieszczęściem. Nie tylko nieszczęścia chodzą parami, dobre rzeczy również. Pomyśl o tym, jak się poznaliśmy. Pomyśl, jakie to było wspaniałe i jakie nieprawdopodobne. Pokochaliśmy się, poszliśmy do łóżka i nadal się kochamy. Nie pozwolę ci oszaleć. Ja oszalałam tylko dlatego, że nie miałam się kogo trzymać. Ty masz. Masz mnie. Wiem, jak trudno jest odpędzić obłąd. Ale uda ci się to, choć nie będzie to łatwe, nawet teraz, po tym, co ci opowiedziałam. Musisz zachować zdrowe zmysły, James, mój najdroższy, mój mały. Mój wielki James. Kocham cię.

Churchill poruszył się, otworzył oczy i spojrzał na Catharine.

- Wiem - powiedział.

\*

Ayscue stał przy pulpicie w kościele we wsi, czekając na koniec hymnu Thomasa Rougheada *Panie, chroń sługi Twoje*. Zgodził się wygłosić krótką przemowę z tego miejsca, gdyż pastor wytłumaczył mu, że wprawdzie nie może odmówić udostępnienia ambony kaznodziei goszczonemu w czasie normalnej mszy, ale nie jest do tego zobowiązany, kiedy dom modlitwy ma być wykorzystany jako sala koncertowa. Teraz siedział w kącie pierwszej ławki, w dość swobodnej pozycji, i wbijał wzrok w Ayscue'a. Stale obecny na jego twarzy wyraz zgorznienia pogłębiło zapewne wspomnienie fragmentów tekstu pieśni Rougheada *Arie i gracje*, którą wykonano tuż przed hymnem.

Koncert wypadł co najmniej tak dobrze, jak spodziewał się tego Ayscue. Townsend rozpoczął go świetnym wykonaniem dość skomplikowanej fantazji organowej C-dur, zaś drobna niezborność altów z chóru, którą można było posłyszeć na początku dwóch pierwszych fragmentów z muzyki do pantomimy *Hektor i Andromacha*, wkrótce zniknęła. Zdaniem Ayscue'a, nikt z publiczności jej nie zauważył, poza krytykiem muzycznym, którego przysłała pewna poczytna i szanowana gazeta prowincjonalna. Sądząc z kilkuminutowej pogawędki przed koncertem, na schodach kościoła, był on człowiekiem sympatycznym i wyrozumiałym, nie zwracał nadmiernej uwagi na podobne, nieuniknione przecież niedociągnięcia, natomiast wyznał, że jest pasjonatem osiemnastowiecznej muzyki angielskiej. Ayscue pomyślał, że jeśli Townsend, Pearce i on sam uporają się z sonatą, którą mieli wykonać wkrótce po przemowie, z taką dokładnością i wyczuciem stylu, jakie okazali na ostatniej próbie, to Thomas Roughead może rzeczywiście rozpocząć w ten sposób skromną pośmiertną karierę, na którą zasługuje.

Ayscue usłyszał dwa takty w końcowej części hymnu wypełnione przeciwstawnymi pasażami basów i tenorów. Przypomnił sobie, że zwrócił na nie uwagę, gdy w zeszłym tygodniu w towarzystwie Townsenda przeglądał partyturę. Wtedy wydały mu się tuzinkowe, uznał je za artystyczną łatwiznę; teraz zaparły mu dech w piersi i przeszły całe ciało delikatnym dreszczem. Jak na ironię, tuż przed jego przemową muzyka po raz kolejny objawiła mu się jako prawdziwe ucieleśnienie samodzielnej i samodzielnie rozwiniętej ludzkiej duszy, jako ostateczny dowód na nieistnienie Boga.

Gdy kwieciste, nieco Haendlowskie „Amen” wiodło hymn do finału, Ayscue zauważył Churchilla i wrażenie ironii w jego umyśle spotęgowało się. Ale był to tylko odruch już nie odpowiadający rzeczywistości. W ciągu kilku dni, które minęły od jego przebudzenia, Churchill całkowicie odzyskał spokój ducha, przestał być malkontentem wciąż protestującym lub sarkastycznym. Teraz uśmiechnął się przelotnie do Ayscue'a i powiedział parę słów do siedzącej obok niego Catharine. Lucy Hazell pochyliła się ku niemu, chcąc także je usłyszeć, ale Brian Leonard, który siedział przy niej, nie poruszył się, a wyraz zakłopotania, który zagościł na jego twarzy przy pierwszym akordzie fantazji, nadal na niej trwał. Mimo to jego widok dodawał Ayscue'owi otuchy. Poza grupką przymusowych ochotników wyznaczonych spośród żołnierzy, którzy akurat nie mieli służby, i kilkoma kolegami Pearce'a, obóz nie był zbyt licznie reprezentowany. Pułkownik, Ross-Donaldson i Venables (którego zresztą i tak nie można było spodziewać się na koncercie) wyjechali na konferencję do Londynu, dokąd udał się także Hunter wezwany przez swych przełożonych. Za to licznie przybyli mieszkańcy wioski pod wodzą Eamesa.

Ostatnie dźwięki muzyki wybrzmiały i zniknęły z chóru, prezbiterium, ławek, spod sufitu i z naw. Ayscue zaczął mówić swym oficjalnym głosem, który napełniał go wstrętem za każdym razem, gdy przyłapał się na tym, że go używa. Przy takich okazjach chciałby wydawać się szczery. Wiedział, że ludzie tego nie lubią. Trudno uznać za szczerą pragnienie, aby wierzono naszym słowom.

- Zajmę wam zaledwie trzy minuty - powiedział niezbyt rubasznie, jak miał nadzieję.-Przyszliście tu, aby miło spędzić czas i nie zdziwię się, jeśli ktoś z was uzna, że nie potrzebuje dodatkowej porcji morałów. Wielu z nas ma zwyczaj czynić granicę między przyjemnościami a poważnymi myślami i nie bylibyśmy ludźmi, gdyby nie denerwowały nas zakusy na trwałość naszych zwyczajów. Pozwolę sobie przez moment naruszyć ten zwyczaj. Słuchaliśmy muzyki Thomasa Rougheada w pięknym wykonaniu pana Townsenda i członków chóru. Niewiele wiemy o życiu Rougheada, właściwie tylko tyle, ile wydrukowano w programie koncertu. Jego muzyka może nam coś więcej o nim opowiedzieć. Cokolwiek pisał,



czy to religijne hymny jak ten, który właśnie usłyszeliśmy, czy też pieśni jak ta, która go poprzedziła, opiewające doczesne radości należne z urodzenia każdemu człowiekowi - przy tych słowach Ayscue rzucił pastorowi ciężkie spojrzenie - Roughead stawiał sobie za cel wychwalanie Boga. Myślicie może, że mówię tak, bo był on kompozytorem związanym z Kościołem, bo spora część jego muzyki posiada oczywisty religijny charakter i przeznaczenie. To prawda, ale niecała. Każdy utwór muzyczny, każde dzieło sztuki, wszystko, co tworzą ludzie, pochodzi nie tylko od nich samych, nie tylko z ich umysłów i serc. Bóg jest z nami i w nas we wszystkim, co robimy, a zwłaszcza wtedy, gdy tworzymy najdoskonalsze rzeczy, na jakie nas stać. W chwilach takich jak ta czcimy chwałę Boga. Tę opiewał Roughead w swych utworach, w chwale Boga udział mieli nasi muzycy, którzy je grali i śpiewali, chwała Boga objawiła się nam siedzącym tu i słuchającym ich. I to zdarza się nam przez całe życie, nawet w chwilach, które na pozór nie mają w sobie nic boskiego.

Jesteśmy dziś w Jego domu. Chyba zgodzicie się, że zwykła uprzejmość nakazuje nam odezwać się do Niego.

Módlmy się.

Odwracając się i klękając, Ayscue czuł rozdrażnienie nie tyle tonem, jednocześnie aroganckim i poufałym, swego przedostatniego zdania - sam się dziwił, skąd przychodzą mu do głowy takie pomysły - ile banalnością, zawilnością i nielogicznością tego, co powiedział. Stwierdził, że widocznie się starzeje. Potem, jak zawsze w takich okolicznościach, pomodlił się, bo w ten sposób mógł przynajmniej wyrzucić z siebie to, co go dręczyło, nawet jeśli nikt tego nie miał usłyszeć.

- Nie rób tego Catharine. Pozwól jej wyzdrowieć i zachowaj ją w zdrowiu. Proszę.

Dotychczas, gdy się modlił, miał wrażenie, że mówi do pustego pokoju, do głuchego telefonu. Teraz poczuł pewność, jeśli można ufać metaforom, że pokój nie jest już pusty, że ktoś podniósł słuchawkę i choć milczy, jednak słucha.

Przeraziło go to. Gotów był uwierzyć, że jest to pierwszy etap procesu, łańcucha, szeregu wydarzeń wiodących do radości tak wielkiej, że tłumaczącej wszystko, albo przynajmniej do wyjaśnienia tak przekonującego, że ludzie bez wahania wybaczą Bogu wszelkie zło, jakie im wyrządził.

Nie myśląc o tym, wstał nieco wcześniej niż spodziewali się tego pozostali. Opanował się i stanowczym krokiem powrócił do pulpitu.

- Teraz zagramy dla was - powiedział, usiłując normalnie oddychać - utwór Thomasa Rougheada, którego prawdopodobnie nikt nie słyszał w ciągu minionych stu pięćdziesięciu lat. Sonata h-moll na flet, skrzypce i fortepian.

Townsend zszedł z chóru i usiadł przy fortepianie, po prawej stronie Ayscue'a. Pearce z fletem w dłoni wstał z ławki i zajął miejsce obok przygotowanego dla niego pulpitu. Ayscue podniósł z wieka fortepianu swoje skrzypce i smyczek. Po chwili zaczęli grać. Od razu było wiadomo, że wykonanie będzie znakomite.

Przed kościołem Nancy, suka Ayscue'a, stała przywiązana smyczą do ogrodzenia koło bramy. Była do tego przyzwyczajona, a kiedy jej pan przygotowywał się do wyjścia na koncert, okazała taki entuzjazm, że nie miał serca zostawić jej w domu.

Ale muzyka, nawet z odległości, zawsze źle na nią działała, zaś dźwięki dochodzące teraz z kościoła wydały jej się wyjątkowo nieznośne. Skowycząc usiłowała wysliznąć się z obroży i wreszcie jej się udało.

Wybiegła przez bramę na zalany światłem słońca chodnik i stanęła niezdecydowana, gdy na ulicy pojawiła się rolnicza ciężarówka. Samochód był zadbany, lecz wysłużony i właściciel wiedział, że niebawem będzie musiał pomyśleć o kupnie nowego. Kiedy Nancy, widocznie zbyt zainteresowana jakimś przedmiotem po drugiej stronie ulicy, aby zważać na nadjeżdżający samochód, wbiegła na jezdnię, mężczyzna zakręcił kierownicą, nie chcąc przejechać zwierzęcia. Układ kierowniczy odmówił posłuszeństwa.